





14473 I



BIBLIOTEKA

WYBORCZAN
WYBORCZAN
WYBORCZAN

El. Oleszkiewicz

LITERATURA

LITERATURA

WARSZAWA
KRAJE
1880

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIEJ.

LITERATURA POLSKA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA
(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów“).
1890.

✓
J. J. KRASZEWSKI.

WYBÓR PISM.

ODDZIAŁ VII.

UTWORY DRAMATYCZNE

poprzedzone wstępem krytycznym

PRZEZ

Władysława Bogusławskiego.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Swiat, Nr. 41.
1890.



KOMPUTER

884-2

821.162.1-2

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Апрель 1890 г.



8.215.6.45.

74

WSTĘP

(Twórczość dramatyczna Kraszewskiego).

W ciągu swój półwiekowej niezmordowanej działalności w najrozmaitszych gałęziach literatury ojezystej, miał czas Kraszewski napisać kilkanaście komedyj i dramatów, którym słów parę jako wstęp do niniejszego wydawnictwa poświęcić zamierzam.

Ze wycieczki Kraszewskiego w sfery teatralne mają cechę czysto przygodną, że powieściopisarz przywiązywał do nich nacześniejsze znaczenie wypoczynku, który takie wyjątkowe organizacje znajdują w przejściu od jednej pracy do drugiej,—o tém nie pozwala wątpić sam autor, wyjaśniając czytelnikowi w stosownych przemówieniach warunki, towarzyszące narodzinom każdej prawie komedyi, czy obrazka, lub udramatyzowanej anegdoty albo dyalogowanej przypowieści. Rozmowa o zadaniu i zakresie komedyi; krytyczny a doraźnie, gorąco odczuty w stosunkach społecznych przełom; chęć zasilenia repertuaru dźwigającej się sceny; wrażenie dobrej gry utalentowanego aktora; literacka z „warszawskim kusicielem“ gawęda, bogdaj nawet dobrotliwe przychylenie się do prośby jakiegoś amatorskiego teatru: oto bodźce, pod działaniem których Kraszewski ubierał swoje pomysły w dramatyczną sukienkę.

Jeżeli wobec ogromu pracy Kraszewskiego, trudno powiedzieć, że utwory jego dramatyczne pisane były w „wolnych chwilach“—bo takich wczasów Kraszewski rzadko, bardzo rzadko zażywać musiał,—to niemniej przecież nie ulega wątpliwości, że je odnieść można do pewnych „chwil“, nacechowanych przeważnie okolicznościowym znamieniem.

Charakterystyka powyższa nie jest bynajmniej zarzutem — bo pojęcie o przygodnej doniosłości jakiegoś dzieła może być nader względne. Chwila, wywołująca twórczość pisarza w pewnym kierunku, trwa krócej lub dłużej; może być wynikiem wrzenia, nurtującego głęboko w społeczeństwie czy w literaturze, albo podmuchu powierzchownie tylko muskającego fale życia; a pisarz, który pod piórem odczuwa zarówno silne wstrząśnienia całego organizmu społecznego, jak lekkie dreszcze literackiej gorączki; pisarz wrażliwy na prądy wielkich idei i na drobne natręctwa przemijających tendencji, słowem pisarz tworzący pod hasłem Terencyusza: *homo sum*.... i przedstawiający odbicie swego społeczeństwa i swego czasu — jest zawsze w pewnym stopniu i w pewnym rozumieniu pisarzem okolicznościowym.

W dziejach każdej literatury znaleźć można wielkie nazwiska, związane z całymi jej okresami; na tej łączności odbijają się jednak charakterystyczne różnice rasowe. Pewne gieniusze narzucają swemu wiekowi własne piętna; inne w swoim rozwoju powtarzają wiernie rozwój współczesnej epoki. Nie tu miejsce rozstrzygać, które ludzkości większe oddają usługi; dość co do nas zaznaczyć, że potężnych inicjatorów mieliśmy nie wielu; że wielkie prądy dziejowe ze źródeł naszej literatury nie wypływały; że gdy społeczeństwo nasze tworzyło literaturę — literatura nie wytwarzała nawzajem, jak gdzieindziej, społeczeństwa, aż do chwili, kiedy się stała jedyną jego matką. Ale może dlatego właśnie żadna zapewne literatura nie odwzorowywała z taką rasową zdolnością asymilacji: ducha czasu i społeczeństwa. Nie jest że takiem wiernem zwierciadłem (że tylko nowszych sięgniemy czasów), cała twórczość Kraszewskiego jako powieściopisarza?

Nie tu miejsce mówić o jego powieściach, oceniła je historia literatury, przyznając Kraszewskiemu: „że, jak wszystkie inne wielkie umysły, wcielał w siebie ogólne prądy, potrzeby, idee i dążności wieku... że dość otworzyć którą z jego książek, by zrozumieć nie tylko to, czém byli ludzie danej epoki, jakie rządziły nimi przekonania, jakie mieli przesady, jaki duch owiewał społeczeństwo; ale nawet z jakiego punktu zapatrywać się wówczas musieli na różnorodne przejawy cywilizacji.... że wreszcie szereg powieści Kraszewskiego stanowi pod tym względem doskonały obraz lat, w których były pisane“.

Jeżeli do scenicznych utworów Kraszewskiego nie da się z całą ścisłością zastosować powyższa ocena, to staje się ona pewną pomocniczą wskazówką w badaniu usposobienia, w którym je autor

tworzył. Zasadniczy tego usposobienia pierwiastek: wewnętrzna i nieodłączna od organizacyi Kraszewskiego potrzeba tworzenia, pod działaniem trwalszych, głębiej sięgających pobudek, znajdowała sobie ujście w formie epickiej, podrażniona zaś słabszymi niewątpliwie, choć może niecierpliwymi impulsami, przez świat kulis drogę sobie torowała.

Niecierpliwosć właśnie zdawała się być matką dramatycznej dziatwy Kraszewskiego. Powieściopisarz, znający wszystkie mozoły i trudności artystycznego opowiadania, posługujący się z całą świadomością dzisiejszych wymagań, pendzlem narracyjnym do tła powieściowego i skalpelem analitycznym przy badaniu charakterów, które na tém tle działają, — uczuwał widocznie od czasu do czasu potrzebę szybszego rozprawienia się z postaciami, urodzonymi pod wpływem okoliczności, mniej więcę pilnych i doniosłych. Wtedy od ogniska jakiejś palącej kwestyi odpadała drobna iskierska, ażeby rozniecić naprędce akcją sceniczną tendencyjnego utworu, zanim z silniejszego płomienia wyjdzie dzieło z jednego odlewu; lub zabłąkany rys szlacheckich obyczajów dawał początek obrazkowi kontuszowemu; albo wreszcie okruszyna z opoki dziejowej tradycyi, wypryskująca z pod dłuta bądź dziejopisarza, bądź artysty, przybierała kształty anegdoty historycznej.

Miałoby to znaczyć, że Kraszewski uważał formę dramatyczną za łatwiejszą od powieściowej?

Zdaje mi się, iż nie grzeszę zbytnią śmiałością, przypuszczając, że ją uznawał za mniej dla siebie obowiązującą.

Zbytecznem byłoby tu rozводить się nad zasadniczymi różnicami między organizacją powieściopisarza i dramaturga, między technicznymi warunkami tworzenia powieści i dramatu; historia literatury powszechniej świadczy aż nadto dowodnie, że pisarze, łączący w sobie tę dwoistą naturę w równomiernym stosunku, należą do osobliwości, a codzienne doświadczenie wykazuje nieuleczalną słabość wszystkich twórców, przeniesionych choćby najwprawniejszą ręką z atmosfery powieściowej na deski teatralne.

To też dość rozejrzeć się w produkcji scenicznej Kraszewskiego, ażeby dojść do wniosku, że autor, będąc zupełnie świadomym trudności pisania dla teatru, bynajmniej nie myślał w kompozycyi, ani w technicznem obrobieniu swoich kilkunastu utworów dramatycznych, o przezwyciężeniu lub nawet wyminięciu napotykanym szkopułom. Kraszewski pisał widocznie nie z przeświadczeniem, iż z pod jego pióra wyjdzie coś pod względem scenicznym silnie żywotnego, ale dlatego, aby jaknajrychlej usłyszeć wypowiedziane

przez usta bohaterów to, co mu albo dolegliwym ciężarem na sercu leżało, albo po prostu zaprzętało niedogodnie myśl, której swoboda potrzebną mu była do szybowania po szerszych lub po wyższych przestworzach.

Więc tło pozostawiał wtedy Kraszewski dekoratorowi, o budowę sztuki zbytecznie się nie troszczył, w dobieraniu sytuacji nie był wymyślnym, akcyą popychał często powieściowym szlakiem, a postaci swoje charakteryzował mową więcej aniżeli czynem; i wynikały stąd utwory, według wskazań techniki dramatycznej niezupełnie może zdolne do życia, w których jednak żyją wszystkie postaci jedynie siłą dialogu, prowadzonego z dziwnym darem indywidualizowania każdej, najmniej nawet znaczącej figurali.

W dialogu powieściopisarz stał się dramaturgiem: w sztukach Kraszewskiego każdy mówi językiem zwięzłym, treściwym, odpowiednim swemu charakterowi, swojej sferze, stanowisku społecznemu, które zajmuje, sytuacji, w której się znajduje; mówi tyle, ile potrzeba, ani mniej, ani więcej, bez frazeologii, bez deklamacji, bez retorycznych zwrotów. Przyglądając się tej przedmiotowości charakterystyki konwersacyjnej, którą autor prostymi i skutecznymi osiągał środkami, można przypuszczać, że Kraszewski całe życie dla sceny tylko pisywał, gdyby nie okoliczność, że ceny ten przymiot nadaje i powieściowym jego bohaterom ostateczną, prawdziwie plastyczną wypukłość.

Być może nawet, że powieściopisarz, który zwykle przeszkadza dramaturgowi, w tym razie przysłużył mu oddawał: bo dzieci wyobraźni, wyrosłe z powiasek powieściowych, wytrzymała niewątpliwie kompleksy i lepiej niekiedy bywają do staro-dramatycznych przygotowane, aniżeli bohaterowie sceniczni, z góry do pewnych przewidzianych sytuacji przeznaczeni i przy narodzinach przypominający poniekąd owe anormalne istoty, które z włosami i z zębami na świat przychodzą.

Powieściopisarz, tworzący postać sceniczną, przed uwikłaniem jej w akcyą bądź dramatu, bądź komedii, przeprowadził ją w myśli przez główne fazy rozwoju życiowego a choć proces analityczny, spostrzegawczy, pozostał się w laboratorium mózgowym twórcy, widząc zaś teatralny nie mógł go śledzić, jak śledził czytelnik powieści,—to przecież wynik procesu: typ, charakter czy figura tylko lub sylwetka nosi na sobie cechę jakiegóś dojrzałości, jest to widocznie istota, która żyje w danej chwili dlatego, że żyła przedtem choćby najkrócej w wyobraźni twórcy pełnią tego życia, na jakie stać ją było z jej natury.

Zadną z postaci scenicznych Kraszewskiego nie stać na wielkie rzeczy, bo każda wyszła ze sfery realnej, codzienniej, potocznej, z pośród ludzi, którzy, nie będąc koniecznie pospolitemi, nie są przecież nadzwyczajnymi; którzy nie wspinając się do bohaterstwa, mają prawo i obowiązek mówić swoim, nie autora językiem i od których nic więcej się nie wymaga, prócz świadectwa w rozmowie, że żyją życiem własnym, nie pożyczanym.

I nie też więcej nie dają osoby, wprowadzone na scenę przez Kraszewskiego. Prawdziwe są i wzięte z życia, gdzie zapewne nie zdobywały się na czyny bardziej, niż na teatrze, zajmujące, więc usprawiedliwiają poniekąd słabość akcji, której są dość zwyczajnymi sprężynami. Charakterów między niemi wiele, typów niema wcale—postaci za to i figur obfitość, przedstawiających wiernie odbicie bądź przeszłości karmazynowej lub kapotowej, bądź teraźniejszości surdutowej albo siermiężnej. Otacza je atmosfera jakiegoś spokoju, który znów spływa na dramaturga z powieściopisarza, zbyt różnorodnie rozglądającego się w życiu, aby mu się jego kontrasty dramatyczne czy komiczne w jaskrawych uprzytomniały zestawieniach. Pod tym względem Kraszewski jest zupełnym przeciwieństwem Wiktora Hugo, którego powieści są obrazowaniami dramata, gdy dramata Kraszewskiego nazwać-by można dyalogowaniami powieściami.

Kraszewski nie miał temperamentu teatralnego, i dlatego zapewne spokój, który go w najdramatyczniejszych nie opuszcza sytuacjach, nie podobny jest do owego greckiego spokoju, towarzyszącego wielkim tragicznym katastrofom — ale przypomina raczej niezamąconą pogodę doświadczenia, które wiele widziało, wiele jeszcze spodziewa się zobaczyć, a zatem niczemu się nie dziwi, niczemu zbytecznie się nie przeraża. Taki nastrój, nieoceniony w powieściopisarzu, jest pewną zawadą dla dramaturga. Pierwszy ma tysiące sposobów wywołania grozy, choćby sam krył pod bezpieczną osłoną obiektywizmu własne wrażenia, jak np. dzisiejsi powieściopisarze naturaliści; drugi musi sam doznawać tego, co chce udzielić,—w przeciwnym razie może w dziele swoim nagromadzić wiele materiału dramatycznego, a nie stworzyć dramatu.

Nadmienić tu wszakże wypada, że taki sposób użytkowania na scenie materiału historycznego zdaje się odpowiadać ideałowi dramatu dziejowego, postawionemu przez Kraszewskiego w „Studiach literackich”. Ideał sięga dość odległych czasów, bo 1842 r.; porównyując go jednak z dwoma powyższymi utworami scenicznymi, z których drugi, chronologicznie ostatni, zjawił się przed czterdziestu laty — przekonujemy się, że skryształizowane snąc od-

dawna pojęcia Kraszewskiego o dramacie historycznym, wistocie nie ulegały już dalszym przekształceniom: „Dramat historyczny—pisze Kraszewski (*Studia Literackie*, str. 213)—odtworzałby epokę w głównych jej wybitnych rysach najdoskonalej; rozszerzałby wyobrażenia czyste i zdrowe o przeszłości daleko skuteczniej, daleko prędzej i jednostajniej, niż jakikolwiek utwór innego rodzaju. Przeszłość utkwiałaby calsza, pojętniejsza w umysłach wszystkich; interes, jakiby sztuka miała, nie potrzebuje dowodzenia. Ale autor historycznego dramatu musiałby wcale inaczej przedmiot wzięty obrabiać, niżeli dotychczas pisarze dramatyczni czynili, którym historia pretekstem, duch czasu i obyczaju ozdobą,—rzeczą główną: czynność, akcja, wypadek, intryga. Tutaj wszystko za podrzędne uważaćby należało, a za główne — obraz epoki, czasu danego. Postacie działające, historyczne musiałby uosabiać stany, stronnictwa—więcej klasy, niż indywidua-by były“... „Dodajmy, że sztuka zawsze sztuką i dramat historyczny musiałby być przedewszystkiem dramatem,—to jest czynnością pełną życia, zajęcia, odpowiadającą dzisiejszym wymaganiom smaku i prawidłem przyjętym sztuki“.

Że słowa powyższe wypowiedziane były przez autora „Halszki z Ostroga“ we cztery lata po ukazaniu się tego dramatu,—nie nad to naturalniejsze: widzieliśmy w nich nawet można świadectwo dojrzenia w pisarzu zmysłu krytycznego, zastosowanego do własnych utworów, gdyby nie mniej już rozumiała okoliczność, że przypuszczałna *Selbstkritik* poprzedziła o dwa lata pięcioaktowy dramat p. t. „Tęczyńscy“ (Wilno 1844), który w spotęgowanej sile zawiera wszystko, cokolwiek Kraszewski zarzucał „dotychczasowym pisarzom dramatycznym“, uważającym „historią za pretekst, duch czasu i obyczaje za ozdobę, a za rzecz główną—czynność, akcję, wypadek, intrygę“.

Tylko działanie przemożnego podówczas w literaturze europejskiej prądu romantyzmu może rozjaśnić genezę tych dwu utworów, między którymi przytoczona wyżej teoria dramatu historycznego brzmi jak głos zdrowego rozsądku, powściągający wybujałość fantazyi *okolicznościowego* romantyka. Podkreślam wyrażenie, *okolicznościowego*, bo wistocie był nim Kraszewski tylko przygodnie, krócej niż któryby z współczesnych mu pisarzy, ale za to gwałtowniej—jak gdyby wyobraźnia poety w jednym młodzieńczym wybuchu rzuciła chciwie rękawicę sprostegawczej i przedmiotowej trzeźwości Kleofasa Fakunda Pasternaka.

Nie widzę też powodu wyłączać „Halszki“ i „Tęczyńskich“ z pod ogólnej, na początku zaznaczonej charakterystyki utworów

okolicznościowych. Jeżeli bowiem romantyzm był w ogólnych dziejach poezji potężniejszą tylko od innych „okolicznością“, chwilą, która w błyskawicznym mgnieniu wskazała poetom nowe ideały, to tem bardziej przemijającą musiało być odbicie tej chwili w twórczości Kraszewskiego, którego organizacja umysłowa na inne popchnęła drogi. W autorze: „Czterech wesel“, „Pana Karola“, „Wielkiego świata małego miasteczka“, trudno było niewątpliwie przewidzieć twórcę „Halszki“ i „Tęczyńskich“: ale po przeczytaniu „Halszki“ i „Tęczyńskich“ łatwo przychodziło się do wniosku, że Kraszewski nie będzie do późnej starości walczył na wyłomie romantyzmu, jak Wiktor Hugo, którego „Han Islandzki“ był tylko pierworodnym dziecięciem w licznej rodzinie, uderzając do siebie zbliżoną wspólnością familijnych rysów.

Z pośród kilku zasadniczych żywiołów romantyzmu, niewiele miał Kraszewski do wyboru. Średniowieczny, rycersko-klasztornomistyczny pierwiastek, obcy był naszym dziejom, a tam gdzie go użyto (np. u Pola w „Mohorcie“) raził cudzoziemskim kolorytem. Wycieczki w sferę nadmysłową nie przypadły do smaku Kraszewskiemu, który w tych samych „Studiach literackich“ wyraźnie oświadczył (str. 28), że bardzo się mylą ci, którzy myślą, że romantyzm na pewnych zawiśł martwych formach, na balladzie, sonecie, na różnomiarowym wierszu, *upiórach*, *widmach* i t. p. Pozostała więc tylko specyficzna psychologia romantyzmu: nadzwyczajne uczucia, nadzwyczajne namiętności, wyjątkowe stany duszy w wyjątkowych naturach, z całym przyborem gwałtownych sprzeczności, niebываłych zestawień, uwydatnionych przy pomocy posępnego a sztucznego światłocienia.

Wszystko to i więcej to, niż co innego, znajduje się w „Halszce“ i w „Tęczyńskich“. Jeżeli gdzie, to w tych dramatach, historia jest wyraźnie pozorem, ramą do akcji odgrywającej się z charakterystyczną egzaltacją, podniesioną jeszcze szczegółami sceneryi romantycznej do nastroju gorączkowego, który tak często, z najlepszą wiarą podawano w owym czasie za polot poetyczny,—za siłę dramatyczną.

Książę Dymitr Sienguszko porywa Halszkę, księżniczkę Ostrogską, od matki jej Elżbiety, przy pomocy stryja bohaterki, księcia Wasila Ostrogskiego. Przygotowania do porwania w akcie pierwszym, napad na zamek w akcie drugim, śmierć Dymitra, jako bany, ściganego zemstą pokrzywdzonych kobiet, w ostatnim akcie—oto treść „Halszki“ przydatna niewątpliwie na dramat historyczny, ale spożytkowana przez autora w sposób, nie pozostawiający żadnej wątpliwości co do wpływów, pod którymi urodził się ów pierwszy

utwór sceniczny Kraszewskiego. Tytułowa bohaterka biernie przesuwa się przez kilka scen drugiego aktu: konszachty zaś książąt i sceny gwałtu, wypełniające dwa akty, tracą poniekąd pierwszorzędne znaczenie wobec postaci Mołni, uosabiającej w sobie czynnik romantyczny, zabarwiony kolorytem szkoły ukraińskiej. Uczucie Mołni dla Dymitra, nie znające granic ani we względach społecznych, ani w zasadach moralnych, ani we właściwościach natury niewieściej, ani wreszcie w prawach psychologii, odwołujące się do instynktów natury i dlatego najchętniej przez romantyków w piersi ludu umieszczane—unoszą się, niby fatum jakie, nad całym dramatem, wypełnia go i przenika nierównie silniej, niż jakiegobądź inne motywa i przenosi punkt ciężkości utworu do aktu trzeciego, gdzie już wystąpić może wśród najodpowiedniejszej atmosfery, wśród wszystkich akcesoriów prawdziwego romantyzmu.

Scena dzieje się na cmentarzu, w domku grabarza. W małej izdebce, oświetlonej lampką szklaną, palącą się u ściany, krzyż wielki stoi koło drzwi; grabarz siedzi przy stole; żona jego po drugiej stronie trzyma na kolanach całun czarny trupiemi głowami naszyty, który lata; dziecko śpi w trumnie po prawej ręce teatru; kot leży na ławie.

Takie jest tło ostatecznej katastrofy dramatu.

Któż tu nie pozna ulubionego przyboru romantycznego? kto nie zrozumie, że służył on wedle obowiązującej techniki romantyzmu do nastrojenia wyobraźni widza na ponury ton występujących do walki namiętności? Na takim tle miłość Mołni gotowa na wszystko, nie cofająca się nawet przed morderstwem, popełnionym na bezbronnym mieszczaninie, który podpatrzył schronienie banity: walka jej ze Zborowskim, obrońcą praw korony, wreszcie i rozpaczliwe samobójstwo, wszystko zlewa się w jeden jaskrawy obraz, którego postacią główną jest nie historyczna bohaterka, ale prosta ukraińska dziewczyna, obdarzona uczuciami, zaczerpniętymi z romantycznej psychologii.

Rzecz zaiste wielce charakterystyczna, że w tym efektownym oświetleniu bohaterstwa, występuje po raz pierwszy — kobieta; że podstawą tego bohaterstwa jest demoniczny żywioł natury niewieściej, który tak często i tak uparcie występować ma później w tylu kobietach Kraszewskiego. Można by powiedzieć, że jako twórca postaci kobiecych, Kraszewski stał nieodmiennie na tym samym stanowisku, utrwalonem tylko głębokimi studjami, które, nie rozwikławszy mu sfinksowej zagadki serca kobiecego, dodawały wytrawnemu badaczowi odwagi do streszczenia długich poszukiwań

w słowach „ja tylko wiem, że nie nie wiem“, i do zapuszczania się po odpowiedź w otchłanie, pełne przerażających sprzeczności:

„Kobieto, królowo, szatanie, aniele,
„Motylu, głazie, kwiecie,
„Duchu z niebios w ludzkim ciebie,
„Nie ze świata, a na świecie,
„Niepoznana, niepojęta,
„Odmienność i jednakowa
„I słaba i nieugięta,
„Niewolnica i królowa,
„Witam cię gwiazdą w młodocianym niebie,
„Witam cię słońcem starości wieczornem,
„Księżycem smutku bladym i pokornym,
„Nie i wszystko, witam ciebie!

Tak rozpoczyna Kraszewski fantazję swoją o „kobiecie“. („Szatan i kobieta“ 1841)—a oto jak ją kończy:

„Po raz ostatni jeszcze wszystkie witam spodem,
„Wszystkich krajów, wieków, lat,
„Witam i kolano zgiałem
„Ja poeta—ja i świat!
„Anioły czy szatany, nikt was nie rozumie,
„Lukrecjo, Cenci, Julie, Eponiny—
„Czasem cnotą błysniecie w zadziwionym tłumie,
„Czasem zbrodnią szatańską i jadem gadziny,
„A serce wasze przepaść!

Konkluzja, jak widzimy, nie odbiegła od punktu wyjścia, choć ją oddzielają całe poetyczne przestwory, ponad którymi bujając, fantazja ogarnęła kobietę we wszystkich jej postaciach. Coś podobnego stało się z twórczością Kraszewskiego. Od chwili, kiedy poeta ukląkł przed kobietą, jak przed „gwiazdą w młodocianym niebie“,—aż do momentu, gdy ją wita psycholog „słońcem starości wieczornem“, upłynęło życie całe, którego filozofia w stosunku do kobiet zdawała się zamykać w wykrzykniku: „a serce wasze—przepaść“.

„Serce — przepaść“, oto epigraf „Tęczyńskich“, na którym wsparłszy się widz lub czytelnik, powinienby czuć się wolnym od zawrotów głowy, doznawanych niechybnie nad głębinami psychologii romantycznej. Tak jednakże jest; dewiza nie wystarcza — i dramat pozostawia chorobliwe wrażenie, dzięki bohaterce, której stan duszy usprawiedliwić może prędzej patologia, aniżeli zagadkowość natury ludzkiej.

Historya a raczej podanie wspomina głucho o rozpustnym życiu Doroty z Tęczyna. Kraszewski, korzystając z praw poety, dopełnił je romantycznym motywem. Bohaterka zmuszona przez stryjów: Żegotę i Wojsławę z Tęczyna do oddania ręki Ottonowi z Rab-szyna, ulega przemocy, ale nie wyrzeka się miłości oddawna żywionej dla Nawoja, ubogiego szlachcica, któremu powierzona była na zamku w Przegini straż nad osieroconém dziewczęciem. Gwałtowność tej namiętności popycha do wiarołomstwa, którego hańbę pokrzywdzony małżonek obmywa we krwi Nawoja. Do szalu doprowadzona Dorota żyje już tylko dla zemsty i używa dla niej broni okrywającej ohydą nazwisko Tęczyńskich:—rozpusty. W splotach tego psychologicznego zawikłania postać Doroty przybiera potworne kształty. Nierządnicą, tarzającą się w bezwstydzie z zupełną świadomością swego głębokiego upadku i świadcząca własną hańbą o niewygasłym dla zabitego uczuciu; obrońcy nazwiska Tęczyńskich, mordujący jej kochanków *pro honore domus*; orgia na zimno, która ma być zarazem hołdem dla miłości i ofiarą, złożoną na jej ołtarzu: usprawiedliwienie sromoty przez zemstę: wszystko to zamiast układać się w konsekwentną akcyą dramatu, wije się raczej jakimś kłębem monstrualnym na dnie „przepaści“, którą nam odsłania Kraszewski z pochodnią romantyzmu w rękę.

Płomień tej pochodni, dziwniejszy tu jeszcze, niż w „Halszce“ wystrzela, — dlatego może, iż wkrótce ma zupełnie wygasnąć pod technieniem, które już przenika „Studia literackie“, a szczególnie więcej z teorii o dramacie historycznym; przed skonaniem jednak rozświeca jeszcze jeden rys, powracający niejednokrotnie w bohaterach Kraszewskiego: słabość, chwiejność mężczyzny, wobec energii, inicjatywy kobiety. Dymitr w „Halszce“ stanowczy, gdy ma za sobą siłę fizyczną, a trwożliwy przed zbliżającą się katastrofą; Nawój w „Tęczyńskich“, odpowiadający lękliwymi skrupułami, pokorą niższości na miłosne uniesienia Doroty, której ani sprostać namiętnością ani oprzeć się charakterem nie potrafi: są to przodkowie późniejszych bohaterów, usprawiedliwiających w stosunkach sercowych znany aforyzm: „my rządzą światem, a nami kobiety“. W pierwszych dramatach Kraszewskiego zdaje się już wyraźnie rysować ten stosunek dwu jego zasadniczych typów niewieściech: „Pięknej pani“ lub „Heroda-baby“, do kilku kategorii kochanków, którzy bądź z braku hamulców moralnych zaprzędają cyrografem, podpisanym szatanowi-kobiecie, wszystko aż do ostatniej iskielki godności człowieka, bądź mięką tkliwością zwątleni padają tragicznie w rozpaczliwej walce z niewieścim demonem, bądź wreszcie w niefrasobliwym poznaniu swjej słabości świadczą o niej, powtarzając zakończenie „Fausta“:

„Das Ewig-Weibliche
„Zieht uns hinan“.

W spożytkowaniu materiału dziejowego dla sceny, talent Kraszewskiego temi samemi, co w powieściach historycznych, szedł drogami. Zyskując w miarę dojrzewania na przedmiotowości, coraz oględniej obchodził się z żywiołem ściśle bohaterskim, który zwykle z natury rzeczy najsilniej zabarwionym być musi subiektywizmem poety. Historyczni działacze Kraszewskiego tak w książce, jak i na teatrze, żyją życiem swego czasu, czerpaniem przez artystę nie z systematów historyzoficznych, które są zmienne i na których odbijają się zawsze kierunki, pragnienia lub interesa chwili obecnej, ale z anegdotycznej strony dziejów, stanowiącej w historii każdego narodu najdosadniejszą może daną epoki charakterystykę.

Jak wyśmienicie pojął Kraszewski znaczenie anegdoty historycznej w charakterystyce bohaterów dziejowych, z jakim przedziwnym taktem spożytkować ją potrafił, świadczy o tém cały cykl opowiadań z czasów saskich — dowodzą równie przekonująco „anegdoty dramatyczne“ z życia rozgłośnego wojewody wileńskiego: „Panie Kochanku“ (3 akty—Poznań 1867) i „Radziwiłł w gościnie“ (3 akty—Lwów 1872). Powieści i utwory sceniczne, o których mowa, mają jedną wspólną cechę: pogodę spokojnego z pewnych odległości i z pewnych wyżyn wejrzenia na ludzi, rzeczy i wypadki. Takie usposobienie, jak już wyżej zauważyłem, nie łatwo przechodzi w nastrój dramatyczny;—i to jest może przyczyną powściągliwości Kraszewskiego w wynajdywaniu motywów dramatycznych i skłonności do dobierania postaciom dziejowym tła obyczajowego, które, oddalając się od dramatu, zbliża się do komedii. Przygotowawszy sobie tło odpowiednie w „komedii kontuszwowej“ („Miód kasztelański“, 5 aktów, Kijów 1860, „Ciepła wdówka“, 3 akty, Poznań 1866), Kraszewski rzucił na nie anegdotę historyczną—i przysporzył naszej literaturze dramatycznej nowy rodzaj utworów, który na każdej scenie polskiej winien zyskać sobie tytuł obywatelstwa.

Bohaterów na tém tle napróżnobyśmy szukali, albo nawet charakterów psychologicznie skomplikowanych, — lecz nie znajdziemy też zdrożności ani występków, których wyszukując gdzieś w najgłębszych tajnikach natury ludzkiej, dzisiejsi komedyopisarze potracać muszą o dramat, zamiast przedstawiać wady, śmieszności, zamiast dążyć do wywołania „starego a pocziwego i czerstwego śmiechu“.

Powtarzam tu w krótkich słowach treść rozmowy z „poważnym staruszką”, służącą za przedmowę do „Miodu kasztelańskiego” i zawierającą protest przeciw uroszczeniom nowożytniej komedii, która, jak zauważył później Kraszewski we wstępie do „Panie Kochanku” — chce być „dramatem, tragedią, poematem, rozprawą, liryką i eposeją — słowem wszystkiem, prócz tego, czém była pierwotnie”. Z tego protestu według zapewnienia autora powstała „komedia kontuszowa”, szukająca w przeszłości żywiołów do „starego pocziwego śmiechu, którego dziś niema w życiu”.

Jestto niewątpliwie jeden z dowodów legitymacyjnych „komedii kontuszowej” — ale zdaje nam się nie jedyny. Drugiego szukaćby może wypadało w stopniowém układaniu się w umyśle pisarza wszystkich konturów, wszystkich barw życia, wszystkich jego planów blizkich lub perspektyw historyczną w przeszłość oddalonych, do łagodnej harmonii, w której wygładzają się chropowatości charakterów, słabnie napięcie sytuacji, a żadne sprzeciwieństwo nie razi wzroku spostrzegacza.

Spokojne téj harmonii uczucie udziela się i widzowi, patrzącemu na komedye Kraszewskiego, budzi w nim zdrową, pocziwą, umiarkowaną wesołość, która nie wybucha niepowściągniętym „szerokim” śmiechem, towarzyszącym tradycyjnemu polskiemu humorowi. Bo z komizmem Kraszewskiego dzieje się to, co z jego siłą dramatyczną: odbija się w nim trzeźwe jakieś pojęcie o względniem w życiu znaczeniu żałości i wesela, łzy i śmiechu; wśród takiego nastroju słabnie zwykle dramatyczność, a *vis comica* traci swoją samorzutność, bez której wady, śmieszności natury ludzkiej nie dosięgają potęgi typów, kolizye zaś nie tworzą sytuacji nawskroś komicznych.

Co przedewszystkiem pociąga widza i sympatycznie do komedii Kraszewskiego usposabia, to atmosfera pełna dodatnich pierwiastków, w której śmieszności ludzkie nie niweczą dla ludzi sympatii, a wady nawet nie zamykają drogi do pobłażania. Czy może być coś serdeczniejszego, jak to wiejskie zacisze, w którym pędzi żywot wdowi w towarzystwie swój krewnej, panny Marty, Barbara Sulimierska? („Miód Kasztelański”)? Młoda wdowa jest ulubioną postacią Kraszewskiego: jako „Ciepła wdówka” odgrywa główną rolę w innej komedii kontuszowej; pod różnemi postaciami po wielu snuje się powieściach; a gdziekolwiek się zjawia, roztacza około siebie urok jakiś silny, choć cichy, który nie kruszy wprawdzie egzystencji męskich, ale je ku sobie nagina spokojną potęgą „des Ewig-Weiblichen”.

Otoczenie młodej wdowy różni się w obu komedjach kontu-

szowych dosadnością charakterystyki, która w „Miodzie kasztelańskim” skupiła się w jednej postaci Jacka Sołoduchy z krzywdą rotmistrza Kaniowy i sąsiada Petryły, a w „Ciepłej wdówie” jednakowem życiem obdziela aż trzy figury: Żegotę, Bodzantę i Strukczaszego. Nazwał ktoś Jacka Sołoduchę Tartuffem polskim, budując naturalnie analogią na tożsamości motywu charakterowego — obludy. Zbyteczném byłoby dowodzić powierzchowności takiego zestawienia; poprzestanę tylko na uwadze, że Tartuffe ze swoją głębią rysów psychologicznych, ze swoją zbiorową naturą, streszczającą wszechludzkie cechy typu, byłby potworném zjawiskiem na łagodniem, trochę nikłym tle polskiego szlacheckiego dworku. Ażeby wyrzucić to wrażenie, które mu zdobyło nieśmiertelność w dramatycznej literaturze świata, Tartuffe potrzebuje znaleźć się między takimi postaciami jak: Orgon, Elmira, Damis, Maryanna, Kleant, Doryna, t. j. między charakterami odgrywanymi w obrazie względem głównego typu rolę barw dopełniających. W domu Barbary Sulimierskiej, do narzucenia się swoją osobą dwóm spokojnym kobietom, do zamącenia wody zamaszystemu żołnierzowi i miłkiemu jak wosk wieśniakowi, wystarcza Jacek Sołoducha, pośledniego gatunku obludnik, bez silniejszych namiętności, bez gwałtownych żądź, pod maską enoty tłumionych, — hipokryta, którego wszystkie apetyty streszczają się w prostém pieczeniarnstwie. To pieczeniarnstwo jest tak wydatnym rysem charakteru Sołoduchy, że gdyby nawet, prowadząc dalej paralelę ze „Świątoszkiem”, przypomnieć podobieństwo scen, w których Elmira mistyfikuje Tartuffa, a pani Hurska Sołoduchę — to w rezultacie potknąć się trzeba o ów „miód kasztelański”, podniecający wrażliwość rezydenta nie na wdzięki kobiety, ale na perspektywę wygodnej egzystencji.

„Ciepła wdówka” Marya Montrymowa jest młodszą siostrą Barbary Sulimierskiej; tylko po jej czole przebiega niekiedy chmurka melancholii, którą napróżno w pociesznych o pierwszeństwo zabiegach usiłują rozproszyc: wojak historyjami o Szwedach i Tatarach, myśliwy anegdotami o łowach, palestrant opowiadaniem procesów. To, co nie powiodło się żadnemu z trzech konkurentów, naszczekowanych z werwą i humorem — udaje się opiekunowi wdówki, Cześnikowi, znającemu przyczynę tajonego smutku Montrymowej. Sprowadza on cichaczem pod dach ciepłej wdówki dawnego jej z czasów panieństwa wielbiciela, chorążego Hołuba, któremu, naciśnięta woła matki, przენiewierzyć się musiała, aby z innym stanąć na ślubnym kobiercu. Sceny między chorążym a wdową, nie zupełnie wprawdzie z kontuszem licują; on jest trochę bajronicznym, ona nieco sentymentalną: w końcu jednak sentyment pokonywa bajronizm, który wkradł się tu niewiadomo jakim sposobem, jedyny

może raz splatawszy figla obiektywizmowi Kraszewskiego. „Cóż to za gość nowy, kto to jest... skąd się wziął u licha?” pyta Bodzanta, spostrzegłszy Holuba — a za nim gotów to samo pytanie czytelnik i widz powtórzyć. W odpowiedzi Kraszewski wskazuje zwycięstwo „pierwiastku niewieściego”, jak gdyby chciał święcić tryumf zdrowego uczucia nad obcą duchowi naszemu niemocą i przypadkowe te rozdźwięki znów się w pierwotnej rozplywają harmonii.

W ramy komedii kontuszowej ujął Kraszewski anegdotę historyczną, która w takiej całości tworzyć ma „komedią historyczną”, formę, zdaniem autora, możliwą u nas i godną uprawiania na naszym teatrze. Że tam, gdzie przeważa anegdota, nie może być mowy o komedii właściwej ze stopniowaną akcją, z rozwijającymi się charakterami—nad tém oczywiście rozwodzić się nie potrzebujemy. Ale anegdota ma w takim razie pewną nieocenioną właściwość: wydobywa z pośród światła i cieni historyi odrazu takie rysy postaci dziejowej, które jej prawie dotykają nadają wypukłość.

Spojrzymy na księcia Karola Radziwiłła: niema może w dziejach naszych postaci, któraby sprzeczniejszym podpadała sądom potomności. Do malowania jej każde stronnictwo innych barw dobiegało: w otylej figurze „Panie Kochanku” wcielano wszelkie poglądy na Polskę szlachecką i magnacką, tworząc uosobienie to wszystkich przymiotów, to wszystkich wad całej warstwy narodu. Cóż dziwnego, że wojewoda wileński był częściej argumentem pewnej historycznej tezy, aniżeli żywym z krwi i kości człowiekiem?

Takie życie przywraca mu anegdota, odsłaniając kolejno niespodziane zawiązki bogatej i oryginalnej natury, która w Kraszewskim zaciekała, niepokoiła zarazem powieściopisarza i dramaturga. Z tej niecierpliwości powstały dwie wymienione wyżej anegdoty dramatyczne i szkice powieściowe: „Ostatnie chwile księcia wojewody”, podający niejako ostatnie słowo charakteru najpopularniejszej u nas w końcu XVIII-go wieku postaci.

„Panie Kochanku” i „Radziwiłł w gościnie”, stanowią dwie części trylogii scenicznej, której trzeci epizod pozostał w tece autora. Nie wiem, jaką stronę dziwaczego charakteru księcia Karola miał nam przedstawić nieznaną jeszcze obraz sceniczny; to pewna, że w dwóch pierwszych spotykamy najgłówniejsze rysy tego charakteru: fantazją rozbujaną do dziecinnych niemal majaczeń i butą magnacką, nie znającą nigdzie i w niczem żadnych ograniczeń.

Fantazja przejawiająca się w słynnych kłamstwach Panie Kochanku, w mistyfikacjach i teatralnych przyborach życia na nieświeskim zamku traktowaną była rozmaicie — jak zresztą cała je-

go osoba. Widziano w niej świadectwo ostatecznego ograniczenia umysłu lub nawet obłudnej, jeżeli nie przewrotnej natury. U Kraszewskiego Radziwiłł wierzy w połowie własnym zmyśleniom, dykteryjom, facecyom, konceptom—i kto wie, czy ta wiara nie wyjaśnia nam lepiej mnóstwa sprzeczności, niż wiele innych wywodów? Widzimy przed sobą indywidualność, której wola jednostkowa, upojona swobodą bez hamulca, potrzebuje tworzyć sobie w życiu nadzwyczajne okoliczności, sztuczne przeszkody, zmyślane niebezpieczeństwa, aby wyjść ze stanu bierności, na który skazana jest zawsze, ilekroć jej upór do czynu nie budzi. Za wiarą w bredzenia własnej wyobraźni idzie łatwowierność wobec cudzych mistyfikacji—i na tym właśnie rysie psychologicznym opiera się trzyaktowa akcja anegdoty dramatycznej, p. t. „Panie Kochanku”. *Au menteur, menteur et demi*, powiedziałby Francuz. Radziwiłł znajduje mistrza w młodym Syrciu, którego miłość do Leosi Puciatówny, panny respektowej, natchnęła dyplomacją i pomysłowością. Szlachcie z pod Lidy wkradłszy się pod cudzém nazwiskiem do Nieświeża, zrobiwszy waryatem zauszuika wojewody, który mógł go zdradzić, zdmuchnął z przed nosa dziewczynę wojedzie fortelem tak grubym, że się na nim mógł nie poznać ten tylko, kto jak Panie Kochanku stracił już prawie poczucie różnicy między rzeczywistością a dziwolągami rozkapryszonej wyobraźni.

„Radziwiłł w gościnie” trafia znów, niby kosa na kamień, na szlachcica równego wojewodzie. Kurcewicz nie chciał ustąpić Radziwiłłowi z popasu pierwój w karczmie zajętego. Ze starcia tych dwóch ambicji wysnuwa się szereg scen tryskających werwą komiczną, która w niczem nie ustępuje humorowi poprzedniej anegdoty. W pierwszym akcie Panie Kochanku ścięty ostrym językiem Kurcewicza z despektem karczmę opuszcza, w drugim zgryść musiał afront od zawziętego sąsiada z Siennój Wólki, który nietylko nie przyjmuje zaprosin Radziwiłła na barszczyk z rurą, ale sam do siebie na odwrót śmie inwitować wojewodę. W trzecim akcie książę Hrehor Koryatowicz Kurcewicz fantuje się do koszu, aby tylko godnie przyjąć księcia Karola Radziwiłła i jego dwór, zajeżdżający w czterysta koni. Kto zwycięży? „Widzisz Panie Kochanku—mówi Radziwiłł, wyściskawszy przemocą Koryatowicza,—jak nie mogę siłą, to wezmę sercem”. Zwycięża więc serce, *ultima ratio*, grunt polskiej, szlacheckiej natury—i niewątpliwie główne tło charakteru wojewody wileńskiego. Trudno czasem tego tła dopatrzeć pod mnóstwem poplątanych, krzyżujących się rysów, pod grubo rozpostartymi cieniami, ale w tém właśnie artyzm Kraszewskiego, że w jego rysunku tło przebija tam, gdzie potrzeba, i nie więcej jak potrzeba. Kraszewski nie oszczędza samego bohatera, ale go

tę nie pognebia; jego Radziwiłł ma wszystkie cechy prawdy przedmiotowej, która się bynajmniej nie troszczy o czasowe teorie historyczne. A otoczenie wojewody! Pani Generalowa Morawska, Łopuski, de Larzac, Wirszyłł, Wołodkowiec—jakie figury z parawanu! jaka w nich siła charakterystyki, zwięzłością swoją wymowna! — Ta właśnie charakterystyka, doprowadzona do możliwego skupienia, oszczędna w słowach, powściągliwa w efektach, stawia anegdoty dramatyczne Kraszewskiego na najwyższym szczeblu artystycznym między utworami, które pisał dla sceny. Jestto potomstwo pesymistycznego nieco dramatu historycznego i łagodnej komedii kontuszowej; wyrazistość rysów wzięło od ojca, spokój temperamentu od matki—a dziś żyje już w literaturze życiem własnym, samoistnym.

W ośmiu sztukach Kraszewskiego — jak to widzieliśmy w powyższych uwagach—występuje na scenie przeszłość; teraźniejszości poświęcił dramaturg cztery tylko utwory (mówimy o drukowanych) — a z tych właściwie jedna: „Kosa i kamień“, przyjemna wiazanka scen czysto konwersacyjnych—należy do dzisiejszej doby, inne, jak n. p. „Stare dzieje“ (4 akty, Poznań 1859), „Portret“, komedyjka we trzech aktach i „Łatwiej popsuć, niż naprawić“, trzyaktowa przypowieśćka dramatyczna (Wilno 1856)—sięgają dalszej teraźniejszości, a raczej bliższej przeszłości. Czyż nie w taką chwilę odgrywa się akcja sztuki „Stare dzieje?“ — czyż istotnie, nie stare-to dzieje, ta historia ruiny hrabiego Zawalskiego, którego niedołężne, fantastyczne, senne marzycielstwo wyzyskał rządca zasarganych dóbr, aby skupiwszy pańskie długi, postawić dziedzica między dwiema równie strasznymi ostatecznościami: między oddaniem jedynej córki ekonomczukowi — a kijem żebraczym? O ileż zakończenie tej historii—wykup dóbr hrabiego przez gromadę przywiązanych włościan,—starszemu wydać się musi nam, którzy je czytamy po 1859 r., t. j. po daniu pierwszego przedstawienia „Starych dziejów“ w teatrze żytomirskim?

Przypowieśćka: „Łatwiej popsuć, niż naprawić“, z tych samych względów następcza sposobność do mniej więcej podobnych uwag. Można w tym utworze znaleźć zarodek pomysłu, na którym Kraszewski oparł później treść dramatu: „Równy wojewodzie“; można by dopatrzeć pokrewieństwo między księciem Bronisławem a Bogusławem, między hrabiną Elizą a Julią; między pieczeniarczami z XVIII-go a pasorzytem XIX wieku, między Kordyszem i jego córką a Hrehorem i Anną Hrehorówną; tylko że arena akcji uszczuplona, że motyw jęj: lekkomyślność i sceptycyzm upadającego bohatera, mizerniejszym się wydaje bez tragicznego tła, a odkupienie cicho i mozolnie odbywać się musi nie w jednodniowym, lecz w co-

dziennem bohaterstwie pracy bez rozgłosu, obowiązku bez poezji wielkich czynów.

Bądź co bądź pokrewieństwo istnieje i uwydatnia się cechami wspólnymi w dramatach i komediach Kraszewskiego, a rysy rodzinne wydały mi się tak zajmującymi, że dla nich wspominałem w swym szkicu o utworach nie objętych niniejszym zbiorem; sądziłem bowiem, że te wzmianki uzupełniające obraz twórczości scenicznej Kraszewskiego nie przeszkodzą czytelnikowi w ocenieniu tego, co znajdzie w wydawnictwie jego teatru.

Władysław Bogusławski.

MIÓD KASZTELAŃSKI:

KOMEDYA KONTUSZOWA

W PIĘCIU AKTACH PROZĄ.

W czasie przedstawienia znanéj bardzo oryginalnéj komedyi jednego z naszych najwziętszych pisarzy, trafem siedziałem przy jakimś poważnym staruszką, który wsparty na lasce, przysłuchiwał się jéj z wielką uwagą, uśmiechał niekiedy, ale wogólności do ostatniego aktu dosyć posępnie i milcząco dotrwał. Choć nieznajomi, przemówiliśmy w ostatku do siebie, wzajem udzielając naszych postrzeżeń nad sztuką i grą aktorów.

— Jakże się panu podoba? — zapytałem.

— Bardzo — rzekł — ale to dziwna rzecz, przyznam się panu, że mi się od lat kilkunastu nie zdarzyło być na teatrze, i znajduję wogóle, że od dawnéj komedyi dzisiejsza odstała bardzo, wyrosła, zestarzała, spowaźniała.

— Znajdujesz pan, że jéj z tém lepiej? — spytałem.

— Nie przeczę, ale ta dojrzałość i spotężnienie w siły, czy jéj nie ujęły uroku młodości? Dawna komedya — dodał — za zadanie miała przedstawienie wad i śmieszności, nie tykając zdrożności i występków: dzisiejsza przeszła w kazanie i satyrę. Po-
lem komedyi była strona życia komiczna.

— Lecz jest-że w dzisiejszém życiu ta strona? — zapytałem.

— Zapewne, może to być winą smutnego czasu, że i komedya stała się smutną: nie będę się temu sprzeciwiał; ale bądź co bądź czy to jest komedya? To coś nakształt Diderotowskiego ła-
wego dramatu: wiele deklamacyi, a pocziwego szerokiego śmiechu starego ani widać.

— Dawniéj téż — odpowiedziałem — śmieliśmy się rażniéj. Przypomnijmy sobie staruszków naszych: ile to dykteryjek, face-
cyj i konceptów się ich trzymało! Teraz téj wesołości ani widać.

— Tém gorzej dla nas! — westchnął stary. — To dowodzi, że nie mamy czystego sumienia i pokoju w duszy; niechby choć teatr był weselszy.

— Skądże ma wziąć do tego żywioły, kiedy ich w życiu nie ma? — spytałem.

— Z przeszłości bodajby — odparł staruszek i odszedł powoli. Wyrazy te utkwiły mi w pamięci: starałem się z nich w tej komedyi korzystać. Wątpię bardzo, by mi się ta pierwsza próba udała — oszczędzicie.

*Dnia 15 grudnia 1859 roku.
Zytomierz.*

OSOBY:

Barbara Sulimirska, wdowa po Cześniku Sulimirskim, lat dwadzieścia kilka.

Ubranie domowe, nie wykwiśnięte, ciemne.

Panna Marta, Łowczanka, jej krewna, lat dwadzieścia kilka.

Pani Hurska, lat dwadzieścia ośm, przedstawiająca księżnę Bamberlink.

Rotmistrz Kanion, konfederat, ubrany z żołnierską, lat trzydzieści kilka.

Jacek Soloducha, rezydent i totumfacki pani Sulimirskiej, czarno odziany, strój zaniedbany, lat około czterdziestu; blady, suchy, pokorny.

Kacper Petrytło, z Zabłocia, sąsiad wdowy, lat około czterdziestu: wiejski strój i postawa.

Grześ Stopka, służa domu, lat trzydzieści kilka.

Róża, służąca.

Hajduk.

Wojtek.

Rzecz dzieje się w domu pani Sulimirskiej za Augusta II.

AKT I.

Scena przedstawia obszerny pokój, po staroświecku umeblowany: portrety kontuszowe na ścianach, szpynecik w kącie, krosienka u okna. Drzwi troje: jedno w głębi, dwoje po bokach; przeciwległe scenie wychodzą na ganek ogrodowy. Ranna godzina.

SCENA I.

GRZEŚ pomrukując ściera pył i zamiata,
ROTMISTRZ wpada żywo w stroju podróżnym krótkim: buty do kolan, ładownica i szabla, drzwiami z lewej strony.

ROTMISTRZ.

Jak się masz, Grzesiu, kochanie! jak się masz? A co tu u was słychać?

GRZEŚ (rzucając szczotkę i łamiąc ręce).

A! co ja widzę? pan Rotmistrz kochany! A to go Pan Bóg tu nam zesłał! Niechże twe kolana, złoty mój panie, uściśnę! A dalipan! Sasafras! oto w porę z nieba spadł! Nigdy jeszcze pana tak serdecznie nie witał.

ROTMISTRZ.

Widzę to, i dziwię się, i trwożę. Już kiedy mnie tu było potrzeba, to chyba konfederacyą zawiązujecie. Powiadasz, że spadł z nieba, a więdz, Grzesiu kochany, że z niego na ziemię kamienie

tylko czasem spadają, nigdy ludzie, i to jeszcze tacy jak ja! Więc
tęm lepiej, żem w porę: gość nie w czas gorzej Tatara, choć to
ja nie gość.

GRZEŚ (*ściskając go za kolana*).

Prawda, nie gość, kochany Rotmistrzu! Sasafras!

ROTMISTRZ.

Co to za lichy ten sasafras?

GRZEŚ (*zmieszany nieco*).

Przepraszam pana, to ja sobie takie wziąłem przysłowie.
Wszyscy jakoś mieli różne pogadanki i przysłowia: nieboszczyk
Cześnik, pan Podeczaszy, nawet Pisarz grodzki, proszę pana; tak
i ja też myślę, dlaczego mam być gorszy? Wziąłem sobie *sasa-*
fras. Niczego, dobre, nikt go nie rozumie, wszyscy mu się dzi-
wią, a jak wyrazu zabraknie, to się niemię zatka, że ani widać.
Ale niechże pana uściskam, ot to gość!

ROTMISTRZ.

Chwała Bogu, żeście mi radzi! Nie było co robić: konfедера-
cya deszcze rozwiązała, tak ja do was jak w dym na spoczynek.
Jakże się ma siostra Barbara? panna Marta? twoja Róża?

GRZEŚ (*wzdychając*).

Gdybyż już moja!

ROTMISTRZ.

Przyjdzie to z czasem, bylebyś miał determinacyę, afekt szcze-
ry i trzos nabity. No! a sąsiad nasz Petryłło? a ludzie, a konie,
a psy gończe? Het, gadaj mi wszystko, bom i dawno nie bywał
i kocham was do ostatniego kota za piecem.

GRZEŚ.

Sasafras! Chwała Bogu wszystko dobrze... to jest... to jest...
nie koniecznie, a prawdę powiedziawszy, wszystko złe.

ROTMISTRZ.

Śledzienniku, ha! Wyglądasz jak jabłko, a stękasz jak miech
kowalski: abys gdęrał.

GRZEŚ.

Ja! sasafras! ja gdęrać nie lubię; ale kiedy bięda, to bięda!

ROTMISTRZ.

Chory kto? Mam doskonale pigułki, które wszystkie leczą
choroby.

GRZEŚ.

Ale gdzież zaś!

ROTMISTRZ.

Nie urodziło, czy grad wybił?

GRZEŚ.

Cóż znowu? to się u nas nie wodzi.

ROTMISTRZ.

Cóż? proces z pieniactwem jakim?

GRZEŚ.

Ale uchowaj Boże!

ROTMISTRZ.

A to wiesz, że chyba dziś lewą nogą wstałeś z łóżka?

GRZEŚ.

Żartuj zdrów, Rotmistrzu, z cudzej doli! Mamy tu takiego ka-
duka, że jeśli pan nas z jego szponów nie wyratujesz, wszyscy
poginiemy z kretezem.

ROTMISTRZ.

Więc to sprawa jakaś konfederacka, w której szerpentyńy po-
trzeba? A nu! dobrze, dawaj rąbać kogo: na kapustę posiekam!

GRZEŚ.

Zdałoby się i posiekać; alu tu nie tyle szabli, co głowy po-
trzeba.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

A to wiesz, że źle trafiłeś. Głowa u mnie na to, żeby było
gdzie głowę pomieścić i na co czapkę włożyć; zresztą, *simplex ser-*
vus Dei.

GRZEŚ.

Kiedy serce jest, to głowa będzie.

ROTMISTRZ.

Serce! jak polędwica... ogromne!

GRZEŚ.

Pana się żarty trzymają, sasafras, a tu nieszczęście, kara boża,
kłęska, upadek, zniszczenie.

ROTMISTRZ.

Powiedz-że mi przecie, co się stało?

GRZEŚ.

Nie stało się nic, ale się może stać.

ROTMISTRZ.

No, gadajże, co się tam ma stać?

GRZEŚ.

Zaraz, zaraz, sasafras! Nie przywiduje mi się, nie śni, szczerza
prawda: bięda jest... grozi... tylko dotąd milczał, chowając to dla
pana, bo tu nie ma komu powiedzieć.

ROTMISTRZ.

Dobrze; zrobiłeś jak mój kozaczek, co jak mnie w domu nie
ma, mięso zjada, a kości dla mnie w szafce zamyka na wiecze-
rzę, gdy wie, że jęć jeść nie będzie. Praw dalej.

GRZEŚ (*wzdychając*).

Sasafras! Szczęście, że pan mnie nie rozumiesz jeszcze; ale gdy przyjdzie do rzeczy, weźmiesz się pan za czuprynę.

ROTMISTRZ.

Przerażasz mię, a czupryny mi szkoda. Gadaj!

GRZEŚ.

Możeby dać co przekąsić?

ROTMISTRZ.

Nie głodnym a ciekawy; gadaj już...

GRZEŚ.

Ale pan zmęczony?

ROTMISTRZ.

To siadę, a praw swoje; uszów nie mam zmęczonych, tylko nogi. Rąb, a krótko i węzłowato.

GRZEŚ.

Sasafras! Historya nie wesoła, nie wiedzieć od czego zaczynać.

ROTMISTRZ.

Od końca, od początku, od środka, wszystko jedno: ja to sobie pozszywam. Jakbym widział, że się na panią siostrę skarżyć będziesz.

GRZEŚ.

Na panią? a chowaj mnie Boże! na tę świętą, kochaną panią nasze: niechajby mi język usechł!

ROTMISTRZ.

To na pannę łowczankę; jeszcze gorzej.

GRZEŚ.

Ale i to dobre, aż nadto; tylko obie gąski, panie Rotmistrzu, i to bięda, że gąski...

ROTMISTRZ.

Prawże, bo nie rozumiem, co ci jest.

GRZEŚ.

Bo nie chcesz pan słuchać. Ot zaraz całą rzecz wyłożę, tylko wprzód zajrzę do drzwi, żeby nas nie podsłuchano, bo i to się u nas trafia.

ROTMISTRZ.

Oho! jest tedy Piłat w *Credo*?

GRZEŚ (*wracając ode drzwi*).

Jest Piłat! otóż to sęk, że jest! Zaraz się pan dowiesz, kto taki.

ROTMISTRZ.

Zbierasz się mi powiedzieć, jak nieboszczyk Szafraniec córkę wydawał, aż mu sama z ekonomem w świat poszła. Gadaj, a nie mydl dłużej.

GRZEŚ.

Dom nasz znasz pan oddawna?

ROTMISTRZ.

Ba! jakżeby nie? Tu-m się przecie sierotą wychował na zawadygę, rodzice Basi byli przybranemi mojemi; tu nie mając ani domu, ani łomu, powracam nieproszony spocząć, gdy kulbaka dopiecze. Nigdzie na świecie kąta nie mam, a pocziwa Basieczka pozwala mi dach ten za mój własny uważać. Przecież-em wam kulawego konia i sukę ze szczeniętami zostawił tu na remanencie.

GRZEŚ (*smutno*).

Koń zdechł, a suka poszła na wędrowkę.

ROTMISTRZ.

Mniejsza o to, wracajmy do domu.

GRZEŚ.

Już jedziemy, panie... Nasza cześnikowa, jak to panu wiadomo, serce złote, ale i była nieszczęśliwa, i święci się jęć być już nią na całe życie.

ROTMISTRZ.

Co pleciesz! Przecież sam Pan Bóg jęć wziął cześnika, a teraz swobodna jak ptaszyna.

GRZEŚ.

Prawda! wziął sobie, nie powiem kto, cześnika, który był, sasafras, między nami mówiąc, impetyk, choleryk i pijanica, choć miał dobre momenta... Skończyło się tedy jejmościne piekło, owdowiała...

ROTMISTRZ.

No! i pójdzie za męża, za kogo zechce.

GRZEŚ.

Ba! żeby-ż chciała! Ludzie poważni i stateczni stręczyli się i stręczą, ale pan pojechałeś wojować w polu z wiatrami, a u nas tu okropne się rzeczy stały.

ROTMISTRZ.

Cóż u licha, czy Tatarzy napadli?

GRZEŚ.

Gorzój Tatarą... Pamiętasz pan jednego wieczora, jak to tu szlachcie jakiś zajechał pokornie kałamaszką, ni to pielgrzym z Rzymu, ni ciura, hołota, biedaczysko, w czarnej kapocinie, prosząc się na służbę?

ROTMISTRZ.

Jacek Sołoducha, a toć go znam i pomnę.

GRZEŚ.

Pani go przyjęła, że był biedny i potulny, więcej z litości niż z potrzeby. Był sobie ni ekonomem, ni gumienym; chodził ci-cho, na paluszkach, ani go było słyhać, a jak się dobrze usadowił... oho! teraz spójrz jegomość, gdzie siedzi.

ROTMISTRZ.

O! o! na grzędzie!

GRZEŚ.

I na grzędzie i wszędzie, sasafras! Domem, nami, panią rządzi, ani pytaj. Zrazu to się to kłaniało i drzwiom i piecom i mnie i stróżowi folwarcznemu, a teraz jemu się, co żywe, i to niziłchno kłaniać musi, chcieli być całe. Pokorny, słodki, choć do rany, oczy zawraca, wzdycha, potakuje, liże się, kocha wszystkich, a dyabeł w nim siedzi.

ROTMISTRZ.

Cicha woda brzegi rwie! tak zawsze. Miałem takiego konia, co bywało idziesz do niego, ani drgnie, siadasz, stoi jak mur, gdyby baranek, da ci się dosiąść, a potem jak utnie szczupaka, leżysz niechybnie na ziemi.

GRZEŚ.

Słowo w słowo taka szkapa i to.

ROTMISTRZ.

Ale ci się nie przywiduje, śledzienniku!

GRZEŚ.

Sasafras! cóż znowu! Wiecie, na co panią namówił: żeby sobie słowo dała nigdy nie iść za męż... Tak jój stan wdowi odmalo-wał świętym i szczęśliwym, że i ona i panna Marta...

ROTMISTRZ.

Jakto! i ona! A to wisielec!

GRZEŚ.

I panna łowczanka... i panna Rózia, choć najrozumniejsza z nich, a i ta już czasem przebąkuje przeciwko małżeństwu i przeciwno mnie...

ROTMISTRZ.

Otóż masz! domacaliśmy się przyczyny!

GRZEŚ (urazony).

E! rzucić pan to! trafił właśnie! Tu o panią naszą chodzi, a nie o nas; niech nas wszystkich dyabli biorą, mnie, Rózię, a choćby i kogo w dodatku, aby cześnikowej dobrze było na świecie. Słyszał to kto taką historię: wdowa, bezdzietna, młoda, piękna, bogata, świata ani skosztowała, i miałyby tak zaschnąć!

ROTMISTRZ.

To nie może być!

GRZEŚ.

Sasafras! przekonasz się pan sam... Pan Jacek wie dobrze, na co to robi; powoli, powoli od śpichrza dochrapał się do szkatułki i worka, od worka doszedł do serca, i Pan Bóg go wie, jakie sobie osnuł projekta. Co dzień, sasafras, potężniejszy, a dalej go i kijem nie wypędzisz.

ROTMISTRZ.

To tak coś, jak historyjka: *złapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za łeb trzyma.*

GRZEŚ.

I tak trzyma, że jejmościny konkurentów, gdzie jaki był, poodprawiał z kwitkiem.

ROTMISTRZ.

Jakto i pocziwego Petryłłę?

GRZEŚ.

A! tego najpierw: na każdego szepnął coś pocichu.

ROTMISTRZ.

No! no! to jeszcze nie: da się licho naprawić...

GRZEŚ.

Jak nie pan Rotmistrz, to nikt; ja mówiłem i powtarzam: w panu nadzieja!

ROTMISTRZ.

Ale, rybeńko złota, czy ty tylko nie balamucisz tak jak ów, co to mu się przywidziało, że po pijanemu przez łeb dostał, dlatego, że go plastrami ostawili, i choć rany nie było, a kawęczał.

GRZEŚ.

A! czyż pan mnie nie znasz...

ROTMISTRZ.

Znam, żeś tettryk... Ale sprawdzimy to zaraz.

GRZEŚ.

Zobaczycie. Ot i panna łowczanka!

SCENA II.

CIŻ SAMI — PANNA MARTA — *Grześ w czasie tej sceny sprząta w pokoju, niekiedy mieszając się do rozmowy.*

P. MARTA.

(wchodzi i zobaczywszy Rotmistrza staje osłupiała).

Rotmistrz... pan tutaj!

ROTMISTRZ.

(z niskim ukłonem podchodząc do ucałowania ręki).

Ja, ja sam, z kośćmi i skórą ścielę się do stóp pani i do brodziejki mojej.

P. MARTA.

Skądże? kiedy? jak tu przybyłeś?

ROTMISTRZ.

Skąd? z obozu wprost; kiedy? dziś; jak? konno na szpaczku, łowczanko dobrodziejko... O! tak, góra z górą się nie zejda, a człowiek z człowiekiem zawsze, témbardziej mężczyzna z kobietą, którą nad życie adoruje.

P. MARTA *(uśmiechając się).*

Co waćpan pleciesz!

ROTMISTRZ.

Nie żadne to plotki, moja łowczanko droga, ale prawda złota, której tylko jedna waćpani dobrodziejka uwierzyć nie chcesz.

P. MARTA.

A któżby wam wierzył?

ROTMISTRZ.

Jednakże, kiedy się to lat tyle stale powtarza ciągle, możnaby naostatek wziąć w konsyderacyę...

GRZEŚ *(na stronie).*

Jest racya, sasafras! jest racya!

P. MARTA.

Zacząłeś waćpan obcesowo, po swojemu od komplementów, a nie pytasz o nic, nawet o siostrę...

ROTMISTRZ.

Bo wiem, że siostra zdrowa i dobrze ję się dzieje, a ja o moję biedzie, bo mi ta najbliższa! A! panno łowczanko! panno łowczanko!

P. MARTA.

Mówmy o cześnikowej lepiej.

ROTMISTRZ.

Wola pani: cóż, nie słyhać, żeby za mąż iść miała?

P. MARTA.

Iść za mąż! a toż po co?

ROTMISTRZ.

Jakto? a cóż, myśli tak zostać na zawsze?

P. MARTA.

Oplakuje nieboszczyka męża!

ROTMISTRZ.

Męża! a, dalipan! gdyby nieboszczyk cześnik sam wstał z grobu, toby się śmiał z tego do rozpuku! Czy się to oni tak bardzo kochali, czy tak długo żyli z sobą?... Ale u was tak zawsze: ten lepszy, kogo nie stało.

P. MARTA.

A u waćpanów ten najgorszy, kogo macie...

ROTMISTRZ.

Trudno dysputować... Ale młoda, wolna, bogata!.

P. MARTA.

To są właśnie powody, dla których iść za mąż nie powinna; nie ma się czego śpieszyć, i tak jęj dobrze...

GRZEŚ *(na stronie).*

Oj dobrze! a drugim jeszcze lepiej! Sasafras!

ROTMISTRZ.

Dzięki Bogu, że choć dobrze!

P. MARTA *(z westchnieniem).*

Bardzo dobrze; a gdyby nie to gospodarstwo, kłopoty, interesa, które szczęściem wziął na siebie zacny i pocziwy przyjaciel... gdyby...

ROTMISTRZ.

Tak! gdyby kulawy miał dwie nogi, nie byłby kaleką! Ale cóż tu za przyjaciel przybył pod moję niebytność? niechże go poznam.

P. MARTA.

Przecież waćpan znasz pana Jacka...

ROTMISTRZ.

A! tego biedotę, co to tak pokornie się kłania, że czupryna pył zamiata...

P. MARTA.

Pokora nigdy nie zawadzi... Nie żartuj, Rotmistrzu, to najzacniejszy, najpocziwszy z ludzi. Co za człowiek, jak rozumny, jak pobożny! On to pierwszy oczy nam otworzył, Basi i mnie,

okazując całe niebezpieczeństwo małżeńskiego stanu, i skłonił nas do postanowienia, byśmy nigdy za męża nie szli.

ROTMISTRZ.

Mam za co mu być wdzięcznym! Tak to jest!

GRZEŚ (do Rotmistrza).

A co? nie mówiłem! Teraz czym śledziennik?

ROTMISTRZ.

Cicho! potem o tém.

P. MARTA.

Bo na cóż, pytam, mieniać swobodę i niezależność na pęta i kaprysy, którym ulegać potrzeba?

ROTMISTRZ.

Zapewne, lepiej siebie tylko kochać i obchodzić się bez serca cudzego.

P. MARTA.

Waćpan zawsze o tém kochaniu (*rusza ramionami*), ale co warta ta wasza miłość?

ROTMISTRZ (*żywo*).

Co warta! dla kobiet ja nie wiem: jeśli się bez niej obejść możecie, winszuję, ale nie zazdroszczę; dla nas, panno łowczanko, choć na oko jesteśmy czém inném zajęci: wojną, gospodarstwem, urzędem, zbieraniem grosza, przecie to pierwsze w sereu i na myśli. A jakby nam kochać nie było kogo, i żyćby się odechciało.

P. MARTA.

A! bałamuty wierutne; aby omamić.

ROTMISTRZ.

Bałamuty! jakto? wszyscy bez wyjątku?

P. MARTA.

Nie ma żadnego wyjątku, i nie będzie.

GRZEŚ (do Rotmistrza).

Aha! sasafras! widzisz waćpan, co się tu święci!

ROTMISTRZ.

Wyrok okrutny, ale gdy od niego do trybunału przyszłości apel założę, *de noviter repertis*... może inaczej raczycie osądzić... Kto wie?

P. MARTA.

O! nie waćpan nie wygrasz.

ROTMISTRZ.

Choć nadzieję, moja łowczanko dobrodziejko!

P. MARTA.

Ciesz się sobie nią, kiedy ci tego dosyć.

ROTMISTRZ.

Dosyć, nie; ale za nadzieją, może jak za jutrzeńką dzionek, lepsze szczęście zawitać. To tylko przekąska przed obiadem... (*wzdycha*).

Więc ferowałyście panie wyrok ostateczny przeciwko całemu rodzajowi męskiemu!

P. MARTA.

Ostateczny i nieodwołany.

ROTMISTRZ.

A pan Jacek trzymał pióro i sekretarzował?

P. MARTA.

Proszę tylko nie mówić na niego.

GRZEŚ (*na stronie*).

Słyszysz pan? sasafras!

ROTMISTRZ.

Ja się tylko pytam.

P. MARTA.

Ale czuć w zapytaniu urazę, a to człowiek, na którego my z Basią nie powiedzieliśmy nie damy: najzaciejszy, najpoczeiwszy.

ROTMISTRZ.

U nas w pułku, moja łowczanko dobrodziejko, jest niejaki Maciórka, który ma władzę nad ciurami; nie znałem go wcale: przyjeżdżam, pytam, ten i ów z ludzi chwala go, pod niebiosą wynosząc... Ha! myślę, musi to być człek wielkiej zacności; aż mówi pułkownik: a on ich wprost ze skóry odziera i dlatego tak chwala, bo się boją. Ale tu, to co innego. P. Jacek ósmy cud świata... To tylko śmiech, że mimo postanowienia celibatu, takiście się bez mężczyzny nie obeszyli.

P. MARTA.

Ależ dom, interesa...

ROTMISTRZ.

I na wszystko starczy, (nawet na pozawracanie głowy); dziwna istota, aż muszę pójść po gospodarstwie, bo tu dobrze, ale w polu nie wiem jak.

P. MARTA (*żywo*).

I w polu, i w gumnie, i w oborze, i wszędzie...

GRZEŚ (*na stronie*).

A najlepiej w jego kieszeni podobno.

P. MARTA.

Ale biegnę oznajmić Basi, która nie jeszcze o Rotmistrzu nie wie, a bądźcież mu rada.

ROTMISTRZ (czule).

I tak mnie panna łowczanka, po wiekowém niewidzeniu się, rzucasz niepokieszonego, bez dobrego słówka, bez uśmiešku, bez nadziei! Godziłoby się inaczej!

P. MARTA.

Wacpan zawsze swoje.

ROTMISTRZ.

Nie lepiej i łowczanka: nie masz litości w sercu!

P. MARTA.

Ej! porzuciłbyś już wacpan.

ROTMISTRZ (nastając).

Nie porzucę, jak mi Bóg miły; nie, i póty błagać będę choć o nadzieję...

P. MARTA (żywo).

Aż ją wacpanu odbiorę? Czy tak?...

ROTMISTRZ.

Nie będziesz tak okrutną! *(całuje ją w rękę. P. Marta wychodzi drzwiami w prawo).*

S C E N A III.

ROTMISTRZ. — GRZEŚ.

ROTMISTRZ (stoi chwilę zamyślony).

Źle, bardzo źle: miałeś wacpan słuszość, Grzesiu! Myślałem już doprawdy, żeś ją kochać przestał; widzę, nie ma na to lekarstwa, jeno ożenienie: ledwie zobaczył, dawna choroba wróciła! To tak jak mój węgrzynek do faszki: póki jej nie widzi, klnie się, że statkować będzie; aby zobaczył, już się upił. Otóż i ja,

zobaczyłem i znowum po uszy zakochany, a łowczanka gorzej niż kiedy mnie przyjmuje.

GRZEŚ.

To jeszcze nie: napatrzysz się tu wacpan pięknych rzeczy.

ROTMISTRZ.

Prawda, że Jacek głowy pozawracał; prawda.

GRZEŚ.

A cóż! tettryk jestem? śledziennik? sasafras, nie mówiłem?

ROTMISTRZ.

Mówiłeś, ale na to trzeba radzić i poradzimy: już kiedyśmy z panem Podskarbinem dali sobie rady, damy z niemi. Nie było grosza, nie było, a taki choć przez pół zapłacić nam musieli.

GRZEŚ.

Tu przez pół nie do rzeczy: wykurzyć go, wykurzyć!

ROTMISTRZ (myśli).

Widzi mi się i Petrylle trzeba dać znać: nigdy sprzymierzeniec nie zawadził!

GRZEŚ.

Różnie to się trafia, a Petryllę odprawili z kwitkiem i bywać u nas przestał...

ROTMISTRZ.

Póki mnie nie było: teraz gdy o mnie zasłyszysz, wszak przyjechać może zobaczyć starego przyjaciela, i przekonać się, że mnie Sasi na pekeflejsz nie osolili.

GRZEŚ.

Tst! cicho! cicho! po chodzie kocim poznaję pana Jacka. Idzie, idzie! A łzyjże pan przed nim serdecznie, żeby się nie dowąchał roboty.

ROTMISTRZ.

Bądź spokojny i zmykaj!

(Grześ wymyka się w lewo; w tejże chwili prawie wchodzi p. Jacek Sołoducha z głębi).

S C E N A IV.

ROTMISTRZ *zdejmujący z siebie ładownicę i odpasujący pałasz*— P. JACEK.

JACEK (*cicho, pieszczono, słodko*).

A! kogoż to ja oglądam? Rotmistrza dobrodzieja kochanego! (*ściskają się*). Kopę lat! stęskniliśmy się... Do nóżek się ściele, stopeczki całuje! Cóż za szczęśliwa gwiazda i fortune fatum w dom cześnikowej go sprowadza? Może nie raczysz sobie przypominać sługi swego?

ROTMISTRZ.

Jakże! Zarazem wacpana poznał, zwłaszcza, że miałem w pamięci jego oblicze.

JACEK.

Ot, to szczęście dla domu!

ROTMISTRZ.

Kury, indyki i piwnica niech się cieszą, bo wygłodniali konfederaci gotują się serdecznie je powitać. Konfederacya, mocimdziu rybeńko złota, rozwiązana: no, gdzież było jeśli nie do was, jak w dym, do siostruni kochanój?

JACEK.

Serce złote, kochany Rotmistrzu; będzie serdecznie rada!

ROTMISTRZ.

Nie wątpię, panie Jacku; przywykła do moich figlów od dziecka, przyjacieleśmy starzy i z nią, i ze spiżarnią, i z piwnicą: serce jój znam, jak kąty tego domu.

JACEK.

Szczęśliwy, bardzo szczęśliwy wypadek.

ROTMISTRZ.

Wcale nie wypadek: to tak coś, jak mój nieboszczyk brat, który miał ząb do Horyczki, i po pijanemu, jak go chlaśnie... wypadkiem, a on na to trzy miesiące czekał, żeby go poczęstować...

JACEK (*przerywa*).

Na to wyrazu trudno znaleźć, jaką nam sprawia rozkosz.

ROTMISTRZ.

Nie szukajcie słów, a dajcie jeść mnie i koniom, to lepiej: reszty się ja domyszę. Ale jak się miewacie? co wacpan porabiasz?

JACEK.

Ja? at, służę i Bogu się modłę.

ROTMISTRZ.

Oboje dobre, byle nie nadto. Powiadają o jednym szlachcicu, że się tak do swego patrona modlił i umizgał, że mu ten w końcu raz z obrazka przemówił: „A nie nudźże mnie, trutniu, choćby jeden dzień w tygodniu!“

JACEK.

Żart trochę śmiały.

ROTMISTRZ.

Istna prawda; wszak i święci nudziarzy nie lubią. Jakże się ma siostra, bom jój dotąd nie widział?

JACEK (*smutnie, wzdykając*).

Zawsze oplakuje męża.

ROTMISTRZ.

To coś tak, jak ten, który spróchniałego zęba wyrwanego przez cyrulika, żałował, i w papierku go nosił zanadźra.

JACEK.

Zawsze to był jój małzonek!

ROTMISTRZ.

Spróchniały i bolący. Ot, czasby jój pono o innym pomyśleć.

JACEK.

Nie wiem; kilkakroć to insynuowałem ostrożnie (bo co to do mnie sługi należy?): zawsze się oburza, i o mało nie pogniewała się na mnie.

ROTMISTRZ.

Osobliwsza rzecz, jak to ludzie czasem po śmierci nieboszczyków kochają: i nie dziw, bo za życia nie było sposobu.

JACEK.

Nie miałem szczęścia znać ś. p. cześnika.

ROTMISTRZ.

O! gdybyś go był znał, dałby ci się we znaki: bez bizuna się nie ruszył, częstokroć jeszcze pięści używał, a co komplementów, tych było u niego nie kupić.

JACEK (*zagadując*).

Święta to pani nasza i pobożna!

ROTMISTRZ.

Już ciż za mąż idąc, z Panem Bogiem klócić się nie ma potrzeby.

JACEK.

Trzeba to zostawić czasowi

ROTMISTRZ.

Masz słuszość, to majster; on najlepiej przekonać potrafi, i gdy będzie zapóźno, siostra się obejrzy niezawodnie. No, a więc co u was słyhać?

JACEK.

Nic; siedzimy, pracujemy: życie się wlecze, jak zwykle na tym padole placzu.

ROTMISTRZ.

Polujesz wać?

JACEK.

Ja! a gdzieżbym zaś niewinne stworzenia miał zabijać?

ROTMISTRZ.

Co tłuste, to winne, panie Jacku; o chudych nie mówię. Konie dobre macie?

JACEK.

Do kolebki? są...

ROTMISTRZ.

Tfu! pod siodło! pod siodło!

JACEK.

Nie wiem, może się znajda.

ROTMISTRZ.

Trzeba wyszukać; zresztą, aby młode, najeździć to ja potrafię. Jest u mnie berejter rzemieenny, pleciony, z galką na końcu, który tak najeżdża, jak żaden w świecie. A że tu myślę zabawić, a z piecem w cztery oczy siedzieć nie lubię, trzeba mi koni i ludzi: sąsiadów ja sam poproszę. Na starą moją kwaterę czy już rzeczy znieśli?

JACEK.

Stamtąd zaraz moje wyniosą.

ROTMISTRZ.

Toś mi ją zajął?

JACEK

(zakłopotany).

U mnie w piecu swędziło: z rozkazu pani cześnikowej musiałem... chwilowo...

ROTMISTRZ.

No, to się nie ruszaj: ja gamrat dobry, pomieścimy się razem, a że w nocy czasem z pistoletów strzelam, do tego się przyzw-

czaisz. Miałem w obozie delikacika towarzysza, który zrazu tak tego nie lubił, że się zrywał, krzycząc; ale w dwa tygodnie prosił mię sam, żebym sobie pukał.

JACEK.

Ale ja mam alkierz dla siebie; będziemy się starali jak najgościenniej przyjąć Rotmistrza.

ROTMISTRZ.

A na co mnie przyjmować? ja się sam przyjmę, bądźcie spokojni! Wiem wszystkie zakamarki.

JACEK.

Bylehys wacpan dobrodziej miał satysfakcją.

ROTMISTRZ.

Jak nie będzie gotowej, to ją sobie zrobię: nie kłopotcz się o mnie, i tak musisz mieć dużo roboty.

JACEK.

Służę, co sił staje...

ROTMISTRZ.

Nie rwij tylko nad siły. Był u mnie koń taki strasznie gorący, bata mu ani pokazać: cóż myślisz? poderwał się, i potem żydom wodę wozil.

JACEK (*śmiejąc się*).

Bodaj wacpana, panie Rotmistrzu, zawsze dykteryjka.

ROTMISTRZ.

Nauczę cię ich, ile umiem.

JACEK (*po namyśle*).

Gdybyś pan pozwoił sobie jedną uczynić uwagę.

ROTMISTRZ.

I dwie, i trzy, jeśli łaska.

JACEK.

Co się tyczy naszój pani, nie uwierzysz, Rotmistrzu, jak się od niejakięgo czasu zmieniła, zwłaszcza o małżeństwie słuchać nie lubi.

ROTMISTRZ.

Ja to wiem, ale to zależy od przyprawy. Miałem kopcidyma, co tak baraninę przyprawiał, że ję nawet psy jeść nie chciały: zbrzydźliśmy ją, ani patrzeć; kiedy — patrz! jak ją drugi potem upiekł, palceśmy oblizywali... jak sarnina!

JACEK.

Jednak lepiejby z nią o tém nie mówić.

ROTMISTRZ.

Zostaw to mnie; ja wiem, jak się ta potrawa przyprawia.

JACEK.

O! kochany pan Rotmistrz! nie wątpię.

SCENA V.

CIŻ—BASIA *wbiegając wesoło.*

BASIA.

Gdzież on jest? gdzie? A! bratuniu kochany, jak mi się masz? *(całują się serdecznie).* Pokaż-że no mi się, jak wyglądasz? Osmalony, czarny, zarosły, ale zdrow i rumiany, chwała Bogu!

ROTMISTRZ.

Cześnikowo kochana! Basieczku złota! a waszećże no pokaż buzię i oczki, czy zawsze tak śliczne jak dawniej? Dalipan, jeszcześ mi wypiękniała na utrapienie ludzkie! choć trochę miżerna.

BASIA

Cóż chcesz? zwyczajnie biedna wdowa.

ROTMISTRZ.

Ślicznie biedna! jak ten, co w sienniku miał milion, a piszczał, żebrząc po ulicy. Biedna! wiesz jak ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, szkatułka nie pusta, twarzyczka jak u aniołka na obrazku, dzieci nie ma; krewnych dokuczliwych, oprócz mnie, nikogo; przyjaciół, kamieniem rzuć, pewnie którego trafisz... co asindzee za bieda?

BASIA.

Zawsze ten stan wdowi!

ROTMISTRZ.

Otóż to złote słóweczko, Basiu kochana, cześnikowo droga! Wdowi stan nie potem, prawda święta; dawno ci się poczeiwy mąż należy.

BASIA.

Co-bo ty mówisz, sowizrzale?

JACEK.

(pokaszlując przerywa).

Zwyczajnie, pan Rotmistrz po wojskowemu sobie te sprawy lekko bierze, choć rzecz pewna, że stan wdowi poważny jest i święty.

ROTMISTRZ.

Błogosławiony! święty! a małżeński także, jeżeli nie lepszy, bo człowiek ma co Bogu ofiarować. Starym wdowom tylko się dzięć pod kościołem i różaniec odprawiać, ale pani siostrze!...

BASIA.

I ja już nie jestem młoda!

ROTMISTRZ.

Właśnie, i na pasku ci chodzić nie potrzeba.

JACEK *(chrząkając).*

Prędko mijają latka, a zwłaszcza niewiastom.

ROTMISTRZ *(do Jacka).*

Nie gadaj wacpan, kochany Jacku, o tém, czego nie rozumiesz. Co tobie do kobiet, a kobietom do ciebie? Twoja rzecz złożyć ręce i wdychać... a na kwestarza bernardyńskiego jakbyś na urząd był zrobiony.

(Śmieją się, Jacek się krzywi).

JACEK *(chmurno).*

Wolałbym być kwestarzem, niż bezbożnikiem.

ROTMISTRZ.

Cyt! kochaniel! nie róbże mnie ateuszem, póki nim nie zostanę, i nie pal na stosie, bo ci się na pieczyście nie przydam — za twar-dym! A co prawda to prawda, że Basi trzeba za mąż.

BASIA.

Dajże pokój, kochany bracie!

JACEK *(uniżenie).*

Niechże się pan nie gniewa... prawdziwy sługa pański.

ROTMISTRZ.

Ja czasem biję, ale nie gniewam się nigdy! My także przecie modlimy się w obozie, ale dlatego nie wyklinamy, gdy kto za mąż idzie. Sam Pan Bóg ten stan pobłogosławił... Chcecie chyba, żeby się świat skończył?

BASIA.

Dosyć już tego; mów lepij, gdzie bywałeś?

ROTMISTRZ.

A cóż? w polu, moja Basiu; konfederowaliśmy, obozowali, krzy-
czeli, mokli, głodnieli, pili dużo, a jedli mało, hetmana przepę-
dzili, pieniędzy wymęczyli trochę, a teraz już folga do przyszłego
lata: z bocianami na wiosnę znowu w pole. Mów lepiej, coś ty
tu porabiała?

BASIA.

Tęskniliśmy, pracowali, modlili się.

ROTMISTRZ.

O! o! jejmość sobie, a do jejmości też tu nie jeden modlić się
musiał.

BASIA.

Porzuć te płochy żarty: szanuj mój stan wdowi.

ROTMISTRZ.

E! Basiu, Cześnikowo kochana! nie żartem mi stetryczałaś;
trzeba na to lekarstwa, a nie ma jak wesóły sąsiad i skrzypki.
Cóż to, czy cię ludzie opuścili? pustki w domu.

BASIA.

Mało kto bywa w istocie.

ROTMISTRZ.

A kochany Petryłło?

BASIA.

Ten także bywać przestał.

ROTMISTRZ.

On!! a niechże go kaczki zdepczą (jak mówią Litwini), naj-
wierniejszy twój przyjaciel! Nie wiedzieć już komu wierzyć, kie-
dy ten zawiódł.

BASIA.

Daj mu pokój, on nie nie winien.

ROTMISTRZ.

No, to jejmość?

BASIA.

Może, trochę...

ROTMISTRZ.

Chybaś go odprawiła.

BASIA.

Po cóż mi się oświadczył?

ROTMISTRZ.

Piękne pytanie! bo się chciał ożenić.

BASIA.

Ale ja za mąż iść nie myślę; wolę mój stan wdowi.

ROTMISTRZ.

Ciągle to wdowieństwo!

JACEK (*przerwywając*).

Rotmistrzu kochany! pozwól sobie pokorną uczynić uwagę, że
złote jarzmo małżeńskie zawsze jarzmem, a w Bogu żywot wdo-
wi słodszy, niż z najlepszym mężem.

BASIA.

Nieprawdaz?

ROTMISTRZ.

Głowy się wam pozawracały; przecież po bożemu i z mężem
żyć można! Wszyscy za mąż idą...

BASIA.

I żalują.

ROTMISTRZ.

Tak jak i ci, co nie szli, bo człowiek zawsze żałować musi
tego, co zrobił. Bywa tak, bywa inac. Był u mnie dawniej Pio-
trek, dobre chłopię, a miał taki nałóg, że się objadał; jak się
obeżre, krzyczy a płacze: *póki życia nie będę!* a wygłodniawszy się,
żałuje, że nie jadł. Nigdy z nim do ładu trafić nie mogłem.

BASIA.

A! pleciuchu ty jakiś!

ROTMISTRZ.

Pogadamy o tém jeszcze... Ot, chodźmy-no po kątach się roz-
patrzeć i pogawędzić wolnym czasem. Służę ci, siostruniu!
(*Wychodzą razem*).

SCENA VI.

P. JACEK *sam, chodzi po pokoju.*

Żle! źle! już się było niezgorzej ukartowało: miałem siedzieć
jak u Boga za piecem, kiedy tu lichy konfederata wniosło; trze-

baby pomyśleć, jak go leciuchno stąd wysadzić, bo mi za skórę zaleje. Niech długo nie popasa, bo wszystko przerobi. Kobiety—słabe stworzenia: jak zacznie, jak zacznie konwinkować, poprzera bia na swoje kopyto. Już wszystko miałem w ręku... kto wie, na czém się to skończyć mogło; możeby poczekawszy cześnikowa poszła za mnie, a tu gotów i Petrylę i innych gachów naprowadzić! Pomożliwszy się, pocichutku trzeba użyć wszelkich sposobów, aby sobie ruszył, skąd przyszedł. Cześnikowej łatwo będzie przedstawić niebezpieczeństwo: człowiek bez obyczajów, bez wiary, zawsze dla domu niebłogosławieństwo: niechby sobie wracał do obozu. Lepiej mu co dać, a pozbyć się takiego gościa.

SCENA VII.

P. JACEK — GRZEŚ.

JACEK.

Słyszysz, Grzesiu, kochanie?

GRZEŚ.

Sasafras! a słyszę.

JACEK.

Żeby tam koniom i ludziom kochanego Rotmistrza na niczém nie zbywało.

GRZEŚ.

Nie frasujcie się! krzywdy sobie uczynić nie dadzą. Znają wszystkie kąty: do masztarni, do śpiżarni, do lochu, jak kluczków nie znajdą, to się włamią.

JACEK (*przestraszony*).

Co mówisz, kochanie?

GRZEŚ.

To tacy ludzie!

JACEK.

I kochany Rotmistrz?

GRZEŚ.

Rotmistrz najpocziwszy człowiek, ale jak się pogniewa, wyłajając, wybić, a choćby i powiesić z prędkości, u niego jak chleb z masłem zjeść. Prawda, że za tych, których powieszał i porąbał, regularnie się modli i nabożeństwo odprawia.

JACEK.

To tak, kochanie moje! to źle, moje kochanie! Śliczna pociecha.

GRZEŚ.

A tak! Szczególniej nienawidzi tych, co mu się w oczy wdziewają, a za oczy buty szyją: tym to nie daruje nigdy.

JACEK (*z westchnieniem*).

A! bo też to są źli ludzie, kochanie!

GRZEŚ (*rusza ramionami poglądając na niego*).

Sasafras!

JACEK.

A jak ci się zdaje, długo oni tu zabawią?

GRZEŚ.

Mówią: rok—półtora pewnie.

JACEK (*przestraszony*).

Co mówisz? kochanie!

GRZEŚ.

Jeżeli nie dwa! A co im tu źle?

JACEK.

Miły Boże! wszystko zjedzą!

GRZEŚ (*kończąc*).

I wszystko wypiją i dom do góry nogami przewrócą.

JACEK.

Nieszczęście! czyżby nie mogli gdzieindziej trochę popaść?

GRZEŚ.

Dom siostry ma swe prawa.

JACEK.

Już ja w tém, żeby się nie gniewała... Co mówisz, kochanie?

GRZEŚ.

Mileczę, sasafras!

JACEK.

Ja także, ale pani mi szkoda.

GRZEŚ.

Pani rada. Byłe im było dobrze.

JACEK (*miarkując się z pokorą*).

Masz słuszość, kochanie! co nam do tego? myśmy śludzy. Idź, przygotuj śniadanie; ale lepszej starki nie dozywaj: zostawimy ją napotem.

GRZEŚ.

Nie bójcie się, dobiórą się i do najlepszej, bo obu wkrótce nie stanie.

(*Wychodzi*).

SCENA VIII.

P. JACEK *stoi chwilę zamyślony, wchodzi BARBARA.*

BASIA.

Jakiżes wacpan niedobry! czemu do nas nie przychodzisz? Szukam was po całym domu. Musiałam Rotmistrza przy pannie Marcie strojącego koperczaki zostawić; mocno mnie ubawił: śmieliśmy się, jak nie pamiętam.

JACEK (*wzdycha*).

Śmiech! śmiech! A! mościea dobrodziejko, gdyby tylko po śmiechu nie płakać.

BASIA.

Śmiech tak niewinny...

JACEK.

Zapewne, ale wesołości ostrożność zawsze obawiać się każe: szatan w niej często swe sidła zastawia.

BASIA.

Ale tak umiarkowana wesołość?

JACEK (*podnosząc oczy ku niebu*).

Możeż człowiek słaby być pewien, że ją umiarkuje?

BASIA.

Kochany panie Jacku, trudno wszystkim tak być świętym jak wacpan.

JACEK (*składając ręce*).

Ja? A! na Boga! jestem najnudniejszym grzesznikiem! Znam to do siebie.

BASIA.

Ganisz więc tę wesołość naszą?

JACEK.

Niebezpieczna! Robię tylko uwagę pokorną—niebezpieczna!

BASIA.

Prawda, wy zawsze zdrowo radzicie: sama to czuję, i bardzo wdzięczną wam jestem.

JACEK.

Gdybym się ośmielił jeszcze jedną pani zrobić uwagę...

BASIA.

Dlaczegoż nie, proszę bardzo.

JACEK (*cicho, ostrożnie*).

Ledwie śmiem przyznać się, że mnie przybycie kochanego Rotmistrza jakąś trwogą napelnia.

BASIA.

Trwoga? ale o cóż? dlaczego?

JACEK.

Przywiązanie moje do was sprawia, że drzę o dom nasz cały, o panią Cześnikową dobrodziejkę..

BASIA.

A w czymże Rotmistrz groźnym mi być może?

JACEK.

Najzacniejszy z ludzi, kochany, szanowny, ale człowiek pomimo to lekki i lekceważący wszystko; zwyczajnie wojak, wedle ich obyczaju i życia poglądający na świat. W obozie to dobre, ale w tak świętym domu, daj Boże! by nie zasiał niepokoju.

BASIA.

Jakiego? czém? nie rozumiem prawdziwie...

JACEK.

Może być, że moje obawy są płonne, ale one pochodzą z serca przejętego czcią i przywiązaniem. Jużesmy byli na dobrej drodze pogardy świata i marności jego: pani obrałaś sobie bogobojny żywot wdowi, panna Marta postanowiła nie iść za mąż, ja z rzewnem uczuciem szedłem w ich ślady... człek świecki może nas na inny wprowadzić gościniec! Ta wesołość...

BASIA.

Przyznam ci się, panie Jacku, że nie gniewałabym się za trochę dystrykcji.

JACEK.

Co słyszę!

BASIA (*nieśmiało*).

Wstyd mi wyznać, ale bardzo u nas jakoś tęskno.

JACEK (*ruszając głową*).

Święta to tęsknota pobożnej duszy, która zawsze poprzedza błogi stan uspokojenia i szczęśliwości. Po uciechach światowych tylko męty zostają.

BASIA.

A! to prawda!

JACEK.

Jeżeli mi wolno dalej ciągnąć uwagę moję, trochę rozrywki sprawi pragnienie ciągłej zabawy: powoli wejdzie to w nałóg, a towarzystwo płochych ludzi łatwo naprowadzi na złamanie uczynionego ślubu.

BASIA.

Nigdy! nigdy!

JACEK.

Wierzę w to, lecz truchleję. Rotmistrz ma całkiem inne pojęcia. Kochany Rotmistrz!! Ale to żołnierz, hulaka! A gdyby w końcu miał swe przekonania tu zaszczerpić?

BASIA.

Ale cóż za myśli!

JACEK.

Myśli zuchwałe pokornego sługi... Wszakci już mówi, że skrzypki i sąsiadów posprowadza.

BASIA.

Jemuż się trzeba rozerwać.

JACEK.

Niech jedzie się rozrywać, ale ich tu nie sprasza (jeżeli wolno słudze uczynić uwagę). Niechby mu pani stanowczo swą wolę oświadczyła.

BASIA.

Toby od nas uciekł; ja tego nie chcę!

JACEK.

Wola pani święta dla mnie, ale i on i Petryłło...

BASIA.

Scierpieć ich trzeba.

JACEK (*wzdycha*).

Tak, (jeżeli wolno uczynić mi uwagę) to się w początku cierpi, potem się przywyka, przyzwyczaja, polubi, pokocha, i najświętsze postanowienia w zapomnienie idą. A ileżto tak dusz poginęło!..

BASIA.

Prawda, ale jakaż na to rada?

JACEK.

Trzeba mocnego charakteru.

BASIA.

Zdaje mi się, że mi go nie braknie; oprę się pokusom.

JACEK.

Jeśli mi wolno uczynić uwagę, jako pokornemu słudze, w kobiecie cała siła, od pokusy uciekać.

BASIA.

A jeśli nie można uciec?

JACEK (*pokornie zawsze*).

Zawsze można! Ale usta zamykam, aby najlepsze chęci moje fałszywie tłómaczonemi nie były.

BASIA.

O! panie Jacku! mówże, proszę, zaklinam.

JACEK (*waha się*).

Tak, pokorny sługa, uczynię to z obowiązku... Dlaczegożby pani widząc niebezpieczeństwo, nie miała Rotmistrza kochanego zasilić i... odprawić!

BASIA.

Bój się Boga: to mój brat!

JACEK (*zmieszany*).

Mileżę więc... choć jego dobra i pani dobra pragnąłem. Niebezpieczeństwo groźniejsze, niż się zdaje; utracić duszę, to więcej niż pożegnać brata! Kto wie, kto wie, co wyniknąć może! ale mileżę... mileżę!

BASIA.

Doprawdy, napelniasz mnie strachem.

JACEK.

Sam pełen jestem trwogi o siebie.

BASIA.

Święty człowiek doprawdy! gdybyśmy z niego przykład brali!

JACEK (*spuszcza oczy*).

Czyn pani, co jęj natchnie własne uczucie... Widzę, żem pragnął niemożliwej rzeczy...

BASIA.

Tak, Panie Jacku, niemożliwa! Będziemy się mieli na baczności; ktoś wie, może i jego nawrócim. Twój przykład, two słowa...

JACEK.

Niedoleżną jestem istotą.

SCENA IX.

CIŻ—GRZEŚ.

GRZEŚ (*wchodząc*).

Pani tam proszą; panna Marta Rotmistrzowi opędzić się nie może: chce ją w nogi całować.

BASIA.

Al nieszczęście! biegnę!...

JACEK (*żywo*).

Widzi pani, oto się już zaczyna historia...

(*Barbara wybiega w prawo. Jacek w lewo odchodzi*).

SCENA X.

GRZEGORZ *sam*.

No, zdaje mi się, że się harce już poczęły: p. Jacek zasepiony jak środa na piątek, Rotmistrz w ferworze, w to mu graj; kobiecicta same nie wiedzą kogo słuchać: kto tu wygra, a kto weźmie dublę? nie wiem. Stawiłbym coś na Rotmistrza, ale i to lichy chytre, a pocziwość nie zawsze górą.

SCENA XI.

GRZEŚ—ROTMISTRZ *wchodzi śpiewając*.

ROTMISTRZ.

Było ich dwie u matusi;
Obie śliczne, obie młode:
Jedną za mnie wydać musi,
Nie, to na łeb skoczę w wodę.

Plakał, stękał, matka w strachu,
Cóż już robić, bierz-że sobie.
Ot i bieda, miły gachu,
Któżaź wybrać?? chyba obie!!
(bis)... chyba obie.

(postrzega Grzesia).

Posłałeś po Petryllę?

GRZEŚ.

Pojechał kozaczek na szpaku.

ROTMISTRZ (*śpiewa*).

„Chyba obie, chyba obie!”

Wyniósł się tam ten zakrystyan z mojej kwatery? he?

GRZEŚ.

Właśnie jego węzelki powoli wyprowadzają.

ROTMISTRZ.

Szkoda, niechby był stał ze mną, byłbym go na żołnierza prze-
robił.

GRZEŚ.

Sasafras! albo on waszmości na kapucyna.

ROTMISTRZ.

Trochę trudno; zobaczymy, kto tu z nas kogo wyforuje, bo jegomość już mi baby pobuntował: Basia mi się przyznała. Otóż kiedy wojna, no to wojna: kłaniasz się ty i ja się będę kłaniał; kochasz, będę kochał; łziesz, będę i ja łgał: zobaczymy, kto tu z nas wygra.

GRZEŚ.

Wszelako nie łatwa sprawa.

ROTMISTRZ.

Najlepiej kiedy trudna: człowiekowi we łbie smaży się jak w rynce i zawsze coś się upiecze. To tak jak ten mieszczanin, co go to byli na szubienicę skazali i posadzili na wieży; widzi, że

nie przelewki, z pasa i koszuli postronek ukręcił, na dół się spuścił, uciekł na Wołoszczyznę i... hospodarem został!!

GRZEŚ (*trzęsąc głową*).

A jakby się urwał postronek?

ROTMISTRZ.

Byłby sobie o bruk łeb rozbił, co zawsze lepiej niż wisić na postronku: rzecz bardzo słyszę niewygodna!!

GRZEŚ (*śmieje się*).

Rotmistrzu, dobrodzieju, ratuj!

ROTMISTRZ.

Tylko cicho, niech Petryłło przyjedzie; mam już coś na myśli: zobaczysz, jak zakrystyana wystrychniemy na dudka.

GRZEŚ.

Tylko strach! strach...

ROTMISTRZ.

Dla wilka nie iść w las, e! to nie po konfederacku, nie takieśmy zdobywali obozy! A jak się nie uda, siądziemy z tobą na koń, Grzesiu, i pojedziemy na Wołoszczyznę: jednego z nas niezawodnie hospodarem obiorą...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Część dziedzińca przed domem, na przodzie widać dwór stary, w lewo oficyna, na prawo folwark, kilka drzew pośrodku.

SCENA I.

ROTMISTRZ—PETRYŁŁO *przechadzając się*.

ROTMISTRZ.

Przyjacielu serdeczny i stateczny, to nie są żarty; ciebie już stąd wiernego i poczciwego druha przepędzili, dalej i ze mną to zrobią. Basię ten uniżony sługa opętał, że go słucha; potrzeba radzić, obmyślić coś i ratować, inaczey nie mam i ja tu czego gościć. A żal mi Basi: tak ją jak siostrę rodzoną kocham.

PETRYŁŁO.

A jaż! Rotmistrzu, ja aż schudłem z desperacji, gdy mnie odprawili... Ale co tu na to za rada: nie ma żadnej. Ech! bo te kobiety, kto z niemi do ładu trafi! Ja sobie prosty człowiek, wedyk; jak mnie widzisz, tak mnie pisz, planów żadnych układac nie umiem, prawdę tylko mówić potrafię nie zająkawszy się. Tajemnicy mi żadnej powierzyć nie można, bo ją za pierwszym słowem wypłunę, do pokatnej roboty się nie zdał. Jeżeli wam potrzeba serca, to jest; głowy, nie koniecznie; a chytrości, ani pyta-

ROTMISTRZ.

Toż ja cię znam z kośćcami; ale gdybyś choć na dwa dni naturę przemienił? he?

PETRYŁŁO (*z ruchem wyrazistym*).

A kiedy nie mogę!

ROTMISTRZ.

A tu ja rachowałem na ciebie jak na Zawiszę: myślałem, że taki na polityka wyrosłeś.

PETRYŁŁO.

Trudno: abym tylko chciał skłamać, język mi się zawraca i rzne, czego nie powinien. Zdajmy wszystko na wolę bożą.

ROTMISTRZ.

To znaczy, niech się z Basią żeni ten włóczęga!

PETRYŁŁO (*oburzony*).

Niechże Bóg broni!

ROTMISTRZ.

Inaczéj nie będzie, kiedy ty się jéj wyrzekasz; on powoli poczeka, wypatrzy godzinę i jak swoje zabierze.

PETRYŁŁO.

Ten... ten... niezdara! panią cześnikową: świętokradztwo!!

ROTMISTRZ.

I stanie się to z twojéj winy... Przynieśli nam raz na kwaterze we Lwowie pieczeń, ale tak skapo, że na dwóch nie starczyło: był u mnie Podczaski. „Jedz” powiadam: on w ceremonie, ja w ceremonie; tymczasem mój chart machnął i mięso pochwycił.

PETRYŁŁO (*żywo*).

A niechby go dyabli porwali... No cóż? radzić? wziąć go, związać w kij, wynieść na rozstajne drogi i rzucić.

ROTMISTRZ.

A piękna rada (*śmieje się*). Tobys go właśnie męczennikiem uczynił niewinnym, żeby go potém mieli za świętego, który dla wiary cierpiał... Trzebaż tu, mosanie, pokazać czarno na białém, że to oszust.

PETRYŁŁO.

Jaki z ciebie statysta, Rotmistrzuniu! Prawda, nigdybym na tę myśl nie wpadł, a to jedyne zbawienie! Trzeba ich przekonać, że to furfant!

ROTMISTRZ.

Więc mi do tego dopomóż! Razem! ławą! wiara ze mną!

PETRYŁŁO.

Pójdę za tobą w ogień i wodę, gdzie rozkażesz: weźmiemy łotra i powiesim.

ROTMISTRZ.

Bój się Boga, ty znowu swoje: tak nie można!

PETRYŁŁO.

Prawda, więc jak?

ROTMISTRZ.

Na intryganta potrzeba intrygi użyć i podstęp.

PETRYŁŁO.

Istotnie, jedyny sposób!

ROTMISTRZ.

Trzeba go wywieść w pole!

PETRYŁŁO.

Nie inaczéj! Co to z ciebie za polityk!

ROTMISTRZ.

Wszystkiego nauczyła konfederacya: tam powiadam ci, i z ciebieby zrobili statystę, bo nieustannie potrzeba było łąać.

PETRYŁŁO.

To nad moje siły! taka głupia natura...

ROTMISTRZ.

I mojać nie lepsza: prawdę wolę, choć w oczy kole, tylko że niezawsze nią dojedziesz do końca: kiedy błoto, musisz kałużę bokiem obchodzić, a tu właśnie kałuża.

PETRYŁŁO.

I to prawda!

ROTMISTRZ.

Tylko mi dopomagaj: zażyjemy go z mańki.

PETRYŁŁO.

Czém chcesz: workiem, szablą, ręką, sercem, byle nie głową i językiem.

ROTMISTRZ (*namyśla się*).

To pewna, że lisem podszyty pan Jacek, że sobie na cześnikową zakroił, że grosza cheiwy, że mu i ładne oczki nieobojętne; więc gdyby i buziaka jakiego i grosiwa mu znaleźć, a wystawić na pokusę, kto to wie, czyby nie wydał się z naturą?

PETRYŁŁO.

Jak dwa a dwa cztery.

ROTMISTRZ.

Wymyśl-że co!

PETRYŁŁO.

Ja czekam, żebyś ty wymyślił.

ROTMISTRZ.

Przecież cośbyś mógł mi poddać.

PETRYŁŁO.

Nie pytaj: jak nie bić i nie wiązać, nie potrafię nie.

ROTMISTRZ.

Nie wielką mi jesteś pomocą: coś jak ów, co to stał w rynku, gdy dzwon na wieżę wciągali, i sobie patrząc na robotników, kurczy się, jakby pracował. Pyta go ktoś: co waszeci? — A ja też dzwon ciągnę, powiada.

PETRYŁŁO (*śmieje się*).

Słowo w słowo ja tak... (*myśli*). A gdyby go poprostu wziąć i szepnąć mu w ucho: ruszaj, jeśli chcesz być cały.

ROTMISTRZ.

Poskarży się jejmości, a Basia weźmie jego stronę.

PETRYŁŁO.

Prawda, źle.

ROTMISTRZ.

Źle! (*Chodzą i myślą*).

PETRYŁŁO.

A gdyby...

ROTMISTRZ.

Co? rybeńko złota!

PETRYŁŁO.

Nie, nie, i tak nie można.

ROTMISTRZ.

Możeby można...

PETRYŁŁO (*przerzywa*).

Co?

ROTMISTRZ.

Na nic się i to nie zdało; potrzeba tu się nam kogo poradzić: ot, jakby w samą porę, Rózia idzie. Dziewczyna filut jak mało, trzeba z nią pogadać. Słuchajno, Rózieczku!

SCENA II.

C I Ż. — R Ó Z I A.

ROTMISTRZ.

Stój, śliczna panno, niechże się z tobą przywitam! Dalipan, wszyskcieście tu wyładniały jeszcze.

RÓZIA.

Chyba pobrzydły i pobladły.

ROTMISTRZ.

O! o! z czegoż? toć to raj!

RÓZIA.

Jeżeli nie czyściec! Pan chyba nie wiesz, co się tu u nas dzieje i pod czyjém jesteśmy panowaniem?

ROTMISTRZ.

Trochę wiem! Chwała Bogu, że choć ty zdrowa i nieopętana.

PETRYŁŁO.

Rózi dobrodziejki służeczka!

RÓZIA (*do Petryłły*).

A! pan tu znowu do nas zawitał? Myślałam, że go już nie zobaczymy.

PETRYŁŁO.

I nie byłybyście oglądały, gdyby nie Rotmistrz, chyba w kościele na odpuscie; boby tu noga moja niepostać. Nie mogę patrzeć na to, co się u was dzieje.

RÓZIA.

A któż temu winien, jeśli nie panowie?

PETRYŁŁO (*razem oba*).

Ja?

ROTMISTRZ (*razem oba*).

My?

RÓZIA (*ciszéj*).

A któż? Gdybyście panowie nas nie opuścili, nie porzucili samych, byłoby inaczej.

PETRYŁŁO.

Rozumnie mówi.

ROTMISTRZ.

Bięda tylko, że po harapie; a jak teraz posiedzimy?

RÓZIA.

Czy nie zapóźno to będzie?

ROTMISTRZ.

Nie są rzeczy zdesperowane: gdy kogo do grobu w trumnie niosą, jeszcze czasem wstanie.

RÓZIA.

Ludzie umieją z czasu korzystać. U nas teraz co innego w głowie. Nie, panowie, iść za mąż nie myślimy wcale; mężczyznami się brzydzim.

ROTMISTRZ.

I ty, Róziu, także?

RÓZIA (*markotnie*).

Jużciż muszę...

ROTMISTRZ.

A Grześ?

RÓZIA.

Bałamut i niecnota!

ROTMISTRZ.

Srodze go to boli.

RÓZIA.

Panów nie mniej.

PETRYŁŁO.

Zna rzecz, sprytna! Ale nie bawmy się próżno w te zagadki; powiedz nam lepiej, jak tu na to poradzić?

RÓZIA (*wesoło*).

Jakto? Panowie we dwóch nie możecie znaleźć na to sposobu, a chcecie, żeby jedna biedna dziewczyna od was była mądrzejsza?

ROTMISTRZ.

Przecież jest przysłowie: gdzie dyabeł nie może...

RÓZIA.

Tam posyła konfederata. Cha! cha!

PETRYŁŁO (*śmiejąc się*).

Ot to mu ucięła!

ROTMISTRZ.

Jakieś nowe przysłowie.

RÓZIA.

Ale dobre!

ROTMISTRZ.

Ale ty jesteś także konfederat w spódniczce, Róziu kochanie. Przystępuj z nami do związku, a nie, to cię rozsiekamy! Jak mi

co dobrego poddasz, przyrzekam i klnę się, że ci takie z Grze-
siem wyprawię wesele, jakiego żadna z twoich praprababek nie
miała: sam ci marcypany będę oddawał, i utnę mowę, że koty
plakać będą.

RÓZIA.

A któż się będzie śmiał?

ROTMISTRZ.

Ja!

PETRYŁŁO.

Mowy nie powiem: to mi trudno; ale gdybyś co poradziła, po
weselu dam dworek dożywociem w Zabłociu, jak się patrzy,
z ogrodem.

RÓZIA.

Ja to wolę, i bioreę za słowo, żeby tylko na dożywocie za-
robić.

PETRYŁŁO.

Zarabiam, serce, a prędko.

ROTMISTRZ.

Ja-m już to trochę przymyślał, czém go wyforować, ale nie
wiem, jak to wykonać.

RÓZIA (*po namyśle*).

Nie można inaczej, tylko trzeba, żeby sobie sam poszedł do-
browolnie.

PETRYŁŁO.

Zachciałaś: to poczekamy!

RÓZIA.

Jeśli go wypędzicie, tyle po nim zostanie, jakby sam był, i pe-
wniusieńko powróci.

PETRYŁŁO (*zdumiony*).

Co to za rozumna kobieta!

ROTMISTRZ.

Wotujemy na jedno. Prawda, że gdyby go do tego przywieść,
aby się wstydu napił i wydał, czém jest, byłoby formalne zwy-
ciństwo; ale czy ma on dyabła za skórą? tu sęk!

RÓZIA.

Hm! hm! Nie święty, to pewna: oczki mruży, ale i pod brodę
głaszcze, i na grosz łakomy; zlakomilby się i na... (*wstydzi się
i przerywa*). Ale co ja mam panom mówić?!

ROTMISTRZ.

Słowo w słowo moje zdanie: siedzimy na jednej ławie, Róziu

kochana. Myślę, że gdybyśmy mu podstawili tu kogo młodego, a niby bogatego, coby mu słodkie oczki zrobił...

PETRYŁŁO.

Gdyby! ale skądże wziąć?

RÓZIA.

Jestem prawie pewną, że choć ma zamiary na panią naszą, ale wolałby co łatwiejszego: tu jeszcze kruche nadzieje.

PETRYŁŁO.

Śliczny interes! I mamy mu szukać ożenienia bogatego. A niechby go lichy porwało, żebym ja go swatał!

RÓZIA.

Przecież nie naprawdę.

PETRYŁŁO.

E! to już filozofia, której ja nie zgryzę.

ROTMISTRZ.

A ja ukaszę, ukaszę, tylko—czekajcie-no!

(Rózia długo szepce mu w ucho).

Bóg zapłać, toś mi przypomniała w samą porę. Będzie wesele i marcypany.

PETRYŁŁO *(zdumiony)*.

Co? ty będziesz bogatą wdowę udawał? ja? czy ona?

ROTMISTRZ *(śmiejąc się)*.

Bądź spokojny, już mam, co potrzeba. Dobra nasza bez marcypany! A Rózia mi poddała taką osobę, której tylko komedye grać.

PETRYŁŁO.

Dożywocia nie cofam.

(Rózia kłania się i odchodzi żywo).

SCENA III.

ROTMISTRZ. — PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

Wytłomaczże mi, czegoś taki rad, i co ci Rózia na ucho szepnęła?

ROTMISTRZ.

Wiesz, mówiła mi, żeśmy oba głupi.

PETRYŁŁO.

No, ja jak ja, ale za cóż waćpan, Rotmistrzu?

ROTMISTRZ.

Żem się nie domyślił, czegom był powinien. Ciesz się, Petryłło!

PETRYŁŁO.

Cieszę się na kredyt, z góry, z największą chęcią.

ROTMISTRZ.

Mamy już wdówkę: śliczności, miłuchną, bogatą, zalotną, wesołą; i ty i ja będziemy się do niej zalecali.

PETRYŁŁO.

Twoja rzecz, ale potrosze i moja, kiedy i ja mam się umizgać. Powiedzże mi, co to za jedna, bo ja w ciuciubabkę grać nie lubię.

ROTMISTRZ.

Słuchaj tylko: jadąc tu, po drodze, o dziesiątek mil może, spotykam Hurską, siostrę poczciwego Bogusia. Znasz ją? wdowa po chorążym Hurskim.

PETRYŁŁO.

Nie znam ani jój, ani brata.

ROTMISTRZ.

Tém lepiej. Wdówka ciepła, młoda, zalotna, wesoła jak ptaśzek, poczciwa, miła, a trzpiot! ach! ach! Jechała na Ruś do swoich; tośmy się naśmieli przez drogę, żem dopiero w miasteczku o milę ją porzucił. Wystawże sobie, jaki ze mnie gamoń: zapomniałem o tém, choć Basi i Marcie o niej opowiadałem rano; dopiero mi ją Rózia, która podsłuchiwała, przypomniała.

PETRYŁŁO.

Aleś ją o milę porzucił?

ROTMISTRZ.

To ją o dwie mile złapię. Zobaczysz, cacko nie kobieta!

PETRYŁŁO.

Piękniejsza od cześniaków?

ROTMISTRZ.

Piękniejsza.

PETRYŁŁO.

I od Łowczanki?

ROTMISTRZ (*urazony*).

A gdzie zaś? to nie może być! Dostyc, że ładna, rezolutna i stworzona do komedyi; sprytna jak ogień. Jadę do niej, opowiem, co się święci: jęj w to graj; przyjedzie, i jeżeli w pole nie wyprowadzi pana Jacka, nie zbałamuci i nie spokusi, tom nie konfederat.

PETRYŁŁO.

Czyżby chciała?

ROTMISTRZ.

Upadniemy do nóg, pocałujemy w nogi...

PETRYŁŁO.

I ja także?

ROTMISTRZ.

I ty, bo pojedziesz ze mną.

PETRYŁŁO (*namysławiając się*).

Hm! a nuż którego z nas za jednym zachodem zbałamuci?

ROTMISTRZ.

Będziemy się ostro trzymali, podkuwszy na cztery nogi. Przywieziemy ją tu, wcale nie wydając za chorążynę Hurską, ale za bogatą księżnę niemiecką: rozumiész?

PETRYŁŁO.

A! jaki z ciebie filut!

ROTMISTRZ (*chodzi i myśli*).

Jak ją tu nazwać?

PETRYŁŁO.

Nazwisko, to się nie komponuje: rzecz poważna.

ROTMISTRZ (*myśląc*).

Tak, tak, dobrze: księżna! Księżna Bam-ber-link...

PETRYŁŁO (*podchwytyjąc*).

Jak? jak? Dalibóg i nazwisko potrafił skomponować: jak z biczem trzasł! Jak się będzie nazywał?

ROTMISTRZ.

Bamberlink! Tylko cicho i *motus!* ani słowa: ja zaraz wszystko przygotowuję... (*woła*) Grześ! Grześ!

S C E N A IV.

CIŻ.—GRZEŚ (*wpadając żywo*).

GRZEŚ.

Sasafras! Co pan rotmistrz każe?

ROTMISTRZ.

Konie żeby mi były natychmiast gotowe.

GRZEŚ.

Konie? na co?

ROTMISTRZ.

Jadę zaraz.

GRZEŚ.

Pan! sasafras! cóż się stało? dokąd?

ROTMISTRZ.

Nic się nie stało, ale jechać muszę.

GRZEŚ.

A! ulituj się! nie opuszczaj! miej miłosierdzie! zginiemy bez ciebie!

ROTMISTRZ.

Na godzinę?!

GRZEŚ (*uspokojony*).

A no, oddycham; godzinę, to i bez Rotmistrza przeżyjemy.

ROTMISTRZ.

Koni parę a dobrych, kulbakę wziąć moje; niech kozaczek dobrze ją umocuje... Jadę, to jest jedziemy oba po księżnę, która się tu do was wprosiła w gościnę, o czém zapomniałem, jakom żyw, powiedzieć. — Chwała Bogu, ot i Basia; zaraz się z poselstwa sprawię.

(Grześ odchodzi).

SCENA V.

ROTMISTRZ.—PETRYŁŁO.—BASIA. (*Petryłło zmieszany kłania się, Cześnikowa zmieszana i zarumieniona także*).

BASIA (*do Petryłły*).

Takeśmy już was dawno nie oglądały, kochany sąsiedzie!

PETRYŁŁO (*klania się*).

Nie chciałem być natrętnym...

ROTMISTRZ.

A serce najpocziwsze, Basiuniu, doprawdy lepszego (po mnie rozumie się) nad niego przyjaciela nie masz...

BASIA.

Zawsze mi też miło było pana u nas oglądać!

ROTMISTRZ.

Ale jemu nie było miło siedzieć, patrzeć i oblizywać się, jak temu, com to go widział w refektarzu u kapucynów w Lublinie; zajądają wszyscy, a on stoi i czyta, wachając potrawy, których nie liźnie. Na coście mu, siostruniu, dali odprawę?

BASIA (*zmieszana*).

Cichoż, Rotmistrzu! ale ja iść za mąż nie myślę, a przyjaźń sąsiadka zawsze mi była drogą.

PETRYŁŁO (*rozczulony*).

A! moja Cześnikowo dobrodziejko kochana, kiedy bo ze mnie głupie chłopisko: albo wszystko, albo nie! Kochałem cię chyba

równy z Bogiem, to już teraz na zmarzłej przyjaźni przestać trudno: wołałem nie widzieć, by nie boleć!

BASIA (*wzruszona*).

E! nie mówmy o tém, sąsiedzie: dobrze, że przyjechałeś.

PETRYŁŁO.

Cześnikowo! to dla mnie wielkanocne święto, kiedy ciebie oglądam.

ROTMISTRZ.

No, ale muszę wacpaństwu przerwać czułości: gadu gadu, a psy w krupach... Przybyłem tu w poselstwie, ale jak-em zaczął was kochać i rozczulać się, zapomniałem ze szczerem o najpilniejszej sprawie... Mam do asindzki prośbę od wielkiej osoby.

BASIA.

Od wielkiej osoby, do mnie?

ROTMISTRZ.

Którę ja jestem wierzytelnym posłem, siostruniu. I ta osoba i ja prosimy cię o jedną wielką łaskę...

BASIA.

Co tylko każesz, spełnię; wszak znasz serce moje dla ciebie.

ROTMISTRZ.

Serce anielskie, ale posłuchaj, o co chodzi. Wystaw sobie, że jadąc tu, o mil dziesiątek od was, spotykam na gościńcu ogromny jakiś tabor, ludzi, koni, dwór, kolebkę; jakoś tak droga wypadła, że ani się minąć: jedziemy tedy razem... Zaglądam przez ciekawość do kolebki, a w niej siedzi niewiasta piękna jako Wenera, mości dobrodzieju.

BASIA (*ruszając ramionami*).

Otóż jest! zawsze białamut!

ROTMISTRZ.

Nie posadzaj, bo będziesz grzech miała. Piękna, ale nie dla mnie; jest nawet przysłówie stosowne: *nie dla psa kielbasa, nie dla kota sadio*... Jedziemy tedy dalej, wloką się powoli, szwargoczą koło niej po niemiecku, są i Polacy, marszałek dworu pludrowaty, koniuszy kontuszowy, wszyscy zakłopotani, jejmość chora, noga za nogą ciągniemy, ja z niemi przez ciekawość. Więc na popasie, mając gdańską wódkę, zabieram znajomość z koniuszym, dopytuję: nie dobyć... Pijemy dwa kieliszki, pijemy trzy...

PETRYŁŁO.

Najlepszy sposób dostania języka.

ROTMISTRZ.

Jakoż rozwiązała mu się gęba: gadu gadu, przyznaje mi się.

że to jest księżna niemiecka Bamberlink, która świeżo straciła męża. Nieborak najadł się grzybów i wypił stągiew wody: nie-stało go w dwadzieścia czterech godzin. Powiada mi, że chociaż Polka, bo z domu księżniczka Ostrogska, ale jedzie do Saksonii dla interesów...

BASIA.

Ostrogska? która?

ROTMISTRZ (*zagadując*).

El! to tam z Rusi! z inną linią, ale bogatych, dziedziczka trzy-stu wsi i dwudziestu czterech miasteczek; król ją sam słysząc wy-dał za tego Bamberlinka, aby dobra tej rodziny weszły do nie-mieckiego worka (a może i z innych konsyderacji)... (*uśmiecha się i mruga*).

PETRYŁŁO (*głośno*).

Ależ kłamie! ależ pływa!

ROTMISTRZ (*na stronie*).

Milczałbyś! szczerą prawdą; spytajcie świadomych...

BASIA.

Więc cóż dalej?

ROTMISTRZ.

Ja tedy przez koniuszego, który mnie prezentował po piątym kieliszku, poznałem się z księżną J. M. Dobrze na podziw i miłe stworzenie. Wystaw sobie, niedomagającą zostawiłem ją w go-spodzie żydowskiój... a że zapachu cebuli znieść nie może, mdleje co chwila... Zaraz tedy zaproponowałem jój, aby tu do cześniko-wój dobrodziejki odpocząć przyjechała wygodnie... ale żem nie śmiał sam decydować, staję tu jako poseł.

BASIA.

O! mój Boże! najchętniej przyjmę! ale gdzie ją posadzę, czém nakarmię, jak uhonoruję!

ROTMISTRZ.

Nie frasuj się, myślisz, że to tak straszna Niemka? A to po-wiadam ci, kubek w kubek nasza szlachcianka prosta, i aby tylko trochę odeszły szpary, zobaczysz, jak wesoła i wyśmienita.

BASIA.

Toś ją tak zbliżka poznał?

ROTMISTRZ.

W podróży znajomość łatwa, przytém, widzisz, nie było dokto-ra; mdlała, musiałem ją leczyć: znam się trochę na medycynie, bo w obozie zawsze wszystkie konie chore kuruję.

BASIA.

O! szalapucie!

ROTMISTRZ.

Tak jest, już ci koń—szlachetne zwierzę; a co jemu pomaga, czemu by księżnie nie służyło?

PETRYŁŁO.

Rotmistrzu! herezye gadasz...

ROTMISTRZ.

Nie, między koniem a kobietą jest wiele podobieństwa: oboje kochamy, obojgu nie wierzym, bez obojga się nie obejdziemy.

BASIA.

Czego wy na nas nie wymyślacie!

ROTMISTRZ.

Więc jadę po księżnę: miał ze mną jechać Petryłło, ale widzę, że mu się nie chce; pozwalam więc, by został i czekał na mnie, a sprawował się przyzwocie.

PETRYŁŁO.

Za to zaręczam.

ROTMISTRZ.

Zostawuję ci go, Basiu, i pod twoją oddaję opiekę.

BASIA (*skłopotana*).

Ale jakże tę księżnę przyjmujemy?

ROTMISTRZ.

Bądź spokojna: niech na wieczrę kapłona zarzną, krupniku nastawią, a ja w tém, że gęby sznurować nie będzie... zaraz ci ją przywożę...

(*odchodzi żywo*).

S C E N A V.

BASIA.—PETRYŁŁO (*oboje pomieszani jakiś czas w milczeniu stoją*).

BASIA.

Doprawdy, miły sąsiedzie, jeszcze ci raz muszę wypowiedzieć, żeś o nas zupełnie zapomniał...

PETRYŁŁO.

Ja! a! cześnikowo dobrodziejko! mnież to mówisz, cobym dla was życia nie pożałował...

BASIA.

Życia! cha! cha! sąsiedzie kochany, jak wam mężczyznom nie słowa nie kosztują; mówisz, że zyciabyś nie pożałował, a oto podąsawszy się na mnie, żem wacpanu nie odpowiedziała po myśli, nie mogłeś przenieść, żeby się nie pogniewać, i nie chciałeś mi już i oczów pokazać.

PETRYŁŁO.

A! gdybyś wiedziała, cześnikowo, jak mi serce bolało.

BASIA.

I z wacpana bałamut, sąsiedzie.

PETRYŁŁO.

Już co sobie chcecie, aby nie bałamut: gbur, chłopisko niezdarne, nazywajcie jak się podoba, ale nie bałamut. Czyżem ja na to wiernemi swemi służby dorobił się u wacpani?... Ej! kochana cześnikowo, srogoście zawinili gardząc moim afektem.

BASIA.

Afektem nie gardzę, ale za mąż iść nie myślę.

PETRYŁŁO.

Czemu?

BASIA.

Uczyniłam postanowienie.

PETRYŁŁO.

Nie do rzeczy, cześnikowo.

BASIA.

Winnam to p. Jackowi, że mnie zreflektował, poczeiwy.

PETRYŁŁO (*oburzony*).

Poczeiwy! śliczna poczeiwość! ludzi durzyć: ot to bałamut!

BASIA.

On! miły Boże! a! nie mówcież!

PETRYŁŁO.

Dajmy lepiej temu pokój święty, ja jestem gorączka, a ten mi zalażł za skórę; to lis! lis! wie on, dlaczego to czyni, ale damy mu radę!

BASIA (*przestraszona*).

Co? jakto? któż—my?

PETRYŁŁO.

Mnie to wiedzieć, zobaczycie...

BASIA.

My!... doprawdy trwożysz mnie wacpan... cóż to jest?

PETRYŁŁO (*zagryza usta na stronie*).

Tfu! otóż papla, jużem się wygadał!

(*głośno*).

E! to mi się tak wyrwało bez myśli!

BASIA.

Chyba! bo on Bogu ducha winien; człowiek cichy i spokojny, a rzadkić bezinteresowności, nawet nagrody nie przyjmuje.

PETRYŁŁO.

Do czasu, weźmie on ją sobie późniiej nawiązką, jeśli doczeka... ale nie doczeka...

BASIA (*znowu przestraszona*).

Czego nie doczeka?

PETRYŁŁO (*zmieszany*).

To ja tak trochę przeklinam z wielkiego żalu.

BASIA.

Czasby się pomiarkować, doprawdy; zresztą cóż on winien, żem ja postanowiła, idąc za jego przykładem, nie iść za mąż...

PETRYŁŁO.

Za jego przykładem? otóż zobaczycie... (*urywa*).

BASIA.

Co?

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Znowu o mało nie wygadałem się... (*głośno*). Wiercie zdrowi: jakby mu się co dobrego trafiło, nie rzuci na drodze.

BASIA.

Nie sǎdę, by słowo złamał, człek pocziwy i zacny.

PETRYŁŁO (*rusza ramionami*).

Bodaj go tak! gdyby był pocziwy i zacny, byłby moje przywiązanie do asindzki ocenić potrafił, nie byłby wacpani bałamucił. A co to lepszego, że ja uschnę, a cześnikowa się zanudzisz... A! a! droga sąsiadko, jakbyśmy to byli żyli z sobą! O mój Boże, byłby to raj na ziemi!

BASIA (*zagadując*).

Dajmy temu pokój.

PETRYŁŁO.

Nie mogę nie myśleć, nie żałować, nie mówić! Podumajcie tylko, w jakim pokoju, zgodzie i miłości bylibyśmy spędzili dni nasze. A nie miléjże toby było we dwojgu zasiąść, Pana Boga chwalić, niż osobno tęsknić, cierpieć i męczyć się!... A! cześnikowo, u mnieby ci chyba ptasiego mleka zabrakło! W Zabłociu jak w ziemi obiecanej.

BASIA (*żywo*).

Ale jabym się do Zabłocia nie przeniosła!

PETRYŁŁO.

No! to siedzielibyśmy u ciebie, kochana cześnikowo; toć jedno, a jakby nam jeszcze Bóg pobłogosławił, a dał szczebiotkę...

BASIA (*rumieniąc się*).

Co-bo mówicie!

PETRYŁŁO.

Nie byłżeby to raj ziemski! Toćbym ja tego na koronę nie pomieniał!

BASIA.

Wacpan jesteś tak prędki.

PETRYŁŁO.

Prawda, ale mnie cześnikowa końcem palca mogłabyś trzymać, jak na żelaznym munsztuku: serce prędkie, ale gorące też i stałe.

BASIA.

Nie nie mówię przeciwnie sercu, ale...

PETRYŁŁO (*machając ręką*).

Nie ma ale: byłby raj!

BASIA.

Cóż, kiedy być nie może!

PETRYŁŁO.

Za to ten człowiek odpowie; ale trochę cierpliwości, a wypłacim się za swoje.

BASIA.

Co wacpan mówisz? mieliżbyście jakie zamiary?

PETRYŁŁO (*poprawując się*).

Ale żadnych! żadnych! to tak żal za mnie gada! (*na stronie*). Jak dłużej to potrwa, języka nie strzymam: ratujcież mnie, ratujcie! gdyby choć kto nadszedł!

BASIA.

Prawdziwie zaczynam być niespokojną.

PETRYŁŁO.

Niéma czego! lichu go nie weźmie... Mówmy o czém inném, cześnikowo... Nieprawdaż, że i dzisiejsze życie nie wesołe: dość osamotnienia, kłopotów i nudy? przyznajcie.

BASIA.

To prawda: czasem bywa mi dosyć tęskno.

PETRYŁŁO.

I przyjdzie myśl, że gdyby tak pocziwy mąż, a dziatki, nie ciężyłoby życie.

BASIA.

Pan Bóg mi zabrał męża, a dzieci nie dał! Wola Jego...

PETRYŁŁO.

A! a! inna wola Jego: ja wiem najlepij, tylko jój pani słuchać nie chcesz, a wolisz tego zausznika! Doprawdy, póki asińdzki nie widzę, no to jeszcze jakotako człek się durzy, choć markotny; ale zobaczywszy, serce się kraje, stracić taki skarb przez takiego niezdarę!

BASIA.

Mój sąsiedzie, obwiniajże mnie, nie jego.

PETRYŁŁO.

Wacpania! nigdy, kochana cześnikowo: choćbyś mnie zabić i poćwiertować kazała, słówka nie pisnę. A! nie wiesz-bo asińdzka, jak ją kocham! a gdybyś raczyła spróbować, przekonałabyś się, że com zrazu mówił: iż życie dałbym jój moje, szczerą prawdą. Gdybyście mnie widzieli w domu! ludzi litość bierze.

BASIA (*zmiękczona*).

Czemuż nie przyjedziecie czasem?

PETRYŁŁO.

Po cóż przyjadę? bym gryzł się i martwił widokiem tego skarbu, którego nie posiadam? A pono przyjdzie przypasać szablę i pójść na Tatara, aby choć zginąć przedzając...

BASIA.

A nie mówcież tego!

PETRYŁŁO.

Co serce czuje, język wypowiada! A jeżeli z Rotmistrzem oba nie potrafimy nic...

BASIA (*żywo*).

Cóżeście obmyślili z Rotmistrzem?

PETRYŁŁO (*zmieszany*).

My?... ale nie, nie... myślimy razem stąd jechać tylko.

BASIA.

Nie jedźcie i mnie często za wami tęskno!

PETRYŁŁO.

Musimy. Póki była jaka taka, choć słaba nadzieja, mogłem tu bywać; dziś, gdy wszyscy wiedzą, że mnie odepchnięto, co by ludzie powiedzieli, że bym się włóczył? Na konkurenta nikt gadać nie śmie, a takić jak moja przyjaźni nie rozumieją.

BASIA (*czule*).

A! nie gniewajcież się na mnie!

PETRYŁŁO (*chwytyjąc jej rękę i rzucając się do nóg*).

Basiu złota! Cześnikowo dobrodziejko! płakać mogę, umrzeć potrafię, a gniewać się na was! gniewać! nie znacie wy tego serca!

(*Basia rozczulona schyla się ku niemu; w tejże chwili ukazuje się Sołoduha: oboje pomieszani odstepują żywo od siebie*).

S C E N A VI.

BASIA.—PETRYŁŁO.—SOŁODUCHA.

PETRYŁŁO (*gniewny na stronie*).

Kaduk go przyniósł, właśnie w porę.

JACEK.

Przepraszam panią...

BASIA.

Czy jest interes jaki?

JACEK.

Chciałem spytać o dyspozycję. Zatrwożono mnie przybyciem jakiegóż księżnej: nie wiem co przygotować.

PETRYŁŁO.

Tak, tak, przyjedzie księżna! (*śmieje się*.) Rotmistrz ją tu zaprosił. Warto, byś wacpan też brodę do niej ogolił i pas słucki przywdział.

JACEK.

Co mnie do gości? Wolne żarty panu z uniżonym sługą. Rotmistrz wistocie gości nasprasał, nie pytając, jak ich przyjąć będziemy mogli, nie będąc przygotowani do festynów.

BASIA.

Damy sobie rady; jak nas stało: niema się co frasować.

PETRYŁŁO.

A ja wotuję najprzód, by pan Jacek brodę ogolił... (*na stronie*.) Ale cicho! trzeba uciekać, bo się wygadam. Pójdę tymczasem do ogrodu. (*Wychodzi*).

S C E N A VII.

BASIA. — P. JACEK SOŁODUCHA.

(Chwila długiego milczenia).

JACEK.

A to nasłanie jakieś! Goście! goście! Jeżeli mi wolno zrobić uwagę, pani cześnikowa nadto jesteś dobrą i powolną. Rotmistrz z końmi, psami, luzakiem, kozakiem, teorbanią, węgrzynkiem i ciurą; Petryłło samotrzeć także; księżna jeszcze przybędzie ze dworem: gdzie nam to pomieścić i wykarmić? Mniejszaby o koszt, choć się jedna kura nie ostoi na śmieciisku, jak to tu pomieszka; ale spokój zamąca, naprowadzą biedy: kto tam wie, czego nam naniosą! Księżna, i jeszcze niemiecka!

BASIA.

Nie sądźcież, panie Jacku, nie wiedząc.

JACEK *(pokornie)*.

Ja tylko czynię uwagę, jako wierny sługa, bo się boję, mocno boję, nie o siebie, ale o moję dobrodziejkę, wiedząc, jak szumu i hałasu nie lubi, a bez tego się nie obejdzie.

BASIA.

Przecież i dla ludzi żyć potrzeba!

JACEK.

Zapewne, ale jeśli mi wolno uczynić uwagę, najprzód dla Boga.

BASIA.

Jedno drugiemu nie przeszkadza.

JACEK.

Milczę, gdyż dziś niefortunny dla mnie dzień: nie będę miał racyi.

BASIA.

Gniewacie się i wy na mnie, poczciwy panie Jacku?

JACEK *(podnosząc ręce, z oburzeniem)*.

Sługa, pokorny sługa, na swą dobrodziejkę?!

BASIA.

Prawdę a Bogiem, ja-m wam więcej niż wy mnie jesteście winni.

JACEK *(skromnie)*.

A nie mówcież tego, cześnikowo dobrodziejko, słudze swojemu, pokornemu robakowi. Jeżeli zgrzeszę teraz, darujcie mi, bo choć robak, a muszę usta otworzyć. Strzeżcie się, strzeżcie!

BASIA.

Ja? czego? Nie przestraszajcie mnie!

JACEK *(tajemniczo)*.

Niebezpieczeństwo nas otacza! Wszystko to ludzie poczciwi, ale istoty płochę: jużem pani mówił o tém. Kochany, zacny Rotmistrz wodzem téj wojny przeciwko nam; jest już za nim Petryłło, jedzie księżna jakaś. Strzeż nas, Panie!

BASIA.

Petryłło bardzo zacny i serdeczny człowiek.

JACEK.

Kochany, serdeczny, poczciwy, najlepszy! A któż go zna lepiej nade mnie? ale impetyk, ale niepomiarkowany! Widzę, niestety, że znowu może wam przyjść myśl nieszczęśliwa małżeństwa: kupicie sobie tyrana, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

BASIA *(śmiejąc się)*.

On! on tyran?!

JACEK.

Właśnie najgorszy, bo na pozór baranek, bo wistocie zacny człowiek, ale nie panuje nad sobą i nie wie nigdy, ani gdzie sam pójdzie, ani dokąd z sobą poprowadzi. Czułością swą, sercem, może skrepować, związać, niewolnicą uczynić!

BASIA.

Panie Jacku! co mówicie?

JACEK.

Jeżeli mi wolno uczynić uwagę, oto skutki jednego widzenia się z nim: już pani inaczej o nim sądzisz.

BASIA.

Zawszem go tak sądziła.

JACEK *(cofając się)*.

Pokorny sługa, milczę. Boję się, by szczerześć moja nie zanadto mię uniosła: wolę zamknąć usta, chociaż... Daruj, pani, że zbytek przywiązania ośmielił mnie zadaleko.

BASIA.

Owszem, mów, proszę, wszystko.

JACEK.

Już nie śmiej: rady moje nie będą przyjęte.

BASIA.

Zawsze ich mile słucham: mów wacpan.

JACEK.

Nie nie mam, tylko tę uwagę, którą ośmieliłem się już uczynić: życzyłbym, życzył co najrychlej pozbyć się Rotmistrza, pozbyć się gacha i gości, a wrócić do spokojnego życia.

BASIA (*z westchnieniem*).

Musimy przecie przyjąć tę księżnę.

JACEK.

Wola pani święta! Gdyby ją jednak niezbyt czule przyjmować, domyśliłaby się prędkiej odjechać.

BASIA.

Muszę być gościnna.

JACEK.

Znalazłyby się powody przyspieszenia jej wyjazdu. (*ciszéj*.) Ja sam, gdybyś mi pani rozkazała, mógłbym ich dostarczyć.

BASIA.

Czyż to konieczne?

JACEK.

Czynię uwagę, że nieodzowne.

BASIA.

Pozbyć się ich wszystkich?

JACEK.

Księżnej, Rotmistrza kochanego, szanownego Petrylly: wszystkich, jutroby ich można pożegnać.

BASIA.

Jeśli widziecie konieczność...

JACEK.

Ja tylko czynię uwagę.

BASIA (*z westchnieniem*).

Róbcie, jak wam sumienie doradzi.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Pokój jak w pierwszym Akcie.

SCENA I.

ROTMISTRZ—HURSKA, przebrana za księżnę: strój z niemiecka, robrend kwiecisty, puder, muszki, wachlarz i wiele klejnotów.

KSIEŻNA (*śmiejąc się do lustra*).

Mówże mi wacpan przynajmniej, jak mam grać tę komedię, bo doprawdy nie potrafię.

ROTMISTRZ.

A któżby już umiał komedię grać, jeśli nie kobieta? Przecież pani, a raczej Waszej księżcej Mości nie trudno udawać, bo natura ją sama na księżnę i panią stworzyła. Radzić się mnie, to tak właśnie jak nieboszczyk hetman, który przed batalią zawsze wołał Mrocza i pytał, go jak wojsko ustanowić, a Mroczek całe życie był pijany i słowa rzec nie mógł, tylko głową kiwał (bo mu się sama trzęsła), a hetman brał to za potakiwanie.

KSIEŻNA.

Nie pochlebiaj mi wacpan: ja tego nie lubię.

ROTMISTRZ.

Szczera prawda, nie żadne pochlebstwo. Wy jejmoście domyślicie się w mig, czego my pół roku szukać często musimy, nim dojdziem. O co chodzi? o to chodzi, żeby owego pana Jacka rozkochać i przywieść do oświadczyń. Hołysz, prawda, nie łatwo ośmieli się do księżnej, ale w tém Waszój Książęcej Mości sztuka.

KSIEŻNA (*uśmiechając się*).

E! zbałamucić? Ja trochę taki potrafię.

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Powtóre, dozwolisz Wasza Książęcia Mość, żebyśmy się do niej wszyscy hurtem zalecali: ja pierwszy.

KSIEŻNA.

Jużes trochę począł, swawolniku; ale ja wiem, że to żarty.

ROTMISTRZ.

Muszę moję pannę do zazdrości przywieść. Drugi stanie w zawody Petryllo, sąsiad, wieśniak, niepozorny, ale poczciwy z kościami, bo ten się stara właśnie o moję siostrę.

KSIEŻNA.

A i téj potrzeba napędzić zazdrości?

ROTMISTRZ.

Koniecznien. Z niemi, to tak jak z dziećmi: niejész, to oddam drugiemu, aż w końcu namówi się i weźmie łyżkę. Trzeci, ten pan Jacek, najtrudniejszy: bo do niego wypadnie czy okiem, czy słowem, pierwszy krok zrobić.

KSIEŻNA.

Dalipan, pękne ze śmiechu! Doskonały sprawiliście mięsopust! Ale gdy mi przyjdzie mówić o sobie, cóż powiem?

ROTMISTRZ.

To, com już mówił: że jesteście wdową po księciu Bamberlink; że macie miliony, miasta, wioski; że wam stan wdowi dokuczył, i że gotowibyście wziąć bodaj ubogiego, aby gospodarnego i pocziwego człowieka. A! potraficie i bezemnie.

KSIEŻNA.

A jeśli się wyda kłamstwo?

ROTMISTRZ.

Nie może to być, chybabyście sami zapomnieli. Ludzi powyuczałem jak pacierza: żaden inaczej nie piśnie.

KSIEŻNA.

A siostra waszmości?

ROTMISTRZ.

Ta o niczem wiedzieć nie powinna: przed nią jesteście księżną. Ale idźcież się bliżej poznać, i weźmijcie ją odrazu za serce, tak jak wy to umiecie. Ktoś idzie!

(*Otwiera drzwi w prawo: księżna wchodzi. Rotmistrz wraca i zastaje pana Jacka, który wsunął się z lewej strony*).

SCENA II.

ROTMISTRZ — JACEK.

JACEK.

Kochanego Rotmistrza! dzień dobry!

ROTMISTRZ.

Dzień dobry ci, panie Jacku! Witasz mnie jakbyś, się stęsknił.

JACEK.

Mamy tedy gości...

ROTMISTRZ (*udając zakłopotanego*).

Szkuta się rozbiła, prawda? Dla was i dla siostry to rzecz nie wielce przyjemna, i kłopotliwe, i kosztu немало!

JACEK.

Mówicie świętą prawdę! Ale wy sami...

ROTMISTRZ.

Jam nie nie winien. Gdybyśmy Niemców gościny odmówili, krajbyśmy zhańbili. (*poufnie*) Przytém ona bardzo dobrze u dworu położona, gdyż, w sekrecie ci powiem, sam król kochał się w niej półtora dnia podobno.

JACEK.

Jak na Sasa, to nawet długo.

ROTMISTRZ.

Dziwowali się téż i zazdrościli, że go tak przetrzymała! Ale zobaczycie, to kobieta dobra, niezawadna, przylepka! Nie widzieliście jej jeszcze?

JACEK.

Nie miałem szczęścia.

ROTMISTRZ.

Młoda, śliczna, krew z mlekiem, trochę zalotna.

(Jacek spluwa).

ROTMISTRZ.

Nie brzydz się, rybeńko złota; ty, widzę, jesteś jak mój stary ogar, co byle sztukamięś na stół podali, zaraz ślini. Przekonasz się, że wdówka miła i warta grzechu, a bogata!

JACEK.

Bogata! bardzo?

ROTMISTRZ.

Mówią, że u niej w zamku Bamberlink w Saksonii, gdy przyszło robić inwentarz po śmierci męża, dukaty korcem mierzyli, i było ich (koniuszy mi się przysięgał) trzydzieści sześć korcy, ćwierci trzy, garncy pięć, kwart dwie i pół, a kamieni drogich pełna izba! Pomimo to, taka sobie prosta, dobrodusznna, że powiada, iż nie pójdzie tylko za takiego, coby nie miał, choćby jój bez koszuli wziąć go przyszło. Prawda, że nieboszczyk ją kawał!

JACEK *(kiwa głową).*

A na tym, to się ona chce odegrać?

ROTMISTRZ.

Łagodna jak baranek, dziwniej dobroci...

JACEK.

I dziwna historia!

ROTMISTRZ.

Bardzo dziwna! Dała sobie słowo nie iść, tylko za ubogiego, to jeszcze nie; ale mi sto razy powtarzała, ona i jój koniuszy, że młodego nie chce, pięknego nie żąda mężczyzny, byle człek cichy, potulny, a rzadny, stateczny i bogobojny. Widać jój o to chodzi, żeby majątek utrzymała.

JACEK.

No, toć sobie łatwo wyszuka, bo gołych na świecie—przepaść.

ROTMISTRZ.

Jednakże zważ, że dotąd przebiera, przebiera i dobrać sobie nie może. Są ludzie, którzy lubią ulegalki: i ona mówi, że lubi bladych, podstarzałych, zawiędłych.

JACEK.

Osobliwsza kobieta! gdyby nie Niemka, tobym nie wierzył.

ROTMISTRZ.

Chce przytém, aby jój przyszedł był obyczajów skromnych, pobożny, cichy: a to nie tak łatwo się znajdzie.

JACEK.

Dobrzeby zrobiła, żeby go sobie, nie tracąc u nas czasu, szukała gdzieindziej, peregrynowała dalej, a nie zasiadła tu, uchowaj Boże! na dłużej.

ROTMISTRZ.

To prawda, ja sam się tego boję.

JACEK.

I kłopot, i koszt niemały!

ROTMISTRZ.

(wzdychając z udanym smutkiem).

Kłopot zwłaszcza dla Basi, której to życie jój spokojne zamąci!

JACEK.

Święte słowa, Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Chociaż się one pogodzą.

JACEK.

Wątpię!

ROTMISTRZ.

Niéma jak różne charaktery, najpewniej do siebie przystaną ot, na przykład, my z wacpanem.

JACEK.

To prawda; ale pani Cześnikowa?

ROTMISTRZ.

Zbyt dobra, żeby się na księżnej nie poznała. Zresztą, powiem ci, że gdyby się był król dowiedział, że ona tu w miasteczku leżała, a nikt jój nie prosił, okolicęby całą Sasi zjedli.

JACEK.

Być może: ale oni nas i tak nadkaszają!

ROTMISTRZ.

Lepiej-że księżnę, niż rajtaryą przyjmować.

JACEK.

Może, chociaż kto wie! Przecież, Rotmistrzu, przez miłość dla siostry postarajcie się ją co rychlej wyprawić, nie wstrzymujcie, nie zabawiajcie, nie wymyślajcie, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

ROTMISTRZ.

Tobie wolno czynić uwagi, a nam ich nie słuchać! Ale żart na bok, ja sam jestem téj chęci, chciałbym sobie spocząć z wami, pogawędzić, powzdychać, a to kłopot niepotrzebny... Ale cyt, czekaj, idą tu obie, przypatrz się jój, nie uciekaj...

(przytrzymuje go).

S C E N A III.

CIŻ—BASIA—KSIEŻNA.

KSIEŻNA (wchodząc).

Jakżem wdzięczna panu Rotmistrzowi Kaniowie, że mi tu u was spocząć doradził i gościnę u was wyprosił... Odetchnąwszy tą ciszą i spokojem, tak się czuję lepiej; tak lepiej... że, gdyby skrzypki, poszłabym tańcować.

JACEK (na stronie).

Ona nigdy chyba nie chorowała, wygląda jak jabłko.

BASIA.

Niewymownie mnie to cieszy...

ROTMISTRZ (z ukłonem).

Siostra moja najszczęśliwsza, że dom jój przypadł do smaku Waszój Książęcej Mości. (na stronie cicho) Patrzno pani na tego trutnia, oto tu stoi.

KSIEŻNA (tak samo).

Widzę go... (głośno) Boję się, żebym waipaństwu nie przyczyniła kłopotu, ale tak mi tu dobrze!

BASIA

Kłopotu! żadnego niema!

ROTMISTRZ (z ukłonem).

Jest tylko satysfakcja i wdzięczność...

JACEK (na stronie).

Nacóż ją tak bardzo za poły trzymają!

KSIEŻNA.

A! tak to miło odpocząć na wsi, po długiej nużającej podróży (spogląda ku panu Jackowi pytając półgłosem Rotmistrza). Któż jest ten pan, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy?

ROTMISTRZ.

Godny i zacny,—(do Sołoduchy) chodź waipan tu bliżej,—przyciel domu, jegomość pan Jacek Sołoducha pisarzowiczowicz oszmiański...

(Jacek się kłania)

KSIEŻNA.

Imię waipana przypomina mi młodość moję: u nas jadają sołoduchę! Był też u książąt Ostrogskich jeden tego imienia, pewnie krewny jego?...

JACEK (mocno zmieszany).

Nie wiem, mam wielką obfitość krewnych... pieczętujemy się kółkiem naksztalt obwarzauka...

KSIEŻNA.

Ci sami! niezawodnie... Rysy mi nawet przypominają... ale o tém zamilczę...

JACEK (kłania się).

ROTMISTRZ (poważnie).

Nad pana Jacka nie mamy lepszego przyjaciela, ani znam go-dniejszego człowieka; głowa, serce, (cicho) ręce... nogi... (kończy mruczeniem, które uchodzi za pochwałę).

JACEK (kłania się).

Panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Wstrzymuję się, aby cię nie rumienić, ale dodać muszę, że to jest egzemplarz poświęcenia przyjacielskiego. Wystaw sobie, Książno dobrodziejko, że on tu w domu dziesięć razy jeden: marszałek, komisarz, adwokat, doradca, kasyer, koniuszy, łowczy i ręczę, gdyby go poprosić... pokojebym zamiatał!

JACEK (zmieszany).

Ale przestańże waipan, panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Jak ja się rozpędzę, nadzwyczaj mi trudno się wstrzymać.

BASIA.

Dziękuję ci, bracie; byłam pewną, że mu oddasz sprawiedliwość.

KSIEŻNA.

Drogi to dar, taki przyjaciel domu! taki doradca i dobrodziej; a! gdy pomyślę, jak trudno podobnego znaleźć na świecie, zadrzszczę pani!

BASIA *(żywo)*.

A poznawszy go bliżej...

JACEK *(do Rotmistrza)*.

Wcale przyjemna...

ROTMISTRZ *(do Jacka cicho)*.

Mówiłem ci, anioł kobieta... Zobaczysz, jak się lepiej pozna- cie *(podchodzi do siostry, rozmawia chwilę i wprowadza ją powoli w prawo)*.

S C E N A IV.

KSIEŻNA na kanapie — SOŁODUCHA stoi.

KSIEŻNA

(długo patrzy na niego... Jacek spuszcza oczy i składa ręce pokornie).

To osobliwsza rzecz, jak mi rysy waćpana kogoś... kogoś przypominają.

JACEK *(powoli z ukłonem)*.

Za wielkie to sobie poczytuję szczęście, że mam honor przypominać Waszój Książęcej Mości!

KSIEŻNA.

A! i bardzo! Był to człowiek przyjemny wielce, za którego miałam początkowo iść za mąż, *(wzdycha)* ale zmarł młodo, a ja...

JACEK *(prostując się na scenie)*.

A nie wódz nas na pokuszenie! Osobliwsza kobieta!

KSIEŻNA *(do siebie, ale głośno)*.

Nadzwyczajne podobieństwo! postawa, twarz, głos, ruch... A! jak miłe we mnie obudzają sentymenta...

JACEK *(na stronie)*.

Co ja tu pocznę?

KSIEŻNA *(wzdychając)*.

Przybliże się, panie Pisarzewiczu, i chciej na chwilę przysiąść koło mnie: tu, bliżej *(wskazuje mu krzesło)*.

(Jacek kłania się, miesza, próbuje z kolei trzech krzesełek coraz bliższych i w końcu siada).

KSIEŻNA.

To był bardzo miły, młody człowiek, i pięć lat tak po nim płakałam, żem na rok potem wzrok straciła... ale poszedłszy za mąż, odzyskałam.

JACEK *(skromnie)*.

Prawdziwie, Wasza Książęca Mość napelniasz mnie konfuzyą: gdzieżbym ja do tak dystygowanego kawalera miał być podobnym.

KSIEŻNA *(smutnie)*.

Przepraszam, jeżeli zanadto wydam mu się szczerą, to wada moja... a w tej chwili wspomnienie lat młodości, sentyment! W naszym biednym stanie wdowim mało jest chwil weselszych; każdą się chwyta skwapliwie. Pozwól mi waćpan na siebie popatrzeć.

JACEK *(spuszcza oczy — chwila milczenia — na stronie)*

Ot tom wpadł w jamę!

KSIEŻNA.

Nie byleś waćpan żonaty nigdy?

JACEK *(żywo)*.

Niech Bóg broni, jako żywo, Mościa Książęno!

KSIEŻNA.

To szkoda, mogłabym zaręczyć, że waćpan będziesz bardzo dobrym mężem...

JACEK.

Nie miałem wcale powołania.

KSIEŻNA.

Widać, żeś waćpan nigdy w życiu nie trafił na osobę, która by mu się podobała.

JACEK.

Bronilem się pokusom wszelkim.

KSIEŻNA.

Dziwna rzecz, że kobiety dozwoliły waćpanu pozostać tak, i nie starały się serce jego pozyskać. Wydziwić się temu nie mogę, tak miły i pełen przymiotów człowiek!

JACEK (*klania się*).

Wasza Książęca Mość zbyt jesteś łaskawą!

KSIEŻNA.

Bez pochlebstwa, wacpan mi się tak podobasz... ale to tak, że bardzo bym go bliżej poznać sobie życzyła.

JACEK.

Za prawdziwy to sobie mam zaszczyt, (*na stronie*) jeszcze mi się nie też podobnego w życiu nie trafiło. (*głośno*) Wasza Książęca Mość napelniasz mnie, niegodnego sługę swego, wstydem: gdzieby tak mizerne, jak ja, stworzenie, miało zwrócić wejrzenie dostojne Waszjej Książęcej Mości.

KSIEŻNA.

Na świecie (*wzdycha*) dziwne bo się trafiają sympatyje... osobliwsze od pierwszego wejrzenia pociągi... Znam naprzykład kanclerzynę...

JACEK.

Kanclerzynę!

KSIEŻNA.

Kanclerzynę Kurtenbach, Saksonkę prawda, która ujrawszy na ulicy garbatego jednego, jak się potem pokazało, lokaja, tak się w nim rozmiłowała, że za niego poszła.

JACEK.

Istotnie dziwna to była sympatya.

KSIEŻNA.

Wacpan przecie nie jesteś garbaty i nie lokaj... dlaczegożbyś się podobać nie miał... A wacpan nie czujesz też ku mnie trochę sympatii?

JACEK (*przestraszony*).

Ja! a! Mościa Książęno (*na stronie*) czy oszalała! (*głośno*) Gdyby nawet tak było, nie śmiałbym!

KSIEŻNA.

To przyjdzie później, bo tego rodzaju sympatyje są zawsze wzajemne.

JACEK (*na stronie*).

Choć uciekać.

KSIEŻNA.

Wacpan masz familią?

JACEK.

Nikogo na świecie: jestem zupełnym sierotą.

KSIEŻNA.

Doprawdy? to bardzo przyjemnie nie mieć krewnych; prawdziwie, jeszcze mi się wacpan przez to bardziej podobasz.

JACEK.

Ale familia, z której pochodzę, szlachecka.

KSIEŻNA.

I nie wątpię, że starożytna...

JACEK.

Pierwszy Sołoducha przybył na Litwę z Palemonem i fundował miasto Sołoduchówkę, w późniejszych czasach przezwane Oszmianą; mamy to w papierach...

KSIEŻNA.

Z fizyognomii znać dystygowany ród wacpana... Ostatni z rodu, prawdziwie, nie uwierzysz pan, jak mnie to cieszy.

JACEK.

Jako? żem ostatni?

KSIEŻNA.

Nie, ale żeś sam jeden; doświadczyłam na sobie, że najlepiej jest nie mieć familii: człowiek swobodny jak ptak.

JACEK (*sentencyonalnie*).

A cały ród ludzki składa jedną wielką familią.

KSIEŻNA.

Z wyjątkiem szalbierzów i trutniów.

JACEK.

Naturalnie.

KSIEŻNA.

Jakże się wacpanu wiodło w życiu? byłeś szczęśliwy?

JACEK (*wzdychając*).

Nie pochwałę się tém: los mnie prześladował.

KSIEŻNA (*smutno*).

Jak zawsze sprawiedliwych nęka: to i w Piśmie Świętém stoi.

JACEK.

Pierwszy to dom, w którym nieco spokoju zażyć mi się udało.

KSIEŻNA.

Zawsze w końcu Bóg nagradza... Wacpan tu zajmujesz się?...

JACEK (*żywo*).

Wszystkiemi gieneralnie i każdą rzeczą, która do mnie należy i nie należy, poszczególnie; pracować lubię, Mościa Książęno, i prawdę rzekłszy, umiem.

KSIEŻNA.

Nie ciężko tu wacpanu?

JACEK (*pokornie*).

W życiu ludzkiem potrzeba umieć i ciężary dźwigać.

KSIEŻNA.

Cóż to za szczęście téj wdowy, że sobie tak skutecznego przyjaciela znalazła: to dar boży, taki przyjaciel.

JACEK.

Wasza Książęca Mość znowu zawstydzasz pokornego sługę; rad jestem, że za kawał chleba mogę ludziom być użytecznym...

KSIEŻNA.

Wysoka bezinteresowność! wszystkie cnoty! Nie mówże wacpan więcej, abys mojej nie budził zazdrości.

JACEK (*na stronie*).

Jaka przyjemna kobieta! Ktoby się domyślił, że niemiecka księżna! ani znaku!... Dalipan to specyjał taka wdowa!

KSIEŻNA.

Ale wacpan nudzisz się ze mną, a tu nas opuszczono we dwoje, czemum ja bardzo rada, bo milszego nie mogłam sobie dobrać towarzysza. Jest tu ogród, panie Jacku?

JACEK.

Stary, szpalerowy.

KSIEŻNA.

Możebyśmy się po nim przeszli; chciałabym obszerniej z panem pomówić i poradzić się o administracyą mojego księstwa...

JACEK (*zmieszany*).

Po ogrodzie? sami? my?... to jest.. ja bardzo chętnie, ale czy to będzie przyzwoitęm dla Waszjej Książęcej Mości?

KSIEŻNA (*śmiejąc się*).

Dla mnie? dla mnie wszystko jest przyzwoite, co ja chcę, a nieprzyzwoity, ktoby mi śmiał zaprzeczyć i nie postąpić według mojej woli. Chcę użyć powietrza: daj mi rękę i pójdziemy do ogrodu.

JACEK (*na stronie*).Herod-baba, ale bardzo przyjemna! Jakie oczy! (*głośno*) Służę Waszjej Książęcej Mości! (*na stronie*) Jednak jak mnie z nią tak zobaczają!(*Wychodzą. Grzesz wchodzi drzwiami drugimi i patrzy długo za nimi*).

S C E N A V.

GRZESZ *sam, zamyślony.*

Sasafras! sasafras! niepojęte dziwy! Wzięli się pod ręce i poszli do ogrodu. Księżna! piękna to jakaś księżna, daj go katu, kiedy zaraz ten specyjał tak jej przypadł do smaku, że go sobie przywłaszczyła! Swój swego wszędzie dopyta. Ależ winszuję dobrego gustu! Chyba to dlatego, że Niemka, to jej się ten ślędz holenderski tak podobał. Al! gdyby go też za sobą raczyła wziąć do Saksonii, obchodziłbym ten dzień uroczyste całe życie, albo bym go zapościł! Ale gdzie tam, prędko ona pozna pana Jacka, że z nim zabawa niebezpieczna. Sasafras!

S C E N A VI.

GRZESZ — ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

Jakie hasło? co słyhać?

GRZEŚ.

Awantury, Rotmistrzu! Przyjechała jakaś niemiecka księżna, sasafraś! niewiele myśląc, wzięła sobie pana Jacka poufaluć pod rączkę, i zaprowadziła się z nim do ogrodu.

ROTMISTRZ.

Jakto? z panem Jackiem poszli do ogrodu, nos w nos, oko w oko? A to śliczne mi rzeczy powiadasz!

GRZEŚ (z przerażeniem).

Na moje własne oczy widziałem; a to okazuje jawnie i dotykalnie, jaki to człowiek niebezpieczny: ledwie go zobaczyła, już ją skonwinkował!

ROTMISTRZ (śmiejąc się).

O! Herod-baba!

GRZEŚ.

Baba jak baba, ale ten jegomość to ptaszek: on wszystkiemu winien! A pan Rotmistrz, cobyś miał na to radzić, śmiejesz się.

ROTMISTRZ.

Cicho, bądź spokojny!

GRZEŚ.

Ależ pan widzisz, co to za czarnoksiężnik! Ot, taki naszą panią opanował. Jego trzeba koniecznie stąd wyparować.

ROTMISTRZ.

Cicho, cicho, ot i Basia!

S C E N A VII.

ROTMISTRZ—BASIA—GRZEŚ.

BASIA.

Gdzież się księżna podziwała?

ROTMISTRZ.

Gorąco ję tu było: poszła się z panem Jackiem do ogrodu ochłodzić.

BASIA (zdziwiona).

Z panem Jackiem? nie może być!

ROTMISTRZ.

Takci jest, swój swego zaraz pozna: on pobożny, ona pobożna; on skromny, ona skromna; on pocziwy, ona zacna: podobali się sobie; a że pan Jacek rezolutny i śmiały, wziął ją pod rękę i poszli.

BASIA.

Już ciż z miny trudno by się ję tak podobał, a poznać go nie miała czasu.

ROTMISTRZ.

Dobry ma nos i dużo przeczucia...

BASIA.

Przyznam się, że to dziwne postępowanie mnie zastrasza. To jakaś osobliwsza kobieta!

GRZEŚ (na stronie).

I ja tak mówię, z pozwoleniem, sasafraś!

ROTMISTRZ.

A mnie to ani dziwi, ani straszy: ja ją lepiej znam od was. Pelen otwartości charakter podobał się: czemu nie miała mu tego okazać? Nudzić się nie lubi: toć i mnie tak w drodze w niewolę zabrała.

BASIA.

Przyznam się, że nie wiem, jak ją tu zajmiemy?

ROTMISTRZ.

Na to my jesteśmy z Petryllą: zabawimy ją we dwojgu!

BASIA.

Czy i Petryllo będzie?

ROTMISTRZ.

Musiąłem go wziąć w sukurs, bobym sam księżnie nie wystarczył.

BASIA.

Zaprosiłeś go?

ROTMISTRZ.

Z ukosa.

BASIA.

Bardzo mu zawsze rada.

ROTMISTRZ.

Dobrze robisz, bo to zacny człowiek. Idź, Grzesiu, każ tam nakrywać.

(Grzesz wychodzi).

Tak, tak, siostruniu kochana; a najlepšíjbyś zrobiła, żebyś odwołujać niebaczne słówko, podała mu rączkę i została jego żoną. Z serca życze!

BASIA.

Nie mogę tego uczynić, nie mogę!

ROTMISTRZ.

Dlaczego?

BASIA.

Ja i Marta dałyśmy sobie słowo.

ROTMISTRZ.

Dałyście sobie i możecie go sobie odebrać. Słowo, to taka rzecz, że ci jęj nie zabraknie; ani poczujesz. Za króla Kazimierza był szlachciec, który dał sobie słowo, że się obwiesi, jeśli mu wdowa, o którą się starał, odmówi: pojechał, dostał grochowy wieńiec; po drodze schwycili przyjaciele, do panny zawieźli i ożenili. Pytają go potem: „a słowo?” Rzecz na to: „obwiesiłem się na szyi mojej żony, a cóż chcecie?” I nikt na to nie rzekł, bo miał rozum.

BASIA (z uśmiechem).

Ja się wieszać, ani iść za mąż też nie myślę. Ty to wszystko, braciszku, bardzo sobie po żołniersku bierzesz.

ROTMISTRZ.

Jak kto dźwignie, tak bierze. Prawda, że żołnierski mam rozum, ale i tym nie gardzić. Ale poczekawszy, może cię ta księżna nawróci, kiedy już i pana Jacka zaczęła na swoje wiare przerabiać.

BASIA.

Tegom ciekawa!

ROTMISTRZ.

A gdyby się jęj udało?

BASIA (śmiejąc się).

A! to jużbym i ja zmieniła postanowienie.

ROTMISTRZ (zbliżając się).

Dobrze; rozmówmyż się wyraźniej: jeśli pan Jacek oświadczy się księżnie, ty przyjmiesz Petryllę?

BASIA (śmiejąc się).

A! w takim razie mogę obiecać.

ROTMISTRZ.

Słowo?

BASIA (ciągle się śmiejąc).

Najmocniejsze!

ROTMISTRZ (zacierając ręce).

Słowo się tedy rzekło, siostruniu, i cicho!

BASIA.

Jaki ty jesteś zabawny!

ROTMISTRZ.

Ja zabawny, ale i wszyscy się tu podobno doskonale zabawimy z łaski księżnej jejmości. Mam waścine słówko, pani siostro; mam słówko!

BASIA.

Masz je, masz; nie odwołuję.

S C E N A VIII.

CIŻ — PETRYLLA O.

ROTMISTRZ.

O wilku mowa, a wilk za plotem. Dobrze, że się na apel stawiasz: mamy gości, będziem się umizgać okrutnie. Księżna piękna i powolna; a kiedy Basia dała sobie słowo zostać mniszka wraz z panną Martą, my musimy uciec się aż do konsolacji gdzieindziej.

BASIA (trąca go, poćichu).

Co pleciesz, bracie?

ROTMISTRZ.

Szczera prawdę! A cóż, nie jest tak? Ciebie zbałamucił pan Jacek, ty zbałamuciłaś pannę Martę; musimy więc odegrywać się gdzieindziej. Więc, kochany sąsiedzie, darmo już nie zerkaj na Basię, bo to nie dla ciebie kasek, i chodźmy się księżnej zalecać na wyprzódki. Wdówka, bogata... weźmiemy się oba do niej: zobaczymy, kogo wybierze? Tymczasem na przekąskę wzięła pana Jacka!

BASIA.

Ej! Rotmistrzu! godziź się to tak, godzi z biednych kobiet żarty stroić?

ROTMISTRZ.

A oneż z nas nie stroją żartów? Chciałybyście, żebyśmy odprawieni z grochem, wciąż taki do was tylko wzdychali; ale to nie może być: nieprawdaż, Petryllo?

PETRYLLO.

A! może być, Rotmistru! Ja przynajmniej zostaję przy starym obyczajach.

ROTMISTRZ (*ciągąc go*).

Ale-no, chodź tylko, księżnę zobacz; inaczej mi zaśpiewasz.

PETRYLLO.

Nie pilnego. Pani cześnikowo dobrodziejko, proszę tego nie kłaść na mój rachunek.

BASIA.

Rachunków z sobą nie mamy. (*woła*) Marto! Marto! chodź-no w pomoc, bo sobie sama z Rotmistrzem nie dam rady!

(*Wchodzi Marta ze drzwi prawych*).

SCENA IX.

CIŻ — P. MARTA.

BASIA (*do Rotmistrza*).

Powtórzcie-no przy Marcie, co proponowałeś sąsiadowi.

P. MARTA.

Co takiego?

ROTMISTRZ.

Zaraz się panna Łowczanka dowięd, bo jeśli głupstwo robię, mam to do siebie, że się chętnie do tego przyznaję. Otóż rzecz taka: panieście naszym afektem wzgardziły, więc ja, Petryllo, p. Jacek, wszyscy hurmem poczynamy się do księżnej zalecać. Pan Jacek nawet, jako najskorszy, już skutecznie się jął dziela, i jejmość do ogrodu poprowadził; gdy powrócą, kolój na nas!

P. MARTA (*rusza ramionami*).

Cóż dziwnego, że u wacpanów nowe siteczko na kolku?

ROTMISTRZ.

E! byłoby i stare, gdyby samo nie zleciało.

PETRYLLO.

Dobrze wacpan mówisz: myśmy nie zrzucili sitka, samo się wyrwało.

P. MARTA.

A nam to co szkodzi, że wacpanowie do księżnej zalecać się będącie? Ona się pośmieje, my także, i koniec.

ROTMISTRZ.

A jak którego z nas sobie wybierze?

P. MARTA.

Niech go sobie weźmie!

PETRYLLO (*do Rotmistrza*).

Nie nastraszyła się wcale, Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Jeszcze bo też nie ma nic; zobaczmy dalej, tylko sza! To strachy na lachy. Ale ty, Basieczku, powinabyś już wyzwolić i pana Jacka i księżnę jejmość, a pójść po nią do ogrodu, żeby na pierwsze danie nie zanadto znowu miała tego specyału. Panu Jackowi też gotowo zabraknąć wątku do rozmowy.

BASIA.

Kiedy się nas pozbywają, chodźmyż doprawdy.

(*Wychodzą z Martą do ogrodu drzwiami w głębi*).

ROTMISTRZ.

A my dokąd?

PETRYLLO.

Ja za cześnikową, trochę się przejdę po ogrodzie.

ROTMISTRZ.

Zaraz i ja was napędzę, ale muszę trochę dać gębie spocząć, bo mi się wystrzępila od wczorajszego dnia.

(Petryllo odchodzi, Rotmistrz siada w krześle i wyciąga się; po chwili wchodzi p. Jacek ocierając pot z czoła, drzwiami z głębi).

SCENA X.

ROTMISTRZ—P. JACEK.

JACEK.

Al pan Rotmistrz kochany tu!

ROTMISTRZ.

A wacpan gdzieżes Księżnę porzucił?

JACEK.

To ona mnie porzuciła... Zobaczywszy te panie, poszła do nich.

ROTMISTRZ.

No! prawda, heród-baba! Wacpan zawsze masz słuszość: przeczułeś, że nam z nią będzie niewygodnie! Gwałtuby jęj się ztąd pozbyć! Przekłeta Niemka!

JACEK.

Hm! Już to ona nie jest Niemka, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Niemka, czy nie... ale mi się nie podoba; chwyciła saskich obyczajów.

JACEK.

Niewiele uważałem tego, kochany Rotmistrzu.

ROTMISTRZ.

Obcesowa... natrętna!

JACEK.

To owszem prostota i otwartość, jeśli mogę uczynić tę uwagę..

ROTMISTRZ.

Pocziwa z waszeci dusza, wszystko starasz się uniewinnić, a ja taki, choć ja tu sam wprowadziłem, powiadam, że utrapienie anić z nią będziemy; pozbyćby się nam jęj co rychlęj.

JACEK.

Ja tam nie wiem, jak się wacpaniśtu podoba... ale znowu...

ROTMISTRZ.

Co znowu?

JACEK *(jąkając się)*.

Obca osoba, księżna, respektby jakiś mieć należało dla stanu położenia... przytém chora.. Zresztą gdyby i zabawila cokolwiek, cóż to szkodzi?... Prawa gościnności są święte.

ROTMISTRZ.

Tym sposobem świerszczów i myszy nie godziłoby się pozbywać z domu...

JACEK.

Sądę też, jeśli mi wolno uczynić uwagę, że pani cześnikowej przykroby było, gdyby tak prędko stąd odjechała.

ROTMISTRZ *(na stronie)*.

Już go ma dobrze! *(głośno)* Ale bestya Niemka, niczego, prawda p. Jacku?

JACEK.

Jużciż... zapewne... tak... *(spluwa)*.

ROTMISTRZ.

Młoda: widziałem metrykę u koniuszego, lat 20, miesięcy sześć, tygodni dwa, dni cztery; ładna, nie zaprzeczysz; bogata jak Krezus: ot to kąsek, mosanie, komu się to dostanie!

JACEK *(obojętnie)*.

Wszystko to marności światowe!

ROTMISTRZ.

Wszystko marności, prawda; ale nim to do licha zmarnieje, wartoby, żeby się kto pocieszył... Ja pierszy myślę się dobrze wziąć do Jejmości.

JACEK *(zdziwiony)*.

Kto? kochany Rotmistrzu! wacpan? wacpan?

ROTMISTRZ.

Ja! albo co?

JACEK.

A panna Marta?

ROTMISTRZ.

Kiedy mnie nie chee...

JACEK (*powoli*).

Tak! pono postanowienie uczyniła nie iść za męż... tylko, że to te postanowienia bywają odmienne. Myśl wspaniała nie ugiąć się pod jarzmem małżeńskim, ale czy w niej dotrwa?

ROTMISTRZ.

Trudnoż mnie dwadzieścia lat czekać, czy wiatr nie powieje inny..

JACEK.

Widać, że wacpan nie masz prawdziwego przywiązania.

ROTMISTRZ.

No! ja jak ja: może się oprę pokusie; ale co Petryllo, któremu Cześnikowa formalnego dała odkosza, ten ręczę, że pójdzie w konkury, i spodoba się jój pewnie.

JACEK.

Sądzisz pan??

ROTMISTRZ.

A cóż? charaktery dobrane: oboje weseli, trzpioty...

JACEK.

Jeśli mi wolno uczynić uwagę, Księżna jest osobą wcale poważną i charakteru surowszego, niż się zdaje.

ROTMISTRZ.

E! to ci się tak zrazu wydało: niechno skrzypki zagrają... Właśnie Petryllo umyślił ją prosić do siebie do Zabłocia, i nas wszystkich także; będziemy mogli rozruszać się trochę.

JACEK (*żywo*).

Jakto? już ją widział? już zamyśla?

ROTMISTRZ (*tajemniczo*).

Miedzy nami mówiąc, zdaje się, że go zajęła mocno.

JACEK.

Płochy człowiek: zawszem go takim sądził.

ROTMISTRZ.

Czegóż będzie znowu czekał? nasze kobiety nie chcą słuchać nawet o małżeństwie, próżnobyśmy wyglądali, kiedy się tak uparli: trzeba szukać gdzieindziej sześcio.

JACEK.

Albo i biedy, jeśli wolno uczynić uwagę; że też panowie nie myślicie o czém inném, tylko o niewiastach.

ROTMISTRZ.

Ba! żebyśmy tak byli święci ludzie jak wacpan, co bożej woli nie czujesz, a szatana odpędzasz dyscypliną! Ale Petryllo hrecz-kosiej, nudno mu w domu, ja konfederat poddeptany; obu nam żonyby się przydały: o czémże myśleć mamy, jeśli nie o kobiecicach.

JACEK.

Jużciż jedną Księżną na wszystkich zamało.

ROTMISTRZ.

Niech sobie wybiera; (*po chwili*) ale i wacpan coś u niej w lasach (*uśmiecha się*).

JACEK (*zmieszany*).

Ja? ale gdzież tam!

ROTMISTRZ (*grożąc mu palcem*).

Łatwo to by o dostrzedz; co za dziw! Ta kobieta i anachoretęby obalamuciła; a do wacpana zaraz jakąś uczuła sympatyę byłbyś z kamienia, żebyś jój się nie wywzajemnił... Ot, kto wie czy nas jeszcze nie odsadzisz.

JACEK.

Ale, cóż znowu! skądże posądzenie?

ROTMISTRZ.

Wygadała się pono, żeś się jój waszmość podobał.

JACEK (*spuszcza oczy*).

Ale nie! ale nie! gdzieżby się wygadała!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

A toby było pocieszenie.

JACEK (*spluwa*).

Tfu! bałamuctwo!

ROTMISTRZ.

Zostaw to nam dwom, dla ciebie to niezdrowa potrawa: tobie z tego nie... Kiedyś z Męciszewskim w Sokalu nad Bugiem przynieśli nam węgorza, a trzeba wiedzieć, że oba go pasyami lubimy..

Mój człowiek go przyrzadził zawieszisto z sosem i rodzenkami, aż miło; podają na stół: wtém utrapienie przynosi Konarskiego, a nam aż ślinka ciecze do węgorza, którego tyle co na dwóch. Męszewski wpadł na koncept: jak zaczął prawić o tych, co się węgorzem potruili i pomarli, Konarski ani ruszył, a myśmy we dwóch zjedli i zdrowi byli. Nie jedźże waś naszego węgorza

(*odchodzi śmiejąc się*).

SCENA XI.

P. JACEK (*sam*).

Nie mogę się jeszcze opamiętać, i wypadaloby sobie uczynić niektóre uwagi... Księżna wyraźnie, jasno i oczywiście daje mi do zrozumienia, że ją wpadł w oko, z powodu tego osobliwszego podobieństwa do nieboszczyka jej konkurenta. Gdyby to miała być prawda, rzecz niegorsza! tentująca! awantura jedyna! Byleby mi Petryllo z Rotmistrzem nie przeszkadzali, mogę zajść daleko! Kto wie! trafiają się po świecie dziwniejsze rzeczy. Ale ci, jak się uwiezma po swojemu, nie sprostam im, bo do kobiet nie mam wprawy i konkurencyi nie wytrzymam: przez nogę mnie przesadzą. Potrzeba ich oddalić, a niema innego sposobu tylko ich do starych amorów odesłać: te panie nadto się z niemi ostro obchodzą, należy wpłynąć na to, by ostatecznej nie odbierały im nadziei! Chytr, mudro, mógłbym ja to dokazać... (*myśli*) Da się zrobić; kobiecie łatwiej wmówić, by była czulszą, niż wstrzymać od afektu... tak uczynię... Otóż i panna Marta, od niej pocznę...

SCENA XII.

P. JACEK — P. MARTA.

JACEK.

Gdzież to pani Rotmistrza rzuciła?

P. MARTA.

A cóż on mnie obchodzi? poszedł za Księżną.

JACEK.

Co obchodzi? wszakże to dawny służka pani?

P. MARTA.

Odprawiłam go przecie, jako wiecie, i może sobie nową służbę szukać, bo mu się kontrakt skończył.

JACEK.

Ho! ho! skończył!

P. MARTA.

Nie wierzysz?

JACEK.

Nie spełna, a myślę sobie, po co go do desperacyi doprowadzać ostatecznej?

P. MARTA.

A na cóż go uwodzić?

JACEK.

Zapewne! zapewne! Ale gdyby też nikt za męża nie szedł?

P. MARTA.

To cóż! sam wacpan powiadasz, że byłoby najlepšíj.

JACEK (*powoli sentencyonalnie*).

To jest nie generalna reguła, ale dla wybranych, dla wybranych; pospolitsze zaś, słabsze istoty...

P. MARTA.

Dziękuję: widocznie liczysz mnie wacpan do pospolitych i słabych.

JACEK (*tak samo*).

Uchowaj Boże! Jednakże rada, którą ośmieliłem się uczynić pani Cześnikowej jako wdowie, nie daje się ściśle stosować do panny Łowczanki: wielka jest bowiem różnica między stanem wdowim a panińskim.

P. MARTA.

Co się dziś wacpanu stało?

JACEK.

Ale ja zawsze jedno prawie i ośmielam się uczynić uwagę, że nie zmieniam zasady.

P. MARTA.

Jak żyję, nicem podobnego od wacpana nie słyszała.

JACEK (*wzdycha*).

Jakto trudno być od ludzi zrozumianym!

P. MARTA.

Przecież nie jestem tak ograniczona... dziś się panu zebrało na komplementa.

JACEK.

Przepraszam! (*do siebie*) ot tom sobie biedy napytał: nie miałem w myśli...

P. MARTA (*do siebie*).

Co jemu jest?

JACEK.

Gdybyś pani raczyła posłuchać uwagi, którą się uczynić ośmielę...

P. MARTA (*urazona*).

To może znowu wacpana nie zrozumieć... Cały rok prawie wacpan przeciwko małżeństwu, a teraz nagle bierzesz je w obronę.

JACEK (*argumentując*).

Nie jestem za niem dla wszystkich, ani przeciwko niemu dla wszystkich. Czy panna Łowczanka uczyła się dyalektyki?

P. MARTA.

Dajże mi wacpan ze swoją lektyką pokój!

JACEK (*poważnie*).

Dlatego to wacpanna mnie nigdy nie zrozumiesz. Jest bowiem prawda generalna, i prawda *quo ad casum... ad personam*; co przedziwne dla Cześnikowej, to dla panny Łowczanki może być niewłaściwe. Tak! uczyniłbym tę uwagę.

P. MARTA.

Co mu dziś jest?

JACEK.

Gdyby panna Łowczanka miała swój dom, niezależność, rodziców, święciej byłoby może nie iść za mąż i ślubować paniństwo wiekiste; ale w jej położeniu, gdy przyjdzie starość, osierocenie, brak podpory a potem z tego urodzą się narzekania na Opatrzność... co się ma obrażać niemi Boga, lepiej wziąć męża.

P. MARTA (*składając ręce*).

Wacpan to mówisz!!

JACEK.

I zawsze to mówiłem.

P. MARTA.

Gdzieżem była, żem tego nie słyszała! Więc za mąż pójść nie jest grzechem?

JACEK.

Nawet cnotą... to zależy...

P. MARTA.

I niekoniecznie potem prowadzi za sobą nieszczęście?

JACEK.

Tu różnie się trafia: wybór osoby, ośmielę się uczynić uwagę, grunt; jeśli stateczny, łagodny, przywiązany...

P. MARTA.

Jak Rotmistrz naprzykład?

JACEK.

Może mieć wiele z tych przymiotów!

P. MARTA.

Doprawdy, nie poznaję wacpana... nawet Rotmistrz!

JACEK.

Godny i zacny człowiek... zawsze to mówiłem i powtarzam... tylko panna Łowczanka pokornego sługi swego rozumieć nie chce.

P. MARTA.

Dziś doskonale rozumiem.

JACEK.

Alem zawsze mawiał: sprawa gardłowa! małżeństwo! sprawa gardłowa! Dobrze się trzeba zastanowić, płocho nie iść, serce badać, a gdy się okaże inklinacja i wola boża... cóż począć! lepiej ślubować niż żałować!

P. MARTA.

Cóż to zagadało przez wacpana?

JACEK (*żywo*)

Ośmielam się uczynić uwagę, że to zawsze mówił.

P. MARTA. (*stoi zdziwiona*).

Prawda, że chyba go nie rozumiała.

S C E N A XIII.

CIŻ SAMI—BASIA *wchodzi od ogrodu*.

P. MARTA.

Chodźże, chodź, a posłuchaj, co pan Jacek prawi, zalecając święty stan małżeński.

BASIA.

Żartujesz chyba!

JACEK (*zmieszany*).

Panna Łowczanka nie chce mnie rozumieć...

P. MARTA.

Niechże powtórzy tobie kazanie, które mnie prawił: sama osądzisz.

JACEK.

Najchętniej wypowiem, bo to są te maksymy, które ośmielałem się nieraz już głosić. Że lepszy stan beżenny, to pewna; że stan wdowi błogosławiony, niema wątpliwości; że w małżeństwie są niebezpieczeństwa wielkie, doświadczona; że to jarzmo złote, ale jarzmo... nie pewniejszego: ale że nie wszyscy do doskonałości stworzeni, i to prawda.

P. MARTA.

Szczególniej, widać, ja nie do niej stworzona jestem, bo mi pan Jacek dowodzi, że powinnam iść za męża.

BASIA (*dq Jacka*).

Czyż tak? czy tak?

JACEK (*zakłopotany*).

Ale nie, inaczej to było. Zgadalo się o różnych rzeczach: spostrzegłem, że afekt Rotmistrza do panny Łowczanki jest bardzo głęboki i szczery: skierować się ośmieliłem uwagę jej na to... Któż wie, czy nie lepiej dać sobie czas do rozmyśłu, nie odpychać go całkowicie, zostawić mu jakąś nadzieję? Człowiek doprowadzony do rozpacz...

BASIA.

Rozpacz! Cha! cha! dalekoż jeszcze do tego! Oba oni z Petryllę takie do księżnej koperczaki stroją, tak się śmieją i skaczą przed nią, aż strach!

JACEK (*żywo*).

Doprawdy? To źle! to bardzo źle! to najgorzej!

BASIA.

A cóż złego? Znalazł swój swego.

JACEK.

Pani to bierzesz tak chłodno?

BASIA.

Martwić się nie mam czém. Chwała Bogu, że i Petryllo wybił sobie z głowy próżne konkury. Niech się zaleca!

JACEK.

I on tam! oba przy niej?

BASIA.

Oba.

JACEK.

A księżna?

BASIA.

Szezerzy do nich zębki, aż miło.

JACEK (*oburzony*).

To bardzo źle! to niegodziwie!

(*Chodzi żywo*).

Dosyć, że nigdy mnie nie rozumiecie państwo.

BASIA.

I ja?

JACEK.

Ośmielę się uczynić uwagę, że i pani Cześnikowa; bo po cóż było zrazić tego zacnego, kochanego Petryllę?

BASIA.

Jakto? sam wacpan radziłeś!

JACEK.

Ja? uchowaj Boże!

BASIA.

Mówiłeś o niebezpieczeństwie przywyknienia, o niewoli małżeńskiej.

JACEK (z przyciskiem).

Generalnie, ale nie partykularnie! Petryllo człek otwarty, szczery, godny.

BASIA.

I jam go zawsze za takie miała.

JACEK.

To prawda, zem się nie radził śpieszyć; mówiłem zawsze: *festina lente*.

P. MARTA.

Festynów żadnych nie było.

JACEK.

Nikt mnie nie rozumie...

BASIA.

Po cóż wacpan po łacinie z nami mówisz?

JACEK.

Stary nałóg! Ale doprawdy, Cześnikowo dobrodziejko, ośmielę się uczynić uwagę, że na wszelki wypadek szkoda człowieka, tego Petrylly.

BASIA.

Wacpan to mówisz?

JACEK.

Zawszem to dawał do zrozumienia, chociaż niewyraźnie.

BASIA.

Bardzo jakoś niewyraźnie.

JACEK.

I teraz wartoby go od tej księżnej odciągnąć, żeby nie mieć takiego bałamuctwa na sumieniu.

BASIA (do Marty).

Co mu się stało?

P. MARTA.

Nie wiem; ale to pewna, że takim go pobłażającym nie pamiętam.

JACEK (powoli, dobitnie).

Est modus in rebus! Niepotrzeba ani nazbyt ośmielać, ani raptownie odpychać; niekoniecznie iść za męża, ale można być grzeczną, i, ośmielać się uczynić uwagę, nieco powolniejszą... Któż wie, a jeśli się dowodnie okaże i moc przywiązania i wola boska?

BASIA (żywo).

To możnaby pójść za męża i wdowie?

JACEK (skłopotany).

Nie mówię, by dobrze było; ależ w tym nie ma grzechu.

BASIA.

Ja zawsze sobie tak myślałam. Chwałaż Bogu!

P. MARTA.

Widać, żeśmy go obie nie rozumiały!

(Odchodzą w prawo).

JACEK (sam).

Otóż masz! wygadałem się zbyt stanowczo. Jakże je teraz będzie znowu, gdy przyjdzie potrzeba, na dawną drogę zawrócić? Ciągłe kłopoty! (podnosząc oczy i ręce do góry) Chyba Opatrzność z nich wydzwignie ręką wszechmocną! (wzdycha).

S C E N A XIV.

JACEK—od ogrodu wchodzi KSIĘŻNA.

KSIĘŻNA (do Jacka).

Stój pan, czekaj; wszędzie go szukam i znaleźć nie mogę! Ledwie się pozbyła natrętów... Gdzież są panie?

JACEK.

Tylko co odeszły. Wasza książęca mość prawdziwie łaską swą przywodziś mnie do konfuzji.

KSIĘŻNA.

Szczerze mówię, żeś mi się wacpan bardzo podobał. U nas,

w Saksonii, nie ma tych ceregielów co w Polsce; jeżeli, szczególnie wdowie, podoba się mężczyzna, przychodzi wprost do niego, ot tak jak ja do wacpana, i mówi mu, gładząc go pod brodę:

(*P. Jacek się cofa*).

Serdenko, kocham cię, i... kwita.

JACEK.

Przyjemny bardzo obyczaj, ale...

KSIEŻNA.

Ja znajduję także, iż dogodny jest, krom głaskania pod brodę, bo to już można na później zostawić. I choć to w Polsce, ale jako księżna saska, zdaje mi się, że mam prawo, choć trochę obcesowo, powiedzieć wacpanu, że mi bardzo przypadłeś do smaku.

JACEK (*kłania się*).

Byłoby to szczęście dla mnie nad zasługę.

KSIEŻNA.

Póki tu ich niema, siadaj; pogadamy sobie.

(*Jacek i księżna siadają obok siebie*).

JACEK.

Co mi wasza książęca mość rozkaże?

KSIEŻNA.

Słyszę tu od wszystkich, że z wacpana wielki nieprzyjaciel małżeństwa?

JACEK.

Ze mnie? Uczynię waszój książęcej mości uwagę, że dołą moją jest być niezrozumianym od ludzi.

KSIEŻNA.

Cześnikowa, panna Marta, Petryllo, Rotmistrz: wszyscy mówią, żeś ich zdysgustował całkiem od małżeństwa, i postanowili, skutkiem jego namowy, wyrzec się słodyczy tego stanu.

JACEK (*skłopotany*).

Ale wasza książęca mość nie dajesz temu wiary, spodziewam się; umysł jej wzniósł się pojmie łatwo, że są prawdy różne, wedle położenia, usposobienia, wieku i charakteru człowieka. A co się tyczy wdów... (*do siebie*) o mało głupstwa nie wyrzekłem.

KSIEŻNA.

Gadaj-no dalej, bo jeszcze nie rozumiem, choć istotnie umysł mam bardzo wzniósł.

JACEK.

Co dobrém jest dla wdowy...

KSIEŻNA (*przerywa*).

To mnie właśnie obchodzi najwięcej, bom wdowa...

JACEK (*kończąc*).

I wdowy niskiego stanu, małej fortuny, jak cześnikowa, to może nie przystoi pannie lub osobie tak wysoko położonej, téj krwi i pozycyi co w. ks. mość.

KSIEŻNA.

Co to ma za związek z krwią? Dość, że wacpan wdowom nie pozwalasz iść za męża.

JACEK.

Ja? uchowaj Boże! owszem zalecam; ale obstać przy rozumnym wyborze. Tu samo rzeczy ognisko, tu waga, wybór wedle głowy, serca i wszelkich konsyderacyj...

KSIEŻNA.

Rozumiem; to znaczy: gdyby która wacpana chciała, co innego, a gdyby inszego, co innego znowu.

JACEK.

Nie o mnie tu chodzi, ale o przymioty pretendenta, aby był... nie płochy.

KSIEŻNA.

Nie frant.

JACEK.

Nie szalawiła, nie pustak, nie zaśniedziały jakiś hreczkosiej.

KSIEŻNA.

Rozumiem.

JACEK.

Wreszcie, tu pociąg i sympatya grunt rzeczy.

KSIEŻNA.

Masz słuszość: gdzie niema sympatyi wzajemnej, tam trudno, by było pożyte dobre. Cóż dalej?

JACEK.

Ale jeśli są wszystkie warunki, małżeństwo staje się nietylko dobrém, ale konieczném. Zawsze czynilem tę uwagę.

KSIEŻNA.

Jakże mi to miło, że wacpana tak mówiącego słyszę! Zaraz muszę wywieść z błędu cześnikową, która czule spogląda na sąsiada, on na nią, a zbliżyć się do siebie nie śmieją.

JACEK (*z westchnieniem*).

Specyjalny Petryllo, że znalazł w życiu port spoczynku i cień życzliwości, pod którym wytechnie.

KSIEŻNA.

Czyżbyś mu wacpan zazdrościł?

JACEK.

Nie osoby, ale afektu.

KSIEŻNA.

Rzecz rzadka w teraźniejsze czasy, afekt stały i szczery.

JACEK.

Rara avis in terris! to jest...

KSIEŻNA.

Nie tłumacz pan: rozumiem po łacinie.

JACEK (*zdziwiony*).

I po łacinie rozumię! Co to za kobieta!

KSIEŻNA.

Uczyłam się na akademii w Padwie... Ale wracając do afektów, trzeba wiedzieć, że z niemi tak, jak w grze: im kto dłużej przegrywa, tém pewniejszy, że w końcu na pewno trafi... A wacpan to nigdy się w życiu nie kochał?

JACEK.

Nigdy, chociaż... chociaż czuję, że mam zdolność do tego.

KSIEŻNA.

Mógłbyś się zakochać? Możeś już zakochany?

JACEK (*skromnie*).

Jeszcze nie wiem, ale się tego lękam właśnie...

KSIEŻNA.

Nie masz się wacpan czego lękać...

JACEK.

A jeśli przedmiot afektu nie odpowie mojemu przywiązaniu?

KSIEŻNA.

Cóż znowu? Chybaby szczęśliwa ta niewiasta oczów i serca nie miała! Choć od niedawna mam przyjemność znać wacpana, ale szczerze mówię, że gdybyś się wacpan nawet w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym... (*z przyciskiem*) zobaczymy!

(*Odchodzi w prawo niby zmieszana; Sołoducha pozostaje zamyślony*).

S C E N A XV.

JACEK—*później* GRZEŚ.

JACEK.

Czy mi się nie przysłyszało, jak rzekła: „Gdybyś się wacpan w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym: *zobaczmy!*“ To wyraźnie, aż nadto wyraźnie! Oho! jest tedy rzecz! Idę, ogolę się i ubiorę, aby galante wystąpić. Cześnikowa mały ptaszek przy niej, to gruba co się zowie zwierzyna: młoda, bogata i księżna! A że się król jegomość do niej zalecał, kto wie, co mnie czeka? (*mówi powoli z przestankami*.) Naprzód małeńkie starostwo... naturalnie, na początek; dalej kasztelanijka drażkowa... Cicho, sza, to jeszcze nie! aż i województwo *in partibus!* Dalej łapię urzędzik nadworny malutki, potem laseczkę lub buławkę, i siedzę w ministeryum między senatorami!

(*Siada szeroko i nadyma się*).

GRZEŚ (*wpada nagle*).

Proszę wydać owsa dla koni!

JACEK.

A! a!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

Ta sama dekoracja.

SCENA I.

ROTMISTRZ.—GRZEŚ.—RÓZIA.

ROTMISTRZ.

Wszystko tedy idzie jak z płatka! księżna nasza dokazuje cudów, pan Jacek zmieniony do niepoznania, przylgnął do niej, i inném okiem patrzy na nasze zaloty; cześnikowa nie odpędza Petrylly; mnie panna Marta dziś trzy razy dała się w rękę pocałować: spodziewam się, że i wacpanna Grzesiowi nie bédziesz okrutną?

RÓZIA (*figlarnie*).

Muszę iść za przykładem starszych.

ROTMISTRZ.

Choć nie rada!

GRZEŚ.

Sasafras! U nas sług, zawsze ciągnie się wszystko za panami: napatrzwszy się, nasłuchawszy, musimy ich piosnkę śpiewać. Niech pan tylko zważa, który tylko pan w karty grywa, pewnie

ludzie jego na dyszlu tną w družbarta; który koperczaki stroi, już tam przy nim gachy; który pieniądze dusi, pewnie ma służbę lichwiarzy. Otóż i tu, musimy z panną Rozalią akomodować się do wiatru, jaki powieje, a że szczęśliwa aura zawiała ku ślubnym kobiercom, i nasza nawa ku nim dąży: byle się nam tego specyalityka pozbyć, ile nas jest, staniemy w rzęd do ołtarza.

ROTMISTRZ.

Cierpliwości! chwila niedaleka, byle język Petrylle nie zaświerzbiał, a nie wygadał się niepotrzebnie. Lada chwila p. Jacek księżnie się oświadczy, a mam słowo Basi, że skoro go zobaczy w tym stanie, sama postanowienie odmieni. Trzeba tylko tak urządzić wszystko, aby w chwili stanowczej nasze panie mogły oracyi pana Jacka posłuchać.

RÓZIA.

Ale czyż do tego przyjdzie?

ROTMISTRZ.

Wolą czy niewolą, musi.

RÓZIA.

Ja nie wiem, ale się czegoś boję, bo się coś knuje, czego nie rozumiem.

ROTMISTRZ.

Któż knuć może i co?

RÓZIA.

Pan Jacek jakiegoś chłopca tu zwołał do dworu, który służywał u wojewody, i coś mu w ucho kładzie: gotują się go gdzieś posyłać w wielkiej tajemnicy.

ROTMISTRZ.

Cóż nam zrobi?

GRZEŚ.

A nuż wymyśli sposób panów stąd ruszyć? Bez was sobie rady nie damy.

RÓZIA.

To bardzo być może.

GRZEŚ.

I wszystko w łeb wzięło! Ale, sasafras! nie poważy się!

RÓZIA.

Gdzie o tak ważne idzie rzeczy, potrzeba się mieć na ostrożności.

GRZEŚ.

Co Rózia poradzi, złote słowa; trzeba jęj słuchać: niema jak ona w ciężkim razie.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Wartoby ją ministrem zrobić! Coś ty, Grzesiu, jak ten imperator rzymski, który konia konsulem mianował.

RÓZIA (*urazona*).

A to ślicznieś mnie pan porównał!

ROTMISTRZ.

Zważże proporcję: jak Grześ się ma do imperatora rzymskiego, tak ty do konia. Nie chybiłem!

GRZEŚ.

Wszelako Rózi by się więcej należało.

RÓZIA.

Chcesz pan, słuchaj, czy nie, mnie to wszystko jedno: ja ostrzegam.

ROTMISTRZ.

Adnotuję... ale panna Marta idzie. Na stronę! mam z nią ważną naradę.

(*Rózia i Grześ szepcząc odchodzą w lewo*).

S C E N A II.

ROTMISTRZ. — P. MARTA.

ROTMISTRZ (*zalone*).

Niechże mi, korzystając ze szczęśliwego trafu, wolno będzie przybliżyć się do Łowczanki dobrodziejki, bo przez cały dzień próżno szukałem zręczności, a długo spragnionemu choć w oczki popatrzeć, kordyał wielki.

P. MARTA.

Nie żartowałbyś wacpan...

ROTMISTRZ.

Klejnocie mój! Łowczanko droga! nie krzywdź mnie, obracając w żart, co łzami i krwią wypisać jestem gotów. Wszak ci wiernie, jako królowi mojemu służę, i noszę, jak zbroję na piersiach, miłość moję, od dawnych lat wzdychając do szczęścia, bym tę rączkę przed ołtarzem mógł uściśnąć.

P. MARTA.

A księżna?

ROTMISTRZ.

Księżna? przyjechała i pojedzie.

P. MARTA.

A wacpan za nią, tak-eś się w nią rozmiłował.

ROTMISTRZ.

Ja?! Jeżeli do niej zagadał, to tylko z desperacyi chyba, że mi panna Łowczanka i oczkiem nie mrugniesz.

P. MARTA.

Gdybym była powolniejszą, żebym bardzo na tém wyszła, kiedy co chwila afekt wacpanów się zmienia, jak chorągiewka na dachu.

ROTMISTRZ.

Ale gdzież afekt? to żarty!

P. MARTA.

Ja takich żartów nie rozumiem.

ROTMISTRZ.

Ależ do rozpaczki byłem przywiedziony.

P. MARTA.

I rozpaczki takięj nie pojmuje.

ROTMISTRZ.

Łowczanko dobrodziejko, bądź łagodniejszą dla sługi swojego.

P. MARTA.

Wacpan nie zasługujesz na to. Co znaczą te wszystkie zaklęcia i przysięgi, kiedy lada pierwsza z brzegu kobieta zaraz wacpanu głowę zawraca?

ROTMISTRZ.

Czyż wacpanna nie widzisz, że to są żarty?

P. MARTA.

Piękne żarty! Widziałam, jak-eś ją wacpan w rękę całował.

ROTMISTRZ.

W rękawiczkę tylko.

P. MARTA.

I szeptał.

ROTMISTRZ.

Pytała mnie o drogę.

P. MARTA.

Kłamiesz wacpan: nie wierzę!

ROTMISTRZ.

Jak mi Bóg miły! klnę się...

P. MARTA.

Proszę się nie przysięgać i duszy nie ubić! Oczymaś wacpan przewracał, aż wstyd!

ROTMISTRZ.

Mrugałem na Petrylę.

P. MARTA (*ciagle z urazą*).

To wszystko nieprawda! nieprawda! Chciałam tylko doświadczyć, jak daleko zajść może fałsz i obłuda mężczyzny, i dlatego pytałam wacpana.

ROTMISTRZ.

Łowczanko, klejnocie drogi!

P. MARTA.

Szczęście to, że wacpanu nie przyrzekła mojej ręki, że się nie dała uwieść jego zakłębom: bo gdyby to było po ślubie...

ROTMISTRZ.

O! żołnierskiem słowem zaręczyć mogę pannie łowczance, że tegoby po ślubie nie było.

P. MARTA.

Mniejsza o to; teraz wiem, co mam trzymać, i o żadnym ślubie, ani afekcie między nami niema mowy: pójdę raczej do klasztoru.

ROTMISTRZ (*przyklękując*).

Łowczanko! na wszystko się zaklinam, trzy godziny cierpliwości tylko!

(*Panna Marta wzrusza ramionami i wychodzi; Rotmistrz wstaje*).

Szczęście, że to dłużej nie trwało, bo bym się był wydał z tajemnicą i popsuł wszystko. Cierpliwości, Rotmistrzu! a wszystko się naprawi.

S C E N A III.

ROTMISTRZ. — BASIA.

BASIA (*gniewna wchodzi żywo*).

A już też tego dosyć, w moim domu! nie zniosę tego zgorszenia! patrzeć na to nie chcę!

ROTMISTRZ.

Co ci to jest? co się stało?

BASIA.

A tyś wszystkiemu winien: ślicznego mi tu wprowadziłeś gościa... Ta księżna twoja...

ROTMISTRZ.

Otóż masz! co księżna mogła przewinić?

BASIA.

To jakaś wierutna dworka!

ROTMISTRZ.

Dworka! pewnie: była przecie na dworze u Sasa!

BASIA.

Wacpan nie chcesz mnie rozumieć...

ROTMISTRZ.

Nie rozumiem wistocie: cóż zrobiła? mów!

BASIA (*oburzona*).

Ja tego dłużej nie zniosę! to zgorszenie!

ROTMISTRZ.

Ale cóż u Boga się stało? mów, proszę...

BASIA.

Petryłło się do niej obrzydliwie zaleca.

ROTMISTRZ.

A ona?

BASIA.

Ona ohydnie, niegodziwie go łapie, przyjmuje, mizdrzy się do niego. To wstyd, sromota!

ROTMISTRZ.

Co za wstyd? cóż w tém złego? On kawaler, ona wdowa; kie-

dy sobie się podobali, wszakże wolni ludzie: żadna ich przysięga nie wiąże!

BASIA.

Ależ Petryllo...

ROTMISTRZ.

A cóż Petryllo?... tyś go nie chciała. Jeśli jęj dobry, co masz mu szczęścia zazdrościć? jeszcze się pochwalisz, że co dla szlachcianki było nie hoże, to sobie saska księżna wzięła za przysmak.

BASIA.

A któż powiedział, że ja go nie chciała?

ROTMISTRZ.

Dalaś mu formalną odprawę przecie.

BASIA.

A może to było tylko... na próbę.

ROTMISTRZ.

I spróbowałaś, że się to na nie nie zdało. Co miał sobie z rusznicy w łeb wypalić, albo się na dębie obwiesić, lepij, że z wdówką ożeniwszy się, piwko będzie u Sasów zapijał.

BASIA.

Tacyście wy wszyscy...

ROTMISTRZ.

A wy lepsze! oj! oj! Kocioł garnkowi przymawia, a obadwa smolą.

BASIA.

My przecie tak serca zmieniać nie umiemy.

ROTMISTRZ.

Jak nie? a wacpani, siostró dobrodziejko, nie kochałaś Petrylly, i nie zmieniałaś afektu dla niego?

BASIA.

Któż to wie?

ROTMISTRZ.

Dostał grochu nieborak, to jasno.

BASIA.

A jeśli to było na próbę?

ROTMISTRZ.

Śliczne próby, człowieka do rozpacz przywodzić! To tak, jak ów co strzelił do idącego i ubił; pytają go, co uczynił? powiada, że rusznicy próbował dawno nabitę, czy wystrzeli.

BASIA.

Mniejsza o was, bardzo sobie teraz winszuję, że się tak stało, bo przynajmniej wstydzę się za niego, ale nie cierpię...

ROTMISTRZ.

Basieczku kochana, wierzaj mi, to są żarty: on cię kocha... kto wie, czy i on nie czyni tego na próbę.

BASIA.

Piękna próba! to zgorszenie! to zgroza!

ROTMISTRZ.

A, próba za próbę!

BASIA.

Petryllo płochy, jak to wy wszyscy, ale co ta księżna, to niegodziwa zalotnica; niech przenocuje sobie, ale jutro ani myślę ją wstrzymywać: niech rusza na cztery wiatry; prosić jęj nie będę pewnie.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Powiedz tylko Petrylle, on ją do siebie zabierze.

(*Odchodzi, i we drzwiach spotyka Petryllę, któremu wskazuje cześnikową*).

SCENA V.

BASIA. — PETRYLLO.

PETRYLLO.

A! pani Cześnikowa dobrodziejka tu?

BASIA (*urazona, żywo*).

A wacpan tam u nóg księżnej?

PETRYLLO.

Ja? u nóg? to się po mnie nie pokaże.

BASIA.

Może się wacpan zaprzesz, żeś tam koperczaki stroił?

PETRYLLO.

Ja? ja? (*na stronie*) licha Rotmistrza wyniosło, byłby mi doko-

mógł. Kłamać nie umiem; jak przycisnie, to się wygadam... a tu milczeć potrzeba... (*głośno*).

BASIA.

Co tam wacpan mrucysz... jużci to było jawne: wszysej widzieli! Śliczny z pana człowiek! rano jednej się przysięga, wieczorem przed drugą klęczy...

PETRYŁŁO.

O! żem nie klęczał, na to świadków postawię.

BASIA.

Przynajmniej blisko tego było.

PETRYŁŁO.

Daleko i bardzo daleko, cześnikowo dobrodziejko; bo chociaż żem jęj prawil trzy po trzy, tom nie myślał, com gadał.

BASIA.

A prawileś dlatego! To jeszcze gorzej, to szkaradnie! Jakże można przysięgać, uwodzić, nie myśląc.

PETRYŁŁO.

A! ja-m Bogu ducha winien! to było... (*zatrzymuje się*).

BASIA.

Wacpan! wacpan gorszy jesteś od wszystkich, boś tak udawał niewinnego, żem mu wierzyła, a koniec końcem takiś dobry jak i drudzy.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Już dalipan nie wytrzymam i powiem jęj, jak to było... że to czysta komedia? (*głośno*.) Cześnikowo dobrodziejko, na złote jęj serce zaklinam, nie przywódź mnie pani do rozpaczy, bom nie zasłużył: szczególnie zbieg okoliczności...

BASIA.

Wacpan zasłużyłeś na rozpacz...

PETRYŁŁO.

I nie trudno będzie o nią: rzeknij słowo jeszcze, a pójde.

BASIA (*szycząc*).

Do księżnej?

PETRYŁŁO.

Nie: do tęg trzpiotniey, nie.

BASIA.

Więc do drugieg podobnej?

PETRYŁŁO (*gniewnie*).

Otóż to kobiety! lada pozór, lada słowo: żadnej wiary w człowieka...

BASIA.

A wacpanowie, byle oczki nowe, byle nowa twarzyczka, choćby bielona, wnet o dawnym afekcie zapominacie...

PETRYŁŁO.

Nie, póki życia!

BASIA.

Przecież widziałam...

PETRYŁŁO.

A! to było! to było umyślnie tak.

BASIA.

Wierzę, że nie przypadkiem! Oczki się wacpanu śmiały!

PETRYŁŁO.

Komedia, cześnikowo!

BASIA.

I szeptaleś!

PETRYŁŁO.

Prawda, ale tak wypadło.

BASIA.

I za rękę ją wacpan ścisnąłeś.

PETRYŁŁO.

Nie! to ona mnie.

BASIA (*żywo*).

To jeszcze gorzej!

PETRYŁŁO.

Alem mimoto nie nie winien!

BASIA.

Gdybyś wacpan nie był powodem, ręki nie podał, nie byłaby jęj ścisnęła: to zbrodnia!

PETRYŁŁO.

Prawda, winienem, ale rzecz ta wyklaruje się wkrótce, i okaże, żem czysty i niewinny, jak nowonarodzone niemowlę... To wszystko z powodu... Rotmistrza...

BASIA.

Co? Rotmistrz winien, żeś wacpan płochy? Słyszał kto podobne tłumaczenie?

PETRYŁŁO.

No, tak; wierz pani, nie wierz, a ja powiadam, że to jego robota, i bierz licho wszystko...

BASIA.

Opamiętajże się wacpan: jak możesz zrzucać winę na brata
mojego?

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Prawda! jak tu się wykręcić! O! gdyby nadszedł i wyrwał
mnie z téj toni, bo dalej albo zdradzę go, albo ucieknę: języka
nie utrzymam... Co począć!

BASIA.

Tłómaczże się choć wyraźniej!

PETRYŁŁO (*kładzie palec na ustach*).

Nie mogę!

BASIA.

Rozumiem! winien jesteś i nie możesz się wytłómaczyć... Bądź
wacpan zdrów! żegnam go! (*gniewna odchodzi*).

S C E N A V.

PETRYŁŁO.—ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

A co?

PETRYŁŁO.

Niech cię pioruny... nie biją! Człowieku, coś ty mi narobił,
a toć rozbrat wiekuisty z cześnikową... tak mnie przyjęła!

ROTMISTRZ.

Czegoż chcesz? powinienes się cieszyć!

PETRYŁŁO.

Ale mnie wyłajała niemal, znienawidziła.

ROTMISTRZ.

Najlepszy znak. Mówią, że są kraje, w których żony wątpią
o miłości mężowskiej, skoro ci bić je przestają; toż samo ma się
rozumieć o kochankach: póki ich łają, póty o nich dbają!

PETRYŁŁO.

Wolałbym się obejść bez tego dowodu!

ROTMISTRZ.

Nie wygadałeś się przecie.

PETRYŁŁO.

Niewiele brakło, a jak jeszcze raz się z nią spotkam, bierz
licho Sołoduchę... ciebie; ja kłamać nie będę dla zbawienia duszy;
powiem, jak się rzecz ma.

ROTMISTRZ (*zimno*).

To i dobrze: pójdiesz z kwitkiem i basta.

S C E N A VI.

CIŻ — WOJTEK.

ROTMISTRZ.

Co to chcesz, chłopcze?

WOJTEK.

Szukam JW. Rotmistrza Kaniowy.

ROTMISTRZ (*wpatrując się*).

A na co ci on? Oto go masz, stoi przed tobą; coć po nim?

WOJTEK.

Posłanym do niego...

ROTMISTRZ.

(Rozumiem) a od kogo?

WOJTEK.

Od wojewody.

ROTMISTRZ.

Ba! przypomniał sobie stary, że żyję... No? i cóż ma do mnie?

WOJTEK.

Toć ja tam nie wiem. Dla bardzo pilnej sprawy, uniżenie
was prosić przykazał, abyście do niego dziś jeszcze pośpieszyli.

ROTMISTRZ.

Dziś jeszcze? a gdzie pismo?

WOJTEK.

Nie było czasu pisać, nie dali mi pisma; ino sam konia mi kazał dosiąść i śpieszyć ze słowem do was.

ROTMISTRZ (*potrzęsa głową*).

Ho! ho! jakto licho ukuto! posłaniec bez listu! od wojewody! nie pleć się, nie pleć... To dziw! prosił na dziś jeszcze!

WOJTEK (*zmieszany trochę*).

Koniecznie...

ROTMISTRZ.

Rozumiem... Ej! chłopcze! daleko zajdziesz tak wcześniej poczynając: albo na wieżę, albo na szubienicę!

WOJTEK.

Cóżem ja winien, proszę pana, że mi pisma nie dali. A to sam wojewoda wyszedł i powiedział mi targając węża: „Pokłoń się Rotmistrzowi i powiedz ode mnie, (bo wiem, że do siostry przyjechał), niech choć zmęczony i nie rad przyleci tu do mnie, bo sprawa gardłowa!”

ROTMISTRZ.

Jużto ja wiem, że tam zawsze sprawa gardłowa, bo ci leją w gardło roztruchanami zieleniak, że aż w karku trzeszczy; ale na ten raz... gardła nie dam, i dosyć będzie jutro wojewodę przywitać.

WOJTEK.

A! kiedyż tak pan prosił.

ROTMISTRZ.

To się wie, że prosił... Chłopcze! patrzno mi w oczy! (*przygląda mu się*). O frant!... tak! wiem pewnie, kto go posłał.

PETRYŁŁO.

A któż go miał posyłać; tu nie ma co zwlekać, ino na koń i do niego: może idzie o sejmik...

ROTMISTRZ.

Ale ba! ja to wiem, o co idzie, i kto go wyprawili!

PETRYŁŁO.

Ale któżby się ośmielił?

ROTMISTRZ (*cicho*).

Cyt! będę wiedział co robić.

PETRYŁŁO.

Chyba się w łóżko położyć i zachorzyć; ale cię widział chłopiec.

ROTMISTRZ (*do Wojtka*).

Otóż siadaj na koń wasze, i od bramy czwalem leć nazad do wojewody.

WOJTEK.

A wy, przybędziecie?

ROTMISTRZ.

Ja, nie.

WOJTEK.

Jakto? a czemużby?

ROTMISTRZ.

Pierwsza rzecz, żem dziś z konia zlaźł...

PETRYŁŁO.

Bój się Boga, co za racya dla konfederata!

ROTMISTRZ.

Powtóre powiesz mu...

WOJTEK.

Ale mi nie uwierzą.

ROTMISTRZ.

E! to i na piśmie dam choć z pieczęcią...

WOJTEK.

Czekająż mnie plagi!

PETRYŁŁO.

Czemużbyś nie pojechał?

ROTMISTRZ.

Bo i nie chcę i nie mogę; słuchaj, chłopcze, druga jest racya...

PETRYŁŁO.

E! niezręcznie...

ROTMISTRZ.

Owszem, zobaczysz! Druga racya, że wojewoda wasz mężczyzna... a tu mamy księżnę, kobietę, około której także sprawa gardłowa; powiesz więc, że najprzód odsłużę księżnie, a potem się wojewodzie wytłomaczę.

WOJTEK.

Ale mój pan dziś czeka.

ROTMISTRZ.

A jakby do jutra poczekał?

WOJTEK.

Markotno mu będzie.

ROTMISTRZ.

A jak mu będzie markotno?...

WOJTEK.

To się będzie gniewał.

ROTMISTRZ.

A jak się pogniewa, to co? pal go kaduk! Klaniajże się pięknie wojewodzie, moje dziecko.

WOJTEK (*stoi chwilę*).

Czy już reszta?

ROTMISTRZ.

Teraz bywaj zdrow, na prawo do drzwi, za klamkę... i ruszaj, słyszysz!...

WOJTEK.

Ależ...

ROTMISTRZ.

Nie ma ale, ordynans jest taki: raz, dwa, trzy... marsz...

(*Wojtek waha się—Rotmistrz robi krok do drzwi, chłopiec uchodzi*).

ROTMISTRZ (*do Petrylly*).

Nie frasuj się o wojewodę, nie od niego to był posłaniec; znam się na sztukach: a teraz chodźmy do bab.

PETRYLŁO.

A! abym się tylko nie wygadał!

ROTMISTRZ.

Rób jak lepij, ale przestrzegam, że jak popsujesz sprawę, ja jój latać nie myślę...

(*Wychodzą, we drzwiach od ogrodu spotykają p. Jacka, który wchodzi zamyślony i mija ich, bardzo się im nisko kłaniając*).

S C E N A VII.

JACEK (*sam*).

A! gdyby się tylko pozbyć Rotmistrza... Petryllę sam potrafię wyprawić; wszyscy oni do niej! wszyscy do niej jak na lep! Gotowi mi popsuć u niej, bo Rotmistrz i pokazniejszy (choć to nie nie dowodzi) i głębię ma, i śmielszy. Wolę być sam... Wojtek się już sprawić musiał.

S C E N A VIII.

JACEK—WOJTEK (*wygląda przeze drzwi*).

JACEK.

Chodź! chodź! a co, sprawileś mi się?

WOJTEK.

Sprawilem się.

JACEK.

A jak?

WOJTEK.

Powiedziałem, co przykazano.

JACEK.

A on?

WOJTEK.

Słuchał.

JACEK.

I cóż?

WOJTEK.

A wysłuchawszy i pokiwawszy głową, powiedział mi: pokłoń się wojewodzie i daj mu moje racye, dla których dziś przybyć nie mogę.

JACEK (*żywo*).

Jakie racye?

WOJTEK.

Powiada wprzód, że go kulbaka natarła... i że starsza tam księżna jakaś od wojewody... i dodał jeszcze: pał go dyabli!

JACEK.

Jakto? temi słowy?

WOJTEK.

Jeśli nie gorszemi jeszcze.

JACEK.

Idźże mi precz, trutniu! Ślicznie się sprawił!

WOJTEK.

A cóż? zrobiliśmy, on swoje a ja swoje. A na piwo?

JACEK.

Będziesz ty widział na piwo!

WOJTEK.

A nu! to pójdę do Rotmistrza; jak chcecie...

JACEK (*przestraszony*).

Naści orta; idź do kąta, i nie pokazuj oczów.

(*Wojtek popatrzywszy na orta, odchodzi*).

A to przeklęty konfederat! co tu z nim począć: nie dał się i wojewodzie! Trzeba go do panny Marty jak odpędzić, lub spoić, lub sam już nie wiem; doprawdy, głowę tracię, a księżnej mi szkoda. Wyraźnie ma się do mnie; żelazo bić trzeba, póki gorące! (*sposztrzega Rotmistrza*) Otóż go już tu licho niesie; dobrze jeszcze, że Wojtek sobie poszedł.

SCENA IX.

P. JACEK—ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

A ja szukam wacpana, panie Pisarzewiczul!

JACEK (*słodko*).

Jakto się złożyło, bo ja właśnie kochanego Rotmistrza chcia-
łem znaleźć.

ROTMISTRZ.

A co Bóg dał?

JACEK.

Ważna sprawa (*jaka się*).

ROTMISTRZ.

Mówże prędko, bo i ja ci mam nie mniej ważną rzecz powie-
dzić.

JACEK.

Więc czekam.

ROTMISTRZ.

Ja także.

JACEK.

Ja nie pocznę pierwszy.

ROTMISTRZ.

I ja też.

JACEK.

Nie mogę: wprzód wacpan.

ROTMISTRZ.

No, dobrze, nie będę cię męczył długo, ani się przybierał jak
czajka za morze; ot co jest, rzecz niezawodna, że księżnie w oko
wpadłeś.

JACEK.

Ja! ale gdzież zaś! imaginacya!

ROTMISTRZ.

Powtórnie ci to oznajmuję, byś wiedział co czynić. I ja i Petryllo i wszyscy a wszyscy to postrzegamy, nawet cześnikowa. Ino wacpan wyjdiesz, jakby ją kto mrozem okrył, siedzi i wzdycha, ogląda się, pyta, a wacpana oczyma ściga.

JACEK.

Nie może to być! gdzieżbym ja chudy pacholek... (po chwili) I istotnie obserwowano?

ROTMISTRZ.

Wszyscy co do nogi, to nie żarty.

JACEK.

Na Boga! jam temu nie winien, panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Alboż kto wacpana winuje? Ja ci winszuję tylko z całego serca, *ex plenitudine cordis*: przecież to księżna Bam-ber-link i milionowa pani. A nuż jęj przyjdzie fantazyja pójść za waszeci Pisarzowiczowiczu. Co powiesz? wacpan słyszę nie chciałeś się żenić, a tu zmusza!

JACEK (*zmieszany*).

Jakto? mogą nawet zmusić?

ROTMISTRZ (*seryo*).

Mogą: w przeszłym roku tak było, że hrabina saska, jakże się też zwała... al Pludermantel (bo to u nich jedne od drugich dziwniejsze nazwiska), upodobała sobie szlachcica polskiego, który miał żonę i drobnych sześciorgo dzieci; powieźli go pocztą do Saksonii, zasadzili na chleb i wodę i póty trzymali, aż się wyrzekł i żony i dzieci, i przystawszy na ich wiarę, ożenił się nieboraczek.

JACEK.

Straszne rzeczy! Ale to wypadek jedyny.

ROTMISTRZ.

Nie jedyny: nabrali stąd, szczególnie Litwinów, do Saksonii mnóstwo; teraz tam, słyszę, boćwinę sadzą.

JACEK.

Wacpan żartujesz.

ROTMISTRZ (*ciagle seryo*).

Wcale nie: przecież ja i Petryllo mamy oczy... Że się będiesz musiał żenić, przewiduję; a uczyniłeś, słyszę, ślub bezżenności?

JACEK (*skłopotany*).

Prawdę rzekłszy, jeszcze go nie uczyniłem: miałem go zrobić, ale szczęściem, nie jestem wcale związany, bo znając słabość natury ludzkiej...

ROTMISTRZ.

To szczęście: unikniesz wacpan krzywoprzysięstwa.

JACEK.

Ale jeśli mogę się ośmielić uczynić uwagę, cóż tu radzić?

ROTMISTRZ.

Niéma rady; jeśli się uprze, trzeba się poddać losowi. Zresztą, nie takie to wielkie dla wacpana zło. Mówią niektórzy wprawdzie, że te Saksonki, wedle obyczaju miejscowego, starych mężów później przy wrotach na łańcuchach trzymają, ale to są wierutne bajki!

JACEK (*śmiejąc się*).

E! to są bajki!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się także*).

I ja tak mówię.

JACEK.

Ale i to bajka, co wacpan mi prawisz, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

A ba! wcale nie! Ja jestem praktykant w tych sprawach: można mi wierzyć. Jest temu lat pięć, raz na odpuszcie w Gorzejowej zobaczyłem parę ludzi, którzy się tam pierwszy raz spotkali, i założyłem się zaraz o sforę ogarów, że się będą kochali i pobiorą: cóż powiesz?

JACEK (*z zajęciem*).

Wygrałeś wacpan?

ROTMISTRZ.

Tak dalece, że w rok nietylko się kochali, nietylko się pobrali, ale oboje z tego kochania pomarli, bo nie nie jedząc, ciągle sobie w oczy patrzyli... i tak niebożatka pozdychali... A sfora ogarów (czego odżalować nie mogę) także zdechła.

JACEK.

Wielka szkoda!

ROTMISTRZ.

Patrz tylko wacpan, by i z wami tego nie było, bo księżna strasznie na wacpana patrzy, jakby oczyma zjeść chciała.

JACEK.

E! to być nie może! Jak człek mizerny...

ROTMISTRZ.

Różne się rzeczy po świecie trafiają. Niezmiernie mi tylko żal siostry, że straci tak zabiegłego gospodarza.

JACEK (*pokornie*).

To prawda; wedle sił starałem się służyć wiernie i gorliwie.

ROTMISTRZ.

Ale kiedy ci się los trafia, trudno znowu, żebyśmy cię przez przyjaźń takiego szczęścia pozbawić mieli. A co tam mówić mi miałeś?

JACEK.

E! to się da odłożyć...

ROTMISTRZ.

Sprawa gardłowa?

JACEK.

Nie ważnego, nie ważnego.

ROTMISTRZ.

Jak chcesz; ale co się tyczy księżnej, nie zwlekaj.

JACEK.

Jakto, radzicie mi?

ROTMISTRZ.

Radzę śpieszyć: baba czeka tylko okazji, aby ci się wyswatać. Wacpan jój wyraźnie z powodu jakiegoś podobieństwa w oko wpadłeś: kuj żelazo, póki gorące. Zdybawszy się z jejmością, padnij do nóg, oświadcz afekt, czy go masz czy nie masz (to przyjdzie z czasem), a nie, to waszeci Petryłło uprzedzi. Jój zaś, jak się okazuje, pilno potrzeba męża.

JACEK.

Nie potrafię się ośmielić...

ROTMISTRZ.

Petryłło obcesowy: potrzeba zebrać odwagę. Wstydź się znów tchórzyc przed kobietą!

JACEK.

Tchórzem nie jestem, tylko... tylko ostrożny.

ROTMISTRZ.

I przesadzisz tą ostrożnością: bo cóż? gdyby nawet (co nigdy być nie powinno) księżna nie mogła się tak prędko zdecydować, lub nie chciała, dla wstydu kobiecego: korona ci z głowy nie spadnie, bo jój nie masz.

JACEK.

Nie chciałoby się pójść z kwitkiem.

ROTMISTRZ.

I nie pójdziesz! Są afekta tak gwałtowne, wierzaj mi: na koniach i na miłości znam się tak, że nie potrzebuję patrzeć w zęby.

JACEK.

Jednakże przypuścić trudno, abym ja, mizerota, miał mieć szczęście: trudno, bardzo trudno!

ROTMISTRZ.

Ale się to trafia. Byłem raz świadkiem na Pokuciu (prawda, że w mięsopust): z poniedziałku na wtorek poznał się jeden mój przyjaciel z wdową, i przed popielcem ślub wzięli: wszystkiego dwadzieścia cztery godziny konkurował.

JACEK.

Możeż to być?

ROTMISTRZ.

Ale to był człek wielkiego animuszu, bo w półtorej godziny w alkierzu jój padł do nóg zaraz, i pożyczanym pierścieniem się zaręczył, swojego nie mając.

JACEK.

Historye mi wacpan opowiadasz, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

I powtarzam raz jeszcze: nie ociągaj się, nie zwlekaj, czasu do rozmyśłów nie dawaj; bo że teraz dla waszmości jest skłonna, wątpliwości niema najmniejszej.

JACEK.

Cóżby to być mogło?!

ROTMISTRZ.

Wszyscy to widzą i cały dom o tém gada.

JACEK (*składa ręce*).

Nie do wiary!

ROTMISTRZ.

Tylko żeś wacpan nieśmiały, powolny, ociągający się; bo gdyby tak na mnie, ho! ho!

JACEK.

Trochę jestem ostrożny: to cnota.

ROTMISTRZ.

Jeśli nie wada i kalestwo: wiara w siebie to połowa szczęścia. Zważaj wacpan tylko, jak ci się księżna nawinie, a zostaniecie sam-na-sam, buch jój do nóg, i śmiało, nie pytając, oświadcz się.

JACEK.

Jakże ja to potrafię? To sęk!

ROTMISTRZ.

Jeszczebym ci dał jedną radę: masz stary miód?

JACEK.

Jest w piwnicy.

ROTMISTRZ.

Każ przynieść butelkę wytrawnego, zapleśniała, wypijemy po szklance, zaraz ci się w oczach rozjaśni i doda otuchy sercu: pójda oświadczyń jak... po miodzie.

(Odchodzi).

SCENA X.

P. JACEK (*sam*).

Albo dobra rada, albo licha zdrada: co tu myśleć? co poczynać? Dlaczego mu tak na sercu leży, żebym się ja tak prędko oświadczał? Czy nie chce się on mnie pozbyć? Skąd jemu ta pewność, że się księżnie podobał? A jeśli tam figę otrzymam, a tu stracę, co już tak jak w garści miałem? Mogą mnie wywieść w pole, bardzo mogą. Co tu począć? choć na węzełki ciągnąć? — nie wiem.

SCENA XI.

P. JACEK — GRZEŚ.

JACEK.

Miód nigdy nie wadzi. Słuchaj-no, Grzesiu, przynieś tam starego miodu butelezyń: tę co to z kąta...

GRZEŚ.

Z kąta? E! sasafras! cóżto będziemy obchodzić: wesele czy zaręczyny? To miód jeszcze kasztelański!

JACEK.

A kto to wie? cha! cha!

GRZEŚ.

Dziwne dziwy! Wczoraj siedzieliśmy jak w klasztorze na rekolekcyach, a dziś istny mięsopust.

JACEK (*po chwili, słodko*).

Tyś człowiek nie głupi.

GRZEŚ.

Mówią różnie; czasem mi brak piątój kleпки.

JACEK.

Powiedz mi, czy to może być, żeby się mężczyzna kobiecie raptownie podobał?

GRZEŚ.

To, panie, jak do kobiety i jak do mężczyzny, sasafras! Są takie, co jak słoma goreją, a są, co jak wilgotne drzewo próznoby podpalać.

JACEK.

No, ale gdyby tak na przykład mężczyzna niepozorny, ale skromny?

GRZEŚ.

Hm! niby jak pan? a cóż?

JACEK.

Niby jak ja.

GRZEŚ.

Gusta są różne. Z wacpana niczego człowiek, jak się umyjesz i ogolisz: chudy, ale krzepki; błydy, ale zdrow; jak na męża zresztą, pokorny i cichy: to niezgorzdej.

JACEK.

I nie byłoby nic niedorzecznego, gdybym się podobał?

GRZEŚ.

Jamby się nie dziwił, sasafras!...

JACEK.

Ale to nie o mnie rzecz idzie. Pójdź-no po miód.

GRZEŚ.

Idę. (*Odchodzi*).

S C E N A XII.

JACEK — *później* RÓZIA.JACEK (*chodzi zamysłony*).

Ktoby to był powiedział, gdym z Oszmiany kałamaszeczką wyjeżdżał, że aż do Saksonii zajadę karetą?

(Rózia wchodzi).

Ot, dobrzeby się i jój spytać: nigdy człek na ostrożności nie straci. Hm! hm! Dzień dobry wacpannie! pogoda piękna! (Jak tu przyjść do rzeczy)? Jak się też wacpannie zdaje, gdyby taki człowiek jak ja, zupełnie do mnie podobny (ale nie ja) chciał się przypadkiem żenić, czyby mógł serce niewiasty pozyskać?

RÓZIA (*śmiejąc się*).

A czemuż nie?

JACEK.

Nie jestem zbyt stary?

RÓZIA.

Wacpan stary?! gdzie zaś, w sile wieku!

JACEK.

I nie bardzo źle wyglądam?

RÓZIA.

Wacpan jesteś bardzo poważnie przystojny.

JACEK (*na stronie*).

Wcale rozsądna dziewczyna.

RÓZIA (*na stronie*).

Ani chybi, zwaryował! Już mu księżna musiała napędzić tych wątpliwości.

JACEK (*na stronie*).

Wszystkich się radzę, a siebie nie: to głupstwo.., odwagi braknie; trzeba to raz skończyć! O Rotmistrza już jestem spokojny, że mi nie przeszkodzi; Petrylę tylko inaczej skierować muszę, aby mi nie zawadzał. Otóż i on! Gdyby Rózia odeszła: idzie, chwała Bogu!

(Rózia odchodzi powoli, szydersko przypatrując się p. Jackowi)).

S C E N A XIII.

P. JACEK — PETRYŁŁO.

JACEK.

Dobry wieczór kochanemu panu!

PETRYŁŁO (*smutny i zadumany*).

A! dobry wieczór! jak komu!

JACEK.

Wacpan coś wzdychasz i sumujesz?

PETRYŁŁO.

At! różne myśli przychodzą.

JACEK.

Widać złe myśli.

PETRYŁŁO (*macha ręką*).

Człek całe życie głupi, a gdy chce na rozum wziąć, jeszcze się gorzej popisze: ot, jak dziś!

JACEK.

Pewnie ta księżna jejmość tych rozmyśłów przyczyną?

PETRYŁŁO.

Potrosze.

JACEK.

Bo to wacpanowie wszyscy, byle twarzyczka gładka... a po panu tom się tego nigdy nie spodziewał: wszakci to dawny afekt go do Cześnikowej przywiązywał?

PETRYŁŁO (*gniewny*).

Tak, tak, gadaj zdrów! Wiązał, wiązał, pókiś wacpan nie porzucił!

JACEK.

Kto? ja?

PETRYŁŁO.

A któż? Kto im wmówił, żeby za mąż nie szły? kto je jarzmem straszył? kto tego piwa nawarzył? Byłbym dawno miał Basię, żeby nie wacpan.

JACEK (*łamiąc ręce*).

Miły Boże! cóż ja tu mizerne stworzenie zawiniłem? co ja tu znaczę? A jeśli ośmieliłem się uczynić uwagę...

PETRYŁŁO (*trzęsie głową*).

Jakiś ty mi dziś dobry i pokorny! niby to ja oczu i uszów pozbyłem? Byłażby Marta Rotmistrzowi, a ona mnie odmówiła, gdyby nie twoje frymarki pokątne?

JACEK (*na stronie*).

Ten i bez miodu się rozgadał! (*głośno*) Panie a dobrodzieju! za cóż do mnie żale o płochy umysł kobiecy? Ja, kochany panie, uniżony wasz zawsze i pokorny służeczka, przyjaciel wierny, czyżbym mógł i śmiać szkodzić?

PETRYŁŁO.

Wszystko to wacpana sztuczki.

JACEK.

Moje?

PETRYŁŁO (*grożąc*).

Ale za te sztuczki będziesz ty miał teraz sztukę!

JACEK (*na stronie*).

O! o! ten mi się tu wygada. Słuchajmy: wypaple się dobra dusza.

PETRYŁŁO.

Tylko że ja i na tém nie nie zyskam! Rotmistrz mi całę głupio poradził: darmom się do téj malowanej księżnej naumizgał, a Basia swoje; jeszcze popsuł sprawę: gadać do siebie nie daje. A no! kiedy tak, bierz dyabli te komedye! to mi wszystko jednot

JACEK.

Sztuki? komedye? O czém to pan dobrodziej mówić raczysz? nie mogę jasno pojąć.

PETRYŁŁO.

Ja teraz tu jasno wszystko pojmuję, ale widzę, że mojej pieczeni przy tym ogniu nie upiekę. Pal ich dyabli z komedya!

JACEK (*z porozumieniem*).

Zarazem się domyślił, że to jest jakaś komedya!

PETRYŁŁO.

Ho! ho! nosa masz dobrego, doprawdy!

JACEK (*śmieje się sucho*).

Tylkom umyślnie udawał, że nie nie widzę.

PETRYŁŁO.

Byłem tego pewny! Bo ktoby nie poznał, że to prosta szlachcianka: taka ona księżna, jak ja kapucyn!

JACEK.

Otóż jest! Wistocie poznałem natychmiast, że to fałszywa księżna.

PETRYŁŁO.

A jednak cię przyłapali, ha!

JACEK.

Mnie? to ja ich przyłapałem! cha! cha! Dałem jój z siebie drwię umyślnie, ale zobaczymy, jak się to skończy!

PETRYŁŁO.

Zabawnie.

JACEK (*śmieje się*).

Bardzo zabawnie... dla kogoś! (*na stronie*.) Czekaście! wszystko wiem: o mało nie zrobiłem głupstwa! Niechże Bóg da zdrowie papli! (*głośno*.) Takto zawsze, mości dobrodzieju, na sztuczках i udawaniu nie się nie zyskuje: trzeba iść prostą drogą. Gdy Cześnikowa domyśli się lub dowiód, nigdy tego nie daruje wacpanom.

PETRYŁŁO.

Mnie? Ja ręce umyвам i jadę do domu!

JACEK (*klania się*).

Nie śmiem wstrzymywać.

PETRYŁŁO.

Czuprynę tylko natrę Rotmistrzowi, i nie chcę więcej wiedzieć o tém.

JACEK.

Bardzo sprawiedliwie!

(Petryllo odchodzi powoli).

Oddycham! stałem nad jamą: byłbym na łeb padł! Błogosławieni to ludzie tacy, jak ten szlachcic, niewinni i prostego serca: ściśniesz ich trochę, poleje się, jak z gąbki, co w środku siedzi. Bodajto z takimi mieć do czynienia! Chwała Bogu, że moja Cześnikowa nadchodzi.

S C E N A XIV.

JACEK — BASIA *smutna*.

JACEK.

Mogę mieć chwileczkę rozmowy?

BASIA.

Nie bardzo w humorze; ale jeśli pilno...

JACEK.

Dosyć nagląca sprawa, zwłaszcza że tu o dom pani Cześnikowej idzie.

BASIA.

O mnie? o dom mój?

JACEK *(poważnie)*.

Dotąd cierpliwie znośłem to, co się działo; nareszcie przyszła pora, że czas uniżonemu słudze uczynić uwagę. Przypomnij sobie, pani, dziś rano moje rady i przestrogi, niepokój z powodu przybycia Rotmistrza i tej księżnej: nie było to daremnem. Wiele-m przeczuwał, domyślał się, a gdy mam pewność, że się nie mylił, czas odkryć wszystko...

BASIA.

Przerażasz mnie! cóż się stało?

JACEK *(z uczuciem)*.

Wszystkiego Rotmistrz nawarzył... Czarna niewdzięczność: oto życia płochego owoce!

BASIA *(z żywym niespokojem)*.

Ależ cóż to jest? co to jest?

JACEK.

Zaraz się pani dowiesz o wszystkim. Przybył kochany Rotmistrz i zastał tu świętobliwy pokój: nie w smak mu poszło, postanowił go zamącić, aby rybkę w mętach ułować. Nie podobało się, żeś pani odpawiła Petrylę, bo nie miał z kim polować; że za jej przykładem poszła p. Marta, którą postanowił uwieść.

BASIA *(łamiąc ręce)*.

Uwieść!

JACEK *(poprawując się)*.

Uwieść... to jest ożenić się. Nie podobało się i to, że ja wier-ny służka mam ucho i wiarę u dobrodziejki mojej: więc zaraz wszystko do góry nogami.

BASIA.

Mój Boże! przestraszam się: co wacpan mówisz?

JACEK.

Po żołniersku tedy kochany Rotmistrz począł. Postanowiono mnie słabego przywieść na pokuszenie, i zrobić pośmiewisko z bogobojnego człowieka: udano jakąś awanturkę za księżną.

BASIA.

Więc to nie jest księżna?

JACEK.

Ona księżna! To jakaś pani duszka, przyjaciółka Rotmistrza jeszcze z obozu pod Lwowem, która tu za nim przyciągnęła; a pani ją przyjmujesz i honorujesz.

BASIA.

Ale to okropnie!

JACEK.

I Petryllo o wszystkim wiedział...

BASIA.

A! on! on winien najwięcej: ja-m mu wierzyła!

JACEK.

On jeszcze, jak on: słabizna, Cześnikowo dobrodziejko, chyba grzeszny, że nadto był Rotmistrzowi posłusznym. Rachowali, że mnie omamia, obalamucą: umyślniem im dał się rozgościć i począć,

dozwoliłem wywieść się w pole; ale gdy rzeczy dojrzały, czas objawić prawdę.

BASIA.

A jeśli tak jest, nie chcę ich widzieć nawet!

JACEK.

Tak jest! Spytaj pani Rotmistrza: przyzna się.

BASIA.

Nigdy mu tego nie daruję.

(Wychodzi żywo).

JACEK.

Ot tom im piwa nawarzył! (zaciera ręce.) Niechże teraz z Pi-sarzowicza żartują! Na zdrowie waszeciom!

(Uśmiecha się).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

Teatr przedstawia ten sam pokój co w akcie poprzedzającym. Butelka miodu na stoliku.

SCENA I.

ROTMISTRZ *siedzi*—wpada GRZEŚ.

GRZEŚ.

Nieszczęście! teraz tośmy już z kretelem wszyscy przepadli na wieki! Pan Jacek weźmie nas, sasafras, w niewolę babilońską.

ROTMISTRZ.

Co ci takiego? mucha jaka ukąsiła?

GRZEŚ.

Wszystko się wydało! byłem świadkiem tej okropności; Petryłło, którego nasza pani srodze traktowała za to, że do księżnej jakoś zanadto przysiadł, z rozpacz wielkiej, poszedł i całą historię o księżnie podrobionej wyśpiewał panu Jackowi. Ten, jak tylko zwąchał, że to łapka na niego, do pani; a Cześnikowa, jak się dowiedziała o robocie, i na pana i na nas: w gniewie pobięła wszystkich rozpędzić!

ROTMISTRZ (*porywa się*).

A! do kaduka! Grześ leć za Cześnikową w trop, powiedz, że ja tu jestem; zaklinaj, aby naprzód zobaczyła się ze mną. Jeżeli

możesz pod jakim pozorem, choćby dla miodu, przypędź tu i Sołoduchę, a dawaj co prędzej, nim się co złego stanie: ja jeszcze wszystkimu zaradzę.

GRZEŚ.

Co to już reperować! Garnek latany nie wart, zawsze ciecze; już tu i pańska głowa nie da rady! A! ten Petryllo! ten Petryllo!

ROTMISTRZ.

Petryllo człek zacny, tylko go nie stworzono do takiej roboty. Ale ba! nie takieśmy to w życiu przechodzili konjunktury! Ruszaj!

(Grześ wybiega).

SCENA II.

ROTMISTRZ *sam*.

No! teraz gra ostateczna: albo on mnie stąd wyforuje na wieki, albo ja go odkryję trutnia, jakim jest, i każę mu kałamaszkę zaprzęgać. (Patrzy w okno.) No! szczęściem Grześ panią Cześnikową zawrócił i poprowadził do jej pokoju; ona tam na mnie czeka. Teraz gdyby mi tylko aniołowie stróże przynieśli tu Sołoduchę, nie puszcze go, aż mi musi solenne głupstwo zmalować! (patrzy na miód.) Ot jest sprzymierzeniec! ale jedna butelka mało! głowę mieć musi tęgą bestya. Tylko, że i dębniak minę ma starą; czasem i lampeczka takiego wygodzi tak, że nie wstaniesz. Dobrze wygląda butelka! E! to jeszcze miodek kasztelański dzia-
da pana Cześnika, dosyć będzie jednéj! Byle mi go tu napędzili w sieć. A no! dobra nasza!

SCENA III.

JACEK *wsuwa się powoli* — ROTMISTRZ *bieży przeciwko niemu z otwartymi rękoma*.

ROTMISTRZ.

A! a! kochanego Pisarzewicza! czekam na ciebie z miodkiem; sam nie śmiałem zaczynać, bo incognito pić nie lubię: we dwóch, to mi dopiero rozkosz! Już we trzech nie tak.

JACEK (*pokornie z ukłonem*).

Dziękuję: ja nie piję.

ROTMISTRZ.

Cóż znowu? przypominasz sobie przecie, na com ci to lekarstwo ordynował. Na ten raz choć nie pijasz, wierzaj mi nie zawadzi.

JACEK.

Ani teraz, ani nigdy; rozmyśliłem się lepiej, niepotrzebne to dla mnie rzeczy: dam pokój.

ROTMISTRZ.

Jakto? kwitujesz z księżnéj?

JACEK (*śmieje się*).

Wstydz się wacpan, mnie starego wróbla chciałeś złapać na plewy.

ROTMISTRZ (*udając zadumienie*).

Ja? wacpana? na plewy? Co to u licha! tłómaczże mi się?

JACEK.

No! no! dość powiedzieć, że Petryllo wszystko wyśpiewał przede mną!

ROTMISTRZ (*tak samo*).

Ale cóż takiego? co?

JACEK.

Co? żartuj zdrów, kochany Rotmistrzu; wiem, co to za gatunek księżnéj, i pociście wy ją tu przywieźli, jestem zupełnie uwiadomiony: darmo udawać, rzecz skończona.

ROTMISTRZ (*rusza ramionami*).

Jestem jak tabaka w rogu, nie rozumiem.

JACEK.

Ślicznie to pan udajesz wszystko, ale darmo, bo ja się złapać nie dam.

ROTMISTRZ.

Co udaje? co darmo? kogo łapać? pleciesz, jak Piekarski na mękach! tłómacz się jaśniej; ja nie wiem, o co chodzi. Bestya Petryłło, jakiego on tu piwa nawarzył!

JACEK (*zdziwiony*).

Kochany Rotmistrz jeszcze nie rozumie?

ROTMISTRZ.

Nie a nie, ale mówno mi obszerniej; jeżeli co jest, to się i do śmiertelnego grzechu przyznam. Co prawda to prawda! (*po chwili.*) A teraz gdybyśmy sobie usta zwilżyli?

JACEK.

Dziękuję.

ROTMISTRZ (*nalewa szklanki*).

Powąchaj tylko, jak to pachnie! ambrozja!

JACEK (*wąchając miodu*).

Stary! stary!

ROTMISTRZ.

To jeszcze kasztelański.

JACEK (*kosztuje*).

Kropelkę.

ROTMISTRZ.

Kropkę, kochany panie Jacku; a! widzę, że na mnie jakaś potwarz rzucono! Ty nie wiesz, jak ja cię cenię i kocham. (*ściska go gwałtem.*) Dobry miód, przedni! Ale gadaj-no, co ci tam ten Petryłło napaplał!

JACEK (*popijając*).

Kochany Rotmistrzu, darmo gadać, ja wiem wszystko.

ROTMISTRZ.

A no dobrze, więc mi powiedz wszystko, bo ja nie wiem do-tąd nic.

JACEK.

E! e! filut z waszmości, wszakeito jakaś przyjaciółka jego podjęła się udawać księżnę, ażeby mnie nieboraka śmiechem okryć i w oczach mojej dobrodziejki zgubić. No? a cóż? nie wiem?

ROTMISTRZ (*sucho*).

To ty wiesz więcej ode mnie, jak widzę. A to ci Petryłło ta-

kich rzeczy nagała! Doskonale! cha! cha! Napijmyno się jeszcze (*nalewa*).

JACEK (*pije*).

Kropelkę.

ROTMISTRZ.

Tak! kropkę! Doskonale Petryłło zinwentował, nigdybym się tego po nim nie spodziewał.

JACEK.

Jakto zinwentował?

ROTMISTRZ.

No! no! wierz, kiedy chcesz! Ale ci sprytnie dał połknąć pigułkę!

JACEK.

Jakto? onby zmyślił? to nie może być. Bardzo dobry miód.

ROTMISTRZ.

Doskonały i wytrawny.

JACEK.

Ale powiedzże-no, Rotmistrzu? jak? jak?

ROTMISTRZ.

Już dosyć! uwierzyłeś, niech sobie Petryłło ją bierze i kwita: to mi wszystko jedno (*nalewa*). Dobry miodek.

JACEK (*nastawia szklankę*).

Kropelkę; kto ma brać? kogo? kochany Rotmistrzu, gdybyś raczył mnie objaśnić!

ROTMISTRZ.

Albożeś ślepy czy co, że jemu chodzi o księżnę i o jej miliony... tak się bestya zapalił!... ale to tak się zapalił! (*wzdycha i pije*.) A! takato dola nasza na tym padole płaczu. Kiedyś czym przy-jacielem szczerym, płacą ci niewiarą; kiedy komu dobrze życzysz i radzisz, woli pójść manowcami, aby swoim nosem...

JACEK.

Gadaj zdrow, mnie już nie złapiecie.

ROTMISTRZ.

My nie, ale ten cię gracko złapał.

JACEK.

At! gadanie! do czego to podobne... Dobry miód!

ROTMISTRZ.

Wcale dobry miód. Teraz już nie nie pomoże (*pije*). Miałem i mam dla waści, panie Jacku, prawdziwy szacunek, chciałem mu szczerze pomódz, przyznaję się, we własnym trochę interesie. Oze-

niwszy się z nią, byłbyś mnie zaprotegował u króla; Petryłło mazgaj nie potrafi, choć ma dobre serce. No! ale teraz darmo o tém gadać!

JACEK.

Dajcież już pokój, aż się kurzy za wami!

ROTMISTRZ.

Z czupryny? jeszcze nie! A! a! Pisarzewiczowiczu kochany, klnę się na nieboszczkę żonę moję.

JACEK (*siada i ociera pot z czoła*).

Historye! historye!

ROTMISTRZ (*udając smutnego*).

Wszystko przepadło! o! filut Petryłło! Czyż waćpan tego nie rozumiesz, że on chcąc księżnę pochwycić sam, a bojąc się jój inklinacyi widocznej dla waćpana, bajkę tę na odstręczenie upłócił? Teraz waćpan na stronie, on górą poszedł i dociera, a że dobije targu, bardzo być może! Wszelako wolałbym, żebyś to był waćpan.

JACEK (*uśmiechając się*).

E! zaś?

ROTMISTRZ.

Trzeba ślepego, żeby tego nie widział!

JACEK (*do siebie*).

Czy kpi, czy drogi pyta?

ROTMISTRZ.

Biedny panie Jacku, tobie na wieki wieków zostać na łaskawym chlebie; sprytny, sprytny, a z tego wielkiego strachu, żeby głupstwa nie zrobić, popełniasz największe. Otóż puściłeś wróbla z garści: teraz go nie złapać.

JACEK.

Gdzież to w głowie Petrylle?

ROTMISTRZ (*kiwa głową*).

Wy jego nie nie znacie.

JACEK (*pijąc*).

Prosty człek.

ROTMISTRZ.

Na oko prosty, serdeczny, dobry, ale frant! Wygląda, jakby trzech zliczyć nie umiał, a łonskiego roku na jarmarku (taki ma dar szczególnie wmawiania), wyperswadował zdrowiusieńkiemu szlachcicowi, że kuleje; tak, że poszedł na kuraęę do cyrulika: co

chce, wmówi w człowieka; trzech Węgrów z kramikami namówił na to, że wstąpili do bernardynów.

JACEK.

Miód dobry!

ROTMISTRZ.

Dobry! ale trzeba go dopić, bo zwietrzeje.

JACEK (*sentencyonalnie*).

Zwietrzały wiele traci.

ROTMISTRZ.

Ani go poznać! Szkodaż mi waćpana.

JACEK.

A ba! niegodziwie chcieliście zadrwić ze mnie.

ROTMISTRZ (*rusza ramionami*).

Wbił sobie w głowę, niema sposobu! A! a! gdybyś był umiał chodzić koło tego, a księżnę pozyskał sobie, do czegoś waćpan nie doszedł, a ja przez waćpana! Szkoda!

JACEK.

Jaka to księżna, kiedy to licho wie, co za jedna!

ROTMISTRZ (*pijąc i dolewając Jackowi*).

Zmiłuj się, już nie mówię nosa, ale chyba oczów nie masz.

JACEK.

O! o! są i niezgorsze!

ROTMISTRZ.

Patrzcie niemi: chód, twarz, postawa, mina, wszystko książęce, a też klejnoty i bogactwa niezmierne, które ma na sobie! Nie tak to łatwo udać: toż sam brylant, który ma w spince, wart trzech wsi.

JACEK.

Wistocie brylant piękny: nie uważałem na to.

ROTMISTRZ.

Blizko jak gołębie jajo, a drugi taki u pasa; a manele, a łańcuchy? Toć przynajmniej powinnioby waćpana opamiętać, że kiedy klejnoty ma takie, fałszywą księżną być nie może; skądby ich nabrała? Zresztą popytaj ludzi; śledź, badaj: przekonasz się.

JACEK.

I to prawda, potrzeba było spytać ludzi.

ROTMISTRZ.

O to najłatwiej: napijmy się tylko jeszcze (*piją*).

JACEK.

W głowie mi robić zaczyna.

ROTMISTRZ.

To tylko dopóty, póki nie pójdzie do żołądka; ja się znam ze starym miodem, u Lubomirskiego wypilem całą piwnicę; miód ma to do siebie, że *proprio pondere* do nóg zawsze idzie.

JACEK.

Jest poniekąd racya.

ROTMISTRZ (*woła głośno*).

Hej! Grześ! sam tu!

S C E N A IV.

CIŻ—GRZEŚ *z lewej strony nadbiega*.

ROTMISTRZ.

Wołaj mi tu jednego ze sług księżnej.

GRZEŚ.

Natychmiast: a jakiego? wielkiego czy małego?

ROTMISTRZ (*do pana Jacka*).

Którego wolisz?

JACEK.

Mały! mały zawsze sprytniejszy: prędzej skłamię; jak pytać to lepiej głupiego, od niego się więcej dowiesz.

(*Grześ wychodzi*).

ROTMISTRZ.

Prawidło pełne głębokiej polityki; dawaj nam tu dużego, jaki jest największy. Co z wacpana za statysta!

JACEK (*z pokorą*).

At! Boże stworzenie!

ROTMISTRZ.

Któżby mógł nawet pomyśleć wywieść cię w pole: to trzeba szalonego... Ożeniwszy się z księżną, jak nie byłbyś senatorem.

JACEK.

No! toby mogło być! Ale tfu na marę! jaka tam księżna!

S C E N A V.

CIŻ—HAJDUK *księżnej staje u drzwi*.

ROTMISTRZ.

Słuchajno, przyjacielu, powiedzno nam prawdę, oto masz na piwo (*daje mu pieniądze*). Kto to jest ta wasza księżna?

JACEK.

Za pozwoleniem, ja go sam pytać będę.

ROTMISTRZ.

Dobrze: egzaminujże go ściśle.

HAJDUK (*kłaniając się*).

Słucham, jaśnie pana.

JACEK.

Kto taki twoja pani?

HAJDUK (*któremu Rotmistrz nieznacznie podpowiada*).

A cóż, Jaśnie Oświecona Księżna Bamberlink z Saksońskiej ziemi.

JACEK.

Jedziecie dokąd?

HAJDUK.

Z Warszawy do Drezna.

JACEK.

Proszę! wdowa czy zameżna?

HAJDUK.

Jużciż od kiedy jaśnie pan umarł, wdowa.

JACEK.

Bogata?

HAJDUK.

A gwałt! co i pytać! W Saksonii u nas dukaty korcem mie-
rzyli; a co zamków, a co wsi! i tu i tam, i bydła i owiec i nie-
rogaczny.

JACEK *(do siebie)*.

Trudno, aby tak prosty człek kłamał.

ROTMISTRZ.

A cóż?

JACEK.

Coś w tém jest: nie wiem.

ROTMISTRZ.

Czemuż mi nie chcesz wierzyć?

JACEK.

A! bo trudno *(piją jeszcze)*.

ROTMISTRZ.

Petryłło cię wyprowadził w pole: to jasno, jak na dłoni.

JACEK.

I toby być mogło! Jest jeszcze ten miód?

ROTMISTRZ.

Należymy sobie po kropli odedna i butelka sucha! Szkoda, że
tylko jedną przynieśli.

JACEK.

Człowiek się czuje rześwieższym.

ROTMISTRZ.

Teraz byleby mi się księżna nawinęła... dobijemy reszty.

*(Wychodząc z hajdukiem, spotyka we drzwiach Petryłłę, któremu szepcze na
ucho i popycha go do pokoju).*

S C E N A VI.

JACEK. — PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

Bywajcież mi zdrowi, już jadę.

JACEK.

A księżna? ha? *(śmieje się)*.

PETRYŁŁO.

Daj mi już z temi babami pokój: człowiek z niemi głowę
traci.

JACEK *(na stronie)*.

Jakby go tu zająć.

PETRYŁŁO *(na stronie)*.

Jakby tu poprawić sprawę.

JACEK *(na stronie)*.

Nie śmiem go spytać.

PETRYŁŁO *(na stronie)*.

Boję się odezwać.

JACEK.

Naprzykrzyła się wacpanu komedia i odjeżdżasz.

PETRYŁŁO.

Hm! hm! coś nakształt tego? A jak się wacpanu zda?

JACEK.

Przysnam się, żem wacpanu uwierzył.

PETRYŁŁO.

Doprawdy?

JACEK.

Ale czy nie posunąłeś się zadaleko?

PETRYŁŁO.

Wistocie, być może, iż mnie gniew posunął trochę za...

JACEK.

Czy nie miałeś pan w myśli mnie się pozbyć od niej? *(na stro-
nie.)* Szkoda, że już miodu niema, dobyłbym nim prawdy
z niego.

PETRYŁŁO *(uśmiechając się, na stronie)*.

Co to za szkoda, że kłamać nie umiem: sam się prosi, żeby
go durzyć!

JACEK (*coraz bardziej rozmarzony*).

A! a! widzisz wacpan, że się domyślamy potrosze, że nie łatwo starego wygę oszukać. Wpadła i wacpanu w oko księżna, chciało się samemu przy niej zostać i myślałeś mi wacpan wmówić, że to są blichtry, że ona nie księżna! Doskonale! ale i my nosy mamy!

PETRYŁŁO.

Dalipan, przedziwny!

JACEK.

Wacpan się śmiejesz?

PETRYŁŁO (*prycha*).

Muszę.

JACEK.

Żem zgadł?

PETRYŁŁO.

Może.

JACEK.

Wiedźże waszmość, że ja choć mizerne stworzenie boże, choć lichy służeczka, ale nie jestem tak upośledzony, by ze mną kto, co zechce, mógł robić.

PETRYŁŁO (*śmiejąc się mocno*).

A! przedziwny! nieoszaczowany pan Jacek! niech cię uściskam i przeproszę (*ściskają się*).

JACEK (*grożąc na nosie*).

A co? podobala się jegomości saska laleczka?

PETRYŁŁO (*ciągle się śmiejąc*).

Bardzo, bardzo.

JACEK (*śmieje się*).

O! i chciał się mnie pozbyć sztucznie.

PETRYŁŁO.

Także bardzo, bardzo.

JACEK.

Aż tu pan Jacek wie wszystko! he?

PETRYŁŁO.

Golał mu w ucho szepnął.

JACEK.

A trochę miód serdeczny wygadał; co dalej?

PETRYŁŁO (*śmieje się*).

Co Bóg da.

JACEK.

Tak jest: zobaczmy! (*siada*.) Istotnie ten miód idzie, idzie wciąż w nogi, a wyjść sobie nie może; stary opieszaly! cha! cha! (*do Petryłły*) wacpan nie śpiewasz?

PETRYŁŁO.

Nie oprócz gorzkich żalów i litanij.

JACEK.

E! to nie pora! a światowych tekstów?

PETRYŁŁO.

Żadnego. E! gdyby nie próżna butelka obok, *corpus delicti*, tobym wacpana nie poznał.

JACEK (*z fantazyą*).

Co to butelka! Z butelki nie należysz człowiekowi, czego w nim niema!

PETRYŁŁO.

Święta prawda!

JACEK.

A kto po trzeźwemu niepotém, po pijanemu pocziwszy nie będzie; a ja-m się, chowaj Boże! nie upił.

PETRYŁŁO.

Któżby cię o to posądził?

JACEK (*cicho*).

Rotmistrz, to prawda, że się ściał porządnie; ale mnie nie.

PETRYŁŁO.

Wychodził, jak nie na swoich nogach.

JACEK (*poglądając na drzwi*).

Słaba głowa, ale dobry człowiek.

PETRYŁŁO.

Choć do rany, ale nie do rady jednak: dać mu się prowadzić, pewnie z pieca na łeb.

S C E N A VII.

CIŻ — ROTMISTRZ *wpada nagle.*

ROTMISTRZ.

Czuje, że mnie obgadujecie.

PETRYŁŁO.

Głosim twoje pochwały, konfederacie.

JACEK *(skłania głowę).*

Ja oddawałem sprawiedliwość.

ROTMISTRZ.

Suum cuique... dziękuję! Kochany Petryłło, gdybyś się sobie poszedł przewietrzyć? Mam słówko poufne do pana Jacka.

(Petryłło rusza ramionami i odchodzi — Rotmistrz cicho do Jacka).

Księżna tu przyjdzie za chwilkę.

JACEK.

A jeśli to nie księżna?

ROTMISTRZ.

Jak sobie chcesz! Jeśli nie wierzysz, idź spać: Petryłło ją sobie weźmie... Przecież się dałeś był przekonać: te klejnoty i manele...

JACEK *(kończy).*

Konwinkujące!

ROTMISTRZ.

Korzystajże z czasu: ja Petryłłę umyślnie odprawiłem i dotrzymam go, że ci nie przeszkodzi. Ty padnij do nóg i kończ.

JACEK.

No, to padnę!

ROTMISTRZ.

I oświadcz się.

JACEK.

Oświadczę: kiedy ginać, to ginać.

ROTMISTRZ.

Pewnie.

JACEK.

Czuje się usposobionym do zrobienia historii: wziąłbym sam jeden szturmem Kamieniec.

ROTMISTRZ.

W sam raz tak się czuć potrzeba, oświadczając się niewieście; to dobry znak: pójdzie szczęśliwie. Ale cy! otóż i ona: zostawiam was samych i staję na straży u drzwi. Odwagi Pisarzowiczu!

S C E N A VIII.

P. JACEK *wstaje — wchodzi zamysłona i poważnie* KSIĘŻNA.

JACEK *(do siebie).*

Księżna nie księżna, kat ją wie, ale wcale niczego kobieta; nawet ten miód tak wzrok poprawia, że widzę daleko lepiej, jak ładna... Nierównie piękniejsza, niż była zrana: co za buzia! jakie oczko! a rączka! a nóżka! I taki musi być księżna: to znać zaraz z fantazyi. A te klejnoty u pasa i karbunkuł u szyi, także coś znaczą! Niema co myśleć: jeśli mi trochę pomoże sama, to się jej oświadczę na złość wszystkim. Pal go kaci! Petryłło kłamie. Księżna, prawdziwa księżna! takby długo nie udawała... hajduk zresztą poświadcza. A nu! Pisarzowiczu oszmiański, śmiało, śmiało!

KSIĘŻNA *(powoli).*

Gdzieżeś to wacpan bywał tak długo, żem go nie widziała?

JACEK *(na stronie).*

Mówi długo, dobry znak: znaczy *po polsku*: tęskniłam za wacpanem! *(głośno.)* Zwyczajnie, mościa księżno, kłopoty domowe, zajęcia gospodarskie...

KSIĘŻNA.

Wacpan, nie szanując zdrowia, nazbyt się pracy oddajesz.

JACEK *(na stronie).*

Rozumiem: to znaczy *po polsku*, że się troszczy o zdrowieczko moje. *(głośno.)* Obowiązki sumienia...

KSIEŻNA.

Jak mało ludzi do niego podobnych!

JACEK (*na stronie*).

Znaczy, że poznała się na mnie (*głośno*.) Nie pochlebiam sobie...

KSIEŻNA.

Skromność jest podstawą cnót wszystkich.

JACEK (*na stronie*).

Znaczy, że fundament jest, a zatem i reszta być już musi. (*głośno*.) Łaska Waszjej Książęcej Mości zbyt mnie zawstydzają, hm! (*na stronie*.) Gdyby mnie jeszcze odrobinę ośmieliła...

KSIEŻNA.

Jakże szczęśliwa Cześnikowa z posiadania takiego przyjaciela!

JACEK (*na stronie*).

Znaczy: chciałabym i ja podobnego, to jasno! (*głośno*.) Szczęśliwszy daleko, kto Waszjej Książęcej Mości w podobny sposób służyć i życie jej swe ślubować będzie mógł ku wiecznej niewoli. (*na stronie*.) To jasno, ha!

KSIEŻNA.

Ja, na nieszczęście, w życiu mojem spotykałam dotąd samych wstrętnych lub obojętnych.

JACEK.

A, mościa dobrodziejko! gdyby mnie dola szczęśliwa, godzina wybrana, moment niebieski przykuł ogniwem do stóp Waszjej Książęcej Mości: jakżebym był fortunnym, jakżebym...

KSIEŻNA.

Ot, jedź wacpan ze mną do Saksonii!

JACEK.

Gdybym mógł, ale *quo titulo?*

KSIEŻNA.

Jak wacpan sam chcesz. (*Wyciąga mu rękę*).

JACEK.

(*bierze bojaźliwie, i nie wiedząc co zrobić, trzyma; potem całuje ostrożnie*).

Oszaleję! Wasza Książęca Mość chcesz ostatka rozumu pozbawić sługę swego.

KSIEŻNA.

Nie bójże się wacpan: mów wyraźniej.

JACEK.

Hm! mogę się ośmielić?

KSIEŻNA.

Potrzebaż, bym ja ośmieliła?

JACEK.

Wasza Książęca Mość tak jesteś dobrą dla służeczki swego!...

KSIEŻNA.

Żal mi wacpana.

JACEK.

Żal? z powodu?

KSIEŻNA.

Wacpan tu w tej wsi zapadłej stracisz lata: mógłbyś na większym *teatrum* inną odegrać rolę.

JACEK.

Sam to czuję.

KSIEŻNA.

I zająć daleko wyżej.

JACEK.

Wyżej! powiadasz Wasza Książęca Mość: z pokorą przyjmuję wyrok Waszjej Książęcej Mości; ośmielę się tylko...

KSIEŻNA.

Ośmiel się wacpan, ośmiel.

JACEK.

Zbytek szczęścia usta mi klei.

KSIEŻNA.

Otworzyćby powinien.

JACEK (*na stronie*).

Miód ma swoje dobre: daje odwagę; ale język w pantoflach. Chciałbym coś mówić: nie wiem od czego zacząć; a czas... (*chrząka*).

KSIEŻNA.

Słucham wacpana powolnie, czekam. Już ci trudno, bym wacpanu więcej nad to, coś słyszał, oświadczyć miała...

JACEK.

Trzeba wejść w jej położenie. (*Staje, pokaszliwa i zaczyna*.) Mówią mitologowie pogańscy, że niekiedy i boginie zstępowały między śmiertelnych, znudzone Olimpu klauzurą; powiadają, że niekiedy prostych pasterzy do stóp swych dopuszczały, a nie obrażając się afektem ziemskiej piersi, łaską ich swą darzyły: otóż przed

tobą, bóstwem empirejskiem, stoi mniejszy od pastucha greckiego, człowiek skomprimowany, skonwinkowany i skonfundowany, prosząc i apelując o litość albo śmierć! *(klęka.)* Hołd przyjmij, królowo, i nie odpychaj stręczącego się na wiekuiste usługi najniższego adoratora!

(We drzwiach z tyłu ukazują się powoli: Rotmistrz, Cześnikowa, Łowczanka, Petryllo, Grześ i Różia.)

Rzeknij słowo, a jadę nie do Saksonii tylko, ale na lody oceanów septentryonu, na pustynie afrykańskie, pani żywota mojego!

KSIEŻNA *(powoli)*.

Co za wymowa! kogoby nie ujął?

JACEK *(klęcząc)*.

Nie trzymaj mnie w niepewności okrutnej; czekam oto jak winowajca przed trybunałem wyroku: pisz dekret, pani!

KSIEŻNA.

Czegoż wacpan żadasz?

JACEK.

Ośmielam się... wistocie ośmielam się... prosić o afekt i rękę Waszój Książęcej Mości!

KSIEŻNA *(wstając nagle ze śmiechem)*.

Patrzcie! a to mi śliczny ptaszek do serca i ręki!

(Obraca się do wchodzących.)

Biorę wacpaństwa wszystkich za świadków, jako pan Pisarzowiec uczynił mi ten afront, i oświadczył się... A toby było pięknie, gdybym podobnego niedobitka do Saksonii zawiozła! Myślałoby, że u nas Turcy wszystkich mężczyzn do nogi wybili!

(Jacek wstaje pomieszany.)

A nie mówiłeś wacpan, że małżeństwo srogie niebezpieczeństwo, jarzmo, niewola, stan pełen do zguby wiodących zasadzek!? Chciałżebyś mnie na to ciężkie wyprowadzić rozdroże? *(śmiejąc się)*. Dość komedyi: już ję wszyscy mamy do syta. Bądź wacpan zdrów!

(Wszyscy kłaniają się Jackowi, który powoli odchodzi i kryje się w kącie.)

ROTMISTRZ.

Cześnikowo dobrodziejko! sestro najukochańsza! przebacz mi i daruj, żem cię po żołniersku trochę uratował od zguby. Powiem ci dykteryjkę na wytłómaczenie: pewnego razu orderowy pan tonął w rzece, a kozak, który był do niego przywiązany, zobaczywszy nie-

bezpieczeństwo, buch za nim w wodę. Za co go tu łapać, żeby wyciągnąć? co schwyci, to czupryna! Nie było sposobu: musiał go na brzeg za włosy ciągnąć. Wojewoda dał mu sto dukatów za życie i sto batów za nieuszanowanie swojej czupryny. Moja dobrodziejko, żeby to i mnie spotkało!

BASIA *(podaje mu rękę)*.

Nie, drogi bracie: samój mi wstyd, żem się temu jegomości dała uwodzić.

ROTMISTRZ *(do siostry)*.

Poznajże się z chorążyną Hurską... a teraz wiwat! Łowczanko, podaj mi rączkę; Petryllo, weź Cześnikową, Grześ Rózię, i dajcie nam choć jedną jeszcze butelkę kasztelańskiego miodu!

CIEPŁA WDÓWKA

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH WIERSZEM.

OSOBY:

Starościna, Marya Montrymowa, wdowa, lat 24.

Panna Marcybella Downar, jej krewna, rezydentka, lat około czterdziestu, wymuszona i żywa.

Talwosz Cześnik, krewny i opiekun Starościny, lat pięćdziesiąt kilka, poważny, ubrany skromnie.

Chorąży Gabryel Holub, lat około trzydziestu, postawa męska, wojskowa.

Żegota, Rotmistrz, lat trzydzieści kilka, przystojny—nieco łysy, wąs zawieszony.

Bodzanta, obywatel, ubiór z myśliwska, lat dwadzieścia kilka, smykowaty, wąsik młody.

Strukczaszy Mężyk, lat blisko pięćdziesiąt, ale udający młodzika, otyły, ruchy palestranckie, wymowa patetyczna.

Rzecz dzieje się na wsi w majątku Starościny.

AKT I.

Teatr przedstawia ze staroświecka ale bogato przystrojoną izbę bawialną we dworze Starościnej. W głębi drzwi szklane otwarte na ogród, dwoje drugich po bokach; na ścianach portrety i zwierciadła weneckie, w kącie szpinet otwarty. Towarzystwo zebrane około stołu Starościnej, stojącego po lewej stronie sceny, Staroscina dryzluje, obok Strukczaszy wystrojony na krześle, Cześnik się przechadza z rękoma w kieszeniach. Żegota i Bodzanta przysiadają, wstają, przechadzają się po pokoju. Godzina ranna.

SCENA I.

STAROSCINA, CZEŚNIK, STRUKCZASZY, ŻEGOTA I BODZANTA.

STRUKCZASZY (*ciągnie opowiadanie przerwane*)

Otóż, na czém stanąłem? a! wiem!... Mój szlacheiura Niebożatko, gdy spostrzegł, że sam nie nie wskóra, Że Jaśnie Wielmożnemu rady jakoś nie da, Słowem widząc, mospanie, że i wstyd i bieda, W prośby do mnie—A! ratuj! gdy nie ty, nikt w świecie... Strukezasy! dobrodzieju! zbawie mnie możecie... Ty jeden! Pomóż! sprawę przed sądy wnieść muszę, Zastawię się, wyprzedam... i kontusz i duszę... A pokażę, co szlachcie!... Skruszył mnie chudzina I wziął za słabą stronę, słabość to jedyna, Że trochę lubię proces.—Jeszcze gdy pan możny, Jest z kim grać, gra zabawna, człek czyha ostrożny

Jak strzelec na przesmyku... toć mi to zabawa!

(po pauzie)

Pozywamy do grodu... Kasztelan nie stawia...

Wygrana... Apelacya tnie do trybunału...

W to mi graj! A my chyłkiem idziem i pomału...

Wpisuję sprawę w rejestr...

ŻEGOTA (przerywając).

Kochany Strukczaszy!

Mnie się zdaje, że pani Starościnnie naszój

Historye o procesach nie koniecznie mile...

STRUKCZASZY (obruszony)

Jak to? czemu? toć rzeczy nie są tak zawile!

A wielce zajmujące...

(mówi dalej)

Rejestr był takowy...

STAROŚCINA (podnosząc oczy od roboty)

Cóż dalej, mój Strukczaszy!

ŻEGOTA (do Starościnnój).

Czyż akt procesowy

Miałby pani smakować? To rzecz niepojęta...

STAROŚCINA (powoli).

Dlaczegoż? Dość mnie bawi historia poczęta...

Zwłaszcza że tak wymowny szlacheica obrońca...

I że wcale się jakoś nie domyślam końca...

ŻEGOTA (zeicha namyślając się),

A! pani jesteś zawsze dobroci aniołem!

STAROŚCINA (półgłosem)

Znasz mnie pan jeszcze mało!

STRUKCZASZY (głośno).

W trybunałe wziąłem

Mecenasa Horyłkę... gęba wyszczekana,

Głowa potężna! panie! zręczność dobrze zyczna—

Nie zląkłem się, choć były korupcyi poszlaki,

Chociaż pół trybunału pańskimi krewniaki

Obsadzono. Idziemy! Horyłko rej wiedzie...

BODZANTA (cicho).

Gdyby już sprawę wygrał! to wieki trwać będzie.

STRUKCZASZY (dosłyszawszy go, żywo)

To Waś sobie nie słuchaj, gdy się nie podoba...

BODZANTA.

Pewniebym to uczynił, gdyby nie osoba

Starościnnój... co nas tu na uwięzi trzyma...

STAROŚCINA (cicho do Bodzanty)

Ależ, miej pan cierpliwość!

STRUKCZASZY (kończy).

Idziem! rady niema!

Horyłko sprawę wnosi, ale z jaką swadą!!

Demostenes, Cycero wydają się blade...

„Prześwietny trybunałe, rzecz (co do słowa

Pamiętam), Trybunałe! to sprawa gardłowa...

CZEŚNIK (zbliżając się do Strukczaszego).

Kochany mój Strukczaszy, chociaż Starościna

Dryzlując słucha pilnie,—lecz wszak już godzina..

Jak szlacheica nam tego dałeś na pożarcie.

W końcu przejeść się musi, gdy zechcesz uparcie

Prowadzić na trybunał... i uchowaj Boże,

Głosami mecenasów poczęstujesz może...

Zważ, czy to nie za długo?

STRUKCZASZY (gorąco).

Dlaczego za długo?

O procesie godzinę posłuchać i drugą,

Nie dziwota!—Rzecz żywa! Lecz na czymże stoję?

A! tak! Horyłko mówi, znudzić się nie boję...

Niema teatrum, niema na świecie dramatu

Nad proces, co za skórę zalał panu bratu...

Percepcye! bó! sceny!

(kończąc).

Stajemy przed kratki...

CZEŚNIK (cicho).

Lecz kobietom...

STRUKCZASZY.

Kobiety? toć żony, toć matki,

Przecież co się nas tyczy, to i je obchodzi...

Zwłaszcza taką osobę, zważ Acan Dobrodziej!

Jak nasza Starościna, stateczną, dojrzałą,

Statystkę, heroinę, jakich w świecie mało...

Mylę się—jakich niema! Nie wskażecie drugiej!

Wdzięk w niewolę zaprzęga, rozum spycha w sługi...

STAROŚCINA (z uśmiechem).

Mój kochany Strukczaszy, to coś za daleko...

STRUKCZASZY (zrywając się, rękę na sercu kładnie, gorąco).

Pani! cóżem usłyszał? niech usta wyrzeką

Raz jeszcze słowo, które szczęśliwym mnie czyni!

O królowo! o pani, o moja bogini!

Przytomność tracę z szczęścia, gwiazdo ubóstwiana...
Dziękując ci, cóż? chyba padnę na kolana...

STAROŚCINA (*zdziewiona ogląda się*).
Cóżem ja powiedziała?

ŻEGOTA (*śmiejąc się*).

Pan się tak unosisz!
Była to prosta grzeczność, zbyt z niej wiele wnosisz;
Słowo takie pro forma.

STRUKCZASY (*składając ręce*).

O miło jest, miło

I pro forma otrzymać...

ŻEGOTA (*na stronie ruszając ramionami*).

Taką figę zgnila!

(*rusza ramionami*)

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Pan Strukezaszy tak grzeczny...

STRUKCZASY (*zamyśla się*).

Na czémże stanąłem?

Już wiem! Ci do szlacheica—Czołem, on też—Czołem.
Wtém jeden jak go chlaśnie... ten do szerpenty...

CZEŚNIK (*stając*).

Gdzież? co? skąd? nie widzimy racji ni przyczyny...

STRUKCZASY.

Słusznie mówisz! Omyłka! tak! naprzód w kościele...
Spotkali się...

CZEŚNIK (*przerywa*).

Kto i z kim, nie rozumiem wiele...

STRUKCZASY (*z uśmiechem*).

Przepraszam! wyżej zaczę... stanąłem... gdzie stałem?

ŻEGOTA (*smutnie*).

Niestety, mój Strukezaszy! ach! przed Trybunałem.

STRUKCZASY (*uderza się w czoło*).

Stajem przed kratki, prawda!...

CZEŚNIK (*cicho*).

Ej! odłóż do licha!

Wszyscy prawie ziewają... Starościna wzdycha..

STRUKCZASY (*gniewnie*).

Ale bo nieustannie przerywacie tylko...

Człek się złapać nie może.. mówiłem przed chwilką...

ŻEGOTA.

Nie przerywamy, końca czekamy cierpliwie,
Jam też zaczął historią, a ani się skrzywię...

Choć drugi dzień ją noszę... a jest też ciekawa!
Kiedy ze Szwedem była w Wileńskim rozprawa,
Wpółśród tumultu, rajtar za bary mnie chwytą...

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Jak to? Szwed was, nie wy go...?

ŻEGOTA.

A, boć nie z tém kwita...

Tak się sprawa poczyna, lecz co było dalej...

Pamięta pani?

STAROŚCINA.

O! nie..

ŻEGOTA.

Bośmy zbyt słuchali

Długiej historii o tym szlacheica procesie...

BODZANTA.

Długo prawda, lecz dłużej już człowiek nie zniesie...

Starościna tak była dla służki łaskawą,

Że raczyła mnie pytać o mojego charta...

Co idzie za dereszem a szerść ma ryżawą...

Duży, chudy. Otóż to historia coś warta...

Jak mi się dostał chart ten jedyny a dziarski...

Nie wabi się po polsku, jest czysty tatarski...

STRUKCZASY (*łamiąc ręce*).

A ci znowu z Szwedami, z końmi i ze psami!

O miły panie Boże, zmiłuj się nad nami!

BODZANTA (*żywo*).

Juściż konie i te psy więcej nas obchodzą,

Niż szlacheckie procesy.

ŻEGOTA (*powolnie*).

Znów się za lby wdzą!

Niema o co! procesy, psy, konie, do licha!

Wszystko to rzeczy płocze. Nie wzdyma mnie pycha.

Ależ moja historia wojenna o Szwedzie

Może przecie bezpiecznie iść wszędzie po przedzie,

Bo jest tak osobliwą, że wpisać w kroniki...

STAROŚCINA (*z uśmiechem*).

Jakże to było?

ŻEGOTA (*zbliżając się*).

Rajtar, Szwed zjuszony, dziki...

Konno puścił się na mnie i za bary chwytą...

Jam się zwinął...

BODZANTA (*na stronie*).

O charta już się mnie nie pyta!
Jam jest najniešťczęśliwszy!

STAROŚCINA (*rzucając robotę*).

Wicie co panowie?
Tak nigdy nie skończycie, niech każdy opowie
Z kolei, ja wysłucham wszystkich trzech powieści.

(*wychodzi, dając znak Cześnikowi, który jej towarzyszy*).

SCENA II.

ciż, oprócz STAROŚCINEJ I CZEŚNIKA.

ŻEGOTA (*głośniej*).

Z respektem wszelkim, miły Strukczaczy, tej treści
Jak wasz proces, anegdot trudno bo kobiecie
Kazał słuchać! Przez grzeczność...

STRUKCZASZY.

Herezye prawiciel!
Czemu? dlaczego? Nie znasz waść polskiej niewiasty.
Tam, gdzie idzie o honor,—pozwy i subhasty
Rekurs i recesa, dokumenta prawne
Są dla nich zajmujące, miłe i zabawne...
Juściż szlacheć mój pewnie więcej wart od charta

ŻEGOTA.

A szwedzka historyjka od nich więcej warta!

STRUKCZASZY.

Każdy ma swego mola, który mu dokucza!
Panie odpuść!

BODZANTA.

Tatarski chart! Jadąc od Zbrucza,
Stryj go w drodze mój kupił i zapłacił drogo,
Bo się podobnych u nas dochować nie mogą...
Tatarzy porzucili, suka zdechła, szczenię...

STRUKCZASZY (*żywo*).

A mnie tam djabli potém! Proszę uniżenie.

ŻEGOTA.

Rycerzów żony, siostry przedewszystkiém o wojnie
Słuchać lubią...

BODZANTA.

Jużci téż uczestował hojnie
Historyą swoich wypraw! Dość! Ciągniemy losy...
Kto naprzód głos ma zabrać i mówić do końca...
Tak pani przykazała, a jam praw obrońca...

ŻEGOTA.

To mówmy po starszeństwie...

STRUKCZASZY.

Patrzcie go! Młokosy!
Radzi mi oczy wykluć, żem tak niby stary...
No! stary, ale jary... a zdam się do pary...
Do tańca i różańca, kędy mi każecie.

ŻEGOTA.

Szczególniej do różańca,...

STRUKCZASZY (*usłyszawszy*).

Już znowu kolecie.

Ale jak tnę mazura, niech no pan zobaczy...

ŻEGOTA.

Lękam się, żeby mazur was nie podciął raczej.

STRUKCZASZY (*ramionami ruszając*).

Zawsze złośliwy, byle ukąsić człowieka...

BODZANTA.

Na Boga! a! do rzeczy wróćmy, choć zdaleka.
Trzy historye powiemy... starszeństwa koleją...
Szlacheć—Szwed—chart na końcu! Z charta się uśmieją!

ŻEGOTA.

Zgoda!

STRUKCZASZY.

Ja tedy przodem...

BODZANTA.

Byleś waszmość wreszcie
Raczył proces ten skończyć!!

STRUKCZASZY (*oglądając się niespokojnie*)).

Jam tu jak w areszcie...
A moja Starościnka... sarneczka, ciebaczem
Wyniosła się! więc gonię...

BODZANTA (*klaniając się*).

Idźcie! nie zapłaczem...

S C E N A III.

CIŻ—oprócz STRUKCZASZEGO.

ŻEGOTA.

Zatém waszmość...

BODZANTA (*patrząc nań*).

A zatém... jakie zatém, bratku?

ŻEGOTA (*szydersko*).

Zatém wy z waszym chartem na samym ostatku.

BODZANTA.

Bylem was nie prześcignął, pilnujcie się proszę...

ŻEGOTA.

Ale ba? nuż obadwa weźmiemy odkosze?
Mówmy otwarcie, jam człek żołnierskiej natury
I co myślę, to wolę wypowiedzieć z góry,
Waść się o Starościnę starasz bez ochyby...

BODZANTA.

Ja? dajmy na to, że tak... a cóż zatém, gdyby?
Waść tu także nie darmo.

ŻEGOTA.

Ja się nie zapieram.

BODZANTA.

Ani ja, bo z miłości ginę i umieram.

ŻEGOTA.

Mówmy szczerze, poszedłszy po rozum do głowy,
Oba jęć nie weźmiemy... ktoś... wianek grochowy...

BODZANTA.

To pewna, albo może od miłej bohdanki
Równie hojnej dla obu dwa przypadną wianki.

ŻEGOTA.

Ha! wszystko w mocy bożej, nie wyrokuj przodem...
Zły rybak, który łapie ryby przed niewodem...

BODZANTA.

Rozumiem, że my sobie nie pomożem wzajem.

ŻEGOTA.

Kto to wie! konkurujemy końskim obyczajem
Sily sobie dodając. Patrz waszmość na konie,
Ustały, uszy na dół, wloką się jak w bronie...
Wtém ktoś z tyłu wyścigał nuż ostatnie sily
Dobędą, by wyprzedzić—

BODZANTA.

Zgoda, panie miły,

Ścigajmy...

(*milczą, przechadzając się*).

ŻEGOTA (*wzdycha*).

Ale prawdą tak rzekłszy a Bogiem
Wszyscy my się tu szczęściem nie pochwalim srogiem...
Jakoś tępo nam idzie. Piękna Starościna...
Dobra, grzeczna, lecz jedna dla nas wszystkich mina
Jedna grzeczność dla gości...

BODZANTA.

Ja się też nie chwale...

Jak świeca na ołtarzu przed jęć licem palę.
A... darmo!!

ŻEGOTA.

Jakich mało, mosanie, kobieta!
Ale co tam w niej siedzi, niech mnie nikt nie pyta.

BODZANTA.

Waszmość mi to z ust wzięłeś...

ŻEGOTA.

Stare to przysłowie,
Nikt kobiety nie odgadł; co w jej sercu, głowie,
To do trumny zagadką...

BODZANTA.

No! my dwaj, toć jeszcze...
Ale co waszmość powiesz na miłosne dreszcze
Takiego Strukezaszego z siwiejącym włosom,
Który jej koperczaki pali nam pod nosem,
A nie się nas nie boi...

ŻEGOTA.

Nie się nas nie lęka!
Nam wstyd a Starościnnie z takim dziadem męka...
To prawda, że szalony!

BODZANTA.

Waryat pan Strukezaszy,
Lecz wiecie, w starym piecu...

ŻEGOTA.

Pluje nam do kaszy.

BODZANTA.

Pluje...

ŻEGOTA.

A Starościna też mu się uśmiecha.
Jak dla nas obu grzeczna...

BODZANTA.

No to cóż u licha!
Chyba znaczy, żeśmy jej wszyscy obojętni,
Kiedy z nas do żadnego nie zwróci się chętniej.

ŻEGOTA.

Tak to jest, litościwa każdemu z kolei
Da po kropki uśmiechu, po szczypcie nadziei,
A koniec końców smutna, tęskna, roztagnięta.

BODZANTA.

Tak jest, słucha, nie słyszy... i pyta zdziwiona,
O czém tam była mowa? częstokroć się zdarza,
Że człek trzy razy jedno daremnie powtarza...

ŻEGOTA.

I tak jest jakoś Jójmość w guście niewybredna,
Że czy ja, wy, Strukezaszy—to jej wszystko jedno.

BODZANTA.

A im więcej się człowiek sadi i wysila...

ŻEGOTA.

Tém więcej zda się cierpieć i tęsknić co chwila.

BODZANTA.

Prawda, coś się w tém kryje...

ŻEGOTA.

Jest, jest tajemnica...

Alem badał napróżno, nie się nie rozświeca...

BODZANTA.

No, to jam już zręczniejszy, ktoś mi szepnął w ucho...

ŻEGOTA.

Cóż takiego?

BODZANTA.

Coś niby między ludźmi głucho
Prawią o dawniej jakiejś miłostce w młodości.
Z kim? nie wiem... wojak pono skradł serce Jójmości,
Matka wydała gwałtem... Może go też kocha...
Może on ją opuścił, tęskni po nim trocha...
Dość, że serce zajęte...

ŻEGOTA.

Ale ba! mospanie

Kiedy żołnierz kwaterą w jakim sercu stanie,
Nie łatwa go rugować—Na taką załogę
Ja tylko jako żołnierz porywać się mogę!

(pokręcając wąsa przyśpiewuje cicho).

Głupi, kto kona z rozpaczey,
Jutro może być inaczej...

BODZANTA.

Śpiewaj waćpan! Szczęśliwy rycerz Hulajdusza...
Abyś tylko nie nucił w końcu Tadeusza.

ŻEGOTA *(śpiewa głośniej).*

Kto ze strachu kona,
Nie trzeba mu dzwona...
Dzwonią mu...

S C E N A IV.

CIZ—CZEŚNIK.

ŻEGOTA (*przerywając*)
No! gdzież jest Starościna?

CZEŚNIK.

Patrzaj Waś! w ogrodzie...
Strukezaszy ją tam dognał, aby w miłym chłodzie
Dokończyć swojej chryi o owym procesie.

BODZANTA.

Ależ się stary zawział!

CZEŚNIK.

Przed młodszymi rwie się,
Może młodszych przesadzić...

ŻEGOTA.

Hej Cześniku, młodzi
Nosy coś pospuszczali... im się nie powodzi...
Gdybyś nam rzekł, łaskawco, co to będzie z tego?

CZEŚNIK (*z powagą*).

A któż zgadnie, do mety kiedy konie biega,
Który stanie najpierwszy? Życzę Starościnie
Jako dziecku własnemu; ale w tej godzinie,
Gdy się los jej rozstrzyga, stoję na uboczu...
Pracujcie Waszmość... klasnę temu, co doskoczy.

ŻEGOTA (*prosząc*).

Lecz słówko przyjacielskie...

CZEŚNIK.

Na nie się nie zdało.
Starościna jest dobrą, łagodną, lecz stałą,
I co serce jej powie, co rozum naznaczy,
Tego żadne w niej słówko już nie przeinaczy.
Zatém szczęścia próbujcie; ja modłę się, patrzę...

ŻEGOTA (*śmiejąc się*).

My też modlim się, patrzym, lecz słówka najgładsze
Nie skutkują...

CZEŚNIK (*poważnie*).

Cóż robić! woli nie ma bożej!

ŻEGOTA.

Coby miało być lepiej, ze dniem każdym gorzej....
Na to szczęścia potrzeba, z nas go żaden niema...

BODZANTA.

I pewnie ktoś wianeczek grochowy otrzyma.

ŻEGOTA (*myśląc*).

A odjeżdżać od wdowy z koszykiem nie ładnie...

CZEŚNIK.

No, toć przecie korona z głowy ci nie spadnie.

BODZANTA (*niespokojny*).

A Strukezaszy jest przy niej, dopędzę w ogrodzie...

ŻEGOTA (*widząc wychodzącego*).

Już leci... Hej! stój Waszmość! i ja na odwodzie...

(*Obaj wybiegają*).

S C E N A V.

CZEŚNIK (*sam, przechodząc się*).

Poszli! odetchnę... Z maki tej nie będzie chleba!
Starościnie innego konkurenta trzeba...
Nie tych, co się tu kręcą... Miły pan Strukezaszy
Wszystkich podobno śmieszy, nikogo nie straszy.
Powinienby afekta zwrócić w inną stronę,
A czułą Marcybyllę wziąć sobie za żonę.

Żegota... chłop jest tęgi, franta kawał, w głowie
 Wiatru dość, mózgu mało... nie zda się on wdowi!
 Bodzanta młokos jeszcze... i trochę urwisa...
 Na niewiastę poluje, jak z chartem na lisa.
 Wszystko to lud jest płochy, nie po myśli naszej,
 Żegota i Bodzanta i stary Strukezaszy.
 Smutnie też ona patrzy na tych zalotników...
 Smutna i tęskna słucha ich gawęd i krzyków,
 A myśl, serce podobno gdzieindziej ucieka,
 Bo dla niej nad Hołuba nie było człowieka...
 Kochała go, jak rzadko na świecie się kocha...
 Matka za mąż wydała... przeklął ją, że płocha,
 Nie wiedząc, co cierpiała! Odkąd się rozstali,
 On na wojnie, a ona, by płakać w oddali,
 Nie widzieli się odtąd i widzieć nie chcieli...
 I żal i gniew oboje jeszcze teraz dzieli.
 Muszę ich zbliżyć, w tém jest boże przeznaczenie,
 Nie chcą sami się żenić, to ja ich pożenię.
 Hołuba dzisiaj tutaj sprowadzam tajemnie
 A byle się tu znalazł, już choćby bezemnie
 Zrobi się... Tajemnicę zwierzę Marcybelli,
 Nie wytrzyma, wygada... Staroście powie...
 Afekt dawny oboje zbliży i ośmieli,
 Podasają się, splaczą... skończy życie wdowie.
 Bo też już tego dosyć... ale otóż kroczy
 Wprost tutaj czarodziejskie lepiąc we mnie oczy
 Imćpanna Marcybella z czułością bez miary...
 Ej Cześniku, ostrożnie! trzymaj mi się stary!
 A nuż cię też usidlili!

S C E N A VI.

CZEŚNIK—P. MARCYBELLA *wchodzi udając, że go nie widzi.*

CZEŚNIK.

Pani dobrodziejka!

MARCYBELLA (*przestraszona*).
 Ach! jakżem się przełękla!

CZEŚNIK.

Kogo? mnie?

MARCYBELLA (*cicho, skromnie*).

Cześnika...

CZEŚNIK.

Czym tak straszny?

MARCYBELLA (*z westchnieniem*).

Tyś mojej nie pojął obawy...

Ach! serce mi tak bije!

CZEŚNIK (*na stronie*)

Wstęp nazbyt łaskawy...

(*głośno*).

Już ciem nie zasłużył, aby się mnie bano.

MARCYBELLA (*czule, z wymówką*).

Głuchy, ślepy!

CZEŚNIK.

Za cóż znów tak mnie połajano?

MARCYBELLA.

Serce...

CZEŚNIK.

To rzecz nie moja...

MARCYBELLA.

Mylisz się, Cześniku...

CZEŚNIK.

Jam do rzeczy serdecznych już od lat bez liku
 Za stary.

MARCYBELLA (*rusza ramionami*).

Wiecznie jedno... a skarżysz daremnie...

Wyglądając tak młodo!

CZEŚNIK.

Aż słuchać przyjemnie!

MARCYBELLA.

A serce nie starzeje...

CZEŚNIK (*klania się*).

Dzięki za słodycze.

Alem ich już nie godzien.

MARCYBELLA.

Śmielszym ci być życzę...

CZEŚNIK.

Nazbyt znam siebie.

MARCYBELLA.

Cześnik zawsze jakiś smętny,
Poważny i surowy... zimny... obojętny.

CZEŚNIK.

Obojętny? nie weale! smutny? prawda szczerza.
Ale boleści różnych tyle nam doskwiera...

MARCYBELLA.

Już przynajmniej nie panu... nie z mojej przyczyny.

CZEŚNIK.

Czasem.

MARCYBELLA (*żywo*).A! gdybyś w serca chciał zajrzeć głębiny.
(*ciszéj*).

Ono ci jest oddane... i bije ci wiernie.

CZEŚNIK (*na stronie*).Znów bieda! Jakby z tego wyrwać się misternie?
(*głośno*)Zamilczmy o tém—serce moje już stwardniało...
Jedno tylko uczucie duszę moją całą...

MARCYBELLA.

Jedno, mówisz?

CZEŚNIK.

Tak, jedno miłości uczucie...

MARCYBELLA (*wesoło*).

Miłości!! jakiej?

CZEŚNIK (*na stronie*).Męczę się jak na pokucie!
(*głośno*)

Dla Starościny—kocham ją jak własne dziecko—

MARCYBELLA (*sucho*).

A! ależ Starościnka szczęśliwa jest przecie!

CZEŚNIK.

Szczęśliwa? czyliż pani nie widzisz jak smutna?
Wszak jęć nie nie rozrywa? a ta bałamutna
Młodzież co ją otacza... tylko niecierpliwi.

MARCYBELLA.

To prawda...

CZEŚNIK.

Więc niepokój mój niech was nie dziwi...
Lękam się, by znów cierpień nie zwiększyć bez woli
Nieostrożnością moją... otóż co mnie boli...
Lękam się, bo dziś właśnie... Lecz to... tajemnice!

MARCYBELLA.

Tajemnice!!! sekreta? cóż? co?

CZEŚNIK (*zawahawszy się, poufnie*).Wnet wyświćcę,
Ale zlituj się! proszę, nie wydaj mnie pani!

MARCYBELLA.

Ja! was!!!

CZEŚNIK.

Wiesz, jak ten Hołub nienawistny dla niej,
Że wspomnieć go nie można, że imienia jego
Przyjaciele się nawet wyrzec przed nią strzegą.—
Tymczasem, los tak zrządził.. widzielić go musiałem
I dziś do mnie przyjeżdża! Ze strachem nie miałym
Byłem zmuszony wezwać!

MARCYBELLA.

O Boże! co słyszę!

On tu będzie!

CZEŚNIK.

Lecz skrycie.

MARCYBELLA.

Kiedy?

CZEŚNIK.

Dziś... mi pisze.

Lada chwila nadjedzie! Na Boga! tajemnie
Zachowaj to!

MARCYBELLA.

Ona się nie dowie przezemnie...
Bądź spokojny. Lecz po cóż ściągać go tu było?

CZEŚNIK.

Musiałem... toć bratanek... mam sprawę zawiłą...
O wspólną z nim sukcesją. Lecz... proszę... na Boga.
Nie wydaj mnie!

MARCYBELLA.

Nie wydám.

CZEŚNIK.

Marcybello droga!

MARCYBELLA (*podchwytyjąc*).

Droga? czyż droga?

CZEŚNIK (*grzecznie*).

Pani! najdroższą jest dla mię.

MARCYBELLA (*zmieszana*).

A! pan biedną uwodzisz!

CZEŚNIK.

Ja nigdy nie kłamię...

Dlatego żeś mi droga, żeś za przyjaźń wielką
Wdzięczy ci jest... dam radę...

MARCYBELLA.

Przyjmę radę wszelką...

CZEŚNIK (*wzdychając*).Nie rachuj na starego! Pani się uwodzisz...
Myśląc o mnie...

MARCYBELLA.

Cześniku, chciój, wnet się odmłodzić!

CZEŚNIK (*z uśmiechem*).Radbym, ale—znam siebie; młodszym jest Strukeczaszy.
Weź pani na cel tylko...MARCYBELLA (*cofa się urażona*).A więc z łaski waszój
Za pierwszego lepszego mam już być wydana...

CZEŚNIK.

Ależ pani!

MARCYBELLA.

Obelgę zyskałam od pana.
Za co? za mego serca ofiarę daremną...

A! pan jesteś... okrutnik!

CZEŚNIK.

Zlituj się nade mną,
Jakążem ja popełnił tak straszliwą zbrodnię?MARCYBELLA (*gniewnie*).Ale to jest szyderstwo, zdrada! to niegodnie...
Myślisz, żeś lada kogo schwycić już gotowa,
Byle prędzej pójść za mąż?...

CZEŚNIK.

Rada była zdrowa...

Nie gniewajże się pani! Ja-m złamany, stary,
Z moją trumną dębową stać chyba do pary...
On w sile wieku, miły i, jak widzę, z dala
Miłym oczkiem spogląda..MARCYBELLA (*na stronie*).

Widzi w nim rywala!

(*głośno*).

On! na mnie! to nieprawda.

CZEŚNIK.

Widziały me oczy.

MARCYBELLA (*na stronie*).

Zazdrośny, czy mnie zdradza?

(*głośno*).

Wzrok się waści mroczy...

CZEŚNIK (*wzdychając*).

Ha! bom stary!

MARCYBELLA (*ruszając ramionami*).

A zawsze ta starość, co słowo!

Raisz mi Strukeczaszego! No! więcem gotową...
Przypatrzę mu się lepiej, któż wie?CZEŚNIK (*na stronie*).

Dałbyś Boże!!

MARCYBELLA (*półgłosem*).

Będiesz kiedyś żałował! po czasie!

CZEŚNIK (*z rezygnacją*).

Być może!

(*klania się i odchodzi*).

S C E N A VII.

MARCYBELLA (*sama, chodzi niespokojna*).

Niech się dobrze namysle! Czy on mnie tak zbywa?
Czy w tych słowach się kryje miłość jego żywa?
A! okrutna niepewność!... Serce me nie wie,
Lecz winę jego po mym rozpoznaję gniewie...
I zemszczę się! och! zemszczę! Zwodził mnie tak długo.
Bo zwodził! Uniżonym był mym dawniej sługą!
Nie raz... przy stole... zupeł rozdać... spoziera...
Radby zgadnąć myśl moją! z półmiska dobiera
To skrzydło, to wątróbkę... aż się pani śmieje...
Ja się płonę... A wino raz w raz w kielich leje.
Pomnę owe wieczory... przybiegał w sekrecie,
Skrada się cicho, siadzie u mnie na sepecie
I gawędzi... a chociaż nie spoziera na mię...
I nie wzdychał ja czuję, że filut tak kłamię!
Bo ile razy rękę chwycił, czułam drżenie!
A w lecie, pełne gruszek dla mnie miał kieszenie...
Raz nawet zachorował tylko ze zgryzoty,
Gdy nieboszczyk pan rejent przybywał w zaloty...
Teraz zdradza potwora! nie ujdzie mu płazem...
Krzywdę całej płci mojej pomszczę z własną razem!

S C E N A VIII.

MARCYBELLA. — STAROŚCINA *wchodzi*.

STAROŚCINA.

Ach! ledwie od nich wolna! Niema tu Cześnika?

MARCYBELLA (*kwaśno*).

Niema! nie wiem! Gdzieś poszedł.. Jakoś mnie unika,
Ale i ja go także... nie chcę wiedzieć o nim...

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Pozornie uciekamy, wistocie się gonim!

MARCYBELLA (*oburzona*).

O! nie ja! O Cześniku wiedzieć nie chcę... wcale...

STAROŚCINA.

Po gorącej miłości...

MARCYBELLA.

Najgorętsze żale...

Najzaciętsza nienawiść! Ty to wiesz najlepiej.

STAROŚCINA (*żdziwiona*).

Ja?

MARCYBELLA.

Ty! A przecież Hołub! Myśmy też nie ślepi.

STAROŚCINA (*cicho*).

Hołub?—Wielkiej miłości dla niego nie było...

Przynajmniej z jego strony... ani mu się śniło.

MARCYBELLA.

A wam!?

STAROŚCINA (*smutnie*).

Śniło się tylko... lecz jeśli kochała,

Miłość ta zmarła dawno, pogrzebiona cała.

MARCYBELLA.

Słusznie! Ja to pochwałam; nie można inaczej

Z tym rodem niegodziwym, zgrają podpalaczy,

Co byle serce chwycił który, wnet ucieka...

Mścić się, gardzić, zapomnieć niecnego człowieka!

Nie wiem dlaczego... Cześnik tego nie rozumie...

STAROŚCINA.

Cześnik? Dlaczegoż Cześnik?

MARCYBELLA.

Pojąć was nie umie.

STAROŚCINA.

Mnie? jak to?

MARCYBELLA (*jękając się*).

Tak, potrosze mniemać mam powody...

Ale to tajemnica. Nie chcę iść w zawody

Z tym zdrajcą i przez zemstę wydawać sekreta...

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Cześnik! miałby sekret! Bredzisz, moja droga!
On! najlepszy przyjaciel! Zlituj się! na Boga,
Czy cię miłość zaślepia, czy zazdrość cię drażni?...

MARCYBELLA.

No! ja co wiem, to już wiem...

STAROŚCINA.

Jam dotąd przyjaźni
Nie doświadczyła jeszcze stalszej od nikogo.

MARCYBELLA.

O! o! i przyjaciele tacy zdradzać mogą!!
Ale, sza!

STAROŚCINA.

Niepokoić chciałabyś daremno...

MARCYBELLA.

Więc milczę...

STAROŚCINA.

Czyż myśl jego może być tajemną

Dla mnie?

MARCYBELLA (*rusza ramionami*).

Ależ już milczę, już milczę, jak skała!
I kąsam sobie wargi, bym go nie wydała...
Chociaż na zemstę moję zasłużył stokrotnie...
Zdradził mnie, ciebie zdradzi chytrze i przewrotnie,
Zobaczysz!

STAROŚCINA.

Ale dla mnie on tajemnic niema.

MARCYBELLA (*żywo*).

Otóż ma!!

STAROŚCINA.

W tém się mylisz.

MARCYBELLA.

Ma! i dobrze trzyma!

STAROŚCINA.

Ale to być nie może...

MARCYBELLA.

Ja wiem... lecz zataję...

STAROŚCINA.

Przedemną?

MARCYBELLA.

Muszę; niech mnie Starościna laje;
Nie chcę za jego zdradę odpłacać się zdradą!

STAROŚCINA.

Cóż to jest? nie rozumiem! Tyś wzruszoną! błada!
Gniewasz się?

MARCYBELLA.

Nie—lecz tego nienawidzę czeka!

STAROŚCINA.

Uspokój się...

MARCYBELLA.

Spokojnam... Milcząco zdaleka
Będę śledzić ten wątek.

STAROŚCINA.

Wątek? ależ czego?

MARCYBELLA.

Ja milczę..

STAROŚCINA.

Ależ proszę! wyjaśń, coś takiego?

Ja wiedzieć—muszę.

MARCYBELLA.

A! nie! gniew-by cię zdjął srogi...
Czyniła-byś wymówki... Żal mi cię niebogi...

STAROŚCINA (*nalegając*).

Wymówki? za co?

MARCYBELLA.

Ale, jam mu słowo dała,

Że nie powiem.

STAROŚCINA.

Mnie nawet...?

MARCYBELLA.

Tobie! w tém rzecz cała...

STAROŚCINA.

Cóż to jest? mówże? Spisek? Dręczysz mnie niecznośnie.

MARCYBELLA.

Zmuszasz? powiem... Lecz jeśli co z tego wyrośnie...

STAROŚCINA.

Nie bój się...

MARCYBELLA (*do ucha półgłosem*).

Wiedz, że Cześnik wezwał tu bratanka...
Hołub przybyć tajemnie miał tego poranka...
Może już jest...

STAROŚCINA (*zmieszana*).

Tu? Hołub?... Cóż mnie obchodzi?

MARCYBELLA.

Jak to? nie?

STAROŚCINA (*sucho*).

A nie w świecie! niech jeździ! niech chodzi!
Między mną a nim niema żadnego stosunku...
Nawet gniewu...

MARCYBELLA (*na stronie*).

Miałażbym mylić się w rachunku?
Tak zimno to przyjęła?

STAROŚCINA.

Cześnik go sprowadza...
Ja i widzieć nie będę... Co mi on przeszkadza?

MARCYBELLA.

To cię nie gniewa? tyś jest dobroci aniołem!

STAROŚCINA.

Że Cześnik chce bratanka widzieć; że się społem
Pocieszą po rozstaniu—czyżby gniewać miało?

MARCYBELLA.

Tyś tak dobra!

(*na stronie*)

To mi się jakoś nie udało!

(*wychodzi powoli*).

SCENA IX.

STAROŚCINA (*sama*)

(*staje zamysłona*).

On tutaj! o dwa kroki odemnie... w tym domu...
Ach! serca chyba nie ma!! Uderzenie gromu
Takby mnie nie strwożyło!... A! jeszcze drzę cała.
Jemu! jemu, któregom tak niegdyś kochała,
Który może mnie kochał... dziś już nie nie znaczy
Przybyć tu... I serce mu nie pęknie z rozpaczy!
Mógł się widzieć gdzieindziej... jemu wszystko jedno...
Nie pomyślał już o mnie; jam już dlań powszednią
Niewiaścą jakąś... Nie wie, że serce rozdarte
Jeszcze krwią płynie... rany dotąd nie zawarte...
A myśl, co chce zapomnieć, wciąż z grobu wywleka
Zabita miłość dawną... i trupa człowieka!
Tacy oni są wszyscy... im miłość—zabawką,
Dla nas—życiem lub śmiercią... ostateczną stawką...
O! niechże smutku mego zdrajca nie zobaczy...
Ja muszę być wesolą, nie mogę inaczej
Przyjąć go! Dlań tryumfem byłyby łez ślady...
Więc posłać po muzykę... pospraszając sąsiady...
Będę się bawić... szaląc, choćbym to wesele
Miała przypłacić życiem...! Wartoż ono wiele?
Uśmiechnę się Żegocie... Bodzancie... starcowi...
Może podpatrzy przecie, albo mu kto powie.

S C E N A VI.

STAROŚCINA—CZEŚNIK (*wchodzi żywo*).

CZEŚNIK.

Mówi mi panna, że mnie Starościna wola?
Staję więc do jój usług.

STAROŚCINA.

Nie wzywałam zgoła...

CZEŚNIK.

Ze zbytnej gorliwości znać się przysłyszało...
Nie przeszkadzam?

STAROŚCINA.

Nie wcale.

CZEŚNIK (*na stronie*).

O! już się wydało!

Lecz przedemną się tai...

STAROŚCINA.

Przyznam się, żem rada.

Nawet twemu przybyciu; bo mi się wypada
Poradzić was, Cześniku.

CZEŚNIK.

Służę, sercem całym.

STAROŚCINA.

Rzecz wielkiej bardzo wagi.

CZEŚNIK (*klania się*).

Serce ci oddałem.

Starościno, i wierzyć możesz, żem gotowy
Dla twego szczęścia, stariej choć nałożyć głowy.

STAROŚCINA (*zbliżając się do niego*).

No! więc szczerze mi powiedz.... co o tój młodzieży...
Trzymasz?

CZEŚNIK (*powoli*).

Tu zdania swego pytać się należy.

Nie mojej rady... Serce twe własne odpowie.

STAROŚCINA.

Przyznasz, że biedne wielce położenie wdowie,
Ze tych gachów najazdy, ten niepokój w domu
Niemile są, a mnie też jeszcze mniej niż komu.
Ludzkie języki lekkie...

CZEŚNIK (*żywo*).

Was dotknąć nie śmieją!

STAROŚCINA.

Lecz to męczy...

CZEŚNIK.

To zwykłą jest życia koleją...

Starościno kochana...

STAROŚCINA.

Jakaż na to rada?...

Co czynić?

(*po chwili*).

Jak uważasz Żegotę sąsiada...

CZEŚNIK (*zwolna*).

Dobry chłop... żołnierz tegi, nieco frant, człek taki,
Jakich tysiąc Bóg stworzył... są cnoty i braki...
Lecz każdy je mieć musi; by zapomnieć wady,
Trzeba człeka ukochać, to pierwsza część rady.
Wątpię, ażebyś miłość już czuła ku niemu.

STAROŚCINA.

Nie... dotąd... Cóż Bodzanta?

CZEŚNIK.

Nie przeciw temu...

Jest to ciasto, z którego co kto chce ulepi...

A jabym gotowego jakoś wolał lepiej.

Chciałabys się urzędu dlań podjąć mistrzyni?

I tego są przykłady! Miłość, co chce, czyni...

Ale kochać znów trzeba...

STAROŚCINA.

Chłopię dobre, mile...

CZEŚNIK (*ciągając dalej*).

Czemuż nie? Masz Asindzka na nas dwoje siłę

I rozumu w dwójnasób... A trzeba za dwoje,

Bo ów coś ma nie wiele...

STAROŚCINA (*grożąc mu*).

Cześniku!

CZEŚNIK (*śmiejąc się*).

Ha! broje!

STAROŚCINA.

Nielitościwy jesteś!

CZEŚNIK.

Nadtom litościwy.

Sądzę jeszcze łagodnie; nie byłyby dziwy,
 Gdybym ostrzejszy wyrok dał, gdzie o was chodzi...
 Wszystko to jeszcze gachy... pół ludzie, bo młodzi...
 Co z nich kiedyś wyrośnie, Bóg wie i kobieta.
 Ale jeśli o radę Starościna pyta,
 Muszę sumienne jeszcze raz powtórzyć zdanie...
 Jedna miłość konieczna jest w małżeńskim stanie:
 Ona wady przerabia, ona za nie płaci,
 Ona ludzi przetwarza, dopełnia, bogaci...
 Z szacunkiem i przyjaźnią pokój święty w domu,
 Lecz spokojna tęsknota... a lzy pokryjemu...
 Czemuż to Starościna wielbicieli liczy...
 A trzeciego gdzieś w ciszy trzyma tajemniczej...

STAROŚCINA (*żywo*).

Strukczaszego? człek godny!

CZEŚNIK.

Godny! lecz cóż potem,
 Kiedy mu was siwieje... Dobrym by obrotem
 Było i mnie zarazem i was oswobodzić,
 A z panną Marcybellą starać się ich zgodzić...
 Para wcale dobrana...

STAROŚCINA (*na stronie*).

Coś milczy o swoim...

CZEŚNIK (*na stronie*).

Udaje obojętną...

STAROŚCINA (*głośno*).

My ich w łatki stroim,
 A to są wszyscy ludzie mili i poczeiwi,
 O takich dziś nie łatwo; mnie to bardzo dziwi,
 Żeś Cześnik taki trudny...

CZEŚNIK (*żywo*).

Nie chcę dać na kartę...
 To co wielkiego szczęścia za cnoty jest warte...
 O was idzie...

STAROŚCINA.

Dziękuję, pomyślim..

CZEŚNIK.

A! pani...

Tu myśleć niema nad czém!

STAROŚCINA.

Daruj, łatwo gani,

Kto, jak ty, po ojcowsku dziecię swoje kocha...

Ale ja jestem stara, ochłodła, niepłocha...

I ważę; w każdym jest coś dobrego...

CZEŚNIK.

Ni słowa.

W Strukczaszym się szczególniej podoba wymowa;

Żegota w słowach rycerz, a Bodzanta! dziwy!

I koniarz doskonały i tęgi myśliwy!

Na przyjaciół wyborni.

STAROŚCINA.

Znów nie masz litości.

CZEŚNIK.

Mam ją i mam tak wiele, że zbytek jój, pani,
 Już na was wylać miałem... Czas nie do zazdrości,
 Kiedy taka kobieta... tych gachów nie gani!
 I ta, coby wybierać mogła w ludzi tłumie,
 Nad Żegotę, Bodzantę, nie znaleźć nie umie—

(*na stronie*).

Zmieszała się...

STAROŚCINA.

Cześniku, prawda, czas nie lada...

A zatem co dał Pan Bóg, w tém wybrać wypada...

(*na stronie*).

Wymienię z nich jednego, by skryć tajemnicę...

(*głośno*).

Cóż mówisz o Żegocie?

CZEŚNIK (*patrząc na nią*).

Rumienia się lice!

Drżysz? byłbyś szczęśliwym? On! a! mówcie szczerze...

STAROŚCINA (*złęknięta*).

Ach! nie... nie... mój Cześniku, tylko chęć mnie bierze
 Lepiej go poznać, wstrętu nie mam...

CZEŚNIK (*klaniając się*).

A więc—cicho!

Skoro serce wyrzekło, rozum radzi lichu...

STAROŚCINA (*żywo*).

Ale nic nie wyrzekło!

CZEŚNIK.

Wolisz go nad innych?

STAROŚCINA (*waha się*).

Wolę...

CZEŚNIK.

Miłość od takich uczuć się niewinnych
Zaczynać zwykła... A więc z bożą wolą!

(*Starościna odchodzi powoli*).

Biedny Hołub! Ha! ze złą czyli z dobrą dolą
Pogodzić się potrzeba... Próżne me staranie...
Niechże się wola Pańska a nie moja stanie...

KONIEC AKTU PIÉRSZEGO.

AKT II.

Scena przedstawia ganek domku ogrodowego, mieszkanie Cześnika, otoczony klombami i drzewami dokoła. Z ganku drzwi otwarte do wnętrza domku. Na prawo i na lewo ścieżki do ogrodu. W głębi stare drzewa i gąszcz.

SCENA I.

CZEŚNIK—HOŁUB (*w ganku*).

CZEŚNIK.

Niechże ci się przypatrzę... wyściskam, popieszczę...
Mój ty miły Hołubie! nacieszyć się jeszcze
Nie mogę tobą... Długom nie widział się z wami!
Bóg łaskaw, całoś wyszedł z Tatary, z Szwedami
Z kozaki się tam rąbiąc... Zmizerniałeś nieco...
Oczy ci trochę wpadły... ale życiem świecą...
Twarz trochę zasepiona, tęskna i ponura
A nad czołem ci smutku wisi jakaś chmura.
Jak nieboszczyk Radziwiłł, co wielkie podróże
Odbýwał, mówił niegdyś o tój Włochów górze,
Którą nazwał Vesuvium... wieczny ogień w łonie
A nad nią wieczna chmura... Cóż tam w waści plonie?
Czy téż ogień?...

HOLUB.

Był niegdyś; wygasa powoli...

Kłamałbym, mówiąc, że już nie wewnątrz nie boli,

Że popioły z pożaru zimne pozostały...
Jest popiół, lecz są jeszcze i węgli kawały
I żuźle niedogasłe—twe serce odgadnie,
Że przybycie w to miejsce, ogień, co tli na dnie,
Rozplomieni, nie zgasi... doleje oliwy...

CZEŚNIK (*niecierpliwie*).

At! jam to stary głupiec! i tak nieszczęśliwy,
Żem chcąc dobrze...

(*wstrzymuje się*).

Bo po co było tu sprowadzać?
I ogień ten rozżarzać, by sobie dogadzać...
No! ot powiem ci szczerze, nie całkiem dla siebie,
Nie serca to własnego folgując potrzebie
Ściągnąłem cię tu... chociaż napróżno, mój drogi!
Kobiety są poganki, czezą rozliczne bogi...
I nie jednego tylko... at! słabe istoty!
Starzy jak ja... gdzieś, kurzej dostają ślepoty...

HOLUB.

Spokojny bądź, Cześniku, jechałem ostygły...
Bez złudzeń i nadziei, ani mnie dościgły
Marzenia twe, nie czułem nic... oprócz boleści...
Znane mi serce kobiet, obyczaj niewieści...
Ta co mogła poświęcić najpierwsze kochanie
Dla kaprysu swęj matki... kochać nie jest w stanie.
Nie wielce mnie kochała! a na miłość ową,
Lata sypnęły ziemią zapomnień grobową...
Smutki, bóle, ostatnie zgasiły iskierki...

CZEŚNIK.

Tak! tak! Nie w naszym wieku szukać bohaterki;
Zgasły już owe iskry... i ludzi się próżno.

HOLUB.

No! jam też się nie łudził.

CZEŚNIK (*zamyślony*).

Nie można, nie można...
Chwalić Boga, bo to ci oszczędza zgryzoty...
Trzeba o niej zapomnieć, w inne pójść załoty...
Znaleść dziewczkę pocziwą gdzie w szlacheckim dworze,
Zaswatać się i żenić, bo to prawo boże.
Szlacheć, dopóki młody, żołnierz... gdy się starzy,
Gospodarz. Niech i rotmistrz siądzie, gospodarzy...
Tak zyczę.

HOLUB.

Daruj, drogi Cześniku, nie mogę.

CZEŚNIK.

Czemu?

HOLUB.

Umrę trzymając na strzemieniu nogę
A zbroicę na piersi—to kochanka moja...
Ta żelazna, pogięta i wytarta zbroja...
Narzeczona, ta szabla krwią Turków obmyta,
A gospodarstwem mojem obóz; aż zaświta
Ów ranek pożądany, gdy kurhan gdzieś w stepie
Razem z braćmi przysypie... i spoczną te ślepie,
Co dosyć w świat patrzyły, a kości przeleżą,
Aż sądny dzień je nową okryje odzieżą...

CZEŚNIK.

Tylkoż tak znów nie mówcie!

HOLUB.

Nie umiem inaczej.

Były lata nadziei; dziś...

CZEŚNIK (*przerzywa*).

Lata rozpaczy?

Pfuj do kata!

HOLUB.

Nie rozpacz przyszła, ale zima
I kwiatkom już nie kwitnąć i zieleni niema...
Godziłożby się, abym biedne dziewczę młode
Wiązał sobą jak kamień do szyi i w wodę...
Dał mu serce podarte i kości pobite
I za cudzy grzech karał niewinną kobietę?

CZEŚNIK.

Cóżes to ty, taki stary?

HOLUB.

Okrutnie; niekiedy
Lat swych nie doliczam, tylem przeżył biedy.

CZEŚNIK.

Ależ porzuć te myśli; przyznam ci się szczerze,
Kiedym cię tu przyzywał, jeszcze byłem w tej wierze,
Iż się tu coś da zrobić... Myślałem inaczej...

HOLUB.

Dosyć! Serce zapomni, ale nie przebaczy...

CZEŚNIK (*żywo*).

Już téż i waść mnie burzysz temi gniewy swemi!
Co ty jój masz przebaczać? Wszak czystszej na ziemi
Niéma nad tę istotę... Wiész, co matki władza?
Rodzice dziecku każą, kto słucha, nie zdradza,
I obowiązek spełnia pierwszy jako dziecię...
Jam był świadkiem jój męki, łzy widziałem przecie
I mdłości i rozpacz i gwałt jój zadany.

HOŁUB.

Wszakże miałem jój słowo?

CZEŚNIK.

Ucisk niesłychany!

Kłamstwami ją uwiedli, pozmyślano listy,
Pierścionek jój fałszywy, jak ślad oczywisty
Twojego przeniewierstwa, przynieśli, wszak mało
Życie jój z tą boleścią że nie uleciało...
Tak matce było pilno sprzedać swoje dziecię.

HOŁUB (*niecierpliwie*).

No! dość! to stare dzieje! tak to zawsze w świecie...
Rzecz skończona... i kwita.

CZEŚNIK.

Tak, lecz miałem w głowie,
Że tę uschłą latorośl moim tchem odnowię.
A w tém się omyliłem...

HOŁUB.

Jam nie miał nadziei...

CZEŚNIK.

Dziś, po czasie...

HOŁUB.

Złamane nigdy się nie klei...

CZEŚNIK.

Jakiś tam pan Żegota przypada do smaku...

HOŁUB.

Szczęść Boże.

CZEŚNIK.

Ani żalu ani bolu znaku?...

HOŁUB.

Co? po płochój niewieście? Dziś ten—jutro inny...

CZEŚNIK (*niecierpliwie*).

A no cicho, nie płocha jest a tyś—dziecinny,

Chciałżebyś ty ostygłszy, by jój miłość trwała?
A czyja w tém jest wina? Waszeci jest cała!
Tak! opuściłeś biedną, stęsknioną, samotną,
Wzgardaś na jój odezwę obesał dwukrotną...
Cóż miała począć?

HOŁUB.

Milczę...

CZEŚNIK (*smutno*).

Poszły z dymem plany.

HOŁUB.

Mnie dziwi, żeś je tworzył, Cześniku kochany.
Ja, gdybym miał nadzieję, straciłbym ją w progu...
A toć tu wrzawał uczał! luszytk chwała Bogu!
I dom weale nie wdowi, ani tak żałobny,
Raczej coś do zajezdnej gospody podobny...
Jeżeli tak zawsze u was...

CZEŚNIK (*niecierpliwie*).

A gdzież u licha!

To rzeczy niepojęte! Toć domina cicha,
Kątek jakby klasztorny, dopiero Żegota
Musiał humor odmienić, i przeszła tęsknota...
Zaszumiało tu u nas... Rzecz mi niepojęta...
Pójdęz i ja tam tego zakosztować święta.
Wypada mi się przecie pokazać na chwilę...
A waść tu siedź zamknięty...

(*wskazując na drzwi*).

Z powrotem przypile.

HOŁUB.

Idź, kochany Cześniku, nie frasuj się o mnie.

CZEŚNIK.

Trzy kroki, wnet z powrotem... tylko się przypomnę.

SCENA II.

HOLUB (*sam chodząc po ganku*).

Chyba Bóg tę niewiastę utworzył inaczej!
Tyle lat... tyle smutków; wśród łez i rozpaczey,
W gniewie, ciągle mi ona przed oczyma stawia,
Jak widmo jakieś białe, zboląła i łzawa...
I zapomnieć nie mogę. Myślałem na wojnie,
Że ze krwią pamięć stracę, a lałem ją hojnie...
Że serce mi wśród twardych skamienieje ludzi,
Że trud te głupie szaleńczości młodości wystudzi...
Kłamałem przed Cześnikiem—serce pierś rozbija,
Od czasu jak tu jestem, znowu wspomnień żmija
Kąsa mi ją i szarpie. Tylko raz, zdaleka...
Ujrzeć ją,—raz zobaczyć spragnioną powieka...

(*przerzywa nagle*)

Nie! po co? by oszaleć tym widokiem gorzkiej
By napić się trucizny, która mnie umorzy!
Nie chcę, nie chcę! pojedę! ucieknę, dość tego...
Ciszéj, serce...

(*przerzywa*)

Rozważmy, ale cóż w tém złego?
Prosta tylko ciekawość. Cóż to mi zaszkodzi?
Czy tak zawsze wygląda, jak kiedyśmy młodzi
Durzyli się wzajemnie miłośnym napojem,
Jaką ją jeszcze zawsze widzę w sercu mojem!
Spojrzę, tém się wytrzeźwię, ostudzę, ulecę,
Ujrzę zimną, wesołą i ten szal uciecze...
Tak, to dobre lekarstwo... Lecz jak niewidziany...
Potrafiłbym się podkraść pode dworu ściany??

SCENA III.

(*Holub zamyślony chodzi. Żegota naprzód za sceną woła, potem nagle wpada na ganek, nim Holub miał czas ujść*).

ŻEGOTA (*za sceną*).

Hej! Cześniku kochany! hola! he! Cześniku!
To się zadziało, gdy mego już nie słyszy krzyku...
Starościna posyła; gonię, szperam, łapię...
A ten gdzieś lub się modli albo może chrapie...
Hola! mości Cześniku... tu cicho, jak w grobie...

(*postrzegając Holubą*).

Ach! kogoż to ja widzę? stój!

(*Holub chce uciekać*).

Holub! Co tobie?

Czegoż uciekasz? cóż to?

HOLUB.

Cyt! a! cyt, na Boga!

ŻEGOTA.

Uściśnijmy się, bracie... skądże ci ta trwoga?
Przecieżemy bratersko szli razem na Szwedę,
A tu i znać mnie nie chcesz!

HOLUB.

Otóż znowu bieda!

Cicho! na Boga! cicho! mam powody moje...

Dla których tu widzianym nawet być się boję...

(*Starościna ukazuje się z boku domu, skrada i przysłuchuje rozmowie ostrożnie, niewidziana*).

Zlituj się, nie mów o mnie!

ŻEGOTA.

Nie powiem i słowa...

Domyślam się ja trochę! A! od czegoż głowa!

HOLUB.

I nic się nie domyślaj, byś nie zgadł fałszywo...

ŻEGOTA.

Starościna...

HOLUB.

Nie znam jej...

ŻEGOTA.

O! o! co za dziwo!

HOLUB.

Nie znam...

ŻEGOTA.

Nie może być...

HOLUB.

Choć znałem, ale nie znam, mówię.

ŻEGOTA.

Więc to nie wy serduszko złapaliście wdowie?

HOLUB.

Daj mi pokój!

ŻEGOTA.

Więc bajkę splekli mi...

HOLUB.

Och! brednie...

Nigdy się w nią nie kochał...

(śmieje się).

Ja! a to jest przednie!

Byleś spojrział, zabawił, przysiadł się do kogo...

Żeby plotki nie zrobić, wytrzymać nie mogą.—

ŻEGOTA.

Czegoż się tu ukrywasz?

HOLUB.

Mam ważne powody...

Jest proces familijny... z niego korowody,
Trochę kwasów... Chciałem się przejednać z Cześnikiem.
Jakoś łaskaw, nie wspomnijże o mnie przed nikim.

ŻEGOTA.

No? Na prawdę?

HOLUB.

A ręczę! prawdę mówię całą...

ŻEGOTA.

Chwała Bogu! Złakłem się! w piersi tchu nie stało!
Bałem się, żebyś mi ty nie zdmuchnął tej wdowy,
Bo to kasek królewski! i ja-m już gotowy
Dla niej się ustatkować.—Cóż to za bogini!
Jaka ręczka! buziaczek! Wszystkie inne przy niej
Kucharki wyglądają. Miła, dobra, słodka!..
A łagodna! a w oczkach jaka to pieszczotka...

Jaki urok, co człeka roztopia powoli.
Przytém śliczny posażek... przybytek nie boli.
Słowem, że się ożenię, byle tylko chciała...
A myślę, że nie będzie od tego... Bez mała
Już te oczki coś mówią... coś czuliej spoziera...
A gdy ujmę za rączkę, nie zaraz odbiera...
A uśmiecha się wdzięcznie, wyróżnia mnie w tłumie,
O! kobieta nie głupia i poznać się umie.

HOLUB (zimno).

Winszuję!

ŻEGOTA.

Cóż tak zimno?

HOLUB (podobnie).

Nie zwykłem goręcej.
Wszak to jeszcze marzenia, nadzieje, nie więcej.
A w małżeństwie nie wprzódę winszować należy,
Aż para lat szczęśliwych w pokoju ubieży.

ŻEGOTA.

Ale—w małżeństwie wszystko zawisło od męża;
On to szczęście zapewnia, on biedy zwycięża;
A ja sobie dam rady! I u mnie kobieta
Musi tańczyć, jak zagram. Znaj pana i kwita!
A że mi Starościnka zdaje się łagodną,
To z nią zrobię, co zechcę... i nie panią modną,
Ale dobrą gosposię!..

(mówiąc wchodzi przez drzwi do wnętrza domku. Starościna pokazuje się z boku na ścieżce i pogląda za niemi).

SCENA IV.

STAROŚCINA (sama mówi żywo).

Widziałam go! Błady!

Ilu trosk i niewczasów w jego twarzy ślady!

Czyżby cierpiał!?... O! pewnie nie z przyczyny mojej!
Ja-m tylko tak szalona! Rana się nie goi...
Leciałam tu bez wstydu, niepomna, że może
Ktoś mnie śledzić, podpatrzeć!—A! zlituj się Boże!

(*myśli*).

Jakie oczy przygasłe i chmura u czoła!
Serce—o nędzne serce... zapomnieć nie zdoła...
On się wyparł, zapomniał... ja płaczę i płaczę...
I gonię, jak szalona... czy go nie zobaczę...

(*po chwili*).

Co za urok w tej twarzy smętniej, w głosie, w mowie,
Gdy ten głos usłyszałam, wszystko się w mój głowie
Zmąciło—chciałam lecieć, rzucić się szalona...
Do nóg jemu, na piersi, paść w jego ramiona...
O! bezwstydną! bezwstydną! Wstrzymał mnie Żegota.
Coś mówił, nie słyszałam... pragnienie, tęsknota
Ciągnęły mnie ku niemu... czuję nieszczęśliwa...
Że jeśli nie on, to nikt...

(*smutnie*).

Nikt!... bo on się gniewa.

SCENA V.

ŻEGOTA.—HOŁUB.

(*Starościna ukryta z boku domu w krzewach*).
(*Rozmawiający wychodzą na ganek powoli*).

ŻEGOTA.

Tak, kochany Rotmistrzu, żyjem tu wesolo...
Starościna w początkach chmurne miała czoło,
Trochę się jakoś na nas patrzyła z obawą...
Teraz już jest weselszą i na mnie łaskawą.

Mam ci ja tu szermierzy, co wraz ze mną gonią...
Ale się ich nie boję... już spokojnym o nią...
Oczki coś mi mówiły! Ho! znam ja kobiety,
Bom też je praktykował, przeróżne, niestety!
Strukczaszy mąż jest zacny, lecz człek odleżały,
Choć stroi koperczaki z wielkimi zapalą,
Lecz to ogień słomiany, a ten młodzik drugi
Pójdzie też sobie z kwitkiem po chwili niedługięj.
I ja targu dobiję!

HOŁUB.

Dziwnie mówisz chłodno.

ŻEGOTA.

Najgorzej brać gorąco... Ja chwilę dogodną
Znajdę, wypatrzę, schwyce... po żołniersku, panie...

HOŁUB.

Nie kochacie jej, gdyście tak rachować w stanie.

ŻEGOTA.

Ja kocham po swojemu, nie tak słamazarnie,
Jak wy, co to gdy miłość serce wam ogarnie,
To przytomność tracicie. O! ja nie szaleję.

HOŁUB.

Więc nie kochasz...

ŻEGOTA.

Przez różne-m przechodził koleje...
I to wiem, mospanećku, że kto kocha srogo,
Ten głupi... a ludzie z nim co chcą zrobić mogą...

(*podśpiewuje*).

Niech szaleją kobiecełta
A Jegomość niech pamięta,
Że wszelaka miłość sroga...
Istna kara Pana Boga...

HOŁUB (*wzdychając*).

Szkoda mi was obojga, bo z takiego stadła
Szcześnie pono nie będzie.

ŻEGOTA.

A no kość już padła...
Stało się! Serce, prawda, trochę mi przywiędło,

Ale się jeszcze z niego afekt będzie przędło...
Ile na chleb powszedni potrzeba...

BODZANTA (*za sceną*).

Żegota!

(*Na głos ten Hołub się kryje, Żegota ucieka, Starościna w drugą stronę...*)

SCENA VI.

BODZANTA (*wchodzi wołając*).

Hej! Cześniku! Żegoto! dyabeł niemi miota!
Wszystko się rozleciało, tak że z gości wiele
Zostało się nas dwoje, ja i Marcybella...
I już się niebożatko zaczęło brać ku mnie,
Gdym się jakoś ucieczką salwował rozumnie,
Ale gdzież ci Ichmoście? Gdzie jest gospodyni?
Gdzie ten urwis Żegota... Coś się tu źle czyni...
Miałeby mnie ten żołdak, ciur jakiś, gbur taki
Odsadzić od téj wdowy?

Mam coś złe poszlaki...

Nigdzie, nikogo, pusto... ni żywego ducha...
Gdzież się popodziejali? Czy znów Jejmość słucha
Strukezaszego powieści o sławnym procesie!
Czy Żegota ze Szwedem, co go za kark niesie...
A! ciężki chleb o wdowę swobodną staranie;
Jużbym wołał o pannę... Tę zawsze zastanie
Na swém miejscu, wiesz kędy i gdzie się podziewa;
Konkury idą wolno, czas trochę upływa,
Ale za to, jakgdybyś czytał wszystko z księgi,
Dziś to, a jutro tamto, do saméj przysięgi,
A tu, jak wiat w polu wdówka się wywija...
(*postrzegłszy nadchodzącą Marcybellę, uchodzi w przeciwną stronę żywo*).

SCENA VII.

MARCYBELLA (*wchodzi, oglądając się*).

Cóż to jest? gdzież mój Cześnik? godzina już mija,
Jak go nie ma... a w domu jakieś szept, dąsy...
Rozchodzą się, coś mruczą, Cześnik szarpie wąsy,
Żegota podśpiewuje—Bodzanta się rzuca,
Strukezaszy, krzyząc ciągle, zerwie sobie płuca...
Ja-m sama... ciągle sama, stęskniona... niepewna...
Starościna, jak jaka zaklęta królewna
Nie rozumiała, ani wydobyć z niej słowa,
Ucieka, milczy, płacze, gniewa się i chowa.
Cześnik! niewdzięczny... ale srode go ukarzę...
Na Strukezaszego pierwsze już wysłałam strażę...
Mogłabym go przywabić... cóż, gdy go nie lubię!
Ale gdzie nasz tajemny gość? Coś o Hołubie
Ni słowa, a Żegota sunie coraz dalej.
Bardzo źle idą rzeczy... choć z nimi oszalęj!

SCENA IV.

MARCYBELLA.—CZEŚNIK nadchodzi od ogrodu.

CZEŚNIK.

A pani tu co robi?

MARCYBELLA (*przestraszona*).

Ach! Cześnik!

CZEŚNIK.

Tu!... u mnie...

MARCYBELLA (*kwaśno*).

Co robię? Przecież kiedy wszyscy idą tłumnie
Do ogrodu, mnie także wolno pójść za nimi.

CZEŚNIK.

Nie przeczę...

MARCYBELLA.

Alem zawsze ja, na całej ziemi
Najbiedniejszą istotą.

CZEŚNIK.

Skądże takie żale?

Cóż się stało?

MARCYBELLA.

Nie stało się przecież nic wcale...

Szłam tędy...

CZEŚNIK.

Ja nie pytam... lecz za co gniew na mię?

MARCYBELLA.

Nie gniew, ale pogarda... ja uczuć nie kłamię...
I co czuję, to mówię.

CZEŚNIK.

Ja także.

MARCYBELLA.

Nie zawsze —

CZEŚNIK.

Kiedyż skłamałem?

MARCYBELLA.

Dzisiaj.

CZEŚNIK.

O słówko łaskawsze

Błagam.

MARCYBELLA.

Na cóż się Waści przydało me słowo?

CZEŚNIK.

Nie chcę mieć nieprzyjaciół...

MARCYBELLA (*żywo*).

Mnie to jednakowo,
Czy ich mam, czy nie mam.

CZEŚNIK (*na stronie*).

Zła coś dziś za katy!

(*głośno*).

Więc milczę.

MARCYBELLA.

Dzień dzisiejszy w wypadki bogaty!

Różne kleją się rzeczy. Nasza Starościna
Coś Żegotę przyjmuje, a i mnie poczyna
Strukczaszy nadskakiwać... jest dobra nadzieja.
Dwa wesela!

(*dyga*).

Ja żegnam pana dobrodzieja...

SCENA IX.

CZEŚNIK *sam, później nadchodzi STRUKCZASZY.*

CZEŚNIK.

Ślicznie się składa! prawda! ona i Żegota!
A mój biedak! wyżera serce mu tęsknota!
Nie uleczył się jeszcze... choć zimnym być mieni...
Tkwi tam pono w popiołach coś starych płomieni...
Idę.

STRUKCZASZY (*wstrzymuje go rozwartymi rękami*).

Czekaj, Cześniku, no, dokąd tak skoro?
Ja cię szukam, bo tu dziś wszystko dyabli biorą!
Sam już nie wiem co robić, chcę zasięgnąć rady.

CZEŚNIK.

Mojój?

STRUKCZASZY.

Tak jest, kochanie. Z całej méj parady,
Z koni, kontusza, spinki, widzisz pewno jasno,
Żem tu przybył nie darmo! Niech pioruny trzasną!

Wdowa mi przez dni parę dosyć była względna...
Ale moje wawrzyny niedojrzawszy wędna...
Jak ci się zda?

CZEŚNIK.

Pierwszy raz o projekcie słyszę...

STRUKCZASZY.

Niceś się nie domyślał?

CZEŚNIK.

Nie.

STRUKCZASZY.

Tu te hołysze,
Jakoś mi w drogę wlażą; a szparkie to, młode
I inaczej prowadzą rzeczy, niż ja wiem...
Gotowi mnie odsadzić, otóż przyznam ci się,
Że mi wstyd pójść z odkoszem, a coś widzi mi się,
Że to być—może...

CZEŚNIK.

Może.

STRUKCZASZY (*potrzęsa głową*).

I ty mówisz—może!

Niechże to dyabli wezmą!

CZEŚNIK.

Przyjm swój los w pokorze.—

STRUKCZASZY.

Ale ba! Cóż młodemu, Cześniku, kochanku,
Choćby codzień odbierał po grochowym wianku,
Ale go na łysinę włożyć—rzecz nie ładna...

CZEŚNIK.

Nie starać się o niego!

STRUKCZASZY.

Miałaby już żadna
Nie poznać się też na mnie!

CZEŚNIK.

Ba! szukajże lepij!

STRUKCZASZY.

Gdzie?

CZEŚNIK.

Dokoła; a młodość niech cię nie oślepi...
Samei już poddeptany, weź Jejmość stateczną...

STRUKCZASZY.

Juściż... młodą wolałbym...

CZEŚNIK.

Ej! to niebezpieczno!

Lepiej coś podżyłogo!

STRUKCZASZY (*cicho*).

Bo wać nie znasz świata!

Jeśli w kim dyabeł pali, to na starsze lata!
A ta co wyczekała czterdziestkę mospanie...
Nie jednemu chociażby za dwie młode stanie.

CZEŚNIK (*śmiejąc się*).

Jaki z waści koneser!

STRUKCZASZY.

Ale rada w radę...

Jak mam dostać arbuza... to lepij pojadę.

CZEŚNIK (*z cicha po namyśle*).

A panna Marcybella?...

STRUKCZASZY.

Co? co?

(*myśli*).

Nie od rzeczy!

Mogę zwrócić, od wstydu to mnie zabezpieczy...
A nie daż mi odkosza?

CZEŚNIK.

Ta odkosza nie da!

Wcale jeszcze przystojna.

STRUKCZASZY.

Zbyt czuła... to bieda...

Ale pomyślę wszakże, nieco się przybliżę—
Niestety! źle, Cześniku, nosić cztery krzyże...

CZEŚNIK (*z uśmiechem*)!

Ej! czy nie pięć?

STRUKCZASZY.

Nie jeszcze, ale coś już blisko...

Tylko sza!

(*wzdycha*).

Starościny szkoda!

CZEŚNIK.

Ej panisko

Darmo o tém myślałeś... nie dla starych kąski,
Takie panie, jak ona...

STRUKCZASZY (*wzdycha*).

Gaska szuka gąski.

At, nie wiedzą mospanie, gdzie jest afekt stały!
Na czémby wyszły lepij! Glupi ten świat cały!
(*wychodzi*).

SCENA X.

CZEŚNIK, później HOŁUB.

CZEŚNIK (*woła*).

Tst! tst! gdzieżeś?

HOŁUB (*we drzwiach*).

Schowałem się tu przed tą zgrają,
Nieustannie pod domem, do domu wlatają.

CZEŚNIK.

Otóż i ja-m z powrotem, i powiem ci szczerze...
Na to co się tu dzieje, patrzę i nie wierzę...
Wesołość, śmiechy, gwary, zbiera się na tany...
Nigdy tak Starościnej nie znał rozhulanęj...
Co to jest?

HOŁUB.

Mniejsza o to. Ja tu byłem w biédzie.

CZEŚNIK.

Cóż się stało?

HOŁUB.

Anim się spostrzegł... aż ten idzie,
Ten, Żegota... chcę skryć się, złapał mnie, jak w matni.

CZEŚNIK.

Żegota ci znajomy!?

HOŁUB.

O! i jak! w ostatniéj
Razemeśmy potrzebie byli przy Hetmanie,
W jednym stali namiocie, w jednym pili dzbanie.
Drub to mój, chłop jest dobry... ale takich siła...
Żołnierz, a więc potrosze sobie szalawila...
Zawadyaka pocziwy, gbur nieco, więc Pani
Musiała się coś zmienić, gdy miłym jest dla niéj.

CZEŚNIK (*z westchnieniem*).

Gdzie chodzi o sentyment, nie pytaj przyczyny...
Czemu się ten podoba, nie podoba inny...
To są już tajemnice niezbadane człeku...
Niéma na to prawideł, enoty, wdzięku, wieku...
Jeden ma wszystko w sobie, coś odeń odpycha;
Drugi, umysł pokorny i figurka licha,
Przyszedł, cicho siadł w kącie a chwycił za duszę...

HOŁUB.

Tak-bo lekko mi paplał o niéj... przyznać muszę,
Że aż mi było przykro...

CZEŚNIK (*smutnie*).

Lekko! szkoda!

Ale to u nich zwykła miłości nagroda...

HOŁUB.

Dziwię się Staroście.

CZEŚNIK.

Ba! i ja się dziwię...

Ale się jój uczuciu nigdy nie sprzeciwię.
Albo sama się pozna na lichym wyborze,
Albo nie... a naówczas... ratujże ją Boże!
Ludzkie perswazye często popechną, nie odciągną,
Wiele kwasów narobią, celu nie osiągną...

(*po chwili*).

Dziś Starościna dziwną jest do niepoznania—
Śmieje się, niespokojna... Wejrzenia, pytania
Lecą jak gorączkowe i z ust jój i z oczu;
To siadała z Żegotą kędyś na uboczu,
To zrywała się jakimś niecierpliwym szalem...

HOŁUB.

Zmieniają się kobiety!

CZEŚNIK.

A no prawda szczerza...

Ale człek głupi wierzy, że miłość nie zmiera...
Zwłaszcza młoda. Myślałem, gdyś tutaj przybywał,
Że przypadkiem, że jakoś...

HOŁUB.

Ja-m się nie spodziewałem...
Powtarzam wam... i... czas mi, pozwól niech odjadę...
Nie dobrze mi tu! W oczach widma jakieś blade
Przeszłości mojej chodzą... serce znowu boli...

CZEŚNIK.

Ty ją kochasz?...

HOŁUB.

O! nie! nie!

CZEŚNIK.

No to nie—do woli—
Nie to nie; ale skądże ten niepokój taki?

HOŁUB.

Brzydzę się nią... pogardzam...

CZEŚNIK.

Miłość wieloraki
Pozór często przybiera, a najbliższą bywa
Od największej czułości, niechęć zapalczywa.

HOŁUB.

Śpieszno mi stąd odjechać, zaraz...

CZEŚNIK.

Czekaj chwilę...
Jutro razem pojedziem, mnie to boli tyle,
Żem cię dawno nie widział, nie pogwarzył dłużej...
Kto wie, czy się spotkamy już w życia podróży...
Bo ona dla mnie krótka.

HOŁUB.

No, to dziś zostanę...
Ale jutro! przededniem... Konie posiadlane
Muszą być i wyruszam.

CZEŚNIK.

Uczynisz jak wola!
Głupim ja! ależ głupia twa i moja dola!
Dwoje ludzi—dla siebie stworzonych rozdziela!

HOŁUB.

Dosyć o tém...

CZEŚNIK.

Zamilezę... rozkaz przyjaciela!

SCENA XI.

CZEŚNIK i HOŁUB zajęci rozmową. STAROŚCINA podchodzi nagle i żywo,
tak, że HOŁUB, który chciał uciec zobaczywszy ją, nie ma na to czasu).

CZEŚNIK (na stronie).

Kocha! rzecz niewątpliwa, a z mojej przyczyny
Cierpi...

STAROŚCINA (za sceną).

Panie Cześniku...

CZEŚNIK.

A! głos Starościny!

STAROŚCINA.

Cześniku!

(Hołub wstrzymuje się i poważnie kłania się zdaleka).

STAROŚCINA (ujrzawszy go).

A! Wy tutaj!

HOŁUB.

Daruj pani.

CZEŚNIK (z pokorą).

Mnie to,

Prosić o przebaczenie wasze...

(całuje ją w rękę).

Proszę przeto...

Przebaczcie, zatęskniłem za miłym mym krewnym,
Lecz, że go nie ujrzycie, prawie byłem pewnym...

Chciałem się z nim zobaczyć, miał odjechać skoro...
Zaraz... Twój gniew przyjmuję, bom winny, z pokorą...

STAROŚCINA (*hamując się*).

Ależ niema w tém winy... żadnej? cóż za wina?
Jakaż-by gniewu mego mogła być przyczyna?
Chyba, że nie ufając mi, robisz tajemnie,
Coś mógł czynić otwarcie. Bardzo mi przyjemnie,
Pana Rotmistrza...

HOLUB (*zmieszany na stronie*).

Boże! taż sama! a! ona!

Ten głos i to wejrzenie—w niczém nie zmieniona,
Tylko cierpieć musiała...

(*głośno*).

Przebaczenia proszę...

STAROŚCINA.

Już ciż-bym się i mogła pogniewać potrosze...
Że mnie oba mieliście za tak niegościnną...
Mogłam wiedzieć i wiedzieć byłabym powinna...
Myśmy starzy... znajomi...

(*Oboje drżą pomieszani*).

HOLUB (*nieśmiało*).

Tak... znajomi... starzy...

CZEŚNIK (*na stronie*).

Czyż Pan Bóg jakiej pilnej sprawy nie nadarzy,
Coby mnie odwołała? Litościwy paniel
Jak na złość!... nie! krew z nosa! liehe to ukanie,
Stara sztuka, lecz kiedy nie innego niema...
Porwę chustkę i wyjdę... to ich razem wstrzyma.

(*głośno*).

Ach! krew... z nosa! przepraszam... powracam w tej chwili...

(*odchodząc*).

Stanę na straży, by ich ludzie nie spłoszyli...

(*znika*).

S C E N A XII.

HOLUB.—STAROŚCINA (*Oboje ciągle pomieszani, zdala od siebie*).

STAROŚCINA (*na stronie*).

I słówka dla mnie nie ma.

HOLUB (*na stronie*).

Jak spokojna! chłodna!

STAROŚCINA (*na stronie*).

Powinnabym już odejść... a stoję... niegodna!
Jak przykuta do niego i ruszyć się boję...

HOLUB (*głośno*).

Pani!

STAROŚCINA (*podobnie*).

Panie rotmistrzu...

HOLUB (*szydersko*).

Toż dziś imię moje?

Dawniej'm zwał się inaczej, lecz zmian zaszło tyle...
Choć imię-by powinno zostać; na mogile...
Imię się zawsze pisze. Toć człeka spuścizna...

STAROŚCINA.

A! minęły te czasy... a wspomnień trucizna
Zbyt gorzka, żebyśmy się częstować nią mieli.

HOLUB (*żywić*).

Tak jest... lepiej zapomnieć. Obojeśmy chcieli
Zapomnieć się nawzajem, i z pomocą bożą...
Lata dziecinny koniec wspomnieniom położyć...
Chcę... potrafię zapomnieć...

STAROŚCINA.

Tak, chcąc nie trudnego...

Lata i wiele mogą i tak szybko biegać...
Ja także mam nadzieję.

HOLUB.

Czyż tylko nadzieję?

Sądziłem, patrząc na to, co się tutaj dzieje,
Z wesołej komitywy, gości i biesiady,
Ze po dawnych... strapieniach nie zostały ślady.
Znać nawet, że znudzona pani Starościna...
Nowe życie... i nowe... szczęście rozpoczynając...

STAROŚCINA.

A! wszystko to być może...

HOLUB.

Trafem tu spotkałem
Starego towarzysza; w obejściu się całłem,
Z jego mowy, humoru—domyślam się wiele.

STAROŚCINA (*urazona*).

Często źle się domyśla, kto sądzi zbyt śmieie.
Ale gdyby tak było? To rzecz bardzo prosta...

HOLUB.

Ja się wcale nie dziwię! Ha! drugi Starosta!

STAROŚCINA (*mówiąc dalej*).

Dawniej świat, dawniej życie pojęłam inaczej...
Ale wiek leczy ze snów... marzenia tłómaczy...
Rachowałam do zbytku na aniołów—ludzi...
Których niema na świecie. Rzeczywistość budzi.
Inném się okiem patrzy na te życia nędze...
A na kimś trzeba oprzeć w tej ziemskiej włóczędze...
Smutno, ale koniecznie... A wy co też, panie...
Myślicie czynić z sobą?

HOLUB.

Nie jestem rzec w stanie...
Nie wiem, wojna przerwana... odpocznę gdzie w kątku...
Potém wici nadejdą: więc znów, do porządku!
Na kresy! do chorągwi i szablę przypaszę...
I znów pocznę rycerską biedną dolę naszą...
Aż kiedyś... jakaś kula albo szabla wroga
Zaprowadzi mnie... z skargą przed oblicze Boga.

STAROŚCINA.

A! czyż ciągle ta wojna?... czas spocząć nareście...

HOLUB.

Ha cóż! niema co robić! Żyć nie lubię w mieście.
Wrzawa wojenna dobra, bo jak wino poi...
A pijany nie czuje... choćby nędzy swojej —

STAROŚCINA.

Cześnik miał jakieś przecie... podobno zamiary...
Kłopotał się, mówiono... szukał dla was pary...

HOLUB.

Wdzięczny jestem stryjowi, lecz on i nikt w świecie
Już mnie dziś nie ożeni. Cóżbym dał kobiecie?
Resztki człeka i serca, mam przecie sumienie,
Nie chcę zwodzić nikogo... to też się nie żenię...

STAROŚCINA.

Dziwnie jednak na świat patrzymy oboje...
Ja także serca nie dam... zmarło serce moje.
Lecz nie tylko z miłości wszak się ludzie biorą,
Są małżeństwa z szacunku, w których mąż podporą...
Ludzie się wiążą zimną przyjacielską dłonią...

HOLUB.

Świątokradzkie małżeństwa; na takie nie skłonią
Mnie ni rady nieczyje, ani przykład mnogi...

STAROŚCINA.

To prosty rozum tylko...

(*milczenie*).

HOLUB (*po chwili*).

Któżby zgadł, na bogi!
Że my, cośmy o szczęściu tak niegdyś marzyli
W tych przechadzkach samotnych!.. pomniesz? w tej się chwili
Zejdziemy po lat tylu przeżytych tęsknicach...
Z takim chłodem na ustach... z uśmiechem na licach...
I spotkawszy się... dziwną wieść będziem rozprawę,
Jakie małżeństwo święte... prawe lub nieprawe —
Że my, cośmy przysięgli żyć tylko dla siebie,
Prędko miłość pogrzebiem, jak się trupa grzebie,
O którego się lęka, by nie kaził domu...

STAROŚCINA (*wzruszona ale hamując się*).

Gabryelu! Rotmistrzu... czyjaż wina? komu...
Przypisać ją?... wszak nie mnie?

HOLUB (*gorąco*).

Jakto? więc nie tobie,
Więc mnie może? Więc ja-m ją położył w tym grobie
Tę świętą miłość naszą, co trwać miała wieki?...
Żołnierz szedłem na wojnę, u twojej opieki

Szczęście, pokój i przyszłość zostawiałem śmiało...
 Jak Bóg Kaina spytałem... A cóż się z nią stało?
 Złamałaś wiarę, mało, tyś wiarę zabiła...
 I w kobiety i w ludzi... a byłaś mi, była...
 Nad życie droższą... Kiedy wieść tę przyniesiono,
 Żeś ślubila innemu, tego starca żoną...
 Chciałem zabić potwarę, nie dawałem wiary,
 By anioł nosił tylko anielskie maskary!
 Ale list, ale pierścień... wreszcie śmierć przyniosły...
 Świat się skończył, ja-m umarł, a z grobu wyrosły
 Pioluny tylko...

STAROŚCINA.

Słuchaj! nie bluźnij! skończone
 Wszystko pomiędzy nami... chwile policzone...
 Pożegnamy się dzisiaj do sądnej godziny...
 Tam kiedyś Bóg przeważy moje i twe winy...
 Ale chcę, abys wiedział, ile łez, boleści,
 Ile zniosłam męczarni... ile się ich mieści
 W tém sercu. Matka chciała,—przebaczam jój cieniom—
 Chciała szczęścia dziecięcia, chociaż przywidzeniom
 Ludzkim czyniąc zadosyć. Lecz wiesz, że te listy
 Nie ma ręka pisała... że w dzień uroczysty
 W dzień kiedy życie moje zakończyć się miało,
 Bezprzynomną wleczono przed ołtarz, omdlała...
 Zimną dłoń ksiądz przywiązał, a usta się spiekły
 I słowa też przysięgi świętej nie wyrzekły...
 Znasz-że ty życie moje? pojmujesz ofiarę?
 Ale dość! po co rzeczy odnawiamy stare?
 To śmieszne!

HOLUB (*ponuro*).

Tak, bądź-co-bądź, śmierć wolałbym może,
 Niżli twoję niewiarę.

STAROŚCINA.

Ja także! mój Boże,
 Ależ śmierć nie przychodzi, gdy ją nędzarz woła...

HOLUB (*przerywając*).

A, teraz w samą porę przybywam, bo zgoła
 Widzę, się na powtórne wesele zanosim...

STAROŚCINA (*z uczuciem*).

Rotmistrzu! Już u ciebie nawet nie uprosi
 I lza moja litości.—Sądź zresztą, jak wola;

Potęp mnie, ale pomnij: twa i moja dola
 Przyjdzie na ów sąd kiedyś sprawiedliwy boży,
 Który męczeńskie serce na szali położy,
 I twoję duszę hardą, wykutą ze glazu...
 Bądź zdrow i bądź szczęśliwy...

HOLUB (*kłaniając się*).

O! tego rozkazu

Nie usłucham! niestety! Bądź szczęśliwą, pani,
 To łatwiej...

STAROŚCINA (*odchodzi i powraca*).

A! ostatniem słowem jeszcze rani!

Jeszcze gniew bucha... słuchaj!

(*czule*).

Nic nie pragnę więcej,

Tylko słowa pociechy! i dawniej... dziecięcej
 Przyjaźni... przebaczenia... Rozejdźmy się chłodni,
 Ale podawsz dłoń... weselę... pogodnię...

HOLUB (*sztydersko*).

Tak! rozejdziem się chłodni! chłód przyszedł i lody...
 Zima! Ja tak ostygłem, że dziś na twe gody
 Patrzyłbym obojętny... Czegoż pragnąć jeszcze?

STAROŚCINA (*zalamując ręce*).

A! tyś kamieniem...

HOLUB (*zimno*).

Tak jest, i już sobie wieszczę,
 Że nim wiecznie zostanę. Dziś mój głos na chwilę
 Ożył, bom znowu cierpiał... i znów legł w mogile...

STAROŚCINA (*czule*).

Takżem ci była przykrą?

HOLUB.

Nie... chory wykrzyka,
 Choć czuła dłoń lekarza jego ran dotyka.

STAROŚCINA (*coraz goręcej*).

Gabryelu! mój bracie!

(*Holub stoi martwy*).

Nie! tyś już bez uczucia!

HOLUB (*zawsze zimno*).

Czuje... lecz, aby cierpieć—razy i ukłucia,
 Nic więcej. Czyjaż wina?

(*Kłania się, żegnając ją*).

STAROŚCINA (*wzruszona*).

Żegnam cię... na wieki...

HOŁUB.

Żegnam...

STAROŚCINA.

W imię miłości zagasłój, dalekiój,
W imię starój przyjaźni błagam cię — o słowo,
Jedno słówko od serca...

HOŁUB.

Ni sercem, ni głową
Do dawnych czasów, pani, powrócić nie można...
A wywoływać duchy... jest to rzecz bezbożna...
Zimno dziś witam wszystkich i żegnam podobnie,
Bo i w sercu mi chłodno... i w duszy żalobnie.

STAROŚCINA.

Spodziewam się, że kiedyś i tę dziś przebyta
Chwilę cierpień niewinnych policzą...

HOŁUB (*unosząc się*).

Niewinnych! ty niewinna?!

Kobięto!

STAROŚCINA (*oburzona*).

Teraz ja-m ochłodła...
Słyszysz... głos mój zmieniony... byłam prawie podła...
Zniżyłam się do prośby, lecz głowę podnoszę,
Ani o serce, pamięć... o słowo nie proszę!
W duszy ja-m czysta... tyś mnie nie kochał, mój panie,
Większa tam była duma niżeli kochanie...
Dobrze, żem cię poznała, że węzły te pękły...
Serce cicho odboli, lecz umysł przeleknął
Uspokoi je myślą, iż uszło zawodu...
Myśmy kochali... siebie nie znając za młodu...
Tyś okrutny, nieludzkil Dziś cię znam dopiero...
Lituję się nad tobą... widzisz, jestem szczerą.

HOŁUB (*z uśmiechem dzikim*).

Tak dobrze, Starościno... o! tak to wybornie!
Ja-m tyran, ja-m oprawca! wyznaję pokornie,
Miłość ta była szaleńcem i igraszką krwawą...
Łzawym jakimś oblędem... trzpiotowstwem, zabawą...
Ja-m jest dumny okrutnik, po tej głązu bryle
Można się było spodzierać chyba tylko tyle...

Bezduszny jestem żoldak. Otóż szczęście pani,
Że ją Pan Bóg ratował z tej strasznej otechłani...

STAROŚCINA (*czulój znówu*).

Gabryelu! ty szydzisz... a szyderstwo boli...

HOŁUB.

Nie, mówię tylko prawdę — bez rozumu, woli,
Bez serca, jestem żółcią, piolunem, zarzewiem;
Gryzę, piekę, zatruwam... i co czynię... nie wiem...

STAROŚCINA (*placząc*).

A! po cóżem tu przyszła! a! po boleść nową...

HOŁUB (*na stronie*).

To kobieta... kamienna...

STAROŚCINA (*cichym znużonym głosem*).

Żegnam cię...

HOŁUB (*dziko*).

Bądź zdrową.

STAROŚCINA (*podnosząc głos*).

Czołem, panie Rotmistrzu!

HOŁUB.

Starościno! czołem!

STAROŚCINA (*zimniój*).

Na zawsze? Lecz przynajmniej w dniu ślubu wesołym
Mam nadzieję go widzieć... Proszę na wesele...

HOŁUB.

Przybędę! przyjdę płasnąć z drużyną na czele
I śpiewkę już do tańca zawczasu ułożę...

STAROŚCINA.

Bezduszny!

HOŁUB (*na stronie*).

Bezlitośna!

STAROŚCINA.

Bywaj zdrów.

HOŁUB.

Szczęść Boże!

Choćby z trumny, pośpieszę na wasze wesele...

(*Starościna odchodzi żywo, nieprzytomna*).

S C E N A XIII.

HOLUB, *później* CZEŚNIK.HOLUB (*sam*).

Więc odeszła! wzgardziła... kobietol! aniele!
 Niéma jój! Ja winienem, ja jestem bez serca...
 Ona niewinna...

(*Bije się w piersi*).

Tys jest kat i przeniwierca...
 Straciłem ją na wieki... obłąkany szalem,
 Nie wiem, co jój mówiłem... litości nie miałem...
 Teraz—wszystko stracone, iść w bój szukać zgonu...
 (*wybiega w ogród*).

CZEŚNIK (*we drzwiach*).

Otóżem się doczekał z mojej pracy plonu!
 Słuchałem jak na węglach. Rotmistrz był kamienny,
 Ona dobra jak anioł... Stracił moment cenny,
 W którym losy obojga rozstrzygł wyrok z nieba...
 (*skłania głowę*).

Bądź wola Twoja, Panie... ty wiesz, co nam trzeba!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Teatr przedstawia mały pokój, obok bawialnego we dworze Starościnej. W głębi drzwi szklane otwarte wychodzą na ogród; w prawo otwarte na pół drzwi do bawialni oświeconej już, w których kiedy niekiedy widać ukazujących się i przesuających gości, słysząc muzykę. W lewo drzwi do innych pokoiów wgłębione w mur. Z téjże strony stoi kanapka. Pokój lekko oświecony niewidocznym dla teatru światłem lampy. Na dworze mrok późnego wieczora.

S C E N A I.

STAROŚCINA (*sama, przechadza się żywo, niekiedy przysiadając chwilowo na kanapie*).

Tak więc, skończone wszystko—przyszło mi z kolei
 Dotknąć ostatniej, by się rozpadła, nadziei—
 Człek żelazny żelazem rozdarł serce moje.
 Jakże ja cios ten przetrwam!

(*wskazuje na drzwi bawialni*).

Jak wniść w te podwoje
 Między wesółych ludzi, co wesolo gwarzą,
 Z tą duszą skaleczoną, z tą upiora twarzą!...
 Wszak z oczów rozpoznają, co mi duszę nęka.
 Ja umieram—ja konam—

(*rzuca się na kanapę*).

Wyda się ta męka.

Piersi łzami wezbrały... O! męstwa, kobieto!
 Żyj, chociażś umarła, śmiej się, choć zabito...
 Ostygnij, zdrętwiej, zamilez, bądź jemu podobną
 I szyderstwem przykrywaj swoją myśl żalobną,
 A! wina moja... moja! nadto byłam dumną...
 Chciałam udawać chłodną, wyziębłą, rozumną.
 Czemuż na pierś ze łkaniem nie rzucić się było?
 A nużby mnie odepechnął?... A! toby dobiło...
 Nie dosyć byłam czulą... jakiś strach ucisnął,
 Słowa w ustach konały, ten wyraz zawisnął,
 Który rzec było trzeba... Ja cię kocham stale...
 Ja-m twoja!... Próżne teraz rozmysły i żale!

(po chwili).

Jak na nim widać boleść... poorane czoło...
 Jakie oczy miał łzawe choć mowę wesolą!
 Rwały się z niego, jakby męczeńskie wykrzyki...
 I wzrok chwilą był słodki... chociaż głos miał dziki.
 A! zapomnieć potrzeba... odpocząć samotną...
 Lecz jak pozbyć się gości? tę ciżbę zalotną
 Odprawić? tak mi cięży hałas ten i wrzawa!
 Tak mnie ranią ich śmiechy... obraża zabawa...
 A Żegota?... tak nagli o tę dłoń umarłą,
 Z której jeszcze się jego dotknięcie nie starło...

SCENA II.

STAROŚCINA, MARCYBELLA *wbiega z bawialni.*

MARCYBELLA.

A! ty tu! A! to dobrze, że znajduję przecie!
 Gdzieżeś była? szukałam... nie jeszcze nie wiecie?

STAROŚCINA (*roztargniona*).

Nic—jak to? o czém?

MARCYBELLA.

O mnie!

STAROŚCINA.

O tobie? nie zgola...

MARCYBELLA (*z pośpiechem*).

Ogromne zaszły zmiany... historia wesola!
 Ale może się skończy straszliwie i.. krwawo...
 Wystaw sobie... Strukezaszy... krążył w lewo, w prawo...
 Wszystko to sztuki były... wiesz ty dokąd zmierzał?

STAROŚCINA (*obojętnie*).

Nie rozumiem.

MARCYBELLA.

Wszak czołem przed tobą uderzał.
 Zdawało się, że stara... sama byłam w błędzie,
 Myślałam, że dla ciebie konkurentem będzie;
 Tymczasem—jak dziś widzę—on tylko grunt badał,
 Na mnie z boku spozierał, gdy przy tobie siadał...
 Ku mnie miłośne skrycie obracał zrenice...
 Dzień dzisiejszy dopiero zdradził tajemnicę...
 Nieświadoma, intrygi obwiniam Cześnika...
 Ten odpycha mnie, czemu? bo wszystko przenika...
 Bo zazdrośny rozpacza... Ścierają się wściekle...
 Ja stoję przerażona... co począć w tém piekle...
 Żal mi obu...

STAROŚCINA (*przerwywając*).

Kochana!... czy w twój wyobraźni
 Nie nazbyt zwiększasz rzeczy!

MARCYBELLA.

Tak jest! najwyraźniej!

Radabym, by to było urojeniem mojem,
 Ale niestety! prawda! Żegnam się z pokojem...
 Ci zajądli rywale...

STAROŚCINA.

Tak są starzy oba...

MARCYBELLA (*z urazą*).

Nie tak starzy, jak ci się nazywać podoba—
 Cześnik jest w sile wieku, Strukezaszy tak miły,
 Tak żywy, tak wygląda...

STAROŚCINA.

Jakże się odkryły

Te straszliwe sekreta?

MARCYBELLA.

Jak? najprościej w świetle...
 Wiesz, że Cześnik mnie począł prześladować przecie...
 Pierwszy zwrócił uwagę na Strukezaszego.
 Patrzę, śledzę... oho! ho! gdzie mu oczy biega!
 Dziś już przysiadł się do mnie, i ujął dłoń w dłoń
 I drżał jak liść jesienny... a ciągle mu skronie
 Pot obfity oblewał i słowa dwuznaczne
 Rzucal mi... nie dał mówić, ledwie słowo zaczęę,
 On swoje; a z afektu tak uciskał rękę,
 Że z sygnetu mi herby wybił caluteńkie...
 Ot patrz... Ja pełna strachu... choć nie miałam wstrętu,
 Staralam się miarkować, i mimo wykrętu,
 Mimo wszelkich sposobów, by mu przerwać mowę,
 Krzyknął w ucho... o pani! daj mi życie nowe!...
 Rozumiesz, co to znaczy...

STAROŚCINA (*ruszając ramionami*).

Rozumiem i sędzę...

Że przyjmiesz afekt jego...

MARCYBELLA.

Lecz Cześnika żądze...

Jego zazdrość straszliwa! On wyzwąć gotowy...
 Nuż krew... śmierć... na sumieniu biednej białogłowy!
 Każdy z nich, gdy nas kocha, staje się nam drogą...
 Co począć? jak poradzić! O losie zbyt srogie!

STAROŚCINA (*z uśmiechem*).

Uspokój się... Cześnika ja żale ukoję...

MARCYBELLA.

Radzisz mi Strukezaszego?

STAROŚCINA.

Spytaj serce twoje...

MARCYBELLA (*łamiąc ręce*).

Straszna niepewność... i ten i tamten dziś miły...
 Ni przyjąć, ni odepchnąć, obu nie mam siły,
 A Cześnik mnie przeraża... pełen namiętności...
 Gotów sobie, mnie, jemu...

S C E N A III.

[STAROŚCINA.—MARCYBELLA. *Na ostatnie słowa nadchodzi CZEŚNIK.*

CZEŚNIK.

Zbytek trwożliwości

Ręczę wam, że nikomu...

MARCYBELLA (*chowa się za Starościna*).

Broń mnie! broń mnie pani!

Zabije!

STAROŚCINA.

Bądź spokojną.

CZEŚNIK.

I słowem nie zrani!

Nie znasz mnie pani jeszcze... Twe tylko na względzie
 Szczęście stary przyjaciel mieć może i będzie.
 Sam ci go dać nie może... niestety! zapóźno!

MARCYBELLA (*cicho do Starościny*).

Patrz, jaką ma postawę poruszoną... groźną,
 Ratuj mnie. Tę spokojność udaje przed nami!

STAROŚCINA.

Uspokój ją, Cześniku...

MARCYBELLA (*żywo*).

O! mnie nie omami!

(*Do Cześnika*).

Cześniku! ja-m niewinna... tyś sam był przyczyną...

CZEŚNIK.

Ale dobrze!... to wszystko tylko moją winą.
 Ja winszuję; a przecież sam na to kazanie
 Dzwoniłem, starałem się, tak mi pomóż, Panie.

MARCYBELLA (*cicho*).

Udaje...

CZEŚNIK.

Strukezaszego dawno znam i cenię,
 Człek zaeny... powinszować przyszlęj jego żonie.
 Mieć będzie uczciwego małżonka; i może
 I winna być szczęśliwą z nim... Co daj wam, Boże!

MARCYBELLA (*cicho do Starościny*).

Jak on to mówi! pasyę ukrywając w sobie,
Ucieknę, tak się lękam. Jeden legnie w grobie...
Kryją się tylko, ręczę, wyzwanie gotowe.
Lecę do Strukczaszego...

(*wybiega*).

S C E N A IV.

STAROŚCINA.—CZEŚNIK.

CZEŚNIK.

A to dni galowe

Dla nas, bo i ty, pani, myślisz także pono...
Podać rękę Żegocie.

STAROŚCINA (*zdziwiona*).

Ja?

CZEŚNIK.

Coś tak wrózano.

STAROŚCINA.

Źle wrózano! Nic nie wiem o tém, któż to plecie...
Niewolno się przyjaźnie uśmiechnąć kobiecie?
Niewolno rozweselić, by ją ciżba płocha
Nie posądzała zaraz, że już kogoś kocha...
Mamże wiecznie być smutną?

CZEŚNIK.

A! niech pan Bóg broni.

Ale przecie coś wróżą...

STAROŚCINA.

Któż wróży?

CZEŚNIK (*cicho wskazując bawialnię*).

Tam—oni...

STAROŚCINA.

Ja nic nie wiem.

CZEŚNIK.

Żegota w różowym humorze...

STAROŚCINA.

To nie z mojej przyczyny, a jeżlim go może
Do zbytku ośmieliła... o! żałuję bardzo.
Nie bez racji kobiety mężczyznami gardzą...
Płosi są... i nas przeto za zbyt płochę mają...

CZEŚNIK.

Nie gniewajże się pani, że ci męża raja.

STAROŚCINA.

Zawcześnie!

(*po chwili*).

Cóż pan rotmistrz... odjeżdża... odjedzie?

CZEŚNIK.

Wkrótce... już się wybiera... Ależ się nie będzie
Gniewać mi pani moja, za jego przybycie...
Chciałem, żeby przyjechał i odjechał skrycie...
Traf go odkrył... daruj mi... ja sam cierpię na tem.

STAROŚCINA.

Przecież grzechu w tém nie ma. Myślałam jak z bratem
Zobaczyć się... on ze mną był jak z obcą sobie.

CZEŚNIK.

Dużo cierpiał, stetryczał...

STAROŚCINA.

Mój Cześniku drogi...

Znam twe serce... myśl zgadłam. Próżne dziś te trwogi,
Jak próżne były chęci, daremna nadzieja,
Co się raz rozłamało, nigdy się nie skleja...
Zapomnijmy! przebaczymy!

CZEŚNIK.

Ucierpiałaś pani.

STAROŚCINA.

Cierpiałam, prawda... ale to serca nie rani,
Bom nie miała nadziei; boleśniej, że w chwili,
Kiedy rozstać się mamy, nie rozstajem milęj,
Przyjaźniej i bez żalu...

(*po chwili*).

Rotmistrz jedzie tedy...

CZEŚNIK.

Jedzie zaraz, natychmiast... wiele z tego biedy...

On jest jakby zabity... tyś smętna, znękana,
Mnie się serce ścisnęło...

STAROŚCINA.

A! o tego pana
Nie obawiaj się wcale—nie mu się nie stanie.

CZEŚNIK.

Nie mów tak, ja rotmistrza znam; ma panowanie
Nad sobą wielkie, ale cierpi tém okrutniej.

STAROŚCINA.

Nie sędzę... Po wspomnieniach zawsze ludziom smutniej,
Ale gdy rzeczywistość dobieje na jawie,
Sny ujdą... i nie więcej nie zostanie prawie...
Prócz goryczy zawodu.

CZEŚNIK.

A często... rozpaczy...

STAROŚCINA.

Tylko nie w nim...

CZEŚNIK.

A któż wie?

STAROŚCINA.

Ból mówi inaczej,

A gniew chłodny jest inny.

CZEŚNIK.

Przestać o tém lepij...

STAROŚCINA.

Niech jedzie...

CZEŚNIK.

Już odjeżdża!

(na stronie).

Ludzie zawsze ślepi!

SCENA V.

STAROŚCINA (*sama*).

Jedzie! niech prędej jedzie—niech go tu nie będzie!!
Czuję go, widzę jeczczę... spotykam wzrok wszędzie,
Dusi mnie tu powietrze... śmiechy ich mnie rażą...
Szyderstwo, uraganie z każdą widzę twarzą...
Gdzie się skrył jak ich pozbył! a! nieżnośne życie!
Lica barwić uśmiechem—a tu—boleć skrycie.
Obok śmiechy i śpiewy, muzyka—zabawy
(*spostrzegając nadchodzącego Żegotę*).
Otóż i natręt... idzie chyba dla odprawy!

SCENA VI.

STAROŚCINA—ŻEGOTA (*podchmielony i wesół*)

ŻEGOTA.

Przecież cię wyszukałem, światłości królowo!
I świat mi się rozjaśnił... jak barwą tęczową...
Jasność z twych oczów płynie, gdziekolwiek doleci,
Wszystko dokoła błyszczy, promienieje—świeci!...
Znikniesz, natychmiast ciemność cały świat ogarnia...
Tęsknota... boleść... męczarnia!!
Pani! spojrzij na sługę i powróć mu życia!
Wskrześ z martwych!!

STAROŚCINA (*niecierpliwie*).

Mój chorąży! co też wy mówicie!

ŻEGOTA.

Jak to? co? szczerzy jestem... nie czekając długo,
Pani, lub trupem będę—lub twym wiecznym sługą...

STAROŚCINA (*udając, że nie słyszy*).
Jestem trochę cierpiąca... któraż to godzina?

ŻEGOTA.

Wieczór, nie wiem; przy tobie czas się zapomina.
Na cierpienie, w wesołe grono wejść najlepij;
To orzeźwi, rozerwie i zaraz pokrzepi.

STAROŚCINA.

Ja spocząć potrzebuję.

ŻEGOTA.

Pani mnie wyganiania...?
A! gdybyż odejść można! ale serce wzbrania
Opuścić skarb ten, który nad świat cały ceni.

STAROŚCINA (*powtarza*).
Ja spocząć potrzebuję...

ŻEGOTA.

Humor się ten zmieni,
Wnijdź tylko pani...

(*wskazuje bawialnią*)

STAROŚCINA.

Proszę, daj mi spocząć chwilę...

ŻEGOTA.

A! chciałbym być posłusznym... lecz zbywa na sile,
By spełnić twe rozkazy, nogi wrosły w ziemię.
Pozwól niech z serca zrzucę ciężące mi brzemię...

STAROŚCINA (*niecierpliwie*).
Spocząć pragnę!!

ŻEGOTA (*na stronie*),

No, teraz przyszła na mnie pora!

(*patetycznie*).

Pani... królowo moja!

STAROŚCINA (*głośniej*).

Jam chora! jam chora!

ŻEGOTA.

Tylko słowo... ot, z chwili korzystając błogięj.—

(*klęka*).

Żywot, imię i siebie ściele pod twé nogi.

STAROŚCINA (*cofając się*).

Cóż to jest? co takiego?

ŻEGOTA (*wstając*).

Czy się źle wysłowił?

STAROŚCINA.

Nie rozumiem doprawdy...

ŻEGOTA.

Chcesz, bym jaśniej mówił?

Pani, królowo moja, jam wojak i swady
Nie mam bardzo wytwornej, ale nie znam zdrady.
Jakim jestem, takim się bez obludy stawię...
Co przyrzeknę, dotrzymam uczciwie i prawie.
Kocham cię szczerze, mocno—i proszę o rękę...

STAROŚCINA (*zimno i poważnie*).

Pozwól, niech równie szczerze złożę ci podziękę,
Lecz zarazem wypowiem, jak mnie mocno dziwi
Tak raptowne kochanie... O ludzie szczęśliwi,
Co tak nagle pokochać, przysięgać możecie,
Że zapewnicie przyszłość sobie i kobiecie...
Dwa dni ją ledwie widząc, a nie znając wcale.—
Wnet miłość ślubujecie w gorącym zapale—
Lecz długoż będzie trwałym ten ogień słomiany?
Znaszże pan serce, którym pragniesz być kochany?
Znaszże mnie, me uczucia, mój humor i wady?...
Młodość takiej ślepoty daje nam przykłady;
Ale w niej téż jest siła, co losy zwycięża...
Która ludzi przetwarza, a żonę i męża
W swoim ogniu gorącym jak dwa kruszce spaja...
My—oboje młodości przeszliśmy rozstają,
Nam inaczej potrzeba kochać się i żenić...
I taką przyszłość stworzyć, co się nie da zmienić.

ŻEGOTA (*zmieszany*).

Pani, by ciebie poznać, trzebaż czasu długo?...
Kto cię zobaczył, wiecznie zostanie twym sługą.

STAROŚCINA (*z goryczą*).

Jakże wiesz, że te lica i usta nie kłamią?
Żem tém jest, czém się zdaję?... wszak pozory mamia...

ŻEGOTA.

Pani! ja w ciebie—wierzę.

STAROŚCINA.

Dziękuję, i wzajem
Wierzę w szczerłość żołnierską... lecz życie nie rajem!
Życie próbą jest ciężką, a tych kajdan waga...
Tylko wielkie uczucie udźwignąć pomaga...
Ja go nie mam,—otwarcie mówię, bo was cenię
Jak zanego człowieka...

ŻEGOTA (*smutnie*).

Proszę uniesienie!

Starościno kochana... na słowach nie zbywa...
Ale mi się zdawało, żeś była... życzliwa...
Ześ mi była łaskawą?...

STAROŚCINA.

Wnioskujecie skoro...

Mężczyźni często przyjaźń za coś więcej biorą...

ŻEGOTA.

A więc tak? ostatecznie?

STAROŚCINA.

Szczerłość wzajem płacę...

Ja za mąż iść nie myślę; jeśli wolność stracę,
Nie oddam ję, aż chyba w ręce tego,
Komu serce się odda...

ŻEGOTA.

Coś w tém niejasnego!

Z rana słońce świeciło, wieczór przyszły mroki!
Nie rozumiem, lecz twoje szanuję wyroki...
Z smutkiem na sercu idę, ale bez rozpaczy...
Było lepiej, ha! jeszcze może być inaczej...
Pośpieszyłem się nieco... więc poczekam dłużej...

STAROŚCINA (*łagodnie*).

Mój choraży, jam chora...

ŻEGOTA (*odchodząc*).

Horyzont się chmurzy,
Uciekam; ale protest kładnę przed urzędem,
Że sprawy za przegraną nie mam żadnym względem.

S C E N A VII.

STAROŚCINA (*sama*).

A! przecież! jakże ciężko pozbyć się go było!
A tak chciałam być sama, z taką jeszcze siłą
Wciąż mnie ciągnie ku sobie widmo jego blade...
Pójdę... polecę za nim... prześlągam za zdradę...
Powiem mu wszystko! wszystko, klękę i zapłacę...
Niech uraga, odpycha... ja i to przebaczę...
Ale my się rozstaniem bez gniewu, niechęci...

(*myśli*).

A! nie... to człek żelazny... on dumie poświęci
Szczęście, siebie i wszystko...

(*patrzy w ogród*)

Ktoś się tutaj skrada?

Serce mi bije... to on!! ta smutna twarz blada...
Idzie tutaj!! Skryję się... podsłucham... zobaczę...
Niech leż moich nie widzi... w ciszy je wypłaczę...
(*kryje się w framagę z lewej strony*).

S C E N A VIII.

HOŁUB (*nadchodzi zwolna, wahając się i staje we drzwiach od ogrodu*).

Głupi! podły! nikczemny! bezsilny! namiętny!
Po co wleciesz się tutaj i kłamiesz wykrętny...
Sam sobie. Na koń było się iść i rzucić wodze,
Niechby cię niósł w oteklanie... rozbił gdzie na drodze,

Lub w rzekę padł lub w ogień, tobyś z życiem może
Skończył i te męczarnie, zrzucił te obroże...

(*milczy*)

Podły o! stokroć podły—na nie siły niema,
Ni przebaczyć ni wzgardzić! Z łzawemi oczyma,
Klnie szalony... a kiedy od niego uciecze,
Namiętność go za szyję do jęj stóp przywlecze...

(*po pauzie*).

Zobaczyć ją raz jeszcze! tak! to mnie uzdrowi...
Zobaczę ją...

(*zagląda*).

Z uśmiechem króluje tłumowi.

Zobaczę, jak się wdzięczy do swego kochanka...

To mą miłość zabije. Stanę i z krążanka...

Rzucę jedno wejrzenie przekleństwa ostatnie...

I na koń, i w szeregi, aż mnie Tatar płątnie,

A piersi mu nastawię z ochotą skwapliwą...

(*zagląda*).

Jęj tu niema! Gdzieś pewnie na rozmowę tkliwą

Zeszła z nim na ubocze. Miłość lubi ciszę...

(*milczy*).

Cheiałbym ją raz zobaczyć... Lecz ludzi naśmieszę...

(*spostzegając Starościna cofa się, ona wychodzi z ukrycia*).

A! ona tu.

SCENA IX.

HOLUB—STAROŚCINA (*ukazuje się*).

STAROŚCINA.

Wy! tutaj!

HOLUB (*smutnie*).

Jak zmora się włóczę...

Ide... szukam... Cześnika... chcę mu oddać... klucze,

Przepraszam... ale śpieszno mi zegnać go było...

Aż tu wleciałem za nim... i tę twarz niemiłą...

Znowu pani narzucam... myślałem, że z boku,

Wolno będzie... twe szczęście dojrzyć memu oku

I tak pobłogosławić, jak ci błogosławią...

Których tancerze padłych na posadze dławia...

STAROŚCINA.

Słów mi brak...

HOLUB.

Ha! postępek godzien wielkiej kary,

Lecz w nim tyle goryczy i żółci bez miary,

Że on się już sam karze swoim czuciem własnem.

STAROŚCINA (*nieśmiało*).

Slucham cię, nie rozumiem... ale z czołem jasnym,

Spokojna i szczęśliwa spotykam cię prawie,

To ostatnie spotkanie...

HOLUB.

Ostatnie... na jawie.

STAROŚCINA (*podając rękę*).

Zegnajmyż się bez gniewu, proszę, błagam ciebie!

Jeżli wszelkie uczucie w sercach się pogrzebie,

Niechaj chłód pozostanie, co z mogiły wieje,

Ale nie gniew namiętny! Daj mi tę nadzieję!

HOLUB (*smutnie*).

Obojętność, chłód... pani! próżne to wyrazy,

Mówim, żeśmi głazami—nie czuję jak glazy...

O gniew mnie nie obwiniaj... gdy się zburzy wino,

Kwasy z niego powstają... tak miłość przyczyną

Gniewu jest i w tym gniewie trwają jęj zarody...

Starszy byłbym ostygły... nadtom jeszcze młody...

Sam nie wiem, co mi sercem zburzonem kołysze...

STAROŚCINA (*czule*).

Gabryelu!

HOLUB.

A! słodki głos przerywa ciszę.

Na co ze snu mnie budzisz?... Już przez usta moje

Imienia twęj młodości ja się wyrzec boję...

Nie śmiem, nie umiem... w duszy mojej się zatarło,

Wszystko stare—prócz bólu... tak! wszystko umarło.

STAROŚCINA.

A my żyjemy—starzy.—

HOŁUB.

Jak z dwóch flasz wonności,
Zostały szkła bez woni, pył w nich tylko gości...
O Maryo... pani moja! gdybyś ty wiedziała...
Jakem ja ciebie kochał, jak miłość ta cała
Życiem była, modlitwą... Byłaś mi aniołem...
Boga w tobie widziałem.

STAROŚCINA.

Kochaliśmy społem...
Szła nasza miłość równo... czciłam bohatera!

HOŁUB.

A jednak...

STAROŚCINA.

Tém zgrzeszyłam, że człek nie umiera,
Kiedy chce i powinien... i przeżyłam siebie...
Chodzę smutnym upiorem... tak chciał Bóg na niebie,
Karząc za bałwochwalstwo...

HOŁUB.

A! srodze ukarał,
Mnie! mnie! Com ja wycierpiał, jak umrzeć się starał!
Strute życie ciężyło... wlokłem się bezumny,
Za trupem mego szczęścia, obok własnej trumny,
Rzuciłem się w gąszcz szabel, na kule armatnie,
Dzień każdym witał pragnąc by chwilę ostatnią...
Ale śmierć odpychała pastwę nieponętą,
Szable, kule mijały, z jakąś wzgardą wstrętną,
I żyłem potępiony...

STAROŚCINA.

Gabryelu...

(poprawia się).

Panie!

Niech z tym żalem na zawsze gniew ku mnie ustanie,
Daj mi rękę przyjazną... podaj mi dłoń bratnią,
I niech ta chwila... która... będzie nam ostatnią,
Pojedna wobec Boga dwie zwaśnione dusze.
Przebac! przebac!!

HOŁUB (wzruszony).

Ja! tobie! nie! ty mnie katusze,

Któreś dla mnie poniosła! gdy szalona, wściekła
Miłość moja oboje do piekieł nas wlekła...
Gdy ślepy, dumny, dziki—nie zważając na nic,
Jak w miłości tak w gniewie nie widziałem granic...
Dziś dopiero w splakane patrząc twoje oczy,
Świat boleści ujrzalem, co i mą pierś tłoczy.

(kłęka).

Proszę cię przebaczenia! daruj moję winę...
Pójdę stąd spokojniejszy... gdzieś na wojnie zginę...
Jam zbrodzień, tyś niewinna...

STAROŚCINA.

Gabryelu drogi,

Ty przebac... ty zapomnij...

HOŁUB.

Pod twe składam nogi,
Późny żal, lecz ty święta, darujesz me szaly...
STAROŚCINA (kładąc rękę na jego ramieniu).

Gabryelu! a! przeszłość, ból już uleciały;
Znów ciebie widzę, słyszę i jestem szczęśliwa.

HOŁUB (cicho).

Maryo, czy mnie odpędzisz?

STAROŚCINA.

Któż szczęścia pozbywa,

Kiedy mógł je odzyskać!!

HOŁUB.

Zapomnij przeszłości—

STAROŚCINA.

Ach! wszystko zapomniane...

(podaje mu rękę. Hołub klęcząc je całuje).

S C E N A X.

CIŻ—MARCYBELLA I STRUKCZASZY (*wchodzą przez drzwi do bawialni*).

STRUKCZASZY.

Idziem do Jójmości

Dobrodziejki...

MARCYBELLA (*postrzegając rotmistrza*).

A! rotmistrz... przed nią... na kolana...
Cóż to jest? Cześnik wygrał!

STRUKCZASZY (*zdziwiony*).

Któż? co? Tego pana
Nie znam... jakiś wielbiciel nowy... niespodzianka...
Ale zwinął się szparko z swą rolą kochanka...
I idąc przez bokówkę, nim wszedł na bawialnię...
Jójmość w kątku zaswatał... A to mi to walnie!

STAROŚCINA (*przedstawiając Hołuba*).
To mój dawny przyjaciel... krewny...

STRUKCZASZY (*klaniając się*).

A! a! widzę

(*na stronie*).

Blizki krewny!

MARCYBELLA (*na stronie*).

W niegodnej był Cześnik intrydze!

STAROŚCINA (*głośno*).

Więc razem z winszowaniem... Asindzka pozwoli,
Abym się też poskarżył na to, co mnie boli.

(*staje poważnie, biorąc za rękę pannę Marcybellę, odchrząka i mówi*).

STRUKCZASZY (*oratorsko*).

Są w księdze przeznaczenia niezłomne wyroki...
Człek idzie... ale nie wie, dokąd stawia kroki,
Tak i ja, gdym zawitał w tego domu progi,
Mógłżem zgadnąć, że dekret zapadł na mnie srogi,

Że Amor, który sercom nie przepuszcza ludzi...
Ze snu długiego także i moję pierś zbudzi,
Że oczów tych jasnością przejęty do głębi
Padnę jego ofiarą... a tyran mnie zgłębi!

MARCYBELLA (*gniewnie*).

A pfe!

STRUKCZASZY (*poważnie*).

Jakto pfe? Pani, w najgorętszym żarze
Gdy kocham... coś dziwnego, że na miłość skarzę?
Ona mnie niewolnikiem czyni, kładzie pęta...
Staje więc winowajca...

MARCYBELLA (*cicho*).

Ha! zemsta dopięta!

STRUKCZASZY.

Pobłogosław nam pani...

STAROŚCINA.

O! z serca całego...

Lecz nawzajem...

S C E N A XI.

CIŻ I BODZANTA (*do bawialni wpada*).

BODZANTA.

Więc teraz o charta żółtego

Historią się upomnę...

(*staje zdumiony, patrząc na Hołuba*).

Cóż to za gość nowy?

Któż to jest?

STRUKCZASZY (*półgłosem*).

To jest... kuzyn... i podobno wdowy
Bodaj nie narzeczony... co charta wyprzedzi...

BODZANTA.

Ale gdzież! skąd? i jakże?

STRUKCZASZY.

Miłość w kątku siedzi.
I takie figle płata...

BODZANTA.

Skąd się wziął u licha!
Kiedyż przybył?

STRUKCZASZY.

Spadł z deszczem i zakradł się z cicha.

BODZANTA.

Ale...

STRUKCZASZY.

Cicho, bez ale. Wiesz, że ja się żenię?

BODZANTA.

Z kim?

STRUKCZASZY.

Domyślaj się mądry!!

S C E N A XII.

CIŻ I CZEŚNIK (*wchodząc postrzega Hołuba przy Starościnnie, której
rękę trzyma*).

CZEŚNIK (*stając*).

Co to jest? złudzenie!
Rotmistrz i Starościna razem, i dłoń w dłoni!
Cud boży... mileżą usta... a oko lżę roni...
Jakże się stało? kiedy?

STAROŚCINA (*do Cześnika*).

Stało się przez ciebie!
Tyś zgadł uczucia moje, tyś w serca potrzebie
Był opatrnością naszą... a Bóg w twym zamiarze
Pomógł...

CZEŚNIK (*podnosząc ręce do góry*).

Niech błogosławi mojej drogiej parze!!

MARCYBELLA (*żywo*).

Ale tu jest i druga...

CZEŚNIK.

Gdzie? jaka tam druga...

STRUKCZASZY.

Ja z panną Marcybellą...

MARCYBELLA (*na stronie do niego*).

Patrz! jak drży! jak mruga!

CZEŚNIK.

Z serca państwu winszuję!

STAROŚCINA.

I to twoje dzieło...

CZEŚNIK.

Cyt! nie biore na siebie... nie wiem, skąd się wzięło.

MARCYBELLA (*na stronie*).

Zawsze żal jeszcze do mnie... a! jaki zawzięty!...

S C E N A XIII.

CIŻ—ŻEGOTA (*wchodzi z bawialni*).ŻEGOTA (*staje i patrzy*).

Sam jeden pozostałem... a tu tłum ściśnięty...

Cóż to jest? do bokówki cisną się, kto żywy,

Czy jakie widowisko??

STRUKCZASZY.

Dziwy panie, dziwy!

A chcesz, bym wytłómaczył, co ciekawość budzi?

Widok rzadki... Szczęśliwych oto czworo... ludzi...

ŻEGOTA.

Któż? co? wacpan?

STRUKCZASZY.

No, tak jest, lecz idzie ktoś przodem;

My z panną Marcybellą za tém państwem młodem.

(*wskazuje Hołuba i Starościne*).

ŻEGOTA.

Rotmistrz! tutaj! cóż to jest? ten sobie poradził...
Teraz wszystko rozumiem... on to mnie odsadził...(*do Cześnika*).Posłuchaj, mój Cześniku... nie gub mnie ze świata...
Niechże dłoń twa szczęśliwa i mnie gdzie zaswata.

Drezno 1866. Kwiecień.

KOSA I KAMIEŃ,
PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE

OSOBY.

Baronowa (lat 50).

Iza, jej siostrzenica (lat 21).

Pan Radca (lat 54).

Roderyk, jego syn (lat 28).

Kalasanty, stary sługa domu.

Rzecz dzieje się na wsi, w domu Baronowej.

Salon we dworze wiejskim. Główne wejście w środku w głębi. Drzwi po bokach, z których jedne prowadzą do pokoju baronowej, drugie naprzeciwko do pokoju Izy. Po lewej okno. Po prawej kominek, na którym zegar. Kanapa, stół, krzesła, wazon z kwiatami.

SCENA I.

BARONOWA—IZA.

Baronowa siedzi na kanapie, Iza przechadza się po pokoju.

BARONOWA (złożywszy ręce, jak gdyby prosząc, aby jej dała przyjść do słowa).

Proszę cię, Izo moja, raz w życiu—posłuchaj mnie cierpliwie. Masz lat dwadzieścia i jeden...

IZA (przerywając).

Dwudziesty pierwszy...

BARONOWA.

Który za parę miesięcy się kończy... (niecierpliwie) ale dajże mi mówić.

IZA.

Proszę, proszę—ja milezę (chodzi ciągle).

BARONOWA.

Masz lat dwadzieścia i jeden... (*Iza rusza ramionami, odwraca się i chodzi znów*). Przebrałaś już wszystkich panów z dalszego i bliższego sąsiedztwa—i nikt ci się nie miał szczęścia podobać. Podprawiałaś ich nietylko z grochowymi, wielu nawet z cierniowymi wiankami, dobrze już wymęczywszy. Jakież koniec temu będzie?—Tyś sierota, jam nie długowieczna, zostaniesz sama, zestarzejesz, znudzisz się i pójdziesz potem za pierwszego lepszego, który ci się nastreczy... chociażby żadnego z odprawionych wart nie był.

IZA.

A! nie... że nie, to nie — zostanę starą panną—rzecz bardzo prosta. Ciocia niezmiernie to bierze tragicznie... ja z trochę młodą fantazyi, powinno mi to być wybaczonem. Wymawia mi kochana ciocia, żem żadnego z tych panów nie przyjęła hołdów... ale czyż było podobna? W żadnym z nich życia, w żadnym odrobiny oryginalności... lalki wedle starych kilku foremek, jakby z papieru wycięte... a wszystko to tak uzbrojone i opieczetowane, że się pod kamizelką ani serca, ani człowieka domyślać niepodobna. Jednem słowem nieżnośni! Wolę już zostać starą panną.

BARONOWA (*trochę zniecierpliwiona*).

Nie pleć, proszę. Ty nie znasz życia, jam je przeżyła. Wierzę mi, że kobieta z taką nawet lalki człowieka może pracą i sercem wykształcić.

IZA.

Smutnoby mi było zostać taką guwernantką.

BARONOWA (*z uczuciem*).

Dziecko moje, wiesz, jak ja cię kocham; troska o twój los pokoji mi nie daje. Choć dziś bądź cierpliwa i wyrozumiała... dziś przyjeżdża mój pocciwy, stary przyjaciel, pan Radea z synem. Wszyscy się zgadzają na to, że pan Roderyk miły jest, przyzwoity i pięknie wykształcony. Ale ty go przecie znasz?

IZA (*siada*).

A! tak! tak... niestety, przypominam go sobie. Gdym go ostatnią razą widziała, miałam lat dwanaście, a on dziewiętnaście... bo mi sam się z tego podeszłego wieku wypowiadał, inaczej bym go nie podejrzewała o tę dojrzałość—był bowiem taki niezgrabny, tak studencką miał minę, sztywną, śmieszna, aż mi Kubusia, syna ekonoma, przypominał.

BARONOWA (*śmiejąc się*).

Ale i ty wówczas wyglądałaś na straszego urwisa z rozczochranymi włosami.

IZA (*wstaje*).

I zostałam wierną swojemu charakterowi (*całuje ją w ramię*), dlatego też przeczuwam, że i mój student wyrósł na nieżnośnego pedanta.

(*Baronowa rusza ramionami, Iza mówi łagodnie*)

No—nie! jeżeli ciocia chce koniecznie, wierzę, iż pan Roderyk, który nosi imię tak poetyczne, tak dystygowane, musi być piękny, rozumny, wykształcony, że ma wszelkie przymioty... a mimo to, że pojedzie z grochowym wiankiem, to pojedzie... ręczę.

BARONOWA (*zniecierpliwiona*).

Zlitujże się! pókiż tego będzie?

IZA.

Dopóki... nie doczekam się kogoś przynajmniej znośnego. Zresztą, proszę cioci—już to samo oburza, że mi go przywożą, narzucają. Zakochaj się, uwielbiaj i idź za niego. Panicz jedzie z myślą, że, jak Cezar, spojrzy, uśmiechnąć się raczy i zwycięży. Ale bardzo przepraszam—co nie, to nie!

BARONOWA (*łamiąc ręce*).

A! mój Boże! jakże też naiwnie jestem niezgrabną, żem ci to powiedziała!

IZA.

Czyż ciocia ma mnie za tak dobroduszną i sądzi, że samabym się tego nie domyśliła? Byłoby to samo—i grochowy wianek by nie minął.

BARONOWA.

Nieżnośna! dlaczegoż się uprzedzesz!

IZA.

Jakże nie mam się uprzedzać? Przypominam go sobie ciągle w tym krótkim surduciku, z długimi włosami burszowskiemi! Cha! cha! a butami stukał, jakby dopiero od niedawna je włożył!

(*Stuka nogami i śmieje się*).BARONOWA (*łamiąc ręce, wstaje z kanapy*).

Nieszczęście! Cóż tu począć z taką upartą dziewczyną—nigdy chyba za mąż nie pójdzie.—Moja Iziu, moja droga, miejże rozum, pan Roderyk...

IZA (*żywo*).

Ale wierzę, wierzę we wszystkie jego doskonałości — tylko niech mi da pokój. Nie mogę nawet myśleć bez oburzenia o takim swataniu. C'est plus fort que moi! Wiozą mi go jak bażanta na półmisku... A—pfe!

BARONOWA (*spogląda na zegar, wzdychając*).

Moja Iziu—bądź co bądź—pójdźże się też ubrać choć trochę.

IZA.

Poco? jestem ubrana;—stroić się do niego nie myślę.

BARONOWA.

Ale za cóż on nas i dom nasz weźmie?... suknia codzienna...

IZA.

Bo ja nie nie chcę wiedzieć o tych gościach. Niech sobie myśli, co mu się podoba... mnie to wszystko jedno.

S C E N A II.

CIŻ—KALASANTY (*wchodząc zwolna z serwetą na rękę z głębi*).

KALASANTY.

Proszę pani Baronowej—na grobli widać już powóz... Właściwie zaś przypuszczam, że powóz być musi... a co, rzecz dowiedziona, iż—albo bydło, albo goście... Tuman kurzawy okrutny, w tumanie albo jedno, albo drugie... Dowiedziona rzecz. Gdzie pani Baronowa każe nakrywać? czy w sali, czy w gabinecie? i czy szkło pójdzie świąteczne, czeskie, czy powszednie? Także co się tyczy serwet, pragnąłbym wiedzieć opinią J. W. Pani...

BARONOWA.

Zaraz idę... mój Kalasanty... wszystko jaknajparadniejsze... jakżebyś inaczej mogła przyjmować starego przyjaciela? Bieliznę weź drezdeńską...

IZA (*przerywa*).

Ale proszę cioci, do czego ta parada, ten występ?...

BARONOWA.

A! nie nudźże mnie... (*Do Kalasantego*). Proszę cię, mój stary przyjacielu (*Kalasanty kłania się*)—proszę cię, żebyśmy wstydu nie mieli.

KALASANTY (*uroczyście, kładąc rękę na piersiach*).

Niech pani raczy być spokojną—dowiedziona rzecz... ja nie pozwolę na to... (*półgłosem do Izy*). A niechżeno panienka pójdzie się ubrać.

IZA (*z uśmiechem, grożąc mu*).

E! ty stary, milczałbyś—jeszcze i ty chcesz mną komenderować!

KALASANTY.

A jakże! kiedy panienkę kocham! dowiedziona rzecz!

BARONOWA.

Ja przynajmniej idę się przebrać..

IZA.

A ja—uciekam!

(*Kalasanty stoi, patrząc za odchodzącymi w głąb, i długo głowę kiwa, ręce trzymając podniesione do góry*).

S C E N A III.

KALASANTY—*sam, patrząc za Izą odchodzącą*.

KALASANTY.

Dobre to z kośćciami—ale co w głowie, to w głowie! Fajerwerki nieustanne... Leci raca, leci i znikła... patrzcie, już druga za nią, to różowa, to niebieska... ha!asu bez miary... i nie więcej! Nie tak to u nas dawniej z pannami bywało... skromniuszkie były, ledwie usta umiały otworzyć! Jak baranki! dowiedziona rzecz—wszystko się psuje teraz... takie powietrze przyszło—chodzą w niem ludzie jak pijani. Szczęście, że się nam jeszcze starym w głowach od niego nie zawraca. Popiło się co żyje! Boże, zmiłuj się! dowiedziona rzecz!... Ot—i ta nasza Iza; kto ją zna, to naj-

lepszego dziecko w świecie — a zdaleka patrząc, aż strach bierze...
tylko na koń wsadzić i byłby huzar doskonały! dowiedziona rzecz...
(*spogląda oknem*).

A co? nie mówiłem? Nie było, tylko goście!.. Otóż są! otóż są!..

(*Wychodzi naprzeciw, poprawiając na sobie suknie*).

SCENA IV.

KALASANTY—RADCA, *za nim* RODERYK *wchodzi*.

RADCA (*spostrzeższy Kalasantego*).

A! jakże mi się miéwasz, stary przyjacielu?... Kopa lat! nie
prawdaż?...

KALASANTY (*nizko się kłaniając*).

Tak, panie Radco—na święty Jan, jeśli nie kopa, będzie pół
tuzina—dowiedziona rzecz! Kawał czasu!

RADCA.

A niceś mi się nie postarzał...

KALASANTY.

Nie było czasu, panie Radco — zawsze u nas dużo roboty...
a przytém człowiek jest jak gruszka; gdy dojrzeje, konserwuje się
już jednakowo... póki nie zgnije, dowiedziona rzecz...

(*Radca uśmiecha się, Roderyk chodzi zamyślony po pokoju*).

RADCA (*uderzając po ramieniu Kalasantego*).

Po staréj znajomości, mój panie Kalasanty — obmyśl tam ko-
niom przytułek...

KALASANTY (*żywo*).

A jakże! samo z siebie... o tém mówić nie trzeba... Niech ja-
śnie pan będzie spokojny—pokój dam wygodny i suchy... tłomoki
zaraz poznościć każę... wszystko będzie punktualnie jak u nas
zawsze,—dowiedziona rzecz...

RODERYK.

Ale, proszę ojca—wszakże my... wszakże my pojedziemy dziś—
ojciec dał mi słowo...

(*Radca daje znak Kalasantemu, który kiwa głową, okazując, że zrozumiał,
i odchodzi głębia*).

SCENA V.

RADCA. — RODERYK.

RODERYK.

To darmo, mój ojeze—to darmo! powtarzałem sto razy, że nie
mam najmniejszej ochoty do ożenienia się—najmniejszej.

RADCA.

Ja cię téż wcale zmuszać nie myślę, lecz zobaczyć przecie mo-
żesz, poznać, zbliżyć się, a gdy ci się nie podoba, — wówczas mi
powiesz, że nie masz ochoty.

RODERYK.

Ale ja zgóry wiem, że mi się nie podoba. Jak dziś panne
Izę pamiętam. Wszak to dawna moja znajomość. Miała rączki
burakowego koloru... sukienkę do kolan, białe z falbankami maj-
teczki i włosy jak kupę siana. Samo to wspomnienie już mnie
całkowicie rozczarowuje.

RADCA.

No—cichoż, cicho! Jeszcze kto usłyszy, na miłość Boga!

(*ogląda się trwożliwie*).

RODERYK.

Mniejsza o to! Radbym, żeby się ta próżna ceremonia skoń-
czyła. Ja wcale żenić się nie myślę... Według mojej teorii...

RADCA (*przerywając*).

Masz lat dwadzieścia ośm.

RODERYK.

Tak jest, nie przeczę! Więc mam prawo jako młody, swobodny, rozpatrywać się po świecie—i świata sobie zawczasu zawiązywać nie chcę. Według mojej teorii, zawczesne ożenienie wyraża wiele złego. Społeczność... społeczność...

RADCA.

Dajże mi pokój ze swemi teoryami społecznemi! Znasz stare przysłowie: Kto rano wstał, wcześniej posiał, młodo się ożenił — nigdy nie żałował.

RODERYK.

A! co mi tam! stare przysłowia są dla starych ludzi, my, młode, mamy nowe idee postępowe, teorie wyrozumowane, oparte...

RADCA.

Wiem, że oparte i uparte, ale ty mi także daj pokój z niemi. Stare przysłowia są dla starych, młode teorie są dla młodych—i—kwita.

RODERYK.

Zgoda—bylebyś ojciec mnie do ożenienia nie zmuszał.—Ja kobiet nie lubię.

RADCA (*ruszając ramionami i uśmiechając się*).

Proszę cię! komu ty to mówisz! Ja właśnie dlatego bym cię rad ożenić, że nadto w nich smakujesz...

RODERYK (*nieco zmieszany*).

Widzi kochany ojciec—to co innego!—ja,—proszę ojca—bo to należy kategorycznie rozróżnić. Jako twór artystyczny kobieta pod względem plastycznym... ze stanowiska estetyki... jako najwdzięczniejsze dzieło natury... kochany ojciec mnie nie rozumie...

RADCA.

Wistocie nie rozumiem, nie rozumiem... Słyszałem już o tej plastyczności.

(*Do siebie*).

Cóż to jest, że tych pań tak długo niema? a... cicho... pani Baronowa...

(*Posuwa się na powitanie*).

S C E N A VI.

CIŁ—BARONOWA (*wchodzi żywo i wita*).

BARONOWA.

Kochanego starego przyjaciela witam! witam serdecznie! Jakże miło mi was widzieć! A! pan Roderyk—domyślam się, poznaję, chociaż, gdybym się go z ojcem nie spodziewała, trochę możeby mi trudno było w mężczyźnie poznać owego młodzieńckiego kawalera.

RADCA.

Pani dobrodziejko, my się zmieniamy okrutnie, panie tylko macie przywilej nieśmiertelności.

BARONOWA.

A jednak widzę, żeś pan starego nałogu prawienia komplementów nie zmienił. My to właśnie, panie Radco, choćby serce zostało młodem, twarzą wędniejemy najprędzej.

RODERYK.

Ale ojciec mój wszak wcale dobrze wygląda, nieprawdaż? Ja się przy nim wstydzę, bo stosunkowo starszy jestem od niego.

BARONOWA.

Bo panowie młodzi życie teraz, pędząc i śpiesząc się na wzór telegrafów i kolei.

RODERYK.

Na cóżby się inaczej życie zdało?

RADCA.

Tak, tak, pani dobrodziejko! wszystko się teraz zmieniło, w młodzieży nie poznajemy siebie i młodości...

BARONOWA (*z westchnieniem*).

A! tak jest, panie Radco—wielka prawda. — Ale siadajcież panowie, proszę, i spoczniście po podróży. (*Na stronie*). Cóż się stało z Izą, że nie przychodzi? Miałażby się zamknąć i nie pokazać! (*Dzwoni. — Wchodzi Kalasanty, gładząc włosy*). Proście panny Izy.

(*Kalasanty nisko się skłoniwszy, wychodzi*).(*Do Roderyka*).

Wszak państwo z moją Izą jesteście dawni znajomi?

RODERYK.

Tak, pani. Jest to znajomość tak dawna, że panna Iza miała czas pewnie o niej zapomnieć.

BARONOWA (*z uśmiechem*).

Nie sędzę. (*Do Radcy*)) Jakąż panowie mieli drogę?

RADCA.

Doskonałą—nam do pani nigdy się ona złą wydać nie mogła.

BARONOWA.

Zawsze grzeczny pan Radca!

(*Roderyk bawi się kapeluszem*).

Ale otóż i Iza.

S C E N A VII.

CIŻ—IZA (*wchodzi śmiało, z miną dumną i chłodną. Radca i Roderyk wstają na powitanie. Roderyk bacznie się w nią wpatruje, z widocznym na twarzy zdumieniem*).

RADCA.

Jakże mi przyjemnie... Pozwoli pani sobie przypomnieć mojego syna.

(*Roderyk kłania się poważnie i chłodno. — Iza oddaje ukłon lekkim skinieniem głowy*).

IZA (*ciagle bardzo zimno*).

Bardzo mi miło.

(*Siada na krześle przy kominku i bawi się przyniesioną wiązką kwiatów, którą w następnych scenach to rzuca na stół, to bierze do rąk z kolei. — Chwila milczenia*).

BARONOWA.

Jakież z miasta nowiny?

RADCA.

Nasze miasto, jak szczęśliwe narody, nie ma historii i nie rodzi nowin. Obchodzimy się bez nich. Co najwięcej, jeżeli nas gazeta zawiadomi, że wagony kolei pogruchotały komuś nogi, że w fabryce pękł kocioł, lub w sklepie nocą ktoś okno wyłamał. Wstyd wyznać, żyjemy jakoś tak spokojnie.

BARONOWA.

Tak, w tym świecie, w którym pan się obraca, ale syn pański, pan Roderyk?...

RODERYK (*który bawił się ciągle kapeluszem i jedną rękawiczką, niekiedy ukradkiem spoglądając na Ize, wychodzi z zamyślenia, jakby nagle przebudzony*).

Ja, pani? Ja także czas spędzam w domu, nad książkami lub na wycieczkach, a jaknajmniej w tym świecie, który nowinami żyje.

BARONOWA.

Lecz zawsze, jako młody...

RADCA (*przerywając*).

Mój syn ciągle dla jakichś nowych studyów wyrwa mi się i ucieka za granicę.

BARONOWA.

Czyżby kraj nie miał dla pana wdzięku?

RODERYK (*z trochę przechwałki*).

Nie zgorszy się pani, gdy powiem szczerze: rozumiem, iż można w pewnych danych okolicznościach za kraj ten umrzeć — ale w nim żyć—to prawie niepodobieństwo.

BARONOWA.

A! i pan to mówi szczerze?

(*Iza ciekawie spogląda na Roderyka*).

RADCA.

Ale co bo też ty pleciesz! Przepraszam panią, chciał panie cudzym conceptem rozweselić, ten dowcip przynależy hrabiemu P...

RODERYK.

Niestety, kochany ojeze, concept jest cudzy, ale zarazem to wyraz mojego najszczerzego przekonania.

IZA (*do Roderyka*).

Więc pan nie lubi kraju?

RODERYK.

Kocham go, ale nie lubię.

IZA.

Jakże to pogodzić?

(Radca z Baronową rozmawiają po cichu).

RODERYK.

W teorii zdaje się to może paradoksem, ale w praktyce doskonale jest możliwem. Codziennie w familiach spotykamy ten dziwny stosunek, ludzie się kochają, a nie znoszą.

IZA *(ruszając ramionami).*

Na słowo panu wierzę, iż to jest rzecz możliwa, lecz dla mnie niezrozumiała.

RADCA *(półgłosem do Baronowej).*

Jakże go pani znajduje?

BARONOWA *(tak samo).*

Powierzchność bardzo miła...

(Milczy i spogląda na Radcę).

RADCA.

Pani dobrodziejka żądałaś ode mnie porady w interesie z Bożiakowskiemi... Przywiozłem powierzone sobie papiery i mój referat. Gdybyśmy przeszli na ganek, mógłbym zdać sprawę i wskazać, co czynić należy. Wziąłem z sobą dokumenta.

*(wstaje).*BARONOWA *(wstając żywo).*

A! bardzo panu Radcy dziękuję, chodźmy, nie tracąc czasu, bo interes zawikłany i będę nim pana nudziła jako niedoświadczona niewiasta.

(Zwraca się do Izy).

Ty będziesz tak grzeczna i za mnie zabawisz gościa...

(Iza, spuszczać oczy w milczeniu, robi minę zakłopotaną — Baronowa i Radca wychodzą w głąb, rozmawiając z sobą).

S C E N A VIII.

IZA. — RODERYK. *(Siedzą chwilę milczący. — Ona bawi się kwiatkami, on kapeluszem — każde z nich patrzy gdzieindziej. — Na twarzach obojga zniecierpliwienie).*

IZA *(na stronie).*

Otóż masz! zostawiają nas samych, chcąc zmusić do zbliżenia. To despotyzm oburzający!

RODERYK *(tak samo).*

Ojciec zapewne myśli, że w ten sposób bliższą znajomość ułatwi, a raczej zmusi mnie do niej przez grzeczność. Zabawne, bardzo zabawne!

(Milczenie. — Roderyk ukradkiem spogląda na pannę, która zlekka umyślnie poziewa).

IZA *(po chwili).*

Zastępuję gospodynię. Byłabym najniegrzeczniejszą w świecie, gdybym nie spróbowała przynajmniej zabawić pana rozmową. Więc, o czémże mówić będziemy? Co pan każe?

RODERYK *(na stronie).*

Oryginalnie! *(głośno.)* Powinienbym, jako grzeczny i przyzwoity gość, odpowiedzieć, że każda z panią rozmowa będzie dla mnie zajmująca, że każde słowo z jej pięknych ust... Lecz wolę wstrzymać się od komplementów, pani niemi musi być znudzona.

IZA.

Odgadłeś pan, w mém niedługiém życiu nasłuchałam się ich do zbytku. Kobiety karmią niemi jak kanarki cukrem, ale, to niepożywne.

RODERYK *(z uśmiechem).*

Panie-bo macie reputację, że nie znosicie innego pokarmu.

IZA.

(Poziewa znowu, zakrywając się trochę bukiem — po chwili obojętnie).

A? mamy reputację? doprawdy? Może być... Niedobra reputacja!

RODERYK.

Nader miłe położenie!

IZA (*zimno—rozstargniona*).

Jakto? czyje? pańskie?

RODERYK.

O! nie, pani, o swoim nie mówię, ale o wsi i o dworze...

IZA.

A al! wistocie, gdyby konopi nie moczo w stawie... gdyby gościniec polewano, jak lasek Buloński... gdyby czasem dymy ze wsi nie przychodziły z wizytą aż do pokoju... i gdyby wierzby staruszek nie były poobcinane, jak kaleki... ale jak się to panu podobać może?

RODERYK.

Jakto? pani nie lubi wsi?

IZA.

Ja? prawdziwie nie umiem stanowczo powiedzieć, co lubię. Czasem miasto, niekiedy wieś, a zawsze tylko swobodę... nade wszystko swo-bo-dę.

RODERYK.

O! co w tém, to się gusta nasze zgadzają.

IZA (*ruszając ramionami—na stronie*).

Patrze! Już gusta się zgadzają! Byłam tego pewna...

(*Spogląda na niego z szyderskim uśmiechem*).

RODERYK (*poprawiając się prędko*).

Chociaż niezupełnie, bo ja... (*zmieszany nieco*) bo ja miasto wolę w zimie, a wieś—latem...

IZA.

A! to przynajmniej wcale nie oryginalne. Wszak to powszechny zwyczaj na całym świecie...

RODERYK.

Ja też nie szukam wcale i nie upędzam się za oryginalnością, chcę być, jak wszyscy. Ekscentryczność jest śmieszna.

IZA (*na stronie*).

Nie wie sam, co plecie! Próbuje nieznośny! (*głośno*.) Co ja, to właśnie oryginalność lubię, choćby wieś zimą, a miasto latem... a drugiego roku lato na wsi i miasto w zimie, a potem podróże, wycieczki! byle coraz coś innego... byle nie okowy, niewola i nie nudy.

RODERYK.

To wistocie oryginalne... chociaż z podobnymi fantazyami spotyka się teraz często po świecie. Co się tyczy nudów i niewoli,

o! tych i ja nie znoszę, i w tém zgadzamy się, choć w innych rzeczach niezupełnie.

IZA.

A, doprawdy? Cóż robić! c'est comme cela!

(*Milczenie*).

IZA (*na stronie*).

Do tego studenta, którego sobie przypominam, wcale dziś niepodobny, tę sprawiedliwość muszę mu oddać.

RODERYK (*na stronie*).

Trzeba przyznać, że się nadzwyczaj na awantaz zmieniła... piękna postać! (*głośno*.) Od czasu, jak-em miał przyjemność raz ostatni widzieć panią...

IZA.

Ja jeszcze naówczas nie byłam panią, ale dzieckiem.

RODERYK.

Nigdybym też jej nie poznał. Zmiana tak wielka.

(*Iza spogląda dumnie—Roderyk zmieszany przerywa i milczy*).

IZA (*żywo*).

Ja też nie poznałam pana, wyglądałeś pan na studenta.

RODERYK (*z uśmiechem*).

Pardon! a pani na pensyonarkę...

IZA.

Być może. Uprzedzam pana, że wspomnień młodości nie lubię.

RODERYK.

Ani ja. Są to preludya życia, świetne pasaże, piękne akorda, a żadnego tematu i niewiele sensu. Życie się rozpoczyna dopiero, gdy burzliwa młodość się kończy.

IZA (*na stronie, wstając i przechodząc ku oknu*).

Nieznosny ze swemi aforyzmami. Stworzony na guwernera.

RODERYK (*wstaje*).

Gdy uczucia wygasną, a chłodny rozum obejmie panowanie...

IZA.

A! coś podobnego gdzieś niedawno czytałam... (*śmiejąc się*). Nie jestem do zbytku sentymentalna, ale trochę serca zawsze trzeba mieć.

RODERYK.

Ma się go zawsze zawiele, bo się przez nie cierpi...

IZA.

Doprawdy, że i to gdzieś czytałam!

RODERYK.

Przepraszam panią, ja dotąd nie nie pisałem, i nie sędzę nawet, żebym kiedy zachorował na rozlew atramentu, z książek zaś nie mam zwyczaju się zapożyczać.

IZA.

Więc, przypadek! Pan wie, les beaux esprits se rencontrent.

RODERYK (na stronie).

Dowcipna, ale złośliwa... Elle à du piquant! Rodzaj kietery dla mnie od pobytu w Paryżu, nie nowy... Mais c'est agaçant...

IZA (na stronie).

Trochę go przecie zbilam z tropu. (głośno.) Ciocia baronowa z panem Radcą nadzwyczaj coś długo radzą nad tym nieszczęśliwym interesem... a pan się tu nudzisz ze mną...

RODERYK.

A, pani! właśnie chciałem powiedzieć toż samo, tylko odwrotnie.

IZA.

Pokazuje się, że nie tylko les beaux esprits, ale i proste śmiertelniczki, jak ja z ludźmi niepospolitemi czasem się spotykają.

(Roderyk kłania się z wymuszoną powagą. — Iza mu w tenże sposób uklon oddaje — i — parska śmiechem).

IZA.

Wię pan co? czybyśmy, korzystając z téj długiej konferencji, nie mogli téż odbyć między sobą... bardzo ważnej?

RODERYK.

My? konferencyę! ale o czémże? bardzo chętnie!

IZA.

Jakto! panbyś był tak niedomyślny? Mówmy otwarcie, panie Roderyku, moglibyśmy, korzystając z danéj nam swobody, porozumieć się co do nietajnych przecie panu planów cioci i pana Radcy... tyjących się, jakżeby to powiedzieć? nas dwojga!

RODERYK.

A! jeśli pani sobie życzy, owszem!

IZA.

Ojciec zapewne panu mówić musiał, dlaczego z nim tu przybył. Ciotka téż nie tała przede mną, że miałam być zaszczyconą odwiedzinami ich, w celu... w celu... (waha się) no, poprostu, nie pytając nas, chcą — je lache le mot — chcą nas pożenić!

RODERYK.

A! jakże pani jesteś łaskawą, że pozwalasz mi mówić o tém z sobą z całą otwartością. Uszczęśliwia mnie pani tą dobrocią... ja także pragnąłem wynurzyć się pani, a nie śmiałem.

IZA.

Zaczekaj pan, przepraszam, ja mam głos, więc dokończę. Starzy chcieliby nas pożenić, a ja, nie mam najmniejszej chęci wychodzić za męża.

RODERYK.

Zupełnie tak, jak ja, bo ja téż nie mam wcale ochoty się żenić... Daję pani na to słowo honoru..

IZA.

Ze mną?

RODERYK.

W ogólności, z nikim, nawet z panią.

(kłania się).

IZA.

A! to doskonale! wybornie!

RODERYK.

Przedziwnie.

IZA.

Nie będziesz się więc pan starał o mnie?

RODERYK.

Uchowaj Boże, ani myślę! Racz mi pani dać odprawę, powiedz, że się jęj nie podobałem, co pani chce... przyjmuję na siebie winę...

IZA.

Ale ja także, ja także pozwalam panu powiedzieć o mnie, co zechcesz! A! to mi zupełnie wszystko jedno. Ciocię uprzedziłam. Zatem c'est convenu?

RODERYK (z ukłonem).

Parfaitement.

IZA.

Rada jestem, że się to raz przecie skończyło, teraz oddycham.

RODERYK.

A! i mnie lżej. Więc pozwoli mi pani (bierze ją za rękę i całuje) podziękować sobie! (na stronie.) Skądże wzięła taką rękę z kości słoniowej! Co za śliczna rączka!

IZA (*na stronie*).

Nieuparty i wcale przyzwoity. Odrzuć jesteście ze sobą jak starzy znajomi. Très comme il faut.

(*Siadają przy oknie*).

(*głośno*).

Teraz, zrzuciwszy z siebie ten ciężar, jak dobrzy starzy przyjaciele, możemy sobie pomówić z całą otwartością... o czym się podoba.

RODERYK.

(*Położył kapelusz i zdejmując drugą rękawiczkę*).

A! to wybornie, nous causerons, c'est parfait!

(*Pauza*).

IZA (*z uśmiechem*).

Chciałabym się doprawdy panu wywdziękować, żeś mnie wybawił z wielce kłopotliwego położenia. Czémże mu potrafię wdzięczność moją okazać? Niech mi się pan przyzna, pan masz jakąś miłość w sercu, ojciec się sprzeciwia? Ja to odgaduję... mogłabym przez ciocię dopomódz... Ofiaruję swoje usługi.

RODERYK (*cofając się z uśmiechem*).

Ja? miłość? projekta? A, uchowaj Boże! uchowaj Boże!

IZA.

Cóżby to było dziwnego? w pańskim wieku?

RODERYK.

Czyż pani nie widzi, że dla mnie ów wiek miłości, zapalów minął bezpowrotnie? Ja jestem stary, bardzo stary, nie rozumiem już nawet, jak się kochać można...

IZA.

Doprawdy? Doszedłeś pan już do tego błędnego spokoju! Tak wcześniej... je vous en fais mon compliment.

RODERYK.

Te czułości, zapaly z mundurkiem studenckim idą w parze, ale później stopą dotknawszy ziemi, w życiu realnym, człowiek praktyczny, widzący świat jak jest...

IZA (*po chwili milczenia*).

Wię pan, że i ja dotąd jakoś nie mogłam zrozumieć, jak to się można zakochać, kochać, a szczególnie w mężczyźnie. Pano wie jesteście chodzącą prozą, żywą tabliczką Pytagorasa.

RODERYK.

Tak pani sądzisz? Ale czyż wszyscy? Mógłbym na to odpo-

wiedzieć, że i kobiety terazniejsze z tą swoją emancypacją są dla nas pozbawione całego uroku, jaki niegdyś miały. Zeszły z piedestału, obcięły sobie anielskie skrzydła nożycami krawieckimi, są to mili, bardzo mili towarzysze, których rączkę ściska się we-soło... lecz, nie więcej, nie więcej. I tak jest lepiej — c'est raisonnable!

IZA.

Z jakiego powodu tak jest, nie wiem, ale, niestety, tak podobno jest, zmienić trudno.

RODERYK.

Trzeba się zgodzić z rzeczywistością.

SCENA IX.

CIŻ. — KALASANTY (*wchodzi powoli i staje u drzwi zakłopotany, gładząc włosy*).

KALASANTY.

Hm! hm, prosiłbym panienki... Miałbym coś do powiedzenia na stronie (*ciszéj*) względem stołowych okoliczności (*mruka*).

IZA (*do Roderyka*).

Przepraszam bardzo, natychmiast służę.

Wybiega głębią.—*Za nią Kalasanty*).

S C E N A X.

RODERYK (*sam*).

Nigdy się jęj taką zastać nie spodziewał. Nadzwyczaj zmieniona na awantaz, piękna, śmiała, dowcipna nawet, wcale, wcale dobrze w główce.. To dla mnie prawdziwa niespodzianka (*chodzi*). A co za oczy! skąd one biorą te oczy?... jaki magnetyczny wzrok! Przyznam się, że gdyby mi nie groziło to utrapione ożenienie (bo to zaraz żenić się każą) mógłbym oszaleć za nią. Ręka nawet! ta ręka czerwona, burakowa, dziś precudownej białości i formy tak estetycznej... tak sympatycznej, tak plastycznej. A co za postawa! co za chód! jaki ruch szlachetny... Cała posągowo wygląda, coś ma tęg Wenery z Milo...

S C E N A XI.

RODERYK.—RADCA (*wchodzi żywo*).

RADCA.

Gdzie mój kapelusz? papiery zostawiłem w kapeluszu. (*Ogląda się*). A cóż to, sam jesteś? pannę spłoszyłeś?

RODERYK.

Ja nie, wybiegła, bo ją zawołano.

RADCA (*zbliżając się niespokojny*).

No cóż? jakże? co mówisz o niej? podobala ci się?

RODERYK.

Bardzo! Jużemy nawet rozmówili się otwarcie. Ona sobie nie życzy iść za mąż, ja nie myślę tęg żenić się wcale... więc rzecz skończona... i jesteśmy z sobą jaknajlepięj.

RADCA (*biorąc się za głowę*).

A! niechże cię!... Otóż masz! Nie pilniejszego nie miał nad

zrobienie głupstwa! A! ta młodzież dzisiejsza, nieokiełznana! Co tu teraz począc? Każ zaprzęgać i, jedźmy. Nie mamy tu co dłużej robić... A! Roderyku, Roderyku!

RODERYK.

Kochany ojeze. Nie idzie za tęg, ażebyśmy mieli teraz od tak miłego towarzystwa uciekać. Przeciwnie, kilka godzin spędzimy właśnie swobodnie, przyjemnie i bez ceremonii. My z panną jesteśmy dans des très bons termes — panna piękna, miła i rozumna.

RADCA (*patrząc z ukosa*).

I dlatego ty jęj nie chcesz?

RODERYK.

Wcale mi się podoba, ale żebym dlatego miał się aż żenić, pour tout de bon! to znowu trudno!

RADCA.

Nie chcę słuchać bredni

RODERYK.

Ale i panna tęg zresztą wcale za mąż iść nie myśli.

RADCA.

A! cóż tedy? wstępuje do sercanek, czy do karmelitanek?

RODERYK.

Nie wiem; jednak, żeby do klasztoru pójść miała, bardzo wątpię, nadto jakoś rezolutna i lubi swobodę...

RADCA.

Cyt... milez...

S C E N A XII.

CIŻ.—IZA.

IZA (*wchodząc*).

A! przepraszam bardzo, ale na wsi obowiązkowi gospodynii... (*Do Rady*). Cóż pan z cicią zrobił? zgubiłeś ją, jak widzę?

RADCA.

Została na ganku z robotą, dokąd i ja powracam; wpadłem tylko na chwilę po papiery. (*Szuka w kapeluszu*). Otóż właśnie są. Zabieram je i idę... (*na stronie*). Drogi Opatrzności są niezbadane. Któż wie?...

(*Wychodzi*).

S C E N A XIII.

IZA. — RODERYK.

IZA (*do Roderyka*).

Siadaj pan. Jesteś skazany na moje towarzystwo, bo ta konferencya cici z radcą widać nie tak prędko skończy się, jak nasza. Wiem, że moja paplanina panu smakować nie może, ale od czegoż rezygnacya i grzeczność? Jakoś pan ten dzień przeżyjesz...

RODERYK.

Bez komplementu, bardzo miło go z panią przepędzę...

IZA.

Ale ja także nie gniewam się teraz wcale, że się trochę zerwę... Wyznam jednak panu, że się go bardzo obawiała. My, panny na wydaniu, jesteśmy skazane na tak gwałtowne i raptowne miłości, na takie nudne, po sto razy powtarzane, oklepiane frazesy, na ciągle te zgóry odgadywane prologi nieszczęśliwych małżeństw, że gdy się zbliża chwila męczarni, trochę drżać i ziewać musimy... Znaleźć w panu człowieka szczerego, naturalnego, umiającego wysłuchać dosyć niegrzecznego wyznania i odpowiedzieć na nie wcale... rozsądnie, było dla mnie miłą niespodzianką, wzbudzającą wdzięczność.

RODERYK.

Pani dobrodziejko, byliśmy oboje w położeniu podobnym. Alboż pani sądzi, że staranie się po ukazu łatwą jest i miłą rzeczą?

Ojciec wiezie, dysponuje ci, ażebyś się koniecznie zakochał, rozplomienił, oświadczył. Obawiałem się tej ostateczności, tymczasem zamiast... nieszykownej narzeczonej, udając, że wcale nie wie, o co idzie, znajduję osobę tak... prawdziwie... tak... wyższą...

IZA.

Zmiluj się pan, bez cukru!

RODERYK.

Na ten raz to nie żaden oklepny komplement, ale najszczerza prawda... Pani jesteś zachwycającą!

IZA (*wybuch śmiechem*).

A! cóż ja mam, płacąc za to, odpowiedzieć panu? Pan jesteś niezrównanie, ekscentrycznie miły. Pozostaje teraz tylko...

RODERYK.

Skończyć ten epizod, w który wpadliśmy mimowoli z nałogów salonowych, i mówić, o czém inném.

IZA.

A! tak, najlepiej o czém inném.

(*Pauza*).

RODERYK.

Lubi pani czytać?

IZA.

Dosyć. Czytam jednak niewiele... rozważnie, powoli... i to tylko, co mnie uczy lub porusza. Dla ciekawości nie chwytam książek, wolę... myśleć, tak okrutnie dziś wiele pisać.

RODERYK.

Bo téż wielu dziś czyta. Muszą być literatury na wszystkie głowy. Dawniej czytywała jedna klasa tylko, wybrana i wtajemniczona, a dziś wszyscy, aż do lokaja i garderobiany.

(*Pauza*).

Lubi pani podróże?

IZA.

Jakie? pisane, czy—prawdziwe?

RODERYK.

A! mówię o rzeczywistych.

IZA.

Dosyć, wkońcu jednak zawsze tęsknię do domu, bo mi w nim najlepiej, a pan?

RODERYK.

Ja jestem włóczęgą. Wszędzie mi źle, nawet w domu, nigdzie

mnie nie nie wiąże, to też długo na żadnym miejscu usiedzieć nie mogę.

IZA.

Przepraszam, będę niegrzeczną, bo pewnie pan nie nie robisz?

RODERYK.

Trochę pani odgadła. Chciałem użyć lat młodych, a potem wziąć się do pracy.

IZA.

Gdy pan od niej odwykniesz?

RODERYK.

Pani jesteś bardzo surową.

IZA.

Cóż pan lubisz oprócz podróży? towarzystwo?

RODERYK.

To, co nazywają towarzystwem, dosyć mnie nudzi. C'est toujours la même chose. Ta konwencyonalność, ten krochmal, ta sztywność, ta konieczność ruszania się, mówienia, wedle pewnej zgóry przepisanej formy...

IZA.

Ale panowie macie teraz aż nadto swobody.

RODERYK.

Sądzę, że i panie na brak jej skarżyć się nie możecie.

IZA (*smutnie*).

Nie jesteśmy przez to szczęśliwsze.

(*Młczenie*).

RODERYK.

Przebacz mi pani niedyskretne pytanie. Jesteśmy teraz dobru mi przyjaciółmi, sans arrière-pensée możemy z sobą mówić poufale i otwarcie. Nie mogę się wydziwić zmianie, jaką w pani znalazłem. Jak panie umiecie przekształcić się, wypięknąć, przeobrazić...

IZA.

Dokończ pan wedle prawidłowej formułki, z poczwarki w motyla.

RODERYK (*śmiejąc się*).

A! tak! Nigdybym się był nie domyślił, że panią znajdę tak uroczą.

IZA.

A! dajże mi pan pokój! pfe! uroczą! Co za szkaradny wyraz, zszarżany przez wszystkich niedorośliwych poetów.

RODERYK.

Tak, ale tym razem był na miejscu.

IZA.

Mogłabym się odwzajemnić panu, boś wcale niepodobny do tego studenta.

RODERYK.

A do kogóż, proszę pani?

IZA (*namyślając się*).

Nie wezmiesz mi pan za złe, gdy powiem co myślę?

RODERYK.

Jest to przecież obowiązek—p r z y j a ż n i.

IZA.

Teraz przypominasz mi pan bohatera powieści szkoły romantycznej, młodego, a już wystygłego i rozczarowanego.

RODERYK.

Pani przynajmniej nie masz prawa czynić mi tego wyrzutu, bo sama także przedstawiasz śliczną bohaterkę nowej szkoły, ideał przyzwoicie emancypowanej kobiety, co panią czyni jeszcze cenniejszą.

IZA.

Dziękuję! Jaki? Pan mnie istotnie znajdujesz emancypowaną? Ja wistocie nią nie jestem, tylko niezmiernie znudzona, a bardzo otwartą i szczerą.

(*Wstaje i przechodzi ku oknu*).

RODERYK.

A! a!...

S C E N A XIV.

CIŻ.—RADCA.—BARONOWA.

BARONOWA (*do Roderyka, wchodząc*).

Pan radca powiada, że lubisz bardzo ogrody i upiera się pokazać moich kilka klombów. Czy wistocie jesteś pan amatorem?

RODERYK.

Wielkim! zapalonym!

RADCA.

Chodź, proszę cię, na minutę tylko... Zobacz, jak to kunsztownie podobierano... co za masy różnych zieloności... Powiadam ci, przepyszne! Dwa kroki tylko...

(Roderyk, zawahawszy się nieco, idzie za ojcem).

S C E N A XV.

BARONOWA. — IZA.

BARONOWA (*zbliża się do niej z pośpiechem*).

A cóż? a co? zmiłuj się! mów!

IZA (*spokojnie*).

A, moja droga ciociu, siurpriza niewypowiedziana, najmiłszy w świecie chłopak... szczery, otwarty... i jesteśmy z nim w jak-najlepszej przyjaźni...

BARONOWA (*składając ręce*).

A! dziękuj Bogul... Cóż się stało? Cud?

IZA.

Nie, tylkośmy sobie zaraz powiedzieli zgóry — ja — że nie chcę iść za męża, on, że nie myśli się żenić wcale.

BARONOWA (*ręce opuszcza*).

Iziu droga, dziecko moje! Cóżś zrobiła! Mówisz to z takim chłodem, szyderstwem, śmiałością. Więc, więc ci się nie podobał? mów Boże!

IZA.

Owszem, nad wszelkie spodziewanie, ale czyż dlatego, że mi się podobał, mam się wiązać na całe życie? Pierwszemu wrażeń nigdy ufać nie potrzeba...

BARONOWA (*wzdychając*).

Wierz mi, że ono przecie najczęściej jest najtrafniejszém...

IZA.

Że mnie zdziwił niepospolicie, muszę przyznać! Chłopiec, a ra-

czej mężczyzna, śmiały, otwarty, myślący, oryginał... Nigdy się nie domyślała, żeby coś podobnego mogło z tego studencika wyrosnąć... Ale taki zajadły nieprzyjaciół kobiet i małżeństwa!

BARONOWA.

To właśnie piękna zrzeczność nawrócenia niewiernego...

IZA.

Prawda! zwycięstwo byłoby bardzo zaszczytném — lecz chyba bym się o nie pokusiła, aby mieć przyjemność powiedzenia mu w końcu: nie wierzyłeś w naszą potęgę... i musiałeś upaść przed nią na kolana... teraz — idź — i nie grzesz już więcej przeciw nam!

BARONOWA.

Tak czasem pleciesz nie do rzeczy!

IZA.

O! podobna rola hardzoby mi się uśmiechała... ale... mogłabym więcej wymagać czasu, niż nam dano.

BARONOWA.

Cicho! słyszę ich wracających.

S C E N A XVI.

CIŻ. — RADCA. — RODERYK.

RODERYK (*wchodząc do Baronowej*).

Wistocie ogród z wielkim smakiem i kunsztem zasadzony, w kraju jeszcze mi się nie podobnego widzieć nie zdarzyło. Co za cieniowanie klombów, jaka perspektywa tonów!... Prześliczny! (*Baronowa daje znak Radcy*).

BARONOWA.

Już nie fatygując pana Roderyka — panu muszę jeszcze moje jedwabnictwo pokazać.

IZA (*do Roderyka*).

A my nie pójdziemy za niemi?

S C E N A XVII.

IZA—RODERYK.

RODERYK.

Przyznam się pani, że mnie jedwabniki wcale nie obchodzą, choćby najpiękniejsze... jeśli pani pozwoli—zostaniemy; moglibyśmy przeszkodzić rozmowie o interesach prawnych.

IZA.

Ale doprawdy pan się zanudzisz ze mną.

RODERYK.

Nigdy w świecie! ja tylko znudzić panią mogę, bo sam czuję, że nieznosny.

IZA.

A! dziś jeszcze mnie pan nie znudzisz (*śmieje się*). Lubię poznawać młodych ludzi, uczyć się ich, badać—szukać w nich tajemnicy serca.

RODERYK.

Więc ja nawet do tych studyów się pani nie przydam — bo serce moje otwarte na rozcież i niema w niem żadnego tajemniczego zakątka. Wcale nie ciekawie wygląda — jak pusta stodoła na przednówku, natomiast serce pani...

IZA.

Moje? Serce moje jest jak te izby, w których mnóstwo starych połamanych mebli i zniszczonych sprzętów składają. Mam w niem pełno moich sierocych skarbów—poczawszy od dzieciennych zabawek, do umarłych marzeń z połamanymi skrzydłami — ale w téj izbie ruin zimno, ciemno a smutno.

RODERYK.

Dopóki jój promień słoneczny nie rozświeci.

IZA.

Promień? jaki?

RODERYK.

Tym promieniem będzie... (*pauza*) miłość!

IZA.

Sądzisz pan? Bardzobym tego uczucia była ciekawą, ale ono podobno—jak bajeczne zwierzęta, które wymarły—już się na świecie naszym ukazywać przestało.

RODERYK.

Nie—ja sędzę, że choć rzadko, jeszcze się z niem spotkać można. Wybrane istoty, gdy je szczęśliwy traf losu zbliży do siebie...

IZA.

Może — ale to chyba bardzo — bardzo rzadko trafić się może, i—tylko owym wybranym istotom.

RODERYK.

Ponieważ ludzie za tém uczuciem tęsknią, jak za szczęściem, że go pragną—więc często się kochają głowami—sercami nie mogą. Taka miłość, słomiany ogień, na chwilę błysnie i znika.

IZA.

Jabym nawet miłością jój nie nazwała—to się zowie—fantazją.

RODERYK.

Pani słyszała pewnie, że ludzie w czasie wielkich głodów karmi się mąką z kory i mehami?

IZA.

Tak—i z tego potem umierają.

RODERYK.

Być może—lecz, choćby umrzeć przyszło—cóż to znaczy? byle śmierć poprzedziła rozczerowanie!

IZA.

Dziwna rzecz! niedawno mówiłeś pan przeciwko uczuciom i ich skutkom, a przecież zdajesz się do nich przywiązywać cenę.

RODERYK.

Zarząkałem się uczucia dlatego właśnie, że ono nie tylko najwyższem szczęściem jest, ale największą boleścią być może.

IZA.

Zdaje mi się, że panbyś boleści uczuć już nie był zdolnym—zdobyłeś taki chłód.

RODERYK.

Któż pani powiedział, że go zdobył?

IZA.

Wniosłam o tém z początku naszej rozmowy.

RODERYK.

A—pani! początek tak był różny od końca i od tego, do czegośmy—sam nie wiem, jak—przyszli! Nie pojmuję, jakim cudem niewieścięj potęgi dobyłaś pani z głębi mego zastygłego serca...

IZA.

Doprawdy?! a! a! jakże to patetycznie! (*Śmieje się*). Pozwól mi pan pośmiać się trochę... A! bo to przedziwne!

RODERYK (*zmieszany*).

Niech się pani śmieje, nie bronie, ale śmiech ten boli mnie, nie dla mnie. Nie sądziłem, byś pani była zdolną uragać się tak uczuciu i być tak...

IZA (*przerywając żywo*).

Zasurowo pan mnie sądzisz, ja nie uragam uczuciu, tylko... tylko niebardzo w nie wierzę. Jestem sceptyczną, bo się złudzeń boję.

RODERYK (*po chwili*).

Przepraszam, najmocniej przepraszam, masz pani słuszość nawet uragać się z nich. Byłem wzruszony, niedorzecznie się uniosłem. Zdało mi się na chwilę, że się nasze myśli, nie powiem serca, zrozumiały i że sympatyzowały z sobą... stałem się dziecinym, wstydzę się tego.

IZA.

Więc mnie pan masz za...

RODERYK.

Samaś pani rzekła: za chłodną sceptyczkę.

IZA.

Toś pan mnie nie zrozumiał, a przynajmniej fałszywy wniosek wyciągnąłeś ze słów moich. Ja, lękając się niezrozumienia, zdrady, fałszu, słowem, zawodu, zamykam serce i bronie się, śmiechem... ale często... pożyczanym.

RODERYK (*wzdychając*).

Jakże szczęśliwym będzie ten, dla kogo się to serce otworzy!

IZA.

A! to już cukierek...

RODERYK.

Z panią rozmowa tak trudna...

(*Przechodzi po-za nią na lewo i przechadza się poruszony—milczenie — Iza spogląda na niego zdaleka*).

IZA (*na stronie*).

Doprawdy, nie pamiętam, żebym kiedy była tak wzruszoną, pfe! to nieznośne...

RODERYK (*na stronie*).

Chciałbym stąd uciec, niebezpieczna kobieta... ma urok taki... (*głośno*).

Mój ojciec nadzwyczaj coś długo nudzi tą konferencyą panią baronową... (*patrzy na zegarek*) mieliśmy dziś powracać.

IZA.

Jakto? panowie dziś powracać myślicie?

RODERYK.

Tak, potrzebuję jaknajprędzej jechać... jaknajprędzej, bardzo mi pilno.

IZA.

Skądże pośpiech tak nagły?

RODERYK (*stając*).

Przyznam się pani, że ja też nie lubię marzeń, złudzeń, wszystkiego, od czego głowę tracę.

IZA.

Ale cóż panu tu grozi? nie rozumiem... Czy pan głowę traci, powracając późno wieczorem?

RODERYK.

Nie, pani, ale tu za białego dnia gotów-em ją stracić, razem z sercem.

IZA (*uśmiechając się*).

O! tego to już nadto! Co za bojaźliwość i przezorność! Wierz mi pan, że tu jesteś bezpiecznym, zasadzki ani rozboju wcale się nie masz co lękać.

(*Siada na kanapie*).

RODERYK.

W tych sprawach, wyznaję, tehrz jestem.

IZA.

A pfe! tehrzostwo w mężczyźnie! to bardzo brzydka rzecz. Siadaj-no pan. Ojciec powróci, ciocia sobie obiad przypomni... a po obiedzie...

RODERYK (*który ciągle chodził—staje przed nią nagle*).

Czy postanowienie pani jest już niewzruszone?...

IZA (*spokojnie*).

Jakie?

RODERYK.

Pani postanowiłaś nie wychodzić za mąż?

IZA.

Ja? któż to panu mówił? ja tylko za żadnego narzuconego sobie konkurenta iść nie myślę.

RODERYK.

Ale ja już nim nie jestem?

IZA.

Pan przecież żenić się nie chciałeś i nie myślisz...

RODERYK.

Nie chciałem, dopókim pani nie poznał.

IZA.

A! znowu te niecznośne cukierki!... Skądże tak nagle zmiana?

RODERYK.

Prawda, że nagle, ale uczucia tego rodzaju nigdy inaczej, jak nagle przychodzić nie zwykły. Miłość prawdziwa jest iskrą elektryczną, która pada na serce, otwiera oczy, napenia duszę... zmienia człowieka.

IZA (*śmiejąc się, ale łagodnie*).

Prześlicznie!

RODERYK (*siada i bierze ją z wolna za rękę*).

Czyż pani w tej chwili nie czujesz, że ja jestem szczerym, że serce mi bije, że zachwycony, zakochany i że wszystkich postanowień gotów-em wyrzec się dla niej?

IZA (*spoglądając na niego*).

Mogłabym być bardzo dumna z mojego tryumfu, odniesionego nad człowiekiem, który przed godziną tak kochał swobodę i tak śpieszył mi oświadczyć, że miłością brzydzi się, jak niewolą.

RODERYK (*po namyśle*).

Masz pani prawo mi nie wierzyć, a nawet śmiać się ze mnie, ale jechałem tu, spodziewając się znaleźć wcale co innego... Niestety! Panie macie potęgę, od której, wedle oklepanej maksymy, lepiej uciekać, niż z nią walczyć... Myśmy zawsze zwyciężonemi.

(*Iza milczy—Roderyk próżno czeka na odpowiedź*).

RODERYK.

A! pani mi litościwie przebaczyć raczy! Stary, zakochałem się jak student, rumienię się za słabość moję, przepraszam panią.

(*Śmiejąc się, bierze za kapelusz*).

IZA.

Trzeba jechać — i ze wstydem! (*Wzdycha*.) Ale połóż pan ten

kapelusz... Nie masz się pan przecie czego wstydzić, żeś mi przez grzeczność komplimenta prawil, bo—wyznaj pan sam, że w szerość i w trwałość sentymentu, który się wyłagł tak nagle, niepodobna mi uwierzyć.

RODERYK.

To prawda, a pani też tak cenisz swobodę, tak nienawidzisz wszelkiej niewoli.

IZA.

Nie przeczę, ale zrozumiejmy się, panie Roderyku. Tak jest, cenię swobodę, to prawda, nie wzdygam się przecie obowiązków, a nadewszystko tych, które narzuca serce; pan mnie, widzę, ciągle jeszcze ma za jakąś emancygowaną dziewczeczkę.

RODERYK.

Samaś pani mi się tak odmalowała.

IZA.

Był to potrosze żart, zresztą pan mnie nie rozumiałeś.

RODERYK (*biorąc znowu kapelusz, niecierpliwie*).
Ojciec się tak zagadał, a ja tu panią nudzę...

IZA.

Położ pan ten kapelusz. Panowie nie pojedziecie przed obiadem, ja proszę.

RODERYK.

Ależ przez litość nad mém upokorzeniem powinna mnie pani puścić! Męcę się napróżno... a to nie prowadzi do niczego.

IZA.

Któż wie? Zawsze to wpłynie na pana i gdy drugi raz radca zawiezie go do jakiej pięknej panny, nie będziesz się pan zawczasu zarzekał.

RODERYK.

Mogę pani dać słowo honoru, że nie pojedę już do żadnej, nawet przez posłuszeństwo synowskie.

IZA.

W obawie, aby się nie zakochać?

RODERYK.

Teraz mi to tak łatwo nie przyjdzie.

IZA.

A! przecież się pan mnie o mało nie oświadczył?

RODERYK.

To prawda! oświadczyłem się nawet całkowicie, nie poznaję siebie. (*Bierze kapelusz*.) Muszę pójść po ojca.

IZA.

A! połóż-że pan ten niezdolny kapelusz, albo lepiej, daj mi go pan!

(Bierze kapelusz z rąk Roderyka i rzuca go na krzesło).

Mówiłam, że nie puścimy panów przed obiadem.

RODERYK.

A! dajże mi pani choć cień nadziei!

IZA.

Obiadu?! daję panu najzupełniejszą pewność!

RODERYK.

O! nie! czyż pani mnie nie rozumieć?

IZA.

Owszem, doskonale, ale ja jestem... sceptyczka... niedowierząca... i potrzebuję się przekonać i, sama siebie zbadać... i—no, nie wiem. Pan jesteś dziwnie niedomyślny, a wymagający zbyt wiele.

(Wstaje z krzesła. Roderyk chce ją pochwycić za rękę. Iza mu ją wyrzywa. W tej chwili za sceną dają się słyszeć głosy baronowej i radcy).

S C E N A XVIII.

CIŻ.—BARONOWA i RADCA. *(wchodzą i spoglądają ciekawie.—Iza i Roderyk, zmieszani nieco, oddalają się od siebie).*

RADCA.

Cudowny ogród, oranżerye przepyszne... wszystko tu piękne i miłe, począwszy od gospodyń, do kwiatów.

(Wzdycha, spoglądając na syna).

BARONOWA *(cicho do Izy, smutnie).*

Każde dawać do stołu, niech sobie jada, mnie to męczy.

IZA *(cicho).*

Ale niema się znowu czego tak śpieszyć!

RADCA *(do syna).*

Każ konie zaprzęgać.

RODERYK.

Jeśli ojciec chce zostać, ja nie nagłę.

RADCA *(ruszając ramionami).*

Idź, niech zaprzęgają.

(Roderyk waha się i wychodzi powoli. Baronowa bierze się za głowę i wysuwa ku drugim drzewom).

BARONOWA.

A! jakież maruda z tego Kalasantego, do tej pory obiadu nie dają.

S C E N A XIX.

RADCA.—IZA.

RADCA *(smutny, zwolna zbliża się do Izy).*

Słyszałem już od pani baronowej o wyroku, jaki na nas zapadł... niewymowną napelnia mnie to boleścią.

IZA.

O wyroku! cóż to takiego?... ja nie wiem o żadnym.

RADCA.

Jakto? wszakże losy nasze były w jej rękach.

IZA.

W moich? panie radco? doprawdy nie rozumiem.

RADCA.

Bo pani nie chcesz mnie zrozumieć i, nie chcąc nawet bliżej nas poznać... skazujesz...

IZA *(nieco zmieszana).*

To chyba jakieś nieporozumienie, panie radco. Zdaje mi się, że nie znając kogoś, potępić byłoby niesprawiedliwością wielką

ale téż, przyznasz pan, że bez bliższego poznania i cokolwiek-bądź wyrzec trudno...

RADCA.

Ale my właśnie o to prosimy, byśmy się bliżej mogli dać poznać.

IZA.

A ciocia się temu opiera?

RADCA.

Pani...

IZA.

Ja? bynajmniej, owszem, panie radco... prosiłam nawet, byście z nami zostali dłużej, ale pan Roderyk...

RADCA (*żywo*).

Jakto? więc wyrok?...

IZA.

Ależ wyroku nie wydał nikt żadnego, a potem. panie radco, wiesz to najlepiej, że—niema wyroku bez apelacyi.

RADCA (*klaszcząc w ręce*).

Jakto? moglibyśmy się spodziewać?

IZA.

Ja nie wiem... Obiad zaraz dają.

RADCA.

Pani pozwalasz mieć choćby nadzieję?

IZA.

Czyż można komu zabronić nadziei?

RADCA (*chwytając ją za rękę i całując*).

A! pani! pani jesteś aniołem pociechy!

(*W téj chwili wchodzi Roderyk jednemi drzwiami, a prawie równocześnie baronowa, za którą idzie Kalasanty z serwetą na ręku*).

SCENA XX.

CIŻ.—BARONOWA.—RODERYK.—KALASANTY.

KALASANTY (*uroczyście*).

Proszę pani baronowej... dano do stołu!

(*Radca żywo i wesoło podaje rękę gospodyni, Roderyk bierze Izę, cicho rozmawiając z nią.—Kalasanty zostaje chwilę na scenie i spogląda za niemi*).

Aha!! przecież! trafiła kosa na kamień! Umyślnie spóźniłem obiad, bom się tego trochę spodziewał... Podśluchiwałem trochę pode drzwiami... Miły Boże! co oni napletli, nim przyszli do ładu! kosałki, opalki! — a dowiedziona rzecz, niewiasta odniosła zwycięstwo. Byłem tego pewny... Teraz jestem spokojny... wesele za pasem... i jakoś to będzie!

PANIE KOCHANKU,

ANEGDOTA DRAMATYCZNA

WE TRZECH AKTACH.

Szanownemu Panu

JANOWI KONSTANTEMU ŻUPAŃSKIEMU

W DOWÓD PRZYJAŹNI I SZACUNKU

dla jego zasług obywatelskich tę drobnostkę,

na pamiątkę pobytu w Poznaniu w maju 1867 r.

przesyła z pozdrowieniem

AUTOR.

W chwili gdy komedyi zachciało się być dramatem, tragedya, poematem, rozprawą, liryką i epopeją, słowem wszystkiem, oprócz tego, czém była pierwotnie; protestowaliśmy już raz przeciwko temu w kilku słowach przemowy do *Miodu kasztelańskiego*. Następująca komedyjka jest dalszym tój protestacyi ciągiem.

Przyjęcie, jakiego doznała na krakowskiéj i lwowskiéj scenie, jest dla nas dowodem, iż niezupełnie omyliliśmy się może, żądając komiki od komedyi i sądząc, że komedyja historyczna jest możliwą.

Wprawdzie do powodzenia, jakiego doznała, przeważnie się przyczynił znakomity talent stwórcy głównej roli p. Wincen-
tego Rapackiego, i jemu to głównie zawdzięczamy oklaski, którzy się na rzecz jego najzupełniej zrzekamy, ale komedyja stara, która *castigat ridendo*, bądź co-bądź umierać nie powinna. Składając dzięki p. Rapackiemu za mistrzowską grę jego, która go stawia na czele naszych dramatycznych artystów; miło nam podzielić się z nim pociechą, jakiej doznaliśmy przy przedstawieniu, *Panie kochanku*.

Równie szczęśliwie występuje w tój roli we Lwowie p. Królikowski i do naszégj wdzięczności ma prawa.

Panie kochanku, tak, jak się tu ukazuje, miało być pierwotnie jedną tylko częścią trylogii dramatycznej, na którą składały się (dotąd niedokończone) trzy komedye, z trzech epok życia księcia Karola, pod ogólnym tytułem: *Panie kochanku*.

Pierwsza z nich: *Na wygnaniu*, z czasów po konfederacyi barskiej, druga: *Wesele w Albie*, wizerunek z wesołego żywota bandy Albeńskiéj, trzecia (ta, którą dajemy) *Syruc i Radziwill*: ostatki lat spędzonych w Nieświeżu przedstawiać miały.

Dwie pierwsze nie zdały się nam jeszcze gotowemi do wyjścia na świat i do czasu w tece pozostać muszą; trzecią a ostatnią dajemy dzisiaj, prosząc czytelników o pobłażanie.

Drezno 3 czerwca 1867.

J. K.

O S O B Y:

- Książe Karol Radziwiłł*, Wojewoda Wileński, przedtém Miecznik Litewski, strój polski, mężczyzna podżyły, głowa nieco łyśa, wąsy sumiaste i tuzsza wielka. Mówi zawsze seryo, i płaczkliwie.
- Pani Gienierałowa Morawska*, siostra księcia, wysokiego wzrostu, wiek średni, ruchy męskie, zażywa tabakę.
- Szambelan Łopuski*, nieodstępny towarzysz księcia, wysoki, chudy, niepozorny, potulny.
- Pan Sobieski*, dworzanin księcia.
- Pan Rejtan*,
Pan Zienowicz, } sąsiedzi i przyjaciele.
- Puthownik de Larzac*, komendant twierdzy Nieświeża.
- Pan Wirszył*, dworzanin rezydent.
- Pan Teofil Syruć*, młody dorodny szlachcic z pod Lidy.
- Leosia Puciatówna*, panna na respekcie pani Gienierałowej.
- Dworzanie*.

Rzecz dzieje się w okolicy i na zamku Nieświeskim, w końcu XVIII wieku.

AKT I.

Scena przedstawia puszcę litewską ze starych dębów i sosen złożoną, w głębi gęstwiny. Przodem wije się ścieżka wązka przechodząca od lewej strony kulis na prawo.

SCENA I.

WIRSZYŁ, *sam na przesmyku pod drzewem ze strzelbą, w lisiurce, długich butach i torbie borsuczej, stoi oglądając się w prawo i lewo. Później Teofil Syruć w ubiorze podróżnym, w kurcie zielonej z baranami, czapka na głowie, batożek w ręku. Nadchodzi z lewej strony rozglądając się.*

WIRSZYŁ (*ziewając*).

A! że wolalbym ciepłe piwko przy kominie i warcaby z pułkownikiem Lärzakiem, niżeli tę utrapioną wartę w lesie... oj! to rzecz pewna... Ale — pan każe, sługa musi a z naszym księciem to niema żartów... gdy jedzie na polowanie, patrzy bacznie, kto mu towarzyszy a kto na zamku został i czarne kreski pisze... Człowiek przynajmniej dopóki na dożywocie nie zasłuży, choćby na dziesięciu chatach... musi dworować Księciu Jegomości i służyć na dwóch łapkach... jak szpie! aj! aj! służba ciężka, choć żołądek nie próżny i grzbiet nie odarty...

Gdy Książę pije, pić z nim musimy wszyscy, ale to jeszcze nie, do kufła ja dotrzymam; Książę bajki plecie, słuchaj, choć się oczy kleją i śmiej się...; pójdzie w tany, za nim wszyscy, i gdyby

mu się zachciało habit wdziać... trzebaby było głowę ogolić... No! ale człowiek się też na stare lata dosłuży chleba, gdy zębów nie będzie.

Ale baczność! coś szeleści, nuż bym prześlepił... dopiero by mi dali stęplami... baczność!

(bierze strzelbę i przymierza w lewą stronę, - z której ukazuje się przedierając przez gąszcze Syruć).

SCENA II.

WIRSZYŁ — SYRUĆ.

SYRUĆ.

A! stójże utrapiony myśliwczu! na milego Boga! przecież widzisz, że człowiek a nie niedźwiedź!

WIRSZYŁ.

Masz szczęście... o włos że na chrzest gałęzi nie palnął; byłbym waszeci nie źle loftkami naszpikował... Ale co Wasindziej tu robisz? czego się włóczysz jak Marek po piekle?

SYRUĆ.

A no! idę i szukam gościńca... Cóż to u was tu i chodzić ludziom nie wolno?

WIRSZYŁ.

To waść wiész, że Książę poluje..

SYRUĆ.

Nie wiem ani o księciu, ani o polowaniu... Jaki Książę?

WIRSZYŁ.

A toć u nas jeden jest Książę, Panie kochanku.

SYRUĆ.

No to niech sobie poluje, na zdrowie mu, ludzie przecie dla tego za interesami jeździć mogą... Zbiłem się w tej puszczy z drogi i tum konia uwiązał, a sam puściłem się ję szukać... Nie moglibyście mi powiedzieć?

(Słychać z dala strzał).

WIRSZYŁ.

Daj Boże, żeby się tam Waścinemu koniowi nie dostało.

SYRUĆ.

Koniowi? jak to? albo to na konie polujecie?

WIRSZYŁ.

Na wszelką zwierzynę, choćby i na dwóch nogach, mospanie. Co na placu to nieprzyjaciół. Jeżeli tam asindziej koni w gałęziach zaszeleścił, może mu który krótkowidz a gorączka w łeb wypalił... bo to coś w tej stronie...

SYRUĆ.

Ale ba! gdzie znowu.

(wpatrując się w niego na stronie).

A! dalifur! to Wirszył.

WIRSZYŁ *(na stronie).*

Jak Pana Boga kocham... szalenie mi Teofila Syrucia przypomina...

(głośno).

Za pozwoleniem waepana, nie możnaby wiedzieć, dokąd Pan Bóg prowadzi?

SYRUĆ.

A no, do Nieświeża...

WIRSZYŁ *(do siebie).*

No! to chyba nie Syruć, ten by tam nie jechał... gdyby się w Nieświeżu pokazał, Książęby go w pierwszym impecie gotów kazać powiesić...

(głośno).

A skądże to panie bracie? z daleka?

(na stronie)

Im mu się lepiej przypatruję... przysiągłbym taki Syruć.

SYRUĆ.

Ja... jadę do Wilna i Lidy... moi dobrodzieju.

(na stronie)

To niezawodnie Wirszył... otóż go tu licha nadało.

WIRSZYŁ *(na stronie)*.

Albo Syruć, albo dyabeł...

(głośno zbliżając się z wolna).

Miłościwy panie a bracie, wolno spytać o nazwisko.

(nagle przyskakując).

Tyś Syruć... Teofil Syruć! jak Boga kocham...

SYRUĆ *(zmieszany)*,

Ale nie... ja jestem, ja jestem, Paweł Horain.

WIRSZYŁ *(z niedowierzaniem)*.

Jaki Horain! którędy? Znam Horainów co do jednego jak lyse konie? Tyś Syruć!

SYRUĆ.

Ale gdzież znowu!...

(na stronie).

Wirszył, żeby go lichy porwało, już się nie wykręcę... ale trzeba go związać... by się nie wygadał.

WIRSZYŁ.

No, przyznaj się Waszmość, na co tu ludzi durzyć, czy oczów nie mam? Wszakżeśmy razem chodzili do szkół, a dwa lata temu widziałem Waści w Lidzie na sejmiku... tak jako o to go widzę...

SYRUĆ.

Ale nie... jako żywo!

WIRSZYŁ.

At! pleć zdrów... Ja to rozumiem dobrze, że stojąc na ziemi Radziwiłłowskiej, nie chcesz się przyznać do swego nazwiska... Ale darmo, mnie nie wywiedziesz w pole...

SYRUĆ.

Mospanie Wirszył...

WIRSZYŁ.

A no! widzisz, żeś mnie poznał...

SYRUĆ.

No tak! znam, znam i przyznaję ci się, kto ja jestem... ale szal! Wiiesz waszmość, że tu o głowę idzie... Ja honorowi jego polecam się i oddaję...

WIRSZYŁ.

Ale po cóżeś tu wlaź?

SYRUĆ.

Po co?... ot tak... przypadkiem...

WIRSZYŁ.

Ale ba! także mi chcesz wmówić! piękny przypadek. Sam przecie wyznałeś, że jedziesz do Nieświeża... a w Nieświeżu Syrućiom... nie zdrowo! nie zdrowo!

SYRUĆ.

Przejeżdżam...

WIRSZYŁ.

To cię mogą i w przejeździe poznać, pochwycić — i powiesić! Książę się, jak mówią, zaklął, iż nie daruje ci dekretu, który uzyskałeś na niego za najazd na dwór w Pilwiszkach. Skazano go z twój przyczyny na wieżę, musiał zapłacić grzywny, a co to Radziwiłłowi być skazanym i sądzonym! Siedział prawda wieżę nie in fund o, ale wesołym towarzystwie z panem Rejtanem i Wołodkowiczami... ale zawsze to się nazywała wieża i wychodząc poprzysiągł na progu, że złapawszy Syrucia obwiesi... Całej waszej rodzinie i nazwisku ślubował wiekiustą nienawiść, teraz imienia już tego nawet wspomnieć się nie godzi... Ty wiesz, że z panem kochanku, nie żarty...

SYRUĆ *(po chwili)*.

Ależ mnie tu nikt nie zna... prócz was, a waszemu szlachec-kiemu honorowi życie moje chętnie zwierzę—przecież nie pójdziecie mnie wydać... dla pozyskania łaski książęcej.

WIRSZYŁ.

Daj ty mi pokój z honorem i ze szlachectwem, tu idzie o skórę, jam chudy pacholek... Ślicznego byś mi piwa nawarzył, gdyby się dowiedzieli! dziękuję... książę mi każe na całe życie pójść z oczów i kwita z zasługi... Ja za waszcinę szaleństwa pokutować nie myślę... Jedź zdrów, skądś przybył... dopókiś cały... to jedyna rada.

SYRUĆ.

A no, nie mogę...

WIRSZYŁ.

Cóż to jest? jaka przyczyna?

SYRUĆ.

Przyczyna?—tajemnica...

WIRSZYŁ.

Tajemnica! trzymajże się sobie z nią i wynoś, bo ja w to, czego jasno nie widzę, wdawać się nie myślę... Ostrzegam Was, że wydam, więc zawczasu w nogi... życzę...

SYRUĆ.

I nie ucieknę i nie wydacie mnie.

WIRSZYŁ.

Czemu?

SYRUĆ.

Boś przecie szlachcie, nie infamis...

WIRSZYŁ.

Szlachcie! szlachcie, a co mi tam po tém szlacheństwie bez omasty!... Ja służę Księżciu nie dla pięknych oczów, ale dla kreśtywy... i łaski jego tracić nie myślę, dlatego żeś mi Waszée w drogę wlażł...

SYRUĆ.

Ależ przecie nikt nie wie i wiedzieć nie będzie, że mnie Waszmośe znasz... korona ci z głowy nie spadnie!

WIRSZYŁ.

O! o! do tego-bym się ja nie przyznał... to pewna...

SYRUĆ.

Czegoż się lękasz?

WIRSZYŁ.

Wszystkiego... Zresztą gadaj przynajmniej otwarcie, po coś tu wlaż jak Pilat w Credo, skarany Syrucu!... na oczewiste nie-szczęście...

SYRUĆ.

Po co? ja tu nie zabawię, a przejechać—droga wolna każdemu.

WIRSZYŁ.

Jak to? Waćpan się upierasz przejeżdżać przez sam Nieśwież, to może i na dwór sobie wstąpisz.

SYRUĆ.

A i na dworze będę pewnie.

WIRSZYŁ.

I jutro będziesz dyndał przesuszając się w powietrzu...

SYRUĆ.

Ech! ech! nie tak straszny dyabeł, jak go malują... tak źle nie będzie.

WIRSZYŁ.

Albo z Waszmości wielki zuch, albo masz życie na zbyciu... ale gadajże utrapieńcze, po co jedziesz! po co? boć darmo nikt szyi, a choćby grzbietu nie nastawia... w tém coś jest.—

SYRUĆ.

No, daj mi słowo, że mnie nie wydasz...

WIRSZYŁ.

Na ślepo? nie mogę... Gadaj wprzód, zobaczymy.

SYRUĆ.

Nie powiem, daj słowo...

WIRSZYŁ.

Nie mogę, gadaj wprzód...

SYRUĆ.

Nim co będzie, posłuchajno jednej rzeczy. Ty się obawiasz księcia, książę moen to prawda ale jeden. Syruc słabszy, to pewna, ale takich Syrucuów mospanie, w Lidzkiem, głowa w głowę jak ja, zuchwałyeh, których nie nie kosztuje palnąć w leb choćby Wirszyle... liczy się sześćdziesięciu i siedmiu...

WIRSZYŁ.

Rozrodzona familia... daj go katu!

SYRUĆ.

Otóż gdyby mi włos z głowy spadł z przyczyny waćpana, to cię od jednego z moich sześćdziesięciu sześciu kula nie minie... przysięgam na Tróję świętą...

*(zakłada palec na palec).*WIRSZYŁ *(zasepiony).*

No mówże, po co cię tu licho przyniosło?

SYRUĆ.

Przysięż.

WIRSZYŁ.

Nie mam zwyczaju szafować przysięgą... dosyć-by było słowa...

SYRUĆ.

Dosyć—i biorę waści za słowo.

WIRSZYŁ *(cicho).*

Wziął, nim dałem—

SYRUĆ.

Otóż wyznam ci prawdę całą: Na dworze generalowej Morawskiej, siostry księcia, która bawi w Nieświeżu, znajduje się Leosia Puciatówna...

WIRSZYŁ.

O ho! a wam co do niej?

SYRUĆ.

I bardzo mi do niej, bo naprzód jest to moja krewna, a w dodatku od dzieciństwa narzeczona, od pierwszej młodości ukocha-

na... Dowiedziałem się, że Jego książęcej mości w oko wpadła, smali do niej cholewki, otóż albo ja zginę, albo ją wyratuję... to inaczej nie może być...

WIRSZYŁ (*chwytając się za głowę*).

Przeczuwałem, że kaszy nawarzysz gorącej... szatanie! waryacie... nie chcę wiedzieć... idź, idź sobie do trzech milionów diasków i ze swoją Leosią... Dopiero bym się ubrał, gdyby nawet małym palcem tej roboty dotknął...

SYRUĆ.

Ale ja was o żadną pomoc nie proszę...

WIRSZYŁ (*gwałtownie*).

A tak! tak! wiem ja: *qui tacet consentire videtur*, jeżeliś zapomniał łaciny, to ci wytłómaczę—kto milczy, panenku, ten zezwała... Ja wiem, czém to pachnie! konopiami! Idź, pókiś cały... Syruciu przeklęty!

SYRUĆ.

Słowo waścine mam, a sześćdziesięciu mścicieli stoi za mną...

WIRSZYŁ.

Słowa nie dawałem, a gdyby ich było i stu.

(*Głosy za sceną*).

Uciekaj! słyszę głos księcia! uciekaj...

SYRUĆ.

Księcia! tém lepiej... pamiętaj, trzymam za szlacheckie słowo, a krucicę mam zawsze w kieszeni i jeśli piśniesz...

SCENA III.

CIŻ—KSIAŻĘ WOJEWODA (*ze strzelbą na ramieniu, ubiór myśliwski, za nim Szambelan Łopuski i dwóch rezydentów ze strzelbami*).

KSIAŻĘ (*wchodząc z lewej strony*).

Mówcie sobie aszmość, panie kochanku, co chcecie... jest w tém nieczysta sprawa szatańska. Pamiętasz, Szambelanie, gdyśmy byli

w Maroku... kiedym to do lwa strzelił, a murzyna zabiłem, że mnie o włos nie ścięto, gdybym nie miał tej maści cudownej, którą go odżywiłem, że mnie potem nosili na rękach... Tak i dziś się stało... Czary! panie kochanku, nie innego. Wszyscy widzieli, że niedźwiedź marucha szedł na mnie wprost bestya, na dwóch łapach, rycząc, panie kochanku... Czarny, kudłaty, straszny... Wziąłem go na cel dobrze pod łopatkę... jak buchnę, trochę mi, panie kochanku strzelba, targnęła... dym się rozszedł... patrzę, niema nic... jak w wodę wpadł, panie kochanku. A za krzakami coś się wywraca. My z kordelasami w gąszczu... patrzymy... koń z siodłem, któremu cały nabój w łeb wsadził... dogorywa...

SYRUĆ (*z krzykiem*).

Jezu Maryja! a! to pewnie mój siwosz najdroższy! to moje pocziwe konisko...

KSIAŻĘ (*postrzegając go, prędko do Szambelana*).

A! panie kochanku! jakiś szlacheć podróżny! Otóż masz! A Radziwiłł mu konia zabił... Szambelanie, ratuj Radziwiłła, jeżeli Boga kochasz, nie wydawaj mnie, że jestem książęciem... wstyd mi szlachećca... Weź na siebie rolę księcia, a ja zostanę *incognito* szambelanem Łopuskim... (*dając znak Wirszyłu, który stoi pomieszany*). mileczć! panie kochanku!

SYRUĆ (*lamentując*).

A żebyś marnie przepadł, ślepy strzelecze, coś mi tak drogie stworzenie, najukochańszego przyjaciela, skarb ten nieoszacowany... odebrał! To kryminał! to morderstwo! ja pozwę do sądu... napaść na gładkiej drodze...

KSIAŻĘ (*kryjąc się za Szambelana*).

Łajze Waszmość mnie, panie kochanku, ale delikatnie, żebym się nie rozgniewał.

SZAMBELAN (*zmieszany*).

Cóżeś bo Pan zrobił... tego... panie szambelanie, kochanku... jak to było można...

KSIAŻĘ.

Mości książę, panie kochanku... (*poprawia się*) bez panie kochanku... przepraszam, bom się od Waszjej książęcej mości nauczył tego szkaradnego przysłowia... Dali pan, panie kochanku (*spluwa i rusza ramionami*) вина to nie moja... i nie kurza ślepotą, ale fortel dyabelski, strzeliłem do niedźwiedzia, na to mam świadków... siła szatańska! nieczysta, dzień jeralis.

SYRUĆ.

Tak, tak! A cóż ja teraz nieszczęśliwy pocznę! Ten koń to był mój przyjaciel, to był mój brat... jam go kochał... on mnie... o mój Boże...

SZAMBELAN.

No, ale cóż na to poradzić, co się stało, odstać się nie może...

KSIĄŻĘ (*podpowiadając cicho*).

Dodaj panie kochanku!

SZAMBELAN.

Cóż ten koń mógł być przecie wart?

KSIĄŻĘ (*tak samo*).

Dodaje panie kochanku!

SYRUĆ (*z zapalem*).

Ten koń? możnaż ocenić takiego konia?... Ja za tego nieoszacowanego siwosza wioski wziąć nie chciałem...

KSIĄŻĘ I SZAMBELAN (*poglądają na siebie*).

KSIĄŻĘ.

Szlacheic chce drzeć łyka... panie kochanku...

SZAMBELAN.

Wolne żarty.

KSIĄŻĘ (*podpowiada*).

Zawsze na końcu panie kochanku, bo inaczej to ci nie uwierzy, żeś książe...

SYRUĆ.

Postawię świadków, jeśli trzeba, że wioski wziąć nie chciałem...

SZAMBELAN.

To już dzikie pretensye, ale skądże WPan jesteś? jakeś się tu znalazł wśród puszczy... coś za jeden?

KSIĄŻĘ (*cicho*).

Panie kochanku...

SYRUĆ.

A co to ma do rzeczy... Z tego, co słyszę, dorozumiewam się, że jeden z Radziwiłłowskiego dworu konia mi zabił... żądam sprawiedliwości i sowitego wynagrodzenia... a nie! no, to obdukeya sądowa i proces z rejestru taktowego...

KSIĄŻĘ (*na stronie do Szambelana*).

Zapłacić mu, co zechce, panie kochanku, niech go szatani uduszą... byle nie wiedział, że to ja... abym nie został pośmiewiskiem nieprzyjaciół moich, panie kochanku...

SZAMBELAN (*do Syrucia*).

Widzisz WMość, że ja tu gospodarz...

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku...

SZAMBELAN.

Kończymyż interesa z sobą zgodnie... A naprzód z kim mam przyjemność mówić?

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku...

SYRUĆ (*zdejmując czapkę i schylając się do kolan*).

Miło mi, iż mam to szczęście z nieszczęścia mego korzystając przedstawić się W. Ks. Mości...

SZAMBELAN.

Ad rem...

KSIĄŻĘ (*cicho*).

Panie kochanku! Łopuski źle grasz moją rolę... dalipan...

SYRUĆ (*zagadując*).

A któż jest ten niezgraba, co mi mego brata uśmiercił?

SZAMBELAN (*zmieszany*).

To jest... ten...

KSIĄŻĘ.

Łopuski Szambelan, panie kochanku...

SZAMBELAN.

Nie będziesz się WPan dziwił, iż ma toż samo co ja przysłowie, ciągle będąc ze mną... wdział je jak mundur przyjacielski.

SYRUĆ.

Co mnie to tam obchodzi M. Książę, ale ma on czém mi wynagrodzić za przyjaciela, za brata, za to zwierzę, którego na wagę złota-bym nie oddał... w tém rzecz—

SZAMBELAN.

Na to poradzimy, któż Waszmość jesteś?

KSIĄŻĘ (*dodając*).

Panie kochanku...

SYRUĆ.

Ja jestem szlacheic *natus et possessionatus*, Paweł Horain z Lidzkiego, z Pęcherzyszek...

KSIAŻĘ (*żywo*).

Z Lidzkiego, panie kochanku! z Lidzkiego, może z tych okolic co Syrucie! może Syruców krewny! Panie kochanku..

SYRUĆ (*dosłyszawszy*).

Co? Syruców krewny! nie! uchowaj Boże... ja z niemi nie mam nie wspólnego, ale ich tam w Lidzkiem jak maku, sześćdziesięciu kilku...

KSIAŻĘ (*zapominając się*).

Radziwiłł mospanie, panie kochanku, jeden da im wszystkim rady... Słyszysz waś?

SYRUĆ.

Słyszę, panie Szambelanie, i pochwalam... trzeba ich rozumu nauczyć... Ja także tych zawalidrogów nie lubię...

KSIAŻĘ.

Nie lubisz ich, panie kochanku, to cię mam za porządnego człowieka...

SZAMBELAN (*przerywając*).

Wracając do rzeczy, cóż za tego konia i żeby nie rozgadywać... Ja za pana Szambelana płacę...

KSIAŻĘ (*z ukłonem*).

Kłaniam, panie kochanku...

SYRUĆ.

Mamy skończyć zgodnie? Ojcu-bym go rodzonemu za tysiąc bitych talarów nie sprzedał...

JEDEN *z dworzan*.

Aleć ja mu w zęby zajrzałem, szkapę miała lat ze dwadzieścia...

SYRUĆ.

A co to ma do tego? To był koń, jakiego świat i korona polska nie widziała, to był koń, że mu tylko mowy brakło, to był taki koń...

KSIAŻĘ.

No, ale to był stary koń, panie kochanku...

SYRUĆ.

Stary, ale miał doświadczenie, był zahartowany, nie pomieniałbym go na młodego... to był koń...

SZAMBELAN.

Ale tylko koń...

KSIAŻĘ.

Panie kochanku... daj mu już, co zechcesz, aby skończyć raz tę głupią historią... Szatan mi sztukę wypłatał, bo ja z nim wiecznie jestem na udry... ale ja mu to odpłacę... panie kochanku. (Szatanowi i Syrucowi panie kochanku).

SZAMBELAN.

No, przecież co byś sobie życzył, panie Horain?

SYRUĆ.

Ponieważ Wks. Mość sam mi tę krzywdę chcesz wynagrodzić i wchodzisz w moje położenie... będę skrupulatny... parę tysięcy talarów i konia dobrego wierzchowego ze stajni Wks. Mości, więcej nie żądam... Tanięj grzyba!

KSIAŻĘ (*na stronie*).

A niech go dunder świśnie, panie kochanku...

SYRUĆ.

Boć proces, obdukeya... sądy, to i więcej może kosztować...

SZAMBELAN (*któremu Książę szepce na ucho*).

Bierz już tysiąc talarów i cicho...

SYRUĆ.

A niech Bóg uchowaj... nie mogę...

KSIAŻĘ.

Dodaj mu szkapę panie kochanku... aby skończyć.

SZAMBELAN.

No, tysiąc i koń pod siodło, więcej nie dam... jak wola.

SYRUĆ.

Jestem skrzywdzony, ale cóż robić..., szlachcicowi biednemu tak zawsze... Byłem sobie wierzchowca sam wybrał! Zgoda... dla Wks. Mości i przez respekt dla wielkiego imienia Radziwiłłowskiego to czynię...

(*klania się*).

KSIAŻĘ.

O furfanta kawał, panie kochanku!

SZAMBELAN.

I nikomu nie pisać... słowo szlacheckie...

SYRUĆ.

Tak, Mości książę.. słowo się rzekło, koń leży za krzakiem... Siodło chyba na plecy wziąć będę musiał.

KSIAŻĘ (*do Szambelana na stronie*).

Zaproś-że go do Nieświeża panie kochanku... bestya z nas zażartowała, trzeba mu za to zapłacić... Ty Łopusiu będziesz grał rolę księcia, a ja pokieruję komedią, nauczymy go rozumu... Nie daruję mu zdradstwa...

SZAMBELAN.

Siodło waszecine, wezmą strzeley na wóz z sieciami: ja wac-
pana do zamku na obiad proszę... tam i konia sobie wybieriecie...

KSIĄŻĘ.

Trzeba mu dać rewanż...

(głośno).

Dziękuję panu Horainowi za ugodę... a proszę, panie kochanku
o sekret... koń zdechł, strzeley go tu pochowają...

(do Szambelana).

Trzeba mu będzie z niego pieczeń wykroić, aby tego przyja-
ciela skosztował... i pogrzebał go w żołądku...

SZAMBELAN (*śmiejąc się*).

Jak Wks. Mość każesz!

(głośno).

A zatém, panie Horain służymy waszmości... na zamek.

SYRUĆ.

W tej chwili, ale muszę zebrać moje węzélki...

(wychodzą wszyscy oprócz Wirszyła, który stoi pod drzewem).

S C E N A IV.

WIRSZYŁ (*sam zamyślony*).

No tak! dosyć że *audaces fortuna juvat*, śmiałkom tylko na świe-
cie dobrze, a nam potulnym... na pochyłe drzewo kozy skaczą...
Tysiąc talarków i konia wierzchowego dostał, a do zamku się
wkręcił... Oj! gdyby książę wiedział, kto on taki! Panie Wir-
szył... żebyś ty umiał z tego korzystać... upieklaby ci się niezła
gratka. Hm! Tylko te Syrucie... jest tego wistocie dużo i chłop
w chłopa tacy determinowani... Trzeba się dobrze namyśleć...

(stoi i bije w palec).

Wydać, nie wydać... wydać... Słowa nie dawałem... A nuż
się wyda, kto on jest i okaże się, że ja go znał a milczał? I tak

źle i tak nie dobrze!... A co za płatanina: Syruc pod imieniem
Horaina na zamku... Szambelan gra rolę księcia, książę szambe-
lana! W dodatku Leosia Puciatówna. Gdybyś ty, mój poczciwy
Wirszyłe, umiał korzystać... okrutny mam apetyt... miałbym jak
w kieszeni folwarczek dożywociem... Albo kulę od którego Sy-
rucia... Sześćdziesięciu sześciu... Nie... tylu ich niema: Ba! no,
gdyby i polowa?... A krucicę nosi w kieszeni... z drugiej strony
dożywocie, łaska pańska... ot tom wpadł...

S C E N A V.

WIRSZYŁ—SYRUĆ (*niosąc siodło na plecach*).

SYRUĆ.

Hej! hej! wszystko się to porozchodziło, nim-em popręgi poroz-
pinał, bo nieboraka zdęło... Którędyż droga?

WIRSZYŁ.

W prawo tędy, do obozu...

SYRUĆ (*obracając się*).

Słowo, mospanie.

WIRSZYŁ.

Wszakże milezę...

SYRUĆ.

Ale coś waści źle z oczów patrzy, markotno ci, że mi się uda-
ło... Oj! oj! szkapa tego warta była... *Pretium affectionis*, koń był
stary, ale serce w nim rzadkie, do owsa i do mnie jednako rzał...

WIRSZYŁ (*chmurno*).

Droga w prawo...

SYRUĆ.

Nie zdradź-że mnie...

WIRSZYŁ (*ruszając ramionami*).

Droga w prawo!

SYRUĆ.

Do nóg upadam, tylko jeszcze krucicę, co ja mam w kieszeni zawsze... przypominam...

WIRSZYŁ (*coraz głośniej*).

Droga w prawo!

SYRUĆ.

A jest nas szęśćdziesięciu siedmiu... ze mną...

WIRSZYŁ (*za odchodzącym*).

Droga w prawo! do trzystu... Po com się ja w to mieszał!
(*po namyśle*).

Ha! kto wie... może to i szczęście przyniesie... chytrze a mądrze... zobaczymy... pomyślim...

SCENA VI.

WIRSZYŁ (*pod drzewem. Z lewej strony sceny wchodzi po myśliwsku ubrana w futerku* GIENERAŁOWA MORAWSKA, *za nią chłopak niesie dwie małe strzelbki na ramionach*).

GIENERAŁOWA.

Kto tu strzelił?

WIRSZYŁ.

Strzelił?... ja... prawdziwie... nie wiem, proszę pani Gienerałowój, bo ja tu tylko co nadszedłem. Zdaje mi się, że ktoś ze dworu do niedźwiedzia...

(*Wirszył wysuwa się z wolna*).

GIENERAŁOWA (*do chłopaka*).

Zatrąb no na mego brata umówiony sygnał...

(*chłopak trąbi*).

SCENA VII.

GIENERAŁOWA. *potém* KSIĄŻĘ.

GIENERAŁOWA.

Muszą być przecie nieopodał... Hop! hop!

KSIĄŻĘ (*za sceną*).

Hop! hop! panie kochanku! (*wchodząc*) Stawię się na zawołanie jako kawaler galant... jak się jójmość masz, panie kochanku... polowanie skończone...

GIENERAŁOWA (*do chłopaka*).

Idź ze strzelbami do obozu...

(*chłopak wychodzi w prawo*).

GIENERAŁOWA (*do brata*).

Cóż tam zabito, ja nicem nawet nie widziała...

KSIĄŻĘ.

A co zabito, panie kochanku! masę zwierzyny... sto zajęcy, dziesięć łosiów, czternaście dzików i cztery niedźwiedzie...

GIENERAŁOWA.

Jakto? cztery niedźwiedzie? kto? gdzie?

KSIĄŻĘ.

Tu, panie kochanku... cztery... szły jak z procesją, widać u nich była jakaś uroczystość... pierwszemu ja w łeb palnąłem, drugiemu Cypryan Wołodkiewicz, trzeciemu Rejtan, a czwartemu niedorostłemu smarkaczowi Łopuski... panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

To się wam poszczęściło... ale gdzie są?

KSIĄŻĘ.

Ba! gdzie! już ich nie ma... odesłałem je sztafetą z łapami nawet ojcom jezuitom do Połocka na wysłanie ławek w kościele, aby w nogi nie marzli... bo mnie o to dawno książdz Katembrink prosił... panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Książę! wymyślasz po swojemu...

KSIĄŻĘ.

Ja! panie kochanku! nigdy. Niech mi kto dowiedzie, żebym skłamał! szczerą prawdę mówię, ale ostrą, i dlatego mnie ludzie nie rozumieją, panie kochanku, świadkiem szambelan Łopuski... ale gdzież się podział?... A! a to mi przypomina, ażebym siostrę ostrzegł, iż my tu dziś ułożyliśmy sobie, panie kochanku, pewnemu szlacheicowi wypłatać sztukę.—

GIENERAŁOWA.

Komuż i gdzie?

KSIĄŻĘ.

To długa historia, szlacheie nazywa się Horain... będziemy z nim grać komedią...

GIENERAŁOWA.

Żartujesz?

KSIĄŻĘ.

Nie! nie, panie kochanku, na seryo.. Ale to dosyć trudno wytłumaczyć. Trzeba wiedzieć, że Łopuski trochę ślepy jak i ja... oprócz tego smarkacza zabił jeszcze konia i wypadkiem temu właśnie przejeżdżającemu szlacheicowi. Szlacheie mądry, kazał sobie za starą szkapę tysiąc talarów zapłacić... w dodatku wziął omyłką panie kochanku, Łopuskiego za mnie, a mnie za Łopuskiego... korzystając z tego, postanowiliśmy z niego zażartować. Pieczeń końską będzie jadł, spoimy go, panie kochanku, wyciągniemy na awanturę i za tysiąc talarów, dostanie choć sto nahajów na kobiercu, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Dalibyście pokój tym hajdamackim zabawkom...

KSIĄŻĘ.

Obejdziemy się z nim delikatnie na kobiercu przy doktorze, nie mu się nie stanie, panie kochanku, ale zasłużył na naukę... Co asindze do tego, możesz się nie mieszać i nie asystować.

GIENERAŁOWA.

A pewno! ależ mu krzywdy nie czynicie...

KSIĄŻĘ.

On ją sobie sam uczyni, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Bracie! bracie! dość-by już szaleć było!

PANIE KOCHANKU.

325

KSIĄŻĘ.

Alboż ja szaleję! panie kochanku... ja człek potulny i cichy... Na mnie to wszystko się krupi... ja to jestem najnieszczęśliwszy... wszyscy się nade mną znęcają... każdy mnie obdziera... Przyjdzie do tego, że znów za kuchtę pójde służyć, jak za młodu... Panie kochanku! Boże miłosierny! ty widzisz krzywdy moje!

GIENERAŁOWA (*ruszając ramionami*).

Dosyć, że ty zawsze swoje...

KSIĄŻĘ.

Bo zawsze jestem najnieszczęśliwszy...

GIENERAŁOWA.

Ty?

KSIĄŻĘ.

Ja? ja! któż biedniejszy ode mnie?... dzień w dzień pożyczam... i gdyby nie Rejtan z Wołodkiewiczem, to maki to mięsa nie podałali, z głodu-bym umarł, panie kochanku...

GIENERAŁOWA (*śmiejąc się*).

Żartownisiu, na twoję biedę nie jedenby się pomieniał.

KSIĄŻĘ.

I tak-by był wyszedł jak ja z tym Anglikiem, który mi za tysiąc funtów na dwa tygodnie żołądka był pożyczył. Tom mu potem panie kochanku dodał dwa, żeby go sobie nazad wziął... bo w nim ciągle burzało po angielsku, i ani się z nim rozmówić czego chce...

GIENERAŁOWA.

Coś mi się zdaje, bracie, że zagadujesz umyślnie, czując, że ja mam coś do mówienia z tobą... Dobrze żeśmy się tu zesłi sam na sam; w zamku i ściany mają uszy... tu nikt nas nie zejdzie. Przecie, muszę ci nareszeie powiedzieć słowo prawdy...

KSIĄŻĘ (*żywo*).

A! proszę nie wchodzić w atrybucyę księdza Katembrinka, on mi codzień mówi różne prawdy, a jeszcze mnie ani jednej nie nauczył... Ale on na to kapelan... panie kochanku.

GIENERAŁOWA.

A ja na tom siostra...

KSIĄŻĘ.

Nie wiedziałem, że do siostry należy mówić, myślałem, że słuchać, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Nie znudzę cię... dwa tylko słowa...

KSIAŻĘ.

A! a! było jedno, już teraz obiecujesz dwa, panie kochanku, a policzywszy znajdzie się trzydzieści, a tu bigos stygnie... aż tu pachnie...

GIENERAŁOWA.

Lepiej się przysmaży. Słuchaj, Karolu, ty myślisz, żeś ślepa, albo żeś zbyt powolna... Znowu ci przyszła fantazja słodkie oczy robić do mojej Leosi... No, godziź się to? godzi?

KSIAŻĘ (*odskakując*).

Ja? panie kochanku, słodkie oczy... do Leosi? ale ja man oczy pełne łez gorzkich i bóla, tak, że wkrótce może oślepnę... Co mnie do twojej Leosi?

GIENERAŁOWA.

Balamucisz dziewczynę, bo już ciż ożenić się nie ożenisz raz trzeci, z ubogą rezydentką, a zgubić ją... czy sumiennie?

KSIAŻĘ (*markotno*).

Klnę ci się na... cienie zabitego niedźwiedzia, panie kochanku... niewinny jestem jak baranek...

GIENERAŁOWA.

Wszystko w żart obracasz... Ale ludzie już widzą, już mówią... szukasz jej, zatrzymujesz godzinami na rozmowie, przynosisz prezenta... To dziewczę skromne i uczciwe, nie gubź jej na sławie... nieszczęśliwą ją zrobisz...

KSIAŻĘ.

Daj mi asani pokój, co to za inkwizycya! panie kochanku... To tak jak w Madrycie... gdzie.

GIENERAŁOWA.

Mówię do twego serca...

KSIAŻĘ.

Ależ wacpani wiész, że właśnie gdyśmy byli w Hiszpanii, Maurowie mi serce wyjęli, upiekli i zjedli. Szczęściem że tam był Łopuski, któremu dali także kawałek, nie mógł zgryść, tak było twarde, schował i potem w Paryżu mi je przyszyli, ale kiepsko i mały zrzynek...

GIENERAŁOWA.

Mówmy poważnie...

KSIAŻĘ.

Ja zawsze poważnie mówię... panie kochanku, tylko mnie płocho rozumieją... co się tyczy serca...

GIENERAŁOWA (*niecierpliwie*).

Przecież się z nią ożenić nie myślisz?

KSIAŻĘ.

Dajże aspani pokój—kiedy asindzka poszłaś za koniuszego, dla czego bym ja nie mógł się ożenić z rezydentką? panie kochanku?

GIENERAŁOWA.

Dlatego, że nie umiesz kochać!

KSIAŻĘ.

A o cóż mnie obwiniasz?

GIENERAŁOWA.

O—balamuctwo...

KSIAŻĘ.

To prawda, panie kochanku, że byłem balamut, ale od czasu, jakem pod Neapolem zbalamucił Syrenę, z którą mi arcybiskup Syrakuzy na czołnie ślub dawał, a która mi potem z suchot umarła, choć ją wszędzie woziłem w srebrnej wannie, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

A! dajże mi pokój z twemi bajkami...

KSIAŻĘ.

A wacpani mi daj pokój ze swemi prawdami... Ja się do asindzki interesów nie mieszam...

GIENERAŁOWA.

Więc Leosię odeśle do rodziców...

KSIAŻĘ.

To zobaczymy, panie kochanku... tylko mi asińdzka oznajmij kiedy, żebym... się pożegnał... Ja nie jestem panie kochanku taki zły, jak się zdaje... a jeśli kiedy przemówił do niej... to nawracając na moją wiarę...

GIENERAŁOWA.

Ciekaważ to wiara wasza...

KSIĄŻĘ.

Kiedym był w Indyach... jeden Bramin... panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Z tobą się nie dogadać nigdy, chodźmyż, wolę już bigos od Bramina...

KSIĄŻĘ.

A kiedy tak! służę panie kochanku... i ja bigos wolę.. niż babskie gderanie... przepraszam, panie kochanku!

KONIEC AKTU PIÉRSZEGO.

AKT II.

Wielka sala na zamku w Nieświeżu, na ścianach portrety w całych postaciach, u drzwi rycerze w całych zbrojach... Drzwi troje, wielkie w głębi, mniejsze na lewo i prawo. Krzesła z wysokimi poręczami z obu stron.

S C E N A I.

KSIĄŻĘ *siedzący w krześle*, SZAMBELAN *podchodzi do niego z głębi*.

SZAMBELAN.

Mości Książę, przychodzę z prośbą unizoną...

KSIĄŻĘ.

Wszyscy z prośbami, panie kochanku, a jak ja kogo o co poproszę... figa... Daj mi pokój!

SZAMBELAN.

Tym razem WKs. Mość się nie zrujnujesz... bo proszę tylko, żebyś też mnie Książę od tej śmiesznej roli uwolnić raczył, która na szyderstwo całego dworu naraża... Weź już sobie to swoje księstwo nazad.

KSIĄŻĘ.

A widzisz, panie kochanku! a widzisz! a nie mówiłem! Taki to z Waści przyjaciel? To ja mogę przez całe życie dźwigać ten ciężar a tobie i jeden dzień wytrwać trudno, dla miłości mojej! Otóż to tak zawsze, panie kochanku... Widzisz, co ja znoszę! Męczeństwo... Lopusiu, przecież cygan się dał dla kompanii powiesić, a ty dla kompanii księciem być nie chcesz? To tak, jak na wyspie Otaiti, gdzie mnie byli królem obrali, pamiętasz? wszak-

żeś tam przecie był ze mną i kreowałem cię wielkim kancle-
rzem...

SZAMBELAN.

Pamiętam... tak, M. Książę.

KSIAŻĘ.

Tam jeszcze było gorzej niż księciem w Nieświeżu być, bo jest
odwieczny zwyczaj, panie kochanku, że gdy króla utuczają na sło-
ninę, potem go obracają uroczyście na pieczyste... choć mieliśmy
ja trzysta pięćdziesiąt pięć żon, a ty pięćdziesiąt i dwie, jednak
oba nie wytrzymałyśmy i gdyby meksykańska eskadra nas nie
uratowała, wioząc wprost na morze Czarne... Wszak prawda?

SZAMBELAN.

Tak jest M. Książę.

KSIAŻĘ.

Albo znowu na wyspie Majorce, gdzie mnie kreowano główno-
dowodzącym wojskami brazylijskimi na wojnę przeciwko Persom...
panie kochanku... a ty byłeś arcykapłanem...

SZAMBELAN.

Bez żartu M. Książę... błagam, żebyś mi już sobą być po-
zwolił...

KSIAŻĘ.

Nie mogę! słowo ci daję, że nie mogę, bo mi z tém wygodniej.
Nauucz się ty, co to być Radziwiłłem, a ja sobie, panie kochanku
odetchnę... abdykowałem i kwita...

SZAMBELAN.

Śmieją się ze mnie wszyscy...

KSIAŻĘ.

Łopusiu, ty się śmiej ze wszystkich, a zastępuj mnie, jak ko-
chasz Radziwiłła, panie kochanku...

SZAMBELAN.

A nuż ja wzięwszy rolę na seryo, rozporządzę się w czém
nieostrożnie?...

KSIAŻĘ.

No, nie, jeśli komu każesz dać batogi, przyjmuję odpowiedzial-
ność, panie kochanku, tylko majątków nie rozdawaj... a idź sobie
stąd, bo mnie już nudzisz...

SZAMBELAN.

Książę zostanie?

KSIAŻĘ.

Ja?... mnie ksiądz Katembrink naznaczył tu rekolekeye, panie

kochanku, z medytacyami... idź sobie, idź... zbieram ducha, a ty
mi przeszkadzasz... ruszaj zdrow, ruszaj...

(wynosi się.)

SCENA II.

KSIAŻĘ (sam).

Ma Szambelan słusność, panie kochanku, że to księstwo cięż-
kie brzemię do dźwigania... jeszcze, żeby tak Połubińskich albo
Kurcewiczów, to pół biedy, ale Radziwiłłowszczyzna! Jużbym
i Ogińskim wolał być... a tu noś te trzy trąby na plecach... w któ-
re wszyscy trąbią ci nad uszami... oj trąbią!

(po chwili.)

Czekam, czekam... ani słuchu mojej panny. Czyżby już giene-
rałowa miała mi sztukę splatać?... A tak miło dziewczęciu w ja-
sne oczki popatrzeć, to to się młodsze lata, lepsze lata przypomi-
nają... i... świergocze-bo, jak ptaszyna... i świeża jak poziomecz-
ka... Ale to te poziomki, panie kochanku, dzikie ptaki dziobią,
nie my... I ona też nie dla mnie... A dlaczegożby, panie kochan-
ku, gdybym się uparł? No tak... a trzy trąby... a w każdej trą-
bie po trzydziestu pradziadków siedzi i patrzy, panie kochanku...
A na samym wierzchu ten Lizdejko w kapuzie... Ale dziewczę,
jak aniołek... a Lizdejko... co mi tam!

S C E N A III.

KSIĄŻĘ wstaje z krzesła żywo, w chwili gdy Leosia wybiega ze drzwi na lewo i usiłuje co najprędzej przejść do prawych. Księżę zatrzymuje ją i w ciągu rozmowy, wyrrywając się ciągle, nie puszcza.

KSIĄŻĘ.

Stój, mościa panno! straż nie puszcza, panie kochanku... hasło!

LEOSIA.

A! Mości Księżę! ale ja muszę iść, bardzo przepraszam...

KSIĄŻĘ.

To ja ciebie moja ty poziomeczko przepraszam, że ci w drogę włożę... ale dalipan, panie kochanku... nad siłę moję wstrzymać się od napaści. Kiedy twarzy Leosi nie widzę przez godzin kilka, to mi tak tęskno, jakbym miesiąc słońca nie oglądał...

LEOSIA.

O? cóż to WKs. Mość za żarty robisz ze mnie.

KSIĄŻĘ.

Ale ba, mościa panno, panie kochanku, to nie są żarty... seryo mi bardzo tęskno... A wy! wy Leosiu, nie chcecie być laskawszą dla mnie... nielitościwa istoto...

LEOSIA.

Ja... ja, muszę iść.

KSIĄŻĘ.

Nie, waćpanna musisz poczekać i rozmówić się ze mną. Czy ja WPańnie jestem tak przykry, tak straszny?...

LEOSIA.

O! nie przykry... ale straszny to prawda...

KSIĄŻĘ.

A, o dlaczego? panie kochanku?

LEOSIA.

Księżę to łatwo zrozumiesz...

KSIĄŻĘ.

Nie rozumiem, jakbyś mówiła po niemiecku... cożem to stary już taki? zły? brzydki?

LEOSIA.

Ale nie, starym Księżę nie jesteś wcale, złym nie byłeś nigdy, brzydkim też mi się nie wydajesz... bo masz dobroć wielką w twarzy...

KSIĄŻĘ.

Dziękuję ci... Podciąłeś mnie dobrze... Znasz kasztelanową, anioł dobroci, prawda, no ale od jej twarzy oczy bolą, tak to i ja. Dobroć!... i kwita!

LEOSIA.

A! nie! nie... księżę masz wszystkie przymioty... ale jesteś księciem, a ja-m uboga, szlachcianka.

KSIĄŻĘ.

Jakby to dlatego kochać nie można?...

LEOSIA.

Kochać... ale cóż z tego kochania... wstyd dla mnie i dla was Mości Księżę. Już co się ukrywać musi, dobrém być nie może...

KSIĄŻĘ.

Ej bo, panie kochanku, zaraz wszystko bierzesz po księżemu.

LEOSIA.

Bo mnie księża katechizmu uczyli.

KSIĄŻĘ.

Uczyłem się ja go też niegdyś, ale oni z Pana Boga stracha robią, a jak-em był w niebie z szambelanem Łopuskim, który prawda w przedpokoju został u św. Piotra, przekonałem się, że to dobry, dobry starowina! Poziomeczko moja! tyś mi tak miła, tak miła, że gdybym miał po same łopatki w piekle gorzeć...

LEOSIA.

A! niechże Księżę o piekle nie wspomina... Gdybym wistocie była Księciu miłą, niechciałbyś Księżę mego wstydu! nieszczęścia.

KSIĄŻĘ.

Ja go też nie chcę, panie kochanku... czyż ja tak wiele żądam od ciebie, poziomeczko moja... Radbym z tobą pomówić czasem, popatrzeć na ciebie, z oczek twoich napić się życia, panie kochanku, z ustek twych natchnąć młodością. Czyżem kiedy panie kochanku, bez pozwolenia choćby rączkę wziął i pocałował...

(chce wziąć za rękę. Leosia się usuwa. Księżę się kłania.)

LEOSIA.

Mości Księżę! W zamku pełno i złych oczów i niedobrych języków... już i tak.. *(spuszcza głowę)*, już i tak palcami mnie wytykają.

KSIĄŻĘ (*żywo*).

Kto? gdzie? panie kochanku! mów! każę ich wszystkich powywieścić, albo uszy poobrzynać... i odeślę osolone sułtanowi tureckiemu, bo oni to zamiast rydzów jeść lubią.

LEOSIA.

Mości Książę, cóżby to pomogło?

KSIĄŻĘ.

Zawsze jakby im uszy poobcinano, nie tyle by słyszeli...

(*Leosia chce odejść*).

Nie śpiesz-że się, jagódko ty moja... słowo, dwa... Coś ci mam ważnego powiedzieć...

(*po namyśle*).

Jagódko złota... hm... gdybyś ty się namyśliła.. Gienierałowa ci nie nie robi, ja ją na obwacht posadzić każę..

(*po chwili*).

Wiesz co... jedź na wieś, dam ci sto chat dziedzictwem, dwór pański... posag... co zechcesz, ale mnie choć na parę lat za ekonomą przyjąć musisz... no; a potem jak mnie wypędzisz... sprawię ci książęce wesele...

LEOSIA (*przestraszona, potem zaczyna płakać*).

A! mości Książę! mości Książę... czyżem ja zasłużyła na to poniżenie! godziłoż się wam mnie to powiedzieć? A! dość! nie mów już Książę więcej, ja-m biedna, uboga, ale tak dobra szlachcianka, jak Radziwiłł Książę... Za wioski i posagi kupuj sobie Wks. Mość serca i ludzi sprzedajnych... znajdziesz ich wielu... Mości Książę... proszę mnie puszczać...

KSIĄŻĘ (*z żalem*).

Poziomeczko, panie kochanku... ale nie gniewaj-że się. Masz tobie! waćpanna to wzięłaś na seryo, i płaczesz, a to były żarty... to była próba... to był figiel... no! nieroztropny... panie kochanku, winienem, ale mi przebacysz... bo cię inaczej nie puszczę... awanturę zrobię.

LEOSIA.

Mości Książę, ja tu chwili dłużej pozostać nie mogę...

KSIĄŻĘ.

Nie zatrzymam cię, ale wprzód muszę uzyskać przebaczenie... i uśmiechniesz mi się... To był żarcik tylko... niewczesny... Ja cię kocham szczerze, poczeiwie i nie prócz twojego szczęścia nie pragnę...

LEOSIA.

O! teraz nie wierzę!

KSIĄŻĘ.

Wierz mi waćpanna, panie kochanku... nie jestem złym człowiekiem, alem słaby, biedny, nieszczęśliwy... Gdybym w to wierzył, że ciebie mogę uczynić szczęśliwą, przysięgam ci, jak-em szlachcie, panie kochanku, żebym się z tobą ożenił, choćby sobie książęta nieboszczyki w trumnach mieli włosy powyrywać z głowy... Przebacz mi! panie kochanku.

LEOSIA *wzruszona*.

Mości Książę, ja się nie gniewam, ja gniewać się nie mam prawa... Wam panom wszystko wolno, nam biednym i oburzyć się nie godzi...

KSIĄŻĘ.

Ostre słowa... ale mi musisz przebaczyć... Nie gniewasz się?

LEOSIA.

O! nie, tylko płaczę...

KSIĄŻĘ.

Panno Leontyno... Zgubisz Radziwiłła... nie wyjdę stąd, aż mi powiesz, żeś moje głupstwo zapomniała!

LEOSIA.

Zapomniałam... ale Książę mi daj już odejść... ja muszę... ja proszę...

KSIĄŻĘ.

Na zgodę rączkę do pocałowania.

LEOSIA.

O! bez tego to się obejdzie — ręka zapracowana... nie godna ust pańskich...

KSIĄŻĘ.

Nie dobra jesteś Leosiu... ale wiem, że długo na mnie gniewać się nie będziesz, zejdziesz ci z oczów...

LEOSIA *podchodzi parę kroków. Książę powoli oglądając się, wysuwa drzwiami w głąb*.

S C E N A IV.

LEOSIA (*sama stoi z załamanemi rękoma*).

Tak się to kończą te wielkie łaski książęce... obelga... mój Boże! co ja pocznę! Jednej godziny uciebym stąd chciała... a jednak, to nie jest zły człowiek, w jego sereu odzywa się uczucie, z jego oczów płynie smutek, choć usta w żarty stroi... Biedny on... ale i ja-m z nim biedna... Utrapienie życie... A mój narzeczony daleko... a moi tam myślą, że ja tu szczęśliwe snuję godziny! Jak się tu stąd wydobyć! Gienierałowa chmurzy się na mnie, dworsey podglądają, każdy uważa ciekawie, złośliwi szepcą... O! jeżeli to dłużej potrwa... ucieknę. Żeby też Bóg łaskaw zesał mi ratunek... bo sama sobie rady nie dam...

S C E N A V.

Na ostatnie słowa wchodzi SYRUĆ, żywo podbiega i staje naprzeciw LEOSI.

SYRUĆ.

Stawię się na zawołanie!

LEOSIA (*postrzegłszy go przestraszona*).

A! co widzę! Waćpan tu! Ty tu! w Nieświeżu!... Boże mój! Jakżeś się tu dostał? Co tu robisz? Nuż cię tu poznają?... A! jakiej radości i jakiegoś mi z sobą przyniósł strachu...

SYRUĆ.

Niéma się czego lękać, przybyłem cię ratować.

LEOSIA.

Ty, mnie ratować! ale sam jesteś w największym niebezpieczeństwie.

SYRUĆ.

O! o mnie się nie obawiajcie, ja tu sobie dam rady... idzie o was... Myślicie, że nie nie wiemy? miłość daleko słyszy i widzi zdala, a przeczuwa wszystko... wiedziałem, że tu wam jestem potrzebnym...

LEOSIA.

Wiecie więc? (*rumieniąc się*) wiecie, że Książę... Ale nie myśl, żebym ja temu była co winna... Książę żartuje sobie z biednej szlachcianki...

SYRUĆ.

O! nie dziwiłbym się, gdyby na dobre się rozmiłował... patrzeć na was, a nie rozkochać się, a nie oszaleć, niepodobna...

LEOSIA.

Książę jest dobry... grzeczny... ale i tego już zanadto...

SYRUĆ.

Masz słuszość... to też tu dłużej zostać wam się nie godzi, i po to przybyłem, ażeby was stąd wywieść. Ciocia Borowska czeka na nas... w miasteczku, a indult z okienkiem mam w kieszeni, jeśli wola i łaska... dziś jeszcze jedziemy...

(*całuje ją w rękę*).

Weźmiemy ślub w pierwszym kościełku na drodze...

LEOSIA.

A! ja sama nie wiem... Ciocia jest z wami, niech ona dysponuje... ale myślicie, że to tak łatwo wydobyć się z tego zameczyska?...

SYRUĆ.

To już mnie zostawcie, bądźcie tylko gotowi... ja wszystko tak urządzę, że się wydobędziemy niepostrzeżeni...

LEOSIA.

Ale jakże się tu dostałeś? co robisz? ja nic nie rozumiem! nuż kto pozna, nuż zdradzi?

SYRUĆ.

Jechałem do Nieświeża, gdym Księcia spotkał na polowaniu... Moja szczęśliwa gwiazda chciała, że mi konia zabił przypadkiem, stąd znajomość. Zażartowałem z Księcia, Książę zaprosił do zamku, chcąc mi figla odplacić, ale się im nie dam, ile ich jest... Jakiemuś szambelanowi kazał Książę udawać siebie, sam udaje szambelana... spisek na mnie... nie wiedzą, żem Syruć, bom się im za Horaina zaprezentował... to szczęście.

LEOSIA.

Ledwie zrozumieć mogę... w głowie mi się miesza... a tak się o was boję...

SYRUĆ.

Na to głowa, aby się wykręcić... i nie dbałbym wcale, gdyby nie jeden człowiek, co mnie tu poznał, a którego nie bardzo pewien jestem.

LEOSIA.

Któż? kto taki?

SYRUĆ.

E! Wirszył, z którym do szkół chodziłem... Dalei mi niby słowo, że mnie nie wyda, ale mu źle z oczów patrzy.

LEOSIA.

Wirszył! a! to największy pochlebca... jego tu nie lubią, choć się wszystkim przysługuje i przymila...

SYRUĆ.

Byłem tego pewny... ale rada trudna... Pochlebca musi też być tchórz, zatrwożyłem go zemstą wszystkich Syruców ilu ich jest, to go może powstrzyma...

LEOSIA.

O! wątpię...

SYRUĆ.

Szukać też będę w głowie jeszcze jakiego sposobu, bo już cię dla jednego Wirszyla przepaść mnie i wam... Pan Bóg nie dopuści.

LEOSIA.

Ale cóż poradzisz?

SYRUĆ.

Co? Cóż poradzę... doprawdy nie wiem jeszcze...
(stoi zamyślony, potem parska śmiechem.)

Potrzeba go chyba waryatem zrobić...

LEOSIA.

Jakże?

SYRUĆ.

O! najłatwiej, puścić tylko podejrzenie, pogłoskę, zobaczycie we dwie godziny... wszyscy w nim obłąkanie upatrzą... Wy mi także ze swojej strony dopomóżcie... Jeśli potem nawet rzuci słowo, pójdzie to na rachunek waryacyi...

LEOSIA (uśmiechając się).

Doprawdy, wy na wszystko macie lekarstwo... ale...

SYRUĆ.

Książę się bardzo obawia obłąkanych... to wiem pewnie.

LEOSIA.

To prawda...

SYRUĆ.

Szepnąć tylko... poploch pójdzie, a gdy się rzeczy wyjaśnią, już my będziemy daleko...

LEOSIA.

Wyście tak pewni, tak spokojni, że i mnie dodaliście otuchy, a jednak serce mi bije... A! ktoś idzie... Uciekaj waćpan...
(Leosia wybiega drzwiami na prawo. Syruc założwszy ręce w tył przypatruje się obrazom).

SCENA VI.

SYRUĆ. — KSIĄŻĘ (wchodzi z wolna drzwiami z głębi, szukając oczyma Leosi; postrzegłszy Syrucia).

KSIĄŻĘ.

Hm, po co się tu ten truteń włóczy, panie kochanku! Widać mi Leosię przepłoszył, a chciałem ją tu zastać, aby ją przeprosić... wziąłem pierścien ze skarbu, aby go jej dać na przebłaganie i pamiątkę mojej niezgrabności... A! a! będzie się miała czem z kim innym z a-ręczyć! Taka to dola moja!... przysłowie mówi, nie dla psa kielbasa, nie dla kota sadło... a ten co je wymyślił, nie przypuszczał, że je R-dziwił do siebie zastosuje! Ślicznie wyszedłem... Ale po co się tu ten zawalidroga kręci... jak na przesmyku?

(do Syrucia).

Mospaneńku... co to aś tu robisz, panie kochanku, tu dla was nie miejsce.

SYRUĆ.

Dlaczego? oglądam obrazy, panie Szambelanie...

KSIĄŻĘ (na stronie).

To dobrze, że mnie nie zna...

(głośno.)

Czemuż to waś nie idziesz akomodować się Księciu Jegomo-ści... he! należałoby, panie kochanku... jesteś na jego dworze...

SYRUĆ (*machając ręką*).

Mam prawdę powiedzieć? Książę mi się jakoś nie podobał...

KSIĄŻĘ.

O! o! panie kochanku, a toż czemu?

SYRUĆ.

Ani z pierza, ani z mięsa, ani z miny, ani z czupryny, na Księcia nie wygląda... prędzej na bogatego szewca...

KSIĄŻĘ (*śmiejąc się*).

Panie kochanku! Koneser!

SYRUĆ.

Inaczéj ja sobie Księcia panie kochanku z reputacyi wyobrażałem... Toć to ma być pan rozumny i dowcipny, mnóstwo ciekawych opowiadający historyj!.. a ten, co usta otworzy, nie do rzeczy bredzi...

KSIĄŻĘ.

Dalipan, panie kochanku, roztropny byłby człowiek...

SYRUĆ (*kończąc*).

Zresztą, co mi tam, ja dworować nie lubię, dziś jestem tu, jutro dalej i bywaj zdrów holenderski śledziu... a doprawdy ten Książę do śledzia podobny...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Bardzo bystry, panie kochanku!

(*głośno*).

Ale to przecież pierwszy magnat w kraju...

SYRUĆ.

A co mi z tego, kiedy na niego nie wygląda! Niepochlebiam cię, panie Szambelanie, jabym was wziął za Księcia... toć przecie powaga, postawa... A tam to! figura, panie odpuść i dwór...

KSIĄŻĘ.

A cóż dwór? panie kochanku...

SYRUĆ.

Zbierana drużyna... jak na uczcie ewangelicznój... Ten od Sasa, ów od lasa... kiedy już nawet i taki Wirszył tu wlaźł...

KSIĄŻĘ.

Wirszył, panie kochanku? no... alboż co?

SYRUĆ.

Nie, nie... o tém i mówić nie warto.

KSIĄŻĘ.

Ale mi powiesz?

SYRUĆ.

Nie radbym, chyba, *sub rosa*.

KSIĄŻĘ.

Mów, mów, panie kochanku, ja cię nie zdradzę... jak-em Ra-dziwiłł... jak-em Szambelan... Cóż ten Wirszył... niepocziwy? co?

SYRUĆ.

Nie... (*wzdycha*) ale to nieszczęśliwe stworzenie... z okropnym niewykurowanym defektem jeszcze od szkół...

KSIĄŻĘ (*żywo*).

Może zaraźliwym?

SYRUĆ.

Nie... ale niebezpiecznym bardzo... od małego dziecka bieda-czysko cierpi takie napady... będzie długi czas najprzypadniejszy w świecie, potem paf... i waryuje, plecie niestworzone rzeczy, rzuca się.

KSIĄŻĘ.

I rzuca się, do ludzi?...

SYRUĆ.

Nie tyle, jak bredzi... a bredzi strasznie... Nigdy uleczonym być nie mógł... co rodzice na to łożyli! Bywało, już go mają za zdrowego, patrzcie! ni z tego, ni z owego raptus osobliwszy i sfiksował.

KSIĄŻĘ (*powtarza za nim, łamiąc ręce*).

I sfiksował! panie kochanku!

SYRUĆ.

A jak mu się coś zamarzy, we wszystkich upatruje swoich i cudzych nieprzyjaciół... podejrzone figury... Bóg wie o co... trwoży się, lęka... I zawsze mu to przypada niespodzianie...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Dobrze to wiedzieć...

(*głośno*).

Proszę... nigdy tego po nim nie postrzegł... wszelako trzeba z nim być ostrożnym, bo to rzecz niebezpieczna...

SYRUĆ.

Zmiluj się tylko, panie Szambelanie, z sekretu mnie nie wydaj, i żeby Książę się nie dowiedział.

KSIĄŻĘ.

Ale nie obawiaj się panie kochanku...

(na stronie).

Jednak chwała Bogu, że to się wcześniej wydało!

(patrzy na zegarek).

Idź-że no asinǳiej do Księcia, bo tam rychło i do stołu siada....

(na stronie).

Trzeba, żeby koniny zjadł, bo choć nie zły człowiek, ale mu się do talarów w dodatku coś należy...

(głośno.)

Idź, jegomość, idź... i ja tam nadciągnę... Ot tędy, przeze drzwi wielkie, potem w prawo, bo to w tym zamku, jak w lesie.

(wyprawia go i zamyka drzwi).

S C E N A VII.

KSIĄŻE (sam siada w krześle).

Dosyć, że na tego nieszczęśliwego Radziwiłła sypią się biedy, jak z rękawa... O! Panie! Panie! kiedyż się nad nim ulitujesz!... Tak ja mówię do Pana Boga, a Pan Bóg na to: — kiej Radziwiłł i za to go chłoszczę... No! Pan Bóg może ma i rację... *mea culpa*... tak mówi i ksiądz Katembrink, choć trochę grzeczniej, ale on jezuita...

(po chwili).

Radziwille, panie kochanku, wojewodo wileński, patrz-no tylko, co się to z ciebie zrobiło... nędzarz... łazarz... w kieszeni pustki, w sercu otrebie, w głowie śmiecie... Golizna gienieralna, panie kochanku i pieniędzy i rozumu pożycząć potrzeba, a niema u kogo... Czasem i dwa złote biorę i to na skrypt hipoteczny... A pisać od rana do wieczora każą i podpisywać, bodaj z piekła nie wylazł, kto mnie gryzmolić nauczył. Bernatowicz z tego korzysta i na pańszczyznianego skryptora mnie obrócił... pisz i pisz... Dalej dwór mnie drze... wszyscy drą... gdybym ich nie karmił, z głodu by pozdychali, gdybym ich nie bawił, to z nudy... Dalej jeszcze

było potrzeba przyłgnąć do dziewczyny, która z jegomości żarty stroi... Ej! wojewodo! wojewodo w piętkę gonisz, panie kochanku... a ludziom z ciebie śmiech... *Caro infirma*, mówi ksiądz Katembrink... co ja temu winienem, po co ona piękna, a ja głupi choć stary, panie kochanku? Radziwille, panie kochanku, wojewodo wileński... źle koło waszeeci... źle... Dzień-bo dziś feralny... gdyśmy szli na polowanie, baba z wiadrami próżnemi drogę przeszła... konia zabiłem i Wirszył waryat... i tysiąc talarów trzeba zapłacić, ale tam szlachcica przynajmniej na zabój spoją i... dadzą mu *memento*... To mnie pociesza! Tak! dadzą *memento*, a ty panie kochanku i za konia i za skórę zapłacisz... ty za wszystkich... trzymaj się tylko za worek... Bodaj to były te czasy niewinności, kiedym za kuchnię służył u pani Łazowskiej... nie! u pani Głębockiej... Otóż masz, panie kochanku... dwie wersye, a niewiedziée która oficjalna... popłatałem się; tfu!... Nieszczęśliwy Radziwiłł, panie kochanku!

S C E N A VIII.

KSIĄŻE.—WIRSZYŁ (zagląda przeze drzwi. Zobaczywszy go Księżę wstaje i z wolna się w głąb usuwa, zatrzymując ciagle z daleka od niego).

KSIĄŻE.

He? czego waćpan podsluchujesz? i czego tu chcesz? Po co tu przyszedłeś, panie kochanku?

WIRSZYŁ.

Ale ja nie podsluchuję, proszę Wks. Mości.. ja tak... każdy z nas gdy długo oblicza jego nie ogląda... zatęskni...

KSIĄŻE (na stronie).

Czy to już waryacya, czy jeszcze tylko pochlebstwo? Coś mu już z oczów źle patrzy... spogląda z podełba... wzrok obłąkany...

WIRSZYŁ (podchodząc).

Mości Księżę.

KSIĄŻĘ.

Tylko zdaleka... zdaleka... proszę cię, panie kochanku...

WIRSZYŁ.

Zdaleka... dlaczegoż?...

KSIĄŻĘ.

Śmierdzisz dziegiem.

WIRSZYŁ.

Ja! Mości Książę! ja jak żyję go nie używałem...

KSIĄŻĘ.

No to cię ktoś powalał mospanie, panie kochanku, jużcić i ja mam nos...

WIRSZYŁ.

Ale ja nie przeczę...

(ogląda się).

Gdybyś Wks. Mość chciał mi dać ucha?

KSIĄŻĘ.

Co to! ucha! Co to jest? na co ci moje ucho! Stój zdaleka! na co ci moje ucho!

WIRSZYŁ.

Miałbym coś do powiedzenia...

KSIĄŻĘ.

Tylko zdaleka... ja dziegiu cierpieć nie mogę.

(na stronie).

Oczy mu się robią wielkie, straszne... coś w tém jest... Wac-pan tu się bałamucisz... poszedłbyś lepiej, gdzie tego szlachcica noszą... tambyś się zdał...

WIRSZYŁ.

Właśnie, że z powodu tego szlachcica chciałem Wks. Mość ostrzedz... mnie się widzi...

(cicho).

To jest człowiek podejrzany...

KSIĄŻĘ.

Otóż jest! już go ta mania porywa!...

(głośno).

Kochanku... tylko zdaleka... Dlaczegoż szlachcic ci się zdaje podejrzany?

WIRSZYŁ.

Mości Książę, gdzie idzie o osobę Księcia... o jego bezpieczeństwo, tam nigdy zbytnią ostrożnością przesadzić nie można...

KSIĄŻĘ *(na stronie).*

Widocznie panie kochanku, coś już bredzi...

WIRSZYŁ.

Twarzy jego i mowy nie lubię, kto wie co to za jeden.

KSIĄŻĘ.

A no Horain z Lidzkiego, panie kochanku, bardzo zacna familia...

WIRSZYŁ.

Któż wie czy Horain... kto go tu zna? mnie jednemu coś się ta twarz przypomina, żem ją gdzieś widział... ale pod jakimś inném nazwiskiem... podejrzały!

KSIĄŻĘ *(cofając się, na stronie).*

Oho! tedy już go mamy! sfiksował! Trzebaby się, panie kochanku, od niego co najrychlej uwolnić, nuż go napadnie paroksyzm... taki człowiek naówczas pamięć traci, na wszystko gotów... A tu ja sam jeden z pięścią... Muszę łagodnie...

WIRSZYŁ *(na stronie).*

Czegoś mruczy jak niedźwiedź! w złym humorze...

KSIĄŻĘ *(na stronie).*

Sam do siebie gada, panie kochanku... bardzo zły znak...

(głośno).

Słuchaj-no Wirszył, jeżeli ci się ten szlachcic wydaje podejrzany, idźże go sam pilnuj, to najlepiej... mnie nie masz co przestrzegać, panie kochanku, ja-m już przestrzeżony...

WIRSZYŁ *(żywo).*

Jakto Książę już wiesz!

KSIĄŻĘ *(z obawą i prędko).*

Tak! tak, panie kochanku, wiem, wiem, wszyscyuteńko... wy-noś-że się sobie... prędzój, prędzój.

WIRSZYŁ.

Mości Książę, ja słowo szlacheckie daję, Wks. Mość, że prosto z tém szedłem do niego, żeby powiedzieć Księciu, iż pierwszy go poznałem...

KSIĄŻĘ *(na stronie).*

No! widocznie zwaryował! To już jest gorączka! bredzi... Co tu począć... słuchać nie chce.

(głośno).

Dobrze, wierzę, ale ruszajże sobie nazad, tam, do nich... gdzie chcesz... i ani słowa więcej.

WIRSZYŁ (*bijąc się w piersi*).

Jedno to tylko słowo, że ja wierny sługa Księcia Jegomości, gotówem za niego dać życie! a Książę otoczony jesteś pochlebca-
mi, zdrajcami, nieprzyjaciółmi... Ja pierwszy go poznałem, ja je-
den... ja.

KSIĄŻĘ (*gorąco*).

Dobrze! wiem, pamiętam. Już tylko sobie idź... pilnuj...

WIRSZYŁ (*na stronie*).

Widzę, że go to ogromnie obeszło... przepadł Syruć z bebe-
chami.

(*Wysuwając się z wolna kłaniając*).

KSIĄŻĘ.

Ha! oddycham! przecieżem się go pozbył... Teraz tylko mar-
szałka dworu zwołać potrzeba, aby go mieli na oku... Proszę! pro-
szę! Taki się zdawał cichy, potulny człowieczyzna... ale jak Bóg do-
puści...

SCENA IX.

KSIĄŻĘ.—LEOSIA *wbiega żywo ze drzwi prawych ku lewym*.

KSIĄŻĘ (*rękoma zapierając jej drogę*).

Oho! stój! ten raz nie puszczę, dopóki... nie będzie między nami
koniec... i zgoda... wyszłaś mi panie kochanku zagniewana, powra-
casz nadąsana... tak nie może być...

LEOSIA.

Mości Książę... mnie śpieszno.

KSIĄŻĘ.

A ja ledwie dyszę! O przekłety Wirszył nabawił mnie strachu.

LEOSIA.

Cóż Wirszył?

KSIĄŻĘ.

Biedaczysko... *mente captus!* zwaryował, miałem tu z nim scenę,
że się jeszcze ze strachu trzęsę...

LEOSIA.

A! mój Boże! dziwna rzecz, ja... (*wahając się*) ja także dawno po-
strzegalam, że miewał jakieś chwile... zamyślał się... mówił sam do
siebie... przywidywało mu się.

KSIĄŻĘ.

I zwaryował... szczęściem, że już byłem uprzedzony... teraz go
tylko trzeba chwycić z ręcznikiem, głowę mu ogolić i odesłać do księży
bonifratrów do Wilna, a ja mu tam sustentacyę obmyślę...

LEOSIA (*zmieszana*).

Prawda, nieszczęśliwy człowiek, ale z bonifratrami możnaby się
nie śpieszyć, jemu to może przejść...

KSIĄŻĘ.

A dziękuję asińdze, panie kochanku... jabym tu ani dnia, ani
nocy spokojnej nie miał z nim. Asanna nie wiesz co to waryat... to
tak jak zakochany, nigdy nie można być pewnym, kiedy głupstwo
zrobi...

LEOSIA (*uśmiechając się*).

Prawda... wierzyć obojgu trudno.

KSIĄŻĘ.

Ale mnie... Leosiu?

LEOSIA.

Książę wszakże zakochanym nie byłeś?

KSIĄŻĘ.

Nie byłem, ale jestem, świadkiem to głupstwo, które zmalowałem
przed godziną, a za które przychodzę cię przeprosić...

LEOSIA.

Książę! mnie! a to bolesne żarty!

KSIĄŻĘ.

Nie, nie chcę panie kochanku, aby ci z méj przyczyny gorzko zo-
stało na sercu... Ja-m i tak dosyć nieszczęśliwy... niech się pocieszę
tém, że ty mnie nienawidzić nie będziesz... Hej! panie kochanku...
kochał mnie kto prócz mojej wyżlicy Nepty? Przyjaciół mam bez
liku, a przyjaciela ani jednego... Miałem dwie żony, a jeśli się nie
myślę, ani jednego serca... Gdyby mnie kto trochę pokochał... nie
przymawiając się panie kochanku, poszedłbym z nim trzodę paść...

LEOSIA.

O! Mości Książę! wolne żarty!

KSIĄŻĘ.

Albo i nie żarty... Waćpanna widziałaś na obiciu w gabinecie pastuszków i pasterki w kapelusikach z różowemi wstążkami, albo to im źle?... Ja sam nim byłem kuchciem, pasalem gości u pani Łazowskiej, ale to stworzenie nie szlachetne, kąsa za gołe pięty... Otóż wracając do rzeczy, panie kochanku, spróbuj asindzka, i weź hulet a pójde za kraj świata za tobą.

LEOSIA.

Wszystko się to mówi...

KSIĄŻĘ.

Ja co mówię, dotrzymuję, panie kochanku... uśmiechnij mi się od serca... Nieśwież ci pod nogi rzucę.

LEOSIA.

Co z mego uśmiechu Księciu, a z Nieświeża mnie?

KSIĄŻĘ.

Harda dusza, w pięknej ciele, panie kochanku... Nie chcesz ode mnie nic, bo dla mnie nic też nawet uśmiešku nie masz... A ja-m lepszy... ja niewdzięcznej, zagniewanej przynoszę podarek... Daj mi ukochaną rączkę bez żadnej pretensyi...

LEOSIA (*zawahawszy się, podaje rękę. Książę pierścień jej wkłada i końce palców całuje*).

KSIĄŻĘ.

Przyjm ode mnie na pamiątkę, może ci na zaręczyny z innym posłuży, a jeśli kiedy w życiu potrzebować będziesz pomocy mojej, żądaj co zechcesz a pokaż mi pierścień, otrzymasz.

LEOSIA (*zmieszana*).

Mości Książę... całłem sercem jestem mu wdzięczna...

KSIĄŻĘ (*klękając przed nią*).

Cicho! cicho... różyczko moja... rączkę tylko daj pocałować raz jeszcze... na zgodę...

S C E N A X.

CIŻ. *Ze drzwi na prawo wychodzi GIENERAŁOWA MORAWSKA.*

GIENERAŁOWA (*klaskając w ręce*).

A tom ślicznie braciszka zesła... na kolanach przed tą... pięknie...

KSIĄŻĘ (*porywając się*).

Jejmość tylko pod drzwiami podsłuchujesz... ja tego nie lubię! Spinka mi upadła, tom jej szukał, a panna mi pomagała.

GIENERAŁOWA.

Rozumiem i znam ja te spinki...

(*do Leosi*).

Mościa panno! proszę mi iść zaraz do swego pokoju i bez mego pozwolenia ani na krok... a już też dosyć tego... i węzłki przygotować... bo do domu mi waćpanna odjedziesz zaraz.

(*Leosia wychodzi*).KSIĄŻĘ (*mrużąc*).

Albo odjedzie, albo nie odjedzie, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Albo ona odjedzie, albo ja...

KSIĄŻĘ.

Ha? panie kochanku, czy to ja waćpanią trzymam?

GIENERAŁOWA (*zmieszana*).

To tak, Karolu?

KSIĄŻĘ.

A tak, panie kochanku... bo asińdzka mi tu chcesz w moim domu kołki ciosać na głowie, a ja na to nie pozwolę... Hm. Cóżem to ja przewinił? Choćby mi się dziewczę i podobało, jak piękne malowidło... no, to chwale Pana Boga w dziełach jego, a tego mi i ksiądz Katembrink nie zabroni... kiedy byłem w Rzymie, Anglik pewien lord Piper zakochał się w posagu św. Teresy i nie mu nie było tylko go dyscypliną egzorcyzmowali i skapali na czczo w święconej wodzie.

GIENERAŁOWA.

A! dyscyplina-by się zdała.

KSIĄŻĘ.

Aleć to nie św. Teresa i ja nie Piper i Nieśwież nie Rzym...
Aż w Filadelfii mościa dobrodziejko, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Chcesz zagadać...

KSIĄŻĘ.

Cóż mam zagadywać, czyste mając sumienie? w Filadelfii zaś...
nie, nie, to było na wyspie Kubie, tak nazwaną od Kuby naszego
furmana, gdzieśmy na wielorybie z Łopuskim przyptynęli. Ło-
puski w aryergardzie na ogonie a ja na pysku, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Płynieź sobie, a ja idę Leosię wyprawiać... i nie do Kuby.

KSIĄŻĘ.

Za pozwoleniem panie kochanku... z nieświeskiej fortecy bez
mojego pozwolenia nikt nie wyjeżdża...

(grożąc na nosie).

GIENERAŁOWA.

Ani ja?

KSIĄŻĘ.

Gienerałowa masz pozwolenie...

GIENERAŁOWA.

Ale ja z niego nie skorzystam... a Leosię...

KSIĄŻĘ.

Jeśli jój się krzywda stanie, ja gienerałowę na obwacht
sadzę...

(na stronie).

Gotowa się nie gniewać... bo tam jest Rozwadowski...

S C E N A XI.

CIZ.—ŁOPUSKI *we drzwiach.* Księżę się ku niemu zwraca. Gienerałowa
wychodzi.)

KSIĄŻĘ.

A co Łopusiu, panie kochanku? co się święci?...

SZAMBELAN.

Gdzie tam święcił to przekleństwo jakieś z tym człowiekiem...
my mu rady nie damy...

KSIĄŻĘ.

Co WPan mówisz, panie kochanku... tyle was tam jest a on
jeden...

SZAMBELAN.

Jeden ale dobry...

KSIĄŻĘ.

Pieczeń jadł?

SZAMBELAN.

Gdzie zaś, ani powąchał, drudzy podchmieliwszy sobie zmiotli
ją, choć dawałem im znaki, on nie chciał... wołał zrazy...

KSIĄŻĘ.

Czy czarownik, czy co, panie kochanku...

SZAMBELAN.

Nie wiem...

KSIĄŻĘ.

Aleście go spolił?

SZAMBELAN.

Poić go poiliśmy, aleśmy nie spolił. Wszyscy się już na no-
gach kołyszą, co z nim pili, a on, jakby wodę chlepał...

KSIĄŻĘ.

A niechże dyabli porwą, panie kochanku, taki dwór i takie
sługi!... Jak pić, jak jeść, jak Radziwiłła drzyć, wszyscy dobrzy,
a jak jemu służyć... nikogo niema, i trąbom wstyd... Łada szla-
chcie chudzina, cały Radziwiłłowski dwór w róg zapędził.

SZAMBELAN.

Samemu mi wstyd... ale niema sposobu Mości Księżę...

KSIAŻĘ.

Spirytusu mu dolewać było panie kochanku...

SZAMBELAN (*wzdychając*).

Dolewano wszystkiego, chlął jak gąbka... a trzeźwy, jakby był na czczo.

KSIAŻĘ.

Cóż, inkluza ma czy co u licha? No, a na pałasze?... na konie?...

SZAMBELAN.

Próbowano wszystkiego, strzela jaskółki w lot, porąbał trzech naszych na kapustę... a konia dereszowatego, co już trzem masztalerzom kości nałamał, dosiadł i poprowadził jak dziecko... Jeszcze na wstyd powiedział, że wałowity...

KSIAŻĘ.

A niech go dunder świeśnie! panie kochanku, to szatan nie człowiek... Pojedzie potem w świat i głosić będzie sromotę naszą, że Radziwiłła zwyciężył... Wstyd! hańba!.. wam się powywieśzać panie kochanku, a mnie chyba cykuty napić... albo do kapucynów wstąpić...

SZAMBELAN.

Jeszcześmy jednak nie zdesperowali.. gdybyś tam Wks. Moś sam był...

KSIAŻĘ.

Otóż to tak! to tak! panie kochanku... wszystko na mnie, każecie mi wkrótce radle pomywać i pietruszkę skrobać... a wy tu od czego? Skaranie Boże! nigdyś boleśniej nie był dotknięty... jeden szlachetka mizerny, jakiś Horain... No a z Wirszylem co się tam dzieje?

SZAMBELAN.

Siedzi w kącie zasępiony, co mu ma być!

KSIAŻĘ.

WPan wiesz, co się stało?

SZAMBELAN.

Nie wiem nic...

KSIAŻĘ.

Wirszyl zwaryował.

SZAMBELAN.

Kiedy? z czego?

KSIAŻĘ.

Albo ja wiem! dziś, panie kochanku... o mało mnie nie zjadł, ledwie się obronił... Kaźcież go do ciupy wsadzić... a delikacnie, żeby kogo nie pokasał.

SZAMBELAN.

Ale skądże się to wzięło?

KSIAŻĘ.

Od dawna słyszę cierpiać, panie kochanku, na melancholię... *Mente captus*... szkoda chłopca... ale mi jeszcze więcej żal siebie i wstydu, jaki dziś piję, z waszej przyczyny, żeby też jednego Horaina... szlachetkę z pod Lidy...

SCENA XII.

CIŻ. — SYRUĆ *z kielichem w ręku, za nim tłum dworzan napitych, wchodzą na salę drzwiami z głębi, śpiewając.*

CHÓR.

A kiedyż odjeżdżasz, bądźże zdrów,
O naszej przyjaźni dobrze mów...

KSIAŻĘ (*mrucząc gniewny*).

Pisujże do mnie... na Berdyczów... Otóż masz panie kochanku, te osły jeszcze go fetują! admirują! bałwany!

SYRUĆ (*obracając się do Księcia*).

Nie mogłem na sobie przenieść, abym z tego tryumfального kielicha nie wypił za zdrowie pańskie... Asumpt ku temu daje mi po pierwsze, że jestem pijany, zatem do picia skłonny, powtóre, iż od pierwszego wejścia na oblicze wasze natchnęło mnie ono poszanowaniem i miłością, po trzecie, przyczyną tęsknota, iż tak długo nie miałem szczęścia go oglądać.

KSIAŻĘ.

He! czy kpi, czy drogi pyta, panie kochanku...

SYRUĆ.

Pijany jestem to prawda, ale dowiedziona jest rzeczą, że po pijanemu chłop głupieje, a szlachcie *bene natus* uzyskuje szósty

zmysł... widzi zakryte... słyszy niewyrzeczone, czyta w głębinach sere i odkrywa fałsze... nawet w żupanach.

KSIĄŻĘ.

Jaki wymowny, panie kochanku... jaki wymowny! no! no!

SYRUĆ.

Będąc tedy w tym stanie błogosławionym, odkryłem, że pan nie jesteś Szambelanem, ale... Księciem.

KSIĄŻĘ.

A tak! panie kochanku, już się tam któryś wypaplał, świerbiał mu język...

SYRUĆ.

Nie... przyszło to jako objawienie z góry M. Książę. Zatem tedy idzie, iż oświecony przychodzę jaśnie oświeconemu złożyć uszanowanie... A ponieważ koń mój z ręki W. Ks. Mości zginać miał szczęście, podwójnie mi to go drogi czyni... Że zaś jeszcze i na pieczyście stołu książęcego został ukwalifikowany, czuję się w obowiązku podnieść cenę do wysokości historycznych jego losów.

KSIĄŻĘ.

Jakto! jeszcze podnieść! panie kochanku! Czołabyś nie miał...
(do dworzan).

Jak to może być, aby się też z waszeciów jeden nie znalazł, co by mnie nie pomścił i żartów stroić z Radziwiłła nie dopuścił!
(wszyscy milczą spuszczać oczy).

SZAMBELAN.

Wszystkiego próbowano...

KSIĄŻĘ (do Syrucia).

No to jedźże mi sobie, Horainie przeklęty... jedź, pókiś cały! Co za konia?

SYRUĆ.

Za konia! O tém potem, M. Książę, mamy czasu dosyć...

KSIĄŻĘ.

Jakto? pojedziesz zaraz...

SYRUĆ.

Przecież mnie Książę Radziwiłł przed nocą z Nieświeża nie wypędzi... Dwór słynie z gościnności; nie jużbym na wstyd W. Ks. Mości, pod noc stąd do karczmy miał jechać i głosić, że na zamku łóżka dla szlachcica, a miarki owsa dla jego konia za brakło.

KSIĄŻĘ (mrucząc).

Jeszcze tak gada, panie kochanku, że go nie przegadać...

SYRUĆ.

Jestem pijany z łaski W. Ks. Mości, a po pijanemu targując się, łaćno bym się mógł dać pokrzywdzić, czego Radziwiłł nie zechce... I jest prawo postanowione na Sejmie Grodzieńskim, że gdzie się kto upił, tam się powinien przespać, *sub poena* grzywnien na gwałcicieli. Otóżbyś jeszcze W. Ks. Mość i grzywny za mnie zapłacił.

KSIĄŻĘ.

Nawet prawa komponuje, panie kochanku... oj! to niebezpieczny ptaszek... Chcesz nocować! Zgoda! Zobaczymy, jak to będzie jutro! Dać mu, panie kochanku, stancję przy stajni... aby sobie nieboszczyka mógł przypominać i rozpamiętywać! A kto jutra dożyje, panie kochanku... zobaczy, co Radziwiłł umie!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Sypialny pokój Księcia, kotara karmazynowa w głębi, na stole lampka nocna u łóżka, na przodzie na większym dwie świece woskowe.

SCENA I.

KSIAŻĘ (*siedzi w białym kitlu, Łopuski stoi naprzeciw niego*).

KSIAŻĘ.

Tak był dla mnie, panie kochanku, ciężki ten dzień dzisiejszy... nie pamiętam gorszego nawet w naszych podróżach z tobą szambelanie... kiedy to raz burza z nawałnością przez trąbę powietrzną na księżyc nas zanosła... tamśmy się lecąc strachu nabrali... jeszcze szczęście, żeś się asindziej uczepił mojej pięty... to cię salwowało...

SZAMBELAN.

Tak Mości Książę... istotnie winienem jój ocalenie... *Casus* był *fatalis*...

KSIAŻĘ.

Ale dzisiejszy, panie kochanku, gorszy, daleko gorszy... Wystawże sobie, Łopusiu, ta Gienerałowa Morawska, dlatego, że jój się troszkę wasy puszczają... chce sobie tu komenderować i Leo się, którą ja proteguję, prześladowuje, więzi, myśli wysłać na wygnanie gdzieś, czy do klasztoru... Wydałeś WPan rozkazy, aby straż była, żeby pilnowano i nie dopuszczono tego gwałtu?

PANIE KOCHANKU.

357

SZAMBELAN.

Straż dysponowałem i poszła pod okna.

KSIAŻĘ.

To mnie uspakaja, panie kochanku... bo nie wypada, aby ktoś z fortecy wykradał się bez mojego zezwolenia. Nie idzie o dziewczynę, ale o punkt honoru... panie kochanku. Nie o Leosię, ale o zdrowe zasady... To jedno,—powtóre, cóż ty mówisz na tego mizerotę Horaina, który sobie z nas wszystkich zakpił?

SZAMBELAN.

Nocuje... dworsey się gotują, aby jutro rewanż mieli...

KSIAŻĘ.

Niechże się gotują, niech się pieką, niech się smażą panie kochanku... a honor... ocala. No, a po trzecie ten nieszczęśliwy Wirszył, który tak nie wiedzieć z czego zwaryował? Łopusiu, może to się powietrze popsulo w Nieświeżu czy co... macaleś ty swój mózg... nie mu tam?

SZAMBELAN.

Zdaje się zdrów, M. Książę.

KSIAŻĘ.

Ja byłem świadkiem w Londynie téj ciekawej operacji, gdy jednemu angielskiemu szlachcicowi kula kawał czaszki z mózgiem wyrwała... wstawili mu tedy kość srebrną pozłacaną, a mózg, że innego pod ręką nie było, wpuszcili cielecy. Zawsze potem, gdy krowy zobaczył, ssać miał ochotę. Ale i Szambelan byleś przy tém podobno...

SZAMBELAN.

Tak M. Książę, gdy ssal.

KSIAŻĘ.

U nas-by tego nie potrafil, mizernój nogi nie dosztukują, nasi felcerowie, partacze. Człowiek musi być ostrożny, i szanować się, panie kochanku! Mój Łopusiu! któraż to godzina? Spać mi się coś nie chce, boję się jakiejś sztuki Gienerałowej, bo uparta jak koza... a jakby mi... téj dziewczynie się co stało... to jest o honor mi chodzi, tandem o zdrowe zasady, jakem ci to już wytłomaczył...

SZAMBELAN.

Straże stoją... i pilnują...

KSIAŻĘ.

Trzeba było porozstawiać je wszędzie i ordynans dać im surowy... panie kochanku...

SZAMBELAN.

Komendant de Larzac ma przykaz najsurowszy, nie wypuścić żadnej kobiety.

KSIAŻĘ.

To dobrze! to dobrze! uspakajasz mnie... O! kobiety są uparte, trzeba się mieć na baczności... pamiętasz Szambelanie tę Afrykankę, której się zachciało guzików od mojego żupana i w pław za niemi przepłynęła morze Kaspijskie, żem się ledwie jęj pozbył, gdy ją rekiny zjadły na samym brzegu...

SZAMBELAN.

Pamiętam nawet, że ta murzynka była biała, a guziki czerwone... Ale czy Książę ma co do rozkazania?

KSIAŻĘ.

Nie—panie kochanku, ale tybyś chciał odejść, a ja się dziś nie wygadałem, to mnie dusi, musisz słuchać, mam jeszcze trochę do ekspektoracyi... Cóż ten nieszczęśliwy Wirszył?

SZAMBELAN.

Właściem nie dokończył o nim... Wsadzono go do pokoju na górze, ale się straszliwie burzy, płacze, lamentuje, krzyczy, że go tam ledwie w kilku utrzymać mogą.

KSIAŻĘ.

Oczywiście *mente captus*, a co gorzej, że furyat... bardzo mi go żal... Słyszałem, że w takim razie krew puszczają... jeśli niema cyrulika, to jest konował.

SZAMBELAN.

Zdaje się dosyć przytomny, tylko zdesperowany.

KSIAŻĘ.

Chwilami widać mu odechodzi... panie kochanku.

SZAMBELAN.

I jedno a jedno wciąż prawi, prosząc, błagając, zaklinając, ażeby się mógł choć na chwileczkę widzieć z W. Ks. Mością. Przyznam się, że aż mi go żal... Powtarza nieustannie, w tém jest jakaś niegodziwa intryga, że go obmówiono umyślnie, aby zbrodniczych jakichś zamiarów nie wydał...

KSIAŻĘ.

Takie ma zawsze przywidzenia, gdy oszaleje, bo to podobno nie pierwszy raz...

SZAMBELAN.

Ale gdybyś W. Ks. Mość dozwolił mu na chwilę przyjść, możeby go to uspokoiło... bo głową o mur tłucze...

KSIAŻĘ.

A! niech Bóg uchowa, panie kochanku...

SZAMBELAN.

Tak bo coś dziwnego jest w jego mowie... taki związek... Zaklina się, że o pięć minut tylko posłuchania-by prosił i pozwolił gotów, aby go w pięciu trzymali, choćby i spętanego; byle z W. Ks. Mością mógł mówić.

KSIAŻĘ.

O to mu się przyśniło? Cóż to ja król francuski, co od gruczolów leczy! Ja go z fiksacyi wejrzeniem nie wykuruję...

SZAMBELAN.

Ale coby to Księżu zaszkodziło?...

KSIAŻĘ.

To smutny widok, panie kochanku, zwłaszcza do poduszki.

SZAMBELAN.

Żal mi słysząc go płaczącego.

KSIAŻĘ (*nagle*).

No! to niech go tam przyprowadzą, na pięć minut... związanego i pięciu ludzi z nim... Ciekawy jestem... i lituję się nad nim... Słyszysz, panie kochanku... sześciu a choćby siedmiu.

SZAMBELAN.

Niech Książę będzie spokojny, każę dodać dziesięciu...

KSIAŻĘ.

Bo to z waryatem sprawa, gorzej niż z Turkiem...

S C E N A II.

KSIAŻĘ (*sam chodzi po pokoju*).

Dosyć, że ze mną zawsze co chcą zrobić, serce miękkie... jak zaczął panie kochanku, jak zaczął męczyć, na swoim postawią... (*bierze i przypasuje szablę*).

Wszelako broń mieć pod ręką nie zawadzi, zwłaszcza że to karabela, którą książę Marek poświęcił i od złego ducha bardzo skuteczna... na kłindze dukat z N. Panną... a z drugiej strony karawaka... A stanę zresztą z daleka!.. niema potrzeby narażać się... Mówią, że szalony, gdy plunie na człowieka, to mu zmysły pomiesza... Otóż słyhać już, prowadzą go... Bacność Książę Wojewodo! to nie żarty...

S C E N A III.

KSIAŻĘ (*w głębi*) WIRSZYŁ (*związany, przy nim kilku ludzi*) SZAMBELAN

KSIAŻĘ.

Proszę tylko z daleka, panie kochanku, od progu... Czego ty chcesz nieszczęśliwy Wirszy! może rumianku... to rzecz bardzo zdrowa... ja na wszelkie choroby innego lekarstwa nie używam...

WIRSZYŁ (*splakany, podnosząc ręce do góry klęka*).

Mości Książę! sprawiedliwości! miłosierdzia! opieki! ratuj nieszczęśliwego, którego najczarniejszą zdradą chcą zgubić... za to, że był ja... ja jeden najwierniejszym Księcia sługą, za to, że chciałem ostrzedz go...

KSIAŻĘ.

Dobrze! dobrze, panie kochanku, bądź tylko grzeczny i spokojny, nie ci się nie stanie... Wyzdrowiejesz... głowę ci tylko ogolą i wodą polewać będą... Ja widziałem już takich, co po trzydzieści lat byli waryatami, a potem ich profesorami filozofii robiono... Uspokój się, to, panie kochanku, paroksyzm, jak febra przechodzi...

WIRSZYŁ.

Ale Książę! ojeze! ja nie byłem, ja nie jestem obłąkany...

KSIAŻĘ.

No tak... nie jesteś obłąkany, ale... chwilowo masz bzika... choróbko... możesz się zastudzić na polowaniu... to ci minie...

WIRSZYŁ.

Niechże mnie W. Ks. Moś wysłuchać raczy, ja wszystko jak było, opowiem.

KSIAŻĘ.

Jeśli ci to ma ulżyć, to słucham, ale kochanku nie długo, godzina późna, w retorykę się nie puszczaj... jabym ci też dla uspokojenia mógł opowiedzieć śliczną historyjkę, ale kiedy wolisz mówić, pofolguj sobie...

WIRSZYŁ.

M. Książę—chwili niema do stracenia...

KSIAŻĘ.

Tak, panie kochanku, noc późna... masz słusność, tobie sen potrzebny...

WIRSZYŁ.

Gdyśmy dziś byli na polowaniu... stałem na przesmyku... zaszeleściło coś w krzakach... patrzę, wyłazi człowiek...

KSIAŻĘ.

Człowiek! chwała Bogu panie kochanku, myślałem, że dyabeł...

WIRSZYŁ.

Co robił w kniei, nie wiem... Gdy się zbliżył, przypatrzwszy się, poznałem tego infamisa.—

KSIAŻĘ.

Już swoje, panie kochanku...

WIRSZYŁ.

Syrucia!

KSIĄŻĘ.

Oho! Syrucia! fiksat! niezawodnie fiksat...

WIRSZYŁ.

Nie chciał mi się z razu przyznać do nazwiska... ale ja z nim w szkole siedzieliśmy na jednej ławie; jakem go nacisnął, odkrył mi się... I nuż zaklinać, abym go nie wydawał, abym mileżał... Sam mi powiedział, że jedzie do Nieświeża po swoją narzeczoną Leosię Puciatównę, bronić ją od napaści...

KSIĄŻĘ *(żywo)*.

Leosię, panie kochanku, od napaści? od jakich napaści! gdzie? co! waryat! waryat!...

WIRSZYŁ.

Chociaż mnie straszył, że jeśli go zdradzę i wydam, tedy nie tylko on, ale sześćdziesiąt sześciu Syruców mścić się będzie...

KSIĄŻĘ *(zagadując niespokojny)*.

To tak coś jak w Korsyce, gdzie za zabitego osła, jak się zaczęli mścić i odemściwać Bari i Gari, padło ich stu kilkudziesięciu, z pozwoleniem osłów.

WIRSZYŁ.

Książę mi nie dajesz wiary, ale się klnę na wszystko najświętsze, że to był Syruc! Właśnie obawiając się, bym go nie wydał, puścił na mnie potwarz, żem waryat...

KSIĄŻĘ *(powoli)*.

Szambelanie, zobacz mu pulsu...

SZAMBELAN.

Mości Książę... a nuż ukąsi...

KSIĄŻĘ.

Masz racją... ale zaczyna mnie tą swoją historją niepokoić... Syruc...

WIRSZYŁ.

Mości Książę, przysięgam, to Syruc...

KSIĄŻĘ.

Syruc!... ale miałaby on tyle odwagi, by wpaść sam w szpony księcia miecznika litewskiego? Bo choć miecznik został wojewodą wileńskim, mógłby sobie dawne czasy przypomnieć... Jeśliś Waszć, panie kochanku, przy zdrowych zmysłach... tamten waryat...

WIRSZYŁ *(coraz głośniejszy)*.

Mości Książę, klnę się, to Syruc!

KSIĄŻĘ.

Hm, panie kochanku... coś to zakrawa na awanturę... chciał-żeby wisić koniecznie?

WIRSZYŁ.

Jeśli jeszcze czas, jeśli nie umknął, chwili nie tracąc, każ go W. Ks. Mość uwięzić... chciój się przekonać... ja przysięgam...

KSIĄŻĘ *(do Szambelana)*.

Co się stało z tym szlachcicem?

SZAMBELAN.

Książę sam posłał go spać do stajni, i śpi... w izdebce około masztarni...

KSIĄŻĘ.

No, to go zbudzić i prosić do mnie... niech mu to Wirszył w oczy zada... on mi się nie widzi tak bardzo waryatem... podejrzana sprawa... Z tym Syruciem tylko ostrożnie... a nuż! ale-by był odważny!

SZAMBELAN.

W. Ks. Mość każesz iść?

KSIĄŻĘ.

Idź wacpan, zaprosz go do mnie na szklankę ponczyku, nie nie dając do zrozumienia...

SZAMBELAN.

A Wirszył?

KSIĄŻĘ.

Wirszył w drugiej izbie poczeka, panie kochanku... Ot to! dzień feralny!

S C E N A IV.

CIŻ—GIENERAŁOWA MORAWSKA (*wpada w ubiorze negligowym rozgniewana, lecąc prosto do księcia*).

GIENERAŁOWA.

Co to jest? co się tu dzieje... człowiek związany...

KSIAŻĘ.

E! to nie, panie kochanku... to tak żart... próbowali postronków... to nie.

GIENERAŁOWA.

Oszaléc trzeba w tym Nieświeżu... Gdzież Książę podziałś Leosię? co się z nią stało? ja za nią odpowiadam przed rodzicami...

KSIAŻĘ (*uderza w ręce*).

Z Leosią! z Leosią! Jaktó! alboż znikła?... WPani ją sama na pokucie osadziłaś w pokoju... a ja kazałem straż postawić pod oknami...

GIENERAŁOWA.

Próżne udawanie, to nowa sztuczka twoja, panie bracie... ale ja tego nie zniosę... ja...

KSIAŻĘ.

Panie kochanku! ja z siebie żartować nie dam.. Ja pokażę wam tu miecznika litewskiego! Do kroćstotysięcy panie kochanków... poznacie, co Radziwiłł. Co wacpani z nią zrobiłaś?

GIENERAŁOWA.

Ale ja ciebie o to pytam? to tyś ją wykradł! Któżby inny tego dokazał...

KSIAŻĘ.

To wacpani sztuczka... żeś ją z zamku wyprawiła... ale ja... ja się pomszczę...

GIENERAŁOWA.

Proszę nie udawać! znamy się dawno... ja komedyi grać nie umiem... Taić tego nie będę, rozgłoszę... rozpowiem... Książę natychmiast musisz mi ją kazać zwrócić.

KSIAŻĘ.

Czyś aspani oszalała, panie kochanku... czy my wszyscy... zaraziliśmy się od Wirszyła? Cóż się z nią stało? kiedy? ja nie nie wiem.

GIENERAŁOWA.

W téj chwili poszłam jój szukać; rzeczy potrzebniejsze związała w węzelek i znikła... Po całym zamku latam za nią, nigdzie śladu... Juściż w ziemię nie wpadła, a jeśli kto, to jeden Książę mógłś...

KSIAŻĘ.

Alem ja strażę postawił, abyś mi jój wacpani nie wykradła... to wasza sprawa! Panie kochanku, nie ujdzie bezkarnie! Hej! (*dzwoni*).

Natychmiast przywołać mi tu komendanta twierdzy Larzaca... Kto żyw do mnie! na ratunek! Zdrada! Radziwiłł zdradzony! Bić w dzwony na gwałt! działa na wały zatoczyć... wojsko pod broń... warty na groble... w bębny na alarm! Gwałt!

GIENERAŁOWA.

Co bracie robisz?

KSIAŻĘ (*w gniewie*).

Co robię! hm! zobaczycie, co zrobię! Ja się z siebie naśmiewać nie dam, żeby mi kto śmiał z twierdzy z pod mego oka uprowadzić... wykraść!... To wstyd, to hańba!... W bębny na trwogę! Do bron! do bron! panie kochanku!

GIENERAŁOWA.

Jaktó? więc ty istotnie nie wiesz, co się z nią stało?

KSIAŻĘ.

To jest Asani sprawa... Warty stały dokoła, ktoby ją tu był śmiał i mógł wywieść?... Ja tego nie daruję... Kto żyw do Radziwiłła!

S C E N A V.

CIŻ.—SZAMBELAN (*wbiega, za nim dworzanie*).

SZAMBELAN.

M. Książę! nieszczęście!

KSIĄŻĘ.

Co? jeszcze jakie nieszczęście? mało wam tego, panie kochanku? gdzie szlachcie?...

SZAMBELAN.

Otóż właśnie... znikł jak kamfora! Postawiono go, jakęś W. Ks. Mość przykazał, w stajni, koło masztarni... Był napity, położył się niby spać na siodle i kilimku... Teraz przychodzę, biję we drzwi, nie odpowiada... myślałem, że go apopleksya uderzyła, wywaliliśmy drzwi; a tu szlachcica ani znaku... ani siodła, ani kilimka... i siano nawet nie zgniecione. Myśleliśmy, że uląkłszy się, drapnął gdzie i schował się; przeszukaliśmy wszystkie kąty, przetrzęśli siano... Bóg wie, co się z nim stało...

KSIĄŻĘ.

Cóż to, był czarownik, panie kochanku?

WIRSZYŁ (*ode drzwi*).

Nie M. Książę, to był Syruć, przyszedł po narzeczoną i razem z nią uszli.

KSIĄŻĘ.

To był Syruć! Uszli! tak, panie kochanku! Do broni! Gdzie Larzac! Załoga na koń, kto żyw w pogoń na wszystkie drogi... z dział walić na trwogę.. w dzwony uderzyć... Kozacy do mnie... ja sam jadę...

SZAMBELAN.

Mości Książę... ale cóż to pomoże?

KSIĄŻĘ.

Co pomoże? Co Aści do tego?... Ja jestem Generalissimus na nieświeskim zamku... a artykuły wojskowe... łeb utnę... Do dalszej informacji Gienerałowa Morawska pod wartę...

GIENERAŁOWA.

Oszała!

KSIĄŻĘ.

Milezcé, panie kochanku! Sąd wojenny, we dwadzieścia cztery godziny zobaczy się ze świętą Tróją, kto mi piśnie... Wszyscy w pogoń... w pogoń... czapka... ostrogi... konia!

SZAMBELAN.

Natychmiast, natychmiast... ale o cóż W. Ks. Mości chodzi?

KSIĄŻĘ.

O co mi chodzi? o honor Radziwiłłowskiego domu, panie kochanku... nie o tę tam dziewczynę spodziewam się! Raz téj swawoli trzeba koniec położyć... Ja tu już nie jestem pan, każdy robi, co chce... W kaplicy się rządzi ks. Katembrink, na zamku dysponuje Larzac, w kancelaryi panuje Bernatowicz, w psiarni pan Suski, w stajni pan Cholewiński... a ja... nigdzie, nawet we własnej kieszeni! Ale ja wam pokażę, że miecznik litewski nie umarł. Na koń! w pogoń!... Wszyscy na koń... precz! precz!

S C E N A VI.

KSIĄŻĘ (*sam chodzi churytając czapkę, pistolety, płaszcz i z kolei rzucając niemi*).

Patrzcie ją, szatan dziewczyna! A tak to się patrzyło temi ślipkami niewinnie, skromnie... jakby trzech zliczyć nie umiało... a dyabeł siedział za skórą. Czegóż się ona obawiała ode mnie... mnie, co bym był godzien ję nieba przychylić, byle mi pozwoliła patrzeć w te niebieskie oczęta i słuchać tego szczebiotania miłego... O niegodziwe dziewczę! Uciec tak, jakby ję tu co groziło... a jeśli to jeszcze prawda, że z Syruciem... kryminał! Ale nie... to sprawka pani Gienerałowej... ona niewinna, siłą ją musiano porwać... gwałtu użyto... odbije, uwolnię, sąd złożę i ukarzę przykładnie...

(Książę uzbraja się, bierze czapkę i ma wychodzić. — Wielki hałas za drzwiami).

Cóż to znowu? czy napad nieprzyjacielski na zamek? krzyki jakieś! Héj! jest tam który?... Nikogo przy Radziwille... rozstap się ziemio... żebym umierał, nie byłoby komu podać szklanki wody i powiedzieć, bywaj zdrow! Jest tam kto? Panie kochanku.

SCENA XIII.

KSIĄŻĘ.—SZAMBELAN ŁOPUSKI.

SZAMBELAN.

Mości Książę! Mości Książę! dobra nasza! Radziwiłł górą! wiwat! wiwat!

KSIĄŻĘ.

A co panie kochanku?

SZAMBELAN.

Nadbiegł kozak z wiadomością, że dworzanie W. Ks. Mości puściwszy się w pogoń na wszystkie strony... we wsi Stróże, nie daleko za miasteczkiem, w kościółku, dogнали i pochwycili zbiegów...

KSIĄŻĘ.

Kogo? panie kochanku? kogo?

SZAMBELAN.

Jéjmościankę ze szlachcicem... co to Horaina udawał...

KSIĄŻĘ.

Jakto? więc ja wistocie wykradł, panie kochanku? A infamis... niema dla niego dosyć wysokiej szubienicy, sprowadzę sosny z Białowieży... Miałżeby to być Syruć?... A więc Wirszył mówił prawdę! O! ja nieszczęśliwy... naigrawają się już ze mnie! Syruć!

SZAMBELAN.

Kto on taki jest, niewiadomo, ale indult miał widać w kieszeni i tak się dobrze uwinął, że gdy ich pochwycili w kościółku, właśnie po ślubie odchodzili od ołtarza...

KSIĄŻĘ.

Co? i ślub... ślub z nią już wziął?... Ślub nieważny... ja tu jestem proboszczem w Nieświeżu, panie kochanku... Znam na palcach prawo kanoniczne, przecieżeśmy razem chodzili z waćpanem na akademią w Padwie... ślub nieważny... *ratum sed non consummatum*. Ja mu tu stryczkiem dam lepszy rozwód, niżeli ksiądz dał ślub stulą... a jeśli dla szlacheica potrzeba jedwabnego stryczka, to się znajdzie. Niech mi go tu zaraz przyprowadzą... okutego... Ukonstytuję trybunał... Szubienicę kazać stawić na dziedzińcu...

SZAMBELAN.

Wszystko to bardzo dobrze M. Książę. Ale cóż zrobić z wojkiem, z załogą, z alarmem? Stoją do nogi pod bronią... Ludzie się będą wyśmiewać, że dla jednej dziewczyny i chudopacholka szlacheica, turbowano całe regimenta, działa i dzwony...

KSIĄŻĘ (*myśli*).

Już się Wmość o to nie troszcz... na to się poradzi... Alarm niech trwa... ja to inaczej obrócę...

SCENA VIII.

CIŻ.—LARZAC (*komendant fortecy*).

Stawię się po rozkazy W. Ks. Mości...

KSIĄŻĘ.

Cała załoga pod broń! działa na wały! baczność! panie kochanku... WPan nie nie wiesz?

LARZAC.

Dotąd M. Książę, nie... prócz, że kazano uderzyć na trwogę...

KSIĄŻĘ.

I nie bez przyczyny, panie kochanku... Dano mi znać przez umyślnego od Kairu, że Celibuk olbrzym o jednem oku, z którym miałem osobiste zajście na wyspie Terefere, na oceanie Atlantycznym... Celibuk ten upatrzwszy chwilę, idzie na Nieśwież w pół-

torakroć sto tysięcy niewidzialnego wojska... panie kochanku.. Cała sztuka strategiczna zależy na tém, aby go nie widząc odepchnąć... walić z dział co wlezie... baczności straż na forpoczty... z karabinów ognia, kto z czego może! Moździerze niech wyciągną... Zrobi to wacpanu sławę, jeśli Celibuka odpędzisz... Niech zna Radziwiłła.

LARZAC.

Spełnię rozkazy W. Ks. Mości, ale z której strony idzie nieprzyjaciół?

KSIAŻĘ (po chwili).

Naturalnie od wyspy Terefere, od oceanu Atlantyckiego... zobacz wacpan na mapie...

LARZAC.

A tak! M. Książę... idę natychmiast...

KSIAŻĘ.

Tylko prochu nie żałować... z dział walić do brzasku... aby niewidzialne zastępy odeprzeć.

LARZAC (wychodzi kłaniając się. Książę pada na krzesło... Wkrótce dają się słyszeć wystrzały działowe do końca sztuki trwającej).

SCENA IX.

KSIAŻĘ (sam zamysłony, później) LEOSIA.

LEOSIA (za drzwiami).

Proszę mnie wpuścić! Ja się z Księciem naprzód widzieć muszę... Książę mi nie odmówi.

KSIAŻĘ (wstając z krzesła).

Dalipan! to jój głosik... Ha! przyszła koza do woza... Wpuścić ją tam... straż zostanie u drzwi.

LEOSIA (wchodzi i pada na kolana).

Mości Książę! litości! sprawiedliwości! miłosierdzia...

KSIAŻĘ.

Tak! tak! panie kochanku, teraz jójmościanka z tego tonu śpiewasz... Kto z WPanną uciekł? kto jój ułatwił ucieczkę... z kimeś to nieważny ślub wzięła?

LEOSIA.

Mości Książę, wysłuchaj mnie cierpliwie.

KSIAŻĘ.

Nie wartaś tego, panie kochanku, żmijko jakaś...

LEOSIA.

M. Książę... nie jestem tak wiele winną... Ten, z którym mnie dziś ślub połączył, był moim narzeczonym z woli rodziców od dawna; towarzyszem mojej młodości, kochałam go od dzieciństwa, wychowaliśmy się razem.

KSIAŻĘ.

Któż to jest? panie kochanku...

LEOSIA.

Krewny mój, M. Książę...

KSIAŻĘ.

Ale jak się zowie?

LEOSIA (wahając się).

Horain...

KSIAŻĘ.

Z mowy czuć, że wacpanna kłamiesz...

LEOSIA (śmięły).

Kłamię M. Książę.

KSIAŻĘ.

Dlaczego wacpanna kłamiesz?

LEOSIA.

Bo Książę mnie gniewem swym do kłamstwa zmuszasz.

KSIAŻĘ (wstając).

Więc to Syruc, panie kochanku! O! to go mam! to go mam! bezkarnie mu to nie ujdzie... Śmiał on Radziwiłła wsadzić na wieżę, posadzi go Radziwiłł wyżej jeszcze.

LEOSIA.

Gdzie się Księciu podoba... ale nas razem oboje, jestem jego żoną i nie odstąpię go w żadnej doli.

KSIAŻĘ.

Wacpanna nie jesteś jego żoną. Ślub był nieważny, bez mojego pozwolenia... on wacpannę ode mnie wykradł.

LEOSIA.

Nie M. Książę, ja nie jestem rzeczą, więc nie mogłam być skradzioną, poszłam za nim dobrowolnie... Jeśli jest wina, to wspólna, jeśli ma być kara, to jedna dla obojga.

KSIĄŻĘ.

Gdzieżeś to się waćpanna uczyła retoryki... panie kochanku... jaki z ciebie adwokat!

LEOSIA (*z płaczem*).

Uczyło mnie jój serce... którego W. Ks. Mość nie masz...

KSIĄŻĘ.

Patrz! zmijka! jeszcze mnie kasa...

LEOSIA.

M. Książę nie pastw się nad dwojgiem ludzi, którzy ci nie nie zawinili.

KSIĄŻĘ.

Syruc mnie wsadził na wieżę, ja mu tego nie daruję.

LEOSIA.

Jeśliś W. Ks. Mość uczciwy człowiek, darujesz mu.

KSIĄŻĘ.

Tego to już nadto, panie kochanku...

LEOSIA (*pokazując pierścion*),

Patrz Książę i przypomnij sobie słowo dane przed kilku godzinami, miałeśbyś je złamać? słowo szlacheckie, książęce, Radziwiłłowskie! Przyrzekłeś mi Książę, że wszelką prośbę moję wysłuchasz, ja o jedno tylko proszę, o wolność mojego męża...

KSIĄŻĘ (*stając nagle*).

Toś mnie podeszła! alem ja dla asinǳki przyrzekł zrobić, nie dla kogo innego...

LEOSIA.

Ja też dla siebie o mego męża proszę, bo bez niego żyć nie będę....

KSIĄŻĘ.

Jaki mąż! Bóg wie co za księżyna ślub dawał... na prędeci!...

LEOSIA.

Ale na wieki...

KSIĄŻĘ (*stoi zmieszany*).

Wszyscy dziś rozumniejsi od Radziwiłła... nawet Syrucie!!!

S C E N A X.

CIŻ.—SYRUC (*wdziera się związany, za nim Łopuski*)

SYRUC.

Puście mnie oprawcy, powiesicie czy zetniecie, ale się z waszym Księciem rozmówić muszę...

KSIĄŻĘ (*cofa się*).

Czego mi włączysz w oczy! chcesz wisić!

SYRUC.

Nie M. Książę, i nie będę... boś już nie miecznikiem litewskim, ale Wojewodą Wileńskim, bo czujesz sam, że mszcząc się, popełniłbyś niesprawiedliwość.—Najechałeś W. Ks. Mość na dwór szlachecki... a szlachcie na zagrodzie pokazał, że w żyłach jego krew nie woda płynie... że i w naszych czasach jest sprawiedliwość nawet przeciw magnatom... Wysiedziałeś W. Ks. Mość wieżę oddając hołd sprawiedliwości, więc kwita między nami M. Książę, nie winniśmy nic sobie, prócz—za konia zabitego...

KSIĄŻĘ.

Dosyć, że dzień feralny! Zabierajże swoją magnifikę... weź sobie folwark o trzydzieści mil z Bialskiego klucza i ruszaj a żywo, aby cię moje oko nie oglądało więcej! Zażyli mnie z mańki! panie kochanku!... Nie papłajecie przynajmniej przed ludźmi, żeby się nie śmieli. Rad nie rad, panie kochanku, muszę jeszcze sprawić weselisko, boby mówili, że się pogniewałem.

(*klepiąc po ramieniu Syrucia*).

Grackoś mi się sprawił, co prawda to prawda, gdybym takich miał stu dworzan, drżałaby Litwa przede mną, ale to się wszystko na słoninę powykarmało i ciężkie... Hej! kapela! panie kochanku! Wytoczcie srebrną beczkę.. i podać puławy... a panią Gienierałową wypuścić z kurdygardy... Ja z panią Syruciovą poloneza w pierwszej parze... ale tego barskiego! hej! hej! cośmy go na Spizu tańczyli...

SCENA XI.

CIŻ.—GIENERAŁOWA—WIRSZYŁ—LARZAC—DWORZANIE.

GIENERAŁOWA.

Cóż to tu znowu za historye?

KSIĄŻĘ.

Nie! znalazła się zguba i sprawiam wesele, a asińdze wracam *activitatem*. I. M. Pan Syruć służy jęj do poloneza...

WIRSZYŁ.

M. Książę! M. Książę! a ja! ja, który cierpiałem dla miłości W. Ks. Mości, i... zostałem pokrzywdzony tak haniebnie... czyż zostanę zapomnianym?...

KSIĄŻĘ.

Czegoż ty chcesz jeszcze panie kochanku?

Dożywocia...

WIRSZYŁ (*cicho*).

KSIĄŻĘ.

Aleś ty zdrow... będziesz długo żył... No! niech ci tam zresztą Bernatowicz wyznaczy chat dziesięć...

WIRSZYŁ.

I kawałeczek lasu...

KSIĄŻĘ.

I lasu! panie kochanku.

WIRSZYŁ.

I troszkę wody...

KSIĄŻĘ.

Patrz! pięć mu się chce...

WIRSZYŁ.

I karczemkę, bo to gotowy grosz daje... Ja cierpiałem dla W. Ks. Mości...

KSIĄŻĘ.

I basta... bo będzie tego dość, panie kochanku...

LARZAC (*z ukłonem*).

M. Książę... Celibuk został odparty z wielką stratą, niewidzialne trupy zalegają pola... zastępy olbrzymów pierzchają popłoszone w wielkim nieładzie... zwycięstwo zupełne...

KSIĄŻĘ.

Chwała Bogu! panie kochanku! zginął kto z naszej strony?

LARZAC.

Nikt, oprócz starej klaczy, którą na błoni pasącą się postrzelono.

KSIĄŻĘ.

Dziś bo taki dzień nieszczęśliwy na konie... Komendancie! napiszę do Warszawy do króla, aby ci order przysłano... Ogłoś armii mojej rozkazem dziennym, że się dobrze Radziwiłłowi zasłużyła... miodu wytoczyć dla nich... Celibuk odparty... Nieśwież oswobodzony!... Vivat!!

(*Wszyscy powtarzają za księciem Vivat! Zaslona spada*).

Do pana Wincentego Rapackiego.

Non bis in idem—stara to prawda, którą powinienem był mieć za przestrożę, zamyślając o drugiej anegdocie dramatycznej z życia księcia Karola, panie kochanku. Nigdy dalszy ciąg lub część wtóra czegokolwiekbądź nie będzie uznana równą pierwszej. Zgóry też jestem przygotowany na to, że powtórne ukazanie się na scenie—Panie kochanku, choćbyś znowu je swym potężnym ożywił talentem, nie uczyni wrażenia, jakie winna część pierwsza Tobie, szanowny panie Wincenty, coś typ Księcia Wojewody tak wybornie odtworzyć umiał. Ani mam nawet zamiaru zapraszać Cię do przedstawienia tej drugiej anegdoty, którą przesyłam tylko jako dowód mojej wdzięczności za pierwszą.

Życie Księcia Karola tak obfitęm jest w bogate szczegóły, iż trudno się oprzeć pokusie użytkowania ich w książce i na scenie, zwłaszcza gdy się od młodości nasłuchiwałem opowiadań, w których żywe jeszcze drgały wspomnienia przeszłości. Wiele anegdot podobnych powtarzać lubił mój ojciec, słyszanych od pana de Larzac, niegdy komendanta w Nieświeżu, wiele ich błędziło po rozwalonym Bielskim zamku, gdym go studentem z dziecinną ciekawością przebiegał. Inne wybornie, z humorem sobie właściwym, opowiadane słyszałem przez Henryka Rzewuskiego, wiele już nie wiem gdzie pochwytałem. Mają one urok przywiązany do fantastyecznej a niepowrotnej onęj Polski szlacheckiej a magnackiej, która jest niewyczerpaną skarbnicą dla powieściopisarzy i dramatyków. Jaki będzie los tej w formę dramatyczną ubranej powiastki, sądzić nie mogę, ale pragnąłbym, żeby wam przypomniiała wielce życzliwego

sługę waszego:

J. I. Kraszewskiego.

Drezno, 45 grudnia 1870.

Rzecz dzieje się po powrocie Księcia z Węgier.

AKT I.

Teatr przedstawia wielką izbę w gospodzie żydowskiej na gościńcu wiodącym do Nieświeża, na granicy dóbr książęcych, w Obibokach. — Zwykły sprzęt karczemny, ale izba umieszczona, wysypana tatarakim i jedlinką, przystrojona w zielone gałęzie na przyjęcie gościa. — Ławy dokoła. — Od sufitu mosiężny pajak odczyszczony, w głębi szynkwas obwiedziony galeryjką, w nim pełno batelek, szklanek i t. p. W lewo wielki długi stół na nogach krzyżowych, w części białym obrusem zaścieleny... Drzwi w głębi jedno od podwórza, drugie na lewo do alkierza, trzecie do sieni i tajni.

SCENA I.

SZMUL SŁONIMIEC (sam przybrany świątecznie. Żupan atlasowy czarny, czapka z sobolem. W rękę trzyma rożek do kadzenia, z którym obchodzi izbę, zaglądając często do okien).

Nu! chwalić Pana Boga! Doczekaliśmy się z powrotem naszego pana, Księcia Jegomości... i skończy się panowanie oficyalistów. Nu! niema nic gorszego jak gdy sługa panuje. Książę, taki zawsze on Książę! Choćby był zły wieczorem, to jutro wstanie dobrym... Szmul jemu pierwszy przywita na Radziwiłłowskim gruncie... Jego to powinno chwycić za serców... Gdyby on jedną ratę darował?... Czemu nie ma darować?... Won Szmula zna od dzieciaków i Szmul jemu zna od maleńkości... a potem, kiedy byłjeszcze Miecznikiem, a waj! to były historie! No — ale już nie będzie. Szmul jemu kocha i on kocha Szmulowi... Czemu nie ma kochać? Won to

wie, że wiele było Radziwiłłów Wojewodów Wileńskich, tyle było Szmulów arendarzów w Obibokach. Nasze familie były zawsze w wielkich przyjaźniach... (*Staje, kładzie rożek i myśli*). Jemu by się należało, coś powiedzieć elegancko... extra fein! bo wie, że ja mam rozum, a może sobie pomyśleć, że ja jemu jego żałuję...

(*Podnosi czapkę i kłania się do drzwi, jak gdyby księcia przyjmował*).

O tak! Co by jemu takiego przyprawnego fein powiedzieć?... Jaśnie oświecony Księżu Jegomości!... (*myśli i mówi do siebie*) Na półmisku nakrytego pięknym chustkiem, postawim flaszkę kowieńskiego lipca, flaszkę wódki gdańskiej i fein piernik toruński... i jemu jego podam... (*chrząka*). Nu, co ja jemu powiem?... (*myśli*) Co ja jemu powiem, żeby było fein!

(*uderza się w czoło*).

Jaśnie oświecony Księżu Jegomości... Prosimy przyjąć tego maleńkiego daru z wielkich serców od Szmula Słonimca... życliwości—szczęśliwości... powrotu na panowanie. A niech Bóg Abrahama i Jakóba błogosławi księciu Jegomości i wszystkim jego familiom...

(*myśli*).

To nie jest kiepsko—ale on przywykł, żeby jemu było pieprzno, on tego sto razy słyszał—to nie jest pieprzno... nie—musi być inaczej.

(*staje i myśli*).

Jaśnie oświecony Księżu Jegomości! Jak bez słońca sechnie drzewo i umiera trawa i zboże zdycha i ogrodowina... tak wierne sługi Waszój Ks. Mości, w księstwie nieświeskiem schlim i umieralim bez jego pańskich obliczów. Wschodzi jasnych słońców naszych, jaśnieje gwiazda nasza i radują się wszelkie wnętrzości: Vi-vat!

(*Rzuca czapkę do góry, chwytą i zamysla się*).

To dosyć dobrze—ale nie najlepiej... Hm! No, coby ja był za żyd, żeby ja jemu co z Thory nie powiedział. Recht! no tak! (*myśli*). Jaśnie Oświecony Księżu Jegomości! Miał Izrael króle swoje Salomona i Dawida... a jak stracił ziemie swoje, a poszedł na rozsypanie, przyjęła jemu ziemia polska i litewska... I co? (*wzdycha*) Och żeby ja był wczoraj wiedział... jabym był sobie fein pomyślał... (*wzdycha*). Jak to temu trudno gadać, co przywykł robić... tak samo być musi trudno robić temu, co tylko przywykł gadać (*ociera pot z czoła*). Jakbym drwa rąbał, tak się zmęczyłem, a jeszcze nie wiem co gadać, żeby było fein.

(*Słychać hałas przed karczmą — Szmul przerażony bieży ku drzwiom od alkierza*).

A waj! a gwałt! Sure! Księżu jedzie, a tu nie gotowo... Rifke... Jankiel... Abraham... gwałt... Tace z chustkiem i z miodem.

(*Przez drzwi do alkierza wysuwają się dwie ręce i podają tacę; Abraham wzięwszy ją krokiem poważnym podchodzi ku drzwiom od sieni, w chwili gdy się one właśnie otwierają, kłania się i nie widzi z początku, kogo wita*).

SCENA II.

SZMUL.—CHORAŻY KURCEWICZ.—BASIA.

(*Za niemi w kilka chwil wsuwa się po cichu ukradkiem Dyplowicz i siada w najgłębszy kątek pod szynkwase*).

KURCEWICZ (*chudy, wysoki ale kościsty, głowa podgolona z czubem najeżonym, wąs sivi nastrożony do góry, buty czarne kozłowe do kolan, kaftan losiowy, na nim kontusz, torba borsucza przez plecy, szabla u boku*).

BASIA (*skromny strój podróżny, na głowie kwefik czarny, ubiór ubogi, ale czysty*).

DYPLOWICZ (*mały, skrzywiony w łopatkach, głowa wielka, twarz okrągła uśmiechnięta, pokorny, kłaniający się, ubranie liche, szabelka podpięta wysoko i maluśka, jakby dla proporcji*).

SZMUL (*ze schyloną głową z początku nie widzi Kurcewicza, który stoi, patrzy na półmisek i kręci wąsa. Dopiero podniósłszy oczy arendarz spostrzega Chorażego, cofa się zdziwiony i kwaśny, Kurcewicz chwytą go za ramię*).

CHORAŻY.

Co to ma znaczyć?

SZMUL.

Jakto, co ma znaczyć?

CHORAŻY.

Kogóż to chciałeś tak paradnie przyjmować? he? dla kogo to było?

SZMUL (*reka machajac*).

A! a! nu! nu! Juści nie dla Jegomości! Tu, tu lada moment nadjedzie sam Książę Wojewoda...

CHORAŻY (*pogardliwie*).

Książę Wojewoda, wielka mi sprawa! straszna figura! patrzajcie go! a ty wiesz, kto ja jestem?

SZMUL.

Co ja nie mam wiedzieć? Jegomość jest z pozwoleniem... Choraży Kurcewicz z Siennój Wulki.

CHORAŻY.

A ty myślisz, że Kurcewicz gorszy od Radziwiłła do kroćsto tysięcy basałyków?

(*W czasie rozmowy Basia zrzuca kwefik, — przygląda się gospodzie, spostrzega Dypłowicza, który się jej bardzo nisko kłania, rusza ramionami i odwraca od niego. Potem w czasie rozmowy ojca hamuje jego porywy.*)

CHORAŻY.

Myślisz, że Kurcewicz od Radziwiłła pośledniejszy?

SZMUL.

Czemu ma być gorszy albo pośledniejszy? Radziwiłł swój gatunek, a panów Kurcewiczów swój gatunek i każdy ma swego gatunku.

CHORAŻY.

Cóż to ty myślisz, ty, że Radziwiłł do innych niż ja ludzi należy—sto fur dyablów!

SZMUL (*chcąc odejść*).

A waj! na co tego gadać! Won jest Radziwiłł, Jegomość jest Kurcewicz—to i dosyć.

CHORAŻY.

Tak, a ty jesteś Szmul Słonimiec i do tego głupi!

SZMUL (*obrażony*).

Szmul—ale niegłupi.

CHORAŻY.

Jakto, nie? Żyjesz w tym kraju kopę lat, a nie wiesz, że Kurcewicz Koryatowicze ród swój kniaziowski prowadzą od Koryata, a Koryat od Palemona, a Palemon od Cezarów rzymskich... A wiesz—że ty, skąd poszły Radziwiłły? do stu basałyków—Radziwiłły idą do Lizdejki, a Lizdejko był pop i do tego jeszcze poński... Radziwiłłowie popowicze—chapoknysze...

SZMUL (*patrzy z podziwieniem kiwając głową*).

Tego ja nie wiem, co prawda... ale tego ja wiem, że won ma Nieśwież i tysiąc wsiów i dwieście miasteczków, a Kurcewicz jedną Sienną Wulkę, którąby Radziwiłł zjadł na śniadanie i jeszczeby mu się jeść chciało.

CHORAŻY.

Żydzie, po żydowsku cenisz ludzi!

SZMUL.

A waj! bom żyd!—(*po namyśle*). Ale posłuchaj Jegomość... Ja tu na niego czekam... Niech mnie Jegomość zrobi tę łaskę i sobie stąd pojedzie. Nu—na co tu Jegomości na niego... siedzieć? Ja jutro przysię ćwiartkę cieleciny, co fein!

CHORAŻY.

Ażebyś sto basałyków zjadł, niewiarno, Judaszu ty jakiś, mordyaszu Boga! Patrz go! Co to ty sobie myślisz... że ja przed Radziwiłłem będę uciekał? Co to ja—gorszy od niego? Czy to nie karczma? Ja się dawno z nim chciałem spotkać i rad jestem, że tego szalbierza, gadulę, łgarza w kumysz zapędzę...

BASIA.

Mój ojczel!

CHORAŻY.

Daj mi ty pokój.

BASIA (*prosząc*).

Ojczel drogi! zlituj się! Wiész, że to człowiek szalony—po co się narażać na awanturę. Tatku kochany, jedźmy, błagam... proszę... Tu z nim nasypie się ludzi... my sami... Ojczel, ja się boję o ciebie (*obejmując go*). Ja błagam Cię, proszę, zrób to dla mnie—dla twój Basi. Jedźmy, uciekajmy!

CHORAŻY (*kręcąc wąsa*).

Niedoczekanie jego.—Cicho—byś była—idź do alkierza i schowaj się, kiedy ci strach... Jeszcze—by czego nie stało, żeby kniaź Koryatowicz Kurcewicz otrąbiony był, iż się zląkł Radziwiłła i umknął przed nim. Żydziby się ze mnie śmieli do stu basałyków.—(*Cicho*) Ty mnie nie znasz, Basiu—z tego nic nie będzie. (*do Szmula*) Słuchaj ty, stary mordyaszu Boga... daj mi tu zaraz na stół jeść!

(*Podsuka się do tacy, którą Szmul postawił na stole, choć Szmul usiłuje obronić, nalewa wódki, pije, łamie piernik i zakasuje*).

To nie złe przed obiadem... Słyszysz! tu mi dać jeść! na tym stole. Szczupak faszerowany powinien być...

(*Basia zlekniiona przysiadła i szeptem wu coś na ucho... Chorąży odwraca się i spostrzega Dyplowicza w kącie.*)

Co asindziej tu robisz? he? Już jesteś? już mi na pięty nastajesz? jużes dogonił? Gdzie ja, tam i wy—jak cień! a to skara nie boże...

DYPLOWICZ (*wysuwa się, kłaniając i zacierając ręce*).

Stopy pana Chorążego całuję, do nówek upadam! Cóżem wien, że się spotykamy! Miły Boże! Jak pan szczerych przyjaćół ocenić nie umiesz, a ja pański animusz admiruję.

CHORAŻY.

Animusz, jak animusz, ale ty moję Wulkę admirujesz i chciałbyś mi ją wyrwać, wypieniaczyć... a bojąc się, bym komu nie sprzedał, jak cień mnie ścigasza...

DYPLOWICZ.

Ja! ja! panie Chorąży! klnę się...

CHORAŻY.

Nie klnij się, do stu basalyków, a w oczy mi nie leż.

DYPLOWICZ (*klania się i umyka do kąta*).

SZMUL (*który w czasie rozmowy stał zamyślony*).

A co będzie?

CHORAŻY.

Będę tu siedział i jadł.

SZMUL.

A waj! Rób Jegomość jak lepij—ale jak z tego będzie wantura, albo, chowaj Boże, krew pociecze... ja ręce umywam...

(*Basia płacze—ojciec ją uspakaja. Dyplowicz ręce zaciera... Szmul patrzy*).

SZMUL.

A że będzie wantura... to jest pewne... Jegomość Księcia nie lubi, Książę Jegomości nie kocha, Jegomość nie ustąpi, on nie pójdzie... a co po tego?

CHORAŻY.

Mnie się tak podoba... do stu basalyków...

SZMUL.

Won jest dobry ale impetyk... Czasem jak anioł, a czasem gorszy od samego dyabła...

CHORAŻY.

A ja gorszy od stu dyabłów!...

SZMUL (*wzdycha*).

Ot... kiedy nieszczęście przeznaczono na mojego dom i w taki dzień! (*do Basi cicho*) Niech panienka tatkę zapłacze... bo będzie wielkie nieszczęście.

BASIA.

Ale cóż ja nieszczęsna pocznę! Bylibyśmy pojechali zaraz, gdybyś mu sam nie powiedział bezpotrzebnie (*łamiąc ręce*). A teraz! Co tu począć? (*oczy zakrywa chustką*).

SZMUL.

Panie Kniaź Kurcewicz Kondratowicz... pan jesteś godny figura...

CHORAŻY.

Nie przekreślaj nazwiska! żydzie!—że jestem godny, to wiem i bez ciebie.

SZMUL.

Bądź Jegomość wspaniałomyślny, a ulituj się nad córeczką i nad Szmulem... Jak on tu was zastanie, jak będzie tylko dwa słowa, a od słowa do szabli... i krew, i na mój dom wielki smutek...

CHORAŻY.

Albo to nie karczma?

SZMUL (*urazony*).

Karczma? Co to karczma... to jest uczciwa austerye... Na co w niego ma być awantura? Książę ma z sobą stu ludzi, a oni wszystkie takie, że im tylko bij a siekaj jemu na salatę... Won jest dobry pan, ale oni was na szablach rozniosą...

BASIA (*klekając*).

Ojczel!

CHORAŻY.

Cicho! dziecko... Dyabeł nie tak straszny, jak go malują. Idź mi zaraz na górę i siedź spokojnie. Mnie się nic nie stanie. Burd nie lubię i nie robię, ale tchórzem nie byłem i nie będę... To darmo—zostanę tu... Znam go dawno ze słuchu, zna on mnie z humoru mego—trzeba się raz przecie spotkać w życiu i w oczy sobie spojrzeć.

BASIA.

Ach! ojczel drogi! Żyć z nim nie potrzebujemy, ani z nim wojny prowadzić, na co go jątrzyć?

CHORAŻY (*całując ją w czoło*).

Nie znasz widać szlacheckiej natury, Basiu. Ustępować ona z musu nie lubi. Z dobrej woli koszulę odda a pod naciskiem

prędzej życie, niż dumę... Ja jestem trochę więcej niż prosty szlacheiura, bo kniaź Koryatowicz... a Radziwiłła ojcowie moich w nogi całowali.—Popowiczowi nie ustąpię.

BASIA (*łamiąc ręce*).

O Boże! ratuj!

SZMUL (*z rezygnacją*).

No—co osądzone, to osądzone! Darmo gadać. Żeby Chorąży wprzód choć testament zrobił.

DYPLOWICZ (*na stronie cicho*).

A mnie Wulkę zapisał.

CHORAŻY (*krzykliwie*).

Milczcie mi! żydzie—jeść! tu! jeść! Jesteś, żebyś mi służył, nie żebyś mi radził.—Jeść, do stu tysięcy basalyków... bo karczmę spale!

SZMUL (*ucieka, Kniaź goni za nim do alkierza*).

SCENA III.

BASIA—DYPLOWICZ (*w kącie*).

(*Przez drzwi od podwórza w ubiorze podróżnym Szczuka*).

SZCZUKA (*sposztrzegłszy Basię, staje jak wryty*).

O Boże! co ja widzę! panna Barbara tu! jakimże wypadkiem?

BASIA.

Pan Józef? To może Pan Bóg zesłał was na ratunek (*przypatruje mu się i poznaje barwę Radziwiłłowską na mundurze*). Ale cóż to te kolory znaczą?

SZCZUKA.

Należę do dworu Księcia Wojewody.

BASIA.

Nowe nieszczęście... Jak ojciec mój zobaczy was w tej barwie—on, co i tak był wam przeciwny... wszystko zgubione...

SZCZUKA.

Najdroższa panno Barbaro...

BASIA.

Ojciec...

SZCZUKA.

Gdzie jest?

BASIA.

Tu, w tej chwili nadejść może. Co pocniemy?... wszystko stracone, gdy was zobaczy... Jak można było przywdziać tę barwę?

SZCZUKA.

Mógłbym przewidzieć, iż ona będzie niemiłą Chorążemu? Jam się łudził przeciwnie, iż się powagą Księcia podtrzymam i los mój poprawię.

BASIA.

Ojciec go nienawidzi...

SZCZUKA (*łamiąc ręce*).

Nieszczęśliwe przeznaczenie moje...

BASIA.

Uchodź pan, nim przyjdzie.

SZCZUKA.

Nie mogę, jestem przodem wysłany tu, by czekać na Księcia Wojewoda będzie za chwilę. Zaklinam panią, niech się uspokoi... Ja potrafię wszystko zwyciężyć — ja umrę, lub ty moją być musisz...

(*Słychać wrzawę w alkierzu. Basia się cofa ku drzwiom, udając, że nie spostrzegła Szczuki*).

SZCZUKA.

Gospodarz! Szmul? Gdzie Szmul?

S C E N A IV.

CIŻ I SZMUL (*wpada, a za nim tuż*) CHORAŻY.

SZMUL.

Sluga pana koniuszego! co pan każe?

SZCZUKA (*niby nie widząc Chorażego*).

Książę Wojewoda nadjeżdża za kilka minut... chce tu odpocząć, konie zmachane! siana i owsa dla dworu, żeby było co zjeść...

CHORAŻY (*który wszedł niosąc misę z sobą, popatrzył na Szczukę, siada za stół i zaczyna jeść*).

SZMUL.

Wszystko jest—to jest wszystko było...

(*ręką pokazuje po cichu Chorażego*).

SZCZUKA.

A izba wolna dla Księcia?

SZMUL (*pokazuje ciągle Chorażego*).

Izba... była... fein... czysto... spokojnie... pachnąco... ale... won... zajechał... i...

CHORAŻY.

Co ty tam gadasz?

SZMUL.

Niczego, niczego.

(*rusza ramionami i oczyma pokazuje Chorażego*).

SZCZUKA (*zachodzi z przodu i kłania się*).

Czołem panu Chorażemu!...

CHORAŻY.

Czołem? he? A! to waszeć, panie Szczuka. Ledwie poznał.. Cóż to to? przebrałeś mi się jakoś.. w liberyą... bardzo do twarzy?...

SZCZUKA.

To mundur przyjacielski...

CHORAŻY.

Piękny, niema co mówić! (*Do Basii*) Idź wacpanna na górę! idź! proszę! niema tu co robić dla acanny!

(*Basia blagajaco spogląda na Szczukę i wysuwa się*).

SZCZUKA.

Poprzedzam Księcia Wojewodę, jako pełniący obowiązki koniuszego.

CHORAŻY.

To nie przy psiarni jegomość! proszę!

SZCZUKA.

Panie Choraży...

CHORAŻY.

Winszuję! jest przecie koronny, musi być i Radziwiłłowski koniuszy. Winszuję.

SZCZUKA.

Poprzedzam Księcia... tylko co go nie widać.

CHORAŻY.

Chciałbym, żeby go było widać—ciekawym...

SZCZUKA.

Książę lubi być sam na popasach.

CHORAŻY.

I ja lubię być sam na popasach... a jednak śmierzącego Dyplowicza znoszę.

(*pokazuje nam ręką*).

DYPLOWICZ (*z kąta*).

Panie Choraży... stopki całuję.

SZCZUKA.

Pan Choraży tu już dawno popasa?

CHORAŻY.

A wy tu długo popasać myślicie?

(*je ciągle z misy*).

SZCZUKA.

Jak pan nie łaskaw na mnie! czym zasłużył?

CHORAŻY.

A wam na co moja łaska, wszak macie łaskę księcia. Na dwóch łaskach, jak na dwóch stołkach, siedzieć nie dobrze.

SZCZUKA.

Cóżem ja zawinił?

CHORAŻY.

Dalipan nie — tylko ani znajomości ani konfideneyi ze mną i z panną Barbarą nie życzę sobie. Do kroćset basalyków... Jeszcze z tą liberyą!

SZCZUKA.

Cóżem zawinił?

CHORAŻY.

Do kroć sto basalyków, nie, mówię nie. Daj mi święty pokój, a nie kręć się tam, gdzie my jesteśmy, bo ja szablą muchy spędzam...

SZCZUKA (*łagodnie*).

Panie Choraży! Ja wszystko zniosę od pana... pan wie, dla czego...

CHORAŻY.

Wiedzieć nie chcę.

SZCZUKA.

Raczej posłuchać.

CHORAŻY.

Słuchać nie chcę.

SZCZUKA.

Książę Wojewoda nadjedzie, panowie z sobą źle od dawna, on gorączka...

CHORAŻY.

A ja jestem febra i z gorączką... Gdyby Lucyfer z Belzebubem mieli zajechać, nie ustąpię. Słyszysz? Dajże mi jeść spokojnie i wara z nosem w to, co ja robię, się wścibiać.

(*Basia wygląda z alkierza dając znaki Szczuce*).

SZCZUKA.

Zaklinam pana Chorażego.

SZMUL.

Już ja jemu kłamię — i nie pomogło...

(*trzęsie głową smutnie*).

SZCZUKA (*cicho*).

Chyba sam Pan Bóg odwróci nieszczęście! Są zrzádenia boże... Któż wie? może to wyjdzie na lepsze... W każdym razie ojcu Basi, choćby życiem nałożyć przyszło, krzywdy uczynić nie dam.

CHORAŻY (*jedząc*).

Co tam mruczysz, koniuszy Szczuko? he? Ja mruków nie lubię... Idź waszeć czekać swego protektora u progu... bo się z gniewu kością udławię, a właśnie szczukę*) też jem... i dosyć kiepska...

*) Szczuka po staropolsku — szczupak.

S C E N A V.

(*Słychać wrzawę i tętent koni za drzwiami, wołanie, krzyki, potem chód żywy... Drzwi roztwierają się na rozcież, RADZIWIŁŁ wchodzi, za nim dwór jego*).

DYPLOWICZ (*w kącie woła*).

Jadą! jadą! przyjechali!

SZMUL (*lata przestraszony szukając tacy, porywa ją, niesie ku drzwiom drżący... Choraży je, nie ruszając się i nie oglądając*).

BASIA (*z alkierza wygląda i woła*).

Ojczel! Książę!

CHORAŻY (*odpowiadając jej*).

Basia na górę i cicho siedzieć! Basia na górę i ani mi się rusz! Bądź spokojna tylko, Kurcewicz siekali, ale ich nie siekano... twardzi są...

(*W czasie tej chwili zamieszania, Książę stoi we drzwiach i patrzy na Chorażego i Szmula*).

SZMUL.

A waj! co to będzie!

KSIAŻĘ.

A to co? panie kochanku? Któż tu sobie pod tę porę tak poufalutko do mojej karczmy zajechał? Panie kochanku... jakby w domu...

SZMUL (*zmieszany podając półmisek*).

Jaśnie oświecony Księci Jegomości — uniżenie kłaniam... Jak słońców... jak bez słońców trawa... Jak królów Salomona i Dawida... a waj! wielki purym dla nas, kiedy Książę Jegomości nam swoim sługom... powraca... Vi-vat!

KSIAŻĘ (*klepiąc go po ramieniu*).

Dziękuję, panie kochanku, za oracyę, ani-by jezuita lepiej nie potrafił... a wolałbym, panie kochanku, karczmę bez oracyi, byle niezajętą.

(*Podchodzi zwolna do stołu i spogląda z góry na Chorażego, który je, wasy ściera, potem zwolna głowę podnosi i spogląda mu oko w oko.*)

Hm! Panie kochanku—Dzień dobry waszeci.

CHORAŻY.

Hm, sto basałyków! dzień dobry asanu.

KSIĄŻĘ.

Nie zna mnie, panie kochanku, to zabawna rzecz... panie kochanku... Jak się zowiesz? możebyś poszedł sobie gdzieindziej jeść.

CHORAŻY.

Do stu basałyków, dlaczego?

KSIĄŻĘ.

Bo jabym tu jadł, panie kochanku...

CHORAŻY.

Czy jegomość wiesz, że do szlachcica mówisz?

KSIĄŻĘ.

A kto u nas nie szlachcic, panie kochanku? Ale widzisz, panie kochanku, racya fizyka—choć ty jesteś szlachcic, to ja przecie jestem Radziwiłł, panie kochanku, wojewoda wileński.

CHORAŻY (*głowę podnosząc tylko, ale siedząc ciagle*).

A! to wy jesteście Radziwiłł panie kochanku! No proszę! Nigdybym się tego był nie spodziewał... gdzieś na peregrynacyi brzucha stracił, czy co? Ale kiedy mnie zaszczyliliście rekomendując się, słuszną, bym się ja także wam odrekomentował. Jestem książę Hrehory Koryatowicz Kurcewicz, choraży lidzki, z rodu książąt litewskich..

KSIĄŻĘ (*stoi chwilę zamysłony*).

Co? co? ho? ho? jakiego rodu?... Terefere kuku, strzela baba z łuku! panie kochanku, witam Książa.

CHORAŻY (*kłania się głową*).

Ja też witam i kłaniam Księciu Wojewodzie.

KSIĄŻĘ (*stoi, milczy, patrzy na swoich—Cisza*).

Hm! co panie kochanku?

CHORAŻY.

Nie do stu basałyków (*zajada*).

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza*).

Co ty myślisz, Wołodkowicz, czyby go kazać za drzwi wyrzucić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ.

Ja sędzę, że on i sam wyjdzie.

KSIĄŻĘ (*półgłosem*).

Gdzie tam, ja jego ze słuchu znam, panie kochanku! To ten waryat z Siennój Wulki... On ma ząb do mnie, a ja do niego... bośmy sobie psy gończe łapali i wieszali. Patrzajże, Wołodkowicz, ledwie nogą na nieświeską ziemię stąpił, zwierzyna, panie kochanku, jest! A ja panie kochanku, od tego ostatniego wypadku, gdy księcia Murzynów w Tunis rozplątałem jak szczupaka na dwoje, nie mam najmniejszej ochoty do takiego polowania. Tak mnie czarną krwią obryzgał, że się odmyć nie mogłem... (*myśli*) Gdyby go kazać upiec dla was na pieczyste?... Za chudy, panie kochanku, wy do tuczonych przywykli...

WOŁODKOWICZ

Same kości, mości Książę—my go nie będziemy jedli.

KSIĄŻĘ.

To dla psów, panie kochanku.

WOŁODKOWICZ.

Niegłodne. No i mogłyby nosacizny dostać, bo on ma muchy w nosie.

(*W ciągu tej rozmowy półgłosem, Choraży zajada z talerza nie oglądając się*).

KSIĄŻĘ.

Ależ, panie kochanku, ja sam ustąpić nie mogę—to się tak nie skończy. Spróbuję—panie kochanku—łagodnie.

(*zbliża się zwolna i opiera na stole*).

Co tam, panie kochanku, słychać w dobrach Książa?

CHORAŻY.

A co? lepij niż w Nieświeżu—Księcia Radziwiłła kradną, a mnie nie, bo u mnie niema co kraść i obrazy bożę, niema.

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza cicho*).

Ściał mnie, panie kochanku. (*Do Chorażego*) Asindziej, panie kochanku dawno już w tych stronach?...

CHORAŻY.

Nie tak bardzo.

KSIĄŻĘ.

Widać to, panie kochanku, sąsiadów waszych nie znacie, a toć byście słyszeli, wiedzieli, panie kochanku, że żaden Radziwiłł w kaszę sobie płuć nie da.

CHORAŻY *(spokojnie)*.

Już to prawda, żem snadź nie dawno, kiedy mnie też Radziwiłł nie zna i bierze za spokojnego pieska, co na dwóch łapkach służy, a ja jestem dzikie wilezysko!...

KSIĄŻĘ *(do Wołodkowicza)*.

Znów mnie ściał, panie kochanku. *(Do Chorażego)* Widzisz asindziej, Radziwiłłowie kury czubate... mówią o nich Rad-żywiłł, a nie powie nikt Rad-zjadł... bo cierpliwości braknie... i straszne gorączki... panie kochanku... jak im kto dopieczę...

CHORAŻY.

To co?

KSIĄŻĘ.

Gotowi na wszystko—panie kochanku.

CHORAŻY.

A Kurcewicz są takiego gniazda, że nie czekają, żeby im kto dopiekl, sami pieką.

KSIĄŻĘ *(do Wołodkowicza)*.

Niech go kaczki zdepcą, panie kochanku. Szlachcie jak kamień, ani ugryść. *(Do Chorażego)* Pieką! pieką! ale mój panie, co Kurcewicz z Siennój Wulki może zrobić Radziwiłłowi na Nieświeżu?

CHORAŻY.

A co Radziwiłł na Nieświeżu może zrobić Kurcewiczowi na Siennój Wulce?

KSIĄŻĘ.

Co? oto ja, panie kochanku, powiem ci. Jak mu rezon przyjdzie, może spędzić tłokę, Wulkę rozniesć, zorać, solą posiać i... ani śladu, gdzie Kurcewicz się gnieździł.

CHORAŻY.

Proszę! proszę do stu basalyków... Wszak ci to wszystko może być prawda!... ale ja wam powiem, co potem. Radziwiłła pozwa o gwałt i rozbój przed trybunał, a że u nas są i pocziwi sędziowie, osądzą go na gardło. Toć to u nas ścinali i senatorów, a powinowaty wasz Zborowski skończył na pieńku...

KSIĄŻĘ.

Asindziej, panie kochanku, próbujesz mojej cierpliwości, ale już ję mało co jest.

CHORAŻY.

Zdaje mi się, iż Książę żartujesz sobie z siebie albo ze mnie. No—z siebie Księciu wolno, ale ja uprzedzam, że żartów nie lubię.

(odwraca się).KSIĄŻĘ *(do Wołodkowicza)*.

Co tu z nim robić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ.

Dać mu tam pokój.

KSIĄŻĘ.

Nie mogę, panie kochanku—daj ty kurze grzędę... nie mogę. *(zbliża się z ręką na szablę)* Słyszysz asindziej—fora ze dwora! albo... panie kochanku...

CHORAŻY *(spokojnie zawsze)*.

Słyszysz, Radziwiłł, w karczmie każdy pan. *(Uderza po szablę)*. Jeśli ci się zachciało bigosu...

KSIĄŻĘ.

Toć i ja mam siekacza, panie kochanku.

CHORAŻY.

A no to się sprobujemy, byle gra równa była... bo już cię we stu na jednego to rozbójnicza rzecz, nie Radziwiłłowska.

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku, tego już nadto.

CHORAŻY.

Ja też sędzę tak!

KSIĄŻĘ *(do swoich)*.

Tnie mnie i tnie... a asanowie mnie nie sukursujecie, panie kochanku... Co z nim robić?

WOŁODKOWICZ.

Ale splunąć i porzucić... *(Na stronie do Chorażego)* Jedź waszmość, bo się zgubisz...

CHORAŻY.

Jak się zgubię, wacpan mnie szukać nie będziesz...

KSIAŻĘ (*dobrywając szablę*).

Ta sama jeszcze, com nią księcia rozplatał...

CHORAŻY (*dobrywając swoją*).

Koryatowiczówka! pokaż, co umiesz.

(*składają się do pojedynku*).

SCENA VI.

CIŻ—BASIA (*wpada zdyszana*).

KSIAŻĘ (*spostrzegłszy ją*).

Tylko nam tu, panie kochanku, baby brakło...

BASIA (*do księcia*).

Mości Książę—a czyż to się godzi, na własnej ziemi, w gospodarstwie?

KSIAŻĘ.

A cóż asińdzka chcesz, panie kochanku—ja zostałem wyzwanym, on mi despekt wyrządził.

BASIA.

Mój ojciec?

KSIAŻĘ (*na stronie*).

Ojciec taki szpetny, a córeczka taka ładna!

BASIA.

Mój ojciec? Mości Książę, to być nie może, ojciec mój nigdy nikomu w życiu złego słowa nie powiedział, a mógłżeby Księżciu, którego wszyscy znamy tylko z jego dobrych czynów, coś niemiłego rzec?

CHORAŻY.

Tylkoż ty, sroczko... fora stąd!... oto mi adwokat nieproszony...

KSIAŻĘ (*na stronie*).

I ładna i niezgo w gębie...

BASIA.

Ja się domyślam, o co pójść mogło—ojciec mój zajechał tu wprzód—trudno mu było dać się arendarzowi wygnać—przecież w książęcej gospodzie dla wszystkich miejsca dosyć, Mości Książę?

KSIAŻĘ.

Ale dalipan, panie kochanku, moja panienko, jam niewinien...

CHORAŻY.

Nie zaczepiam nikogo, nie ustąpię nikomu.

BASIA (*zasłaniając sobą ojca*).

Mości Książę... tyś szlachetny i dobry...

KSIAŻĘ (*chowając szablę*).

Ale bądź wacpanna spokojna, nikt się przy płci białej nie rąbie... Nie tu, to tam, panie kochanku, jakoś Pan Bóg da, że się zobaczymy...

BASIA.

A gdy Książę go poznasz lepiej, to mu podasz dłoń.

KSIAŻĘ.

Coś mi się nie widzi!

CHORAŻY (*chowając szablę*).

Tak, Mości Książę... Góra z górą się nie zejdzie, ale ludzie...

KSIAŻĘ (*markotno do dworu*).

Na koń! na koń! znajdziemy przecież gdzieś popaść... stara to szkolna maksyma... Kto komu ustąpi, panie kochanku...

(*Idzie ku drzwiom, odwraca się i mówi*).

Do widzenia, Kniaziu!

CHORAŻY.

Do widzenia, Wojewodo!

KSIAŻĘ.

Spotkamy się...

CHORAŻY.

Do usług...

KSIAŻĘ.

Czołem...

CHORAŻY (*ręka w bok, dłubiąc w zębach*).

Czołem...

(*Po wyjściu Księcia Choraży w ślad idzie za nim i wychodzi za drzwi*).

DYPLOWICZ (*wysuwa się za nim*).

BASIA (*sama, padając na ławę przy stole*).

O mój Boże! To cud twój łaski! Ocaliłam ojca... ale moje nadzieje... on... w libery?... wszystko stracone!... Klasztor mi został tylko. Ojciec nie dopuści go na próg swojego domu... a jam cudu nie warta! Biedny Józef... Na wieki...

(*zasłania oczy*).

SCENA VII.

KASIA—SZCZUKA (*wpada drzwiami od sieni i staje przed nią*).

SZCZUKA.

Panno Barbaro! słowo jedno, spojrzenie... słówko otuchy i nadziei.

BASIA.

A! to wy! Nadziei? nie mam jej sama... stracone wszystko... Uciekaj pan, bo gdy ojciec was tu zobaczy...

SZCZUKA.

Nie przyjdzie... będzie stał, póki księcia na gościńcu nie dojrzy... Pozwól mi pani rzec dwa słowa...

BASIA.

Tak, chyba ostatnie, bo się już więcej nie zobaczymy w życiu...

SZCZUKA.

Ja mam nadzieję.

BASIA.

Ja—żadnej. Nie znasz pan ojca mojego, teraz gdy was widział na dworze księcia... dom nasz zamknięty dla was.

SZCZUKA.

Miłość go moja otworzy, byleś mi Pani sprzyjała...

BASIA.

Co ja mogę? chyba się we łzy rozpłynąć.

SZCZUKA.

Pani—zostaw mi serce tylko, do mnie należy stworzyć przyszłość. Ja ich pojednam, ja zbliżę, ja pogodzę... poruszę wszystko, dam życie...

BASIA.

A i życie?...

SZCZUKA.

Tak! życie dla was... jeśli będzie trzeba — bo bez was i ja bym żyć nie potrafił. Wierz mi pani, kto kocha, ten najstraszniejsze zwycięży przeszkody...

BASIA (*podaje mu rękę, którą Szczuka całuje—w tej chwili wchodzi Choraży i zobaczwszy Szczukę, woła:*)

SCENA VIII.

BASIA (*ucieką do alkierza*).—CHORAŻY—SZCZUKA.

CHORAŻY.

Hola, panie kawalerze, hola! Co mi tam waś tak się kręcisz koło mojej córki?... Ruszaj do Radziwiłłowskich respektowych panien—tam dla ciebie stosowniejsze towarzystwo... Słyszysz, panie Koniuszy, proszę mi nie wchodzić w drogę. Ja tego nie lubię. Koło Basi mi się nie kręć, bo to nie dla Waszeci, nie, nie i po sto razy nie!

SZCZUKA.

Panie Choraży dobrodzieju, chciej być dla mnie łaskawszym, nie zawiniłem przecie, żem się do Księcia Wojewody zbliżył, bom mu koligatem i krewnym.

CHORAŻY.

No, na zdrowie! ja Szczukę tylko na półmisku znam, a w domu mi cuchnie. (*Wola*) Basiu! jedziemy. (*Do Szczuki*) Proszę to sobie z głowy wybić... proszę... obliguję i radzę....

(Basia wychodzi ubrana, Chorąży nie dając się jęj nawet pożegnać, wskazuje drogę do drzwi i sam idzie za nią. Odwraca się w progu i mówi do Szczuki).

Do nóg upadam pana Koniuszego.

SZCZUKA *(kłania się nisko w milczeniu i odchodzi).*

SCENA IX.

DYPLOWICZ *(sam).*

Trzeba zdążyć za nimi... Człowiek musi pracować... Żeby mi się tylko ta Wulka nie wymknęła... bo Kurcewicz ją sprzedać musi... Postawię świecę funtową przed Panem Jezusem, gdy się spełni moje najgorętsze życzenie... Wulka musi być moja. Nie dam jęj nikomu. Chorąży już bokami robi... bankrut... w spiżarni wszyscy z głodu zdychają... Wulka musi być moja. Panie Boże, ty widzisz serce moje, jam w tobie położył nadzieję! Ty dopomóż! Dam srebrne wotum... Klnę się, że dam... do słuckiej fary!...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Ganek w zamku nieświeskim; dokoła widać zabudowania obszerne. Wschody od ganku wychodzą na scenę. Na podwyższeniu siedzi Książę Karol w białym kitlu. Przed nim Dypłowicz w pół zgięty z czapką w rękę. Dwór księcia przechadza się w cichej rozmowie na przodzie sceny, tak, że jedni znikają za kulisami, drudzy wchodzą.

SCENA I.

KSIĄŻĘ.—DYPLOWICZ.—DWÓR KSIĘCIA.

DYPLOWICZ *(z niezmierną czołobitnością; mówi kłaniając się do kolan i podnosząc często z admiracją ręce do góry).*

Mości Książę! Byłem świadkiem całego tego proceduru Chorażego, to człowiek pychy szatańskiej... to niegodziwiec i zuchwalec... Żeby śmiąć Księżu, dobroczyńcy naszemu, co jesteś słoncem i luminarzem naszym... stawić się tak hardo...

KSIĄŻĘ.

Nie to, nie, przyjdzie, panie kochanku, koza do woza...

DYPLOWICZ.

Przyznaję się, że jabym na miejscu Księcia, nauczył pyszałka...

KSIĄŻĘ.

Czy wy, panie kochanku, w sąsiedztwie tam drzecie się z sobą?

DYPLOWICZ.

A! on mnie drze, ja jego nie mogę *(wzdycha)*. Po co jemu ta Wulka, on dawno ją sprzedać powinien, ja mam drugą połowę...

Proszę się go, — i nie, i nie. A potem żyd to weźmie, albo lada kto...

KSIAŻĘ.

A to, panie kochanku, wam się chce wziąć?

DYPLOWICZ (*wzdycha*).

Cóż, kiedy nie mogę... Ja myślałem, że W. Ks. Mość mi pomożesz... Co to Księżciu znaczy, zajechać, szlachcica wypędzić, a potem mnie oddać.

KSIAŻĘ.

Toćbym, panie kochanku, zajechawszy musiał basarunek zapłacić!

(*śmieje się*).

DYPLOWICZ.

A co księżciu, takiemu magnatowi, szkodzi zapłacić?... I ot, jabym miał Wulkę, Chorąży pieniądze, a książe pan satysfakcyę...

KSIAŻĘ.

Asindziej, panie kochanku, doskonały jesteś do rady... cha! cha!...

DYPLOWICZ (*ręce zacieraając*).

A żeby jeszcze staremu dać na kobiercu pięćdziesiąt...

KSIAŻĘ.

Słuchaj, panie kochanku... niebezpieczna gra! mówisz o bizu-nach... tu niema komu dać, a jak mnie rozłakomisz... to ci każe wsypać panie kochanku.

DYPLOWICZ (*cicho*).

Po czemu jeden? Mości Książe.

KSIAŻĘ (*śmiejąc się*).

Ten mnie bawi, panie kochanku! ten mnie bawi! Co za szkoda, że pieniędzy nie mam!

DYPLOWICZ (*klaniając się*).

Ja pokredytuję...

KSIAŻĘ.

Jeszczem, panie kochanku, takiego kpa w życiu nie widział! cha! cha!

(*po chwili*).

Słuchajno Dypłowicz, czy ty kiedy o moich podróżach i peregrynacyach słyszałeś? Tak mi się podobaś, że ci gotów jestem cokolwiek opowiedzieć.

DYPLOWICZ.

Nazbyt byłbym szczęśliwym i uhonorowanym, Mości Książe.

KSIAŻĘ (*głośno*).

No to posłuchaj, tylko uważnie, bo awantura osobliwa i uszu godna.

(*Dworzanie otaczają księcia i od pierwszych słów zaczynają słuchać z uwagą—Dypłowicz ciągle daje znaki podziwu*).

Było to trochę dawniej, kiedy się Radziwiłłowi ledwie wás wysypywał, panie kochanku... (*wzdycha*) lepsze czasy!... Jeszcze i apostołowie w skarbcu stali i dwanaście cegieł złotych było całych... Jużem był naówczas wyszedł z kondycyi, przestawszy słych... żyć za kuchtę u pani Gałęckiej, a przeniosłem się do Nieświeża; raz tedy raniuteńko, a była wiosna, wyszedłem do ogrodu... szukać ziela na maść dla chorąg kobyły, bom się na Ukrainie konowalstwa wszelkiego nauczył... Chodzę, aż spojrzę, słońce na mnie mruga osobliwie... jakby coś, panie kochanku, wiedziało... Wtém załopotalo coś skrzydłami, leci ptak i śpiewa mi nad głową: „Dzień dobry księżciu”... Patrzę, upuścił mi bilecik. Ptak był osobliwszy, bo chodził w okularach, miał buty czerwone i na łbie federpusz ogromny... Zbierałem się na odpowiedź... kichnął i poleciał...

WOŁODKOWICZ.

Żeś też W. ks. Mość nie miał flinty, aby go do gabinetu zastrzelić...

KSIAŻĘ.

Ty-bo, Wołodkowicz, zawsze mi przerywasz... panie kochanku, a mnie to myśli psuje. Podnoszę liścik.. pachnący jak róża. Patrzę, zaadresowany: Panu Miecznikowi do rąk własnych... na pieczęci królewska korona... Lak złoisty... Otwieram i znajduję, panie kochanku, romansowe oświadczenie od księżniczki Brambilli, córki króla Aldebarana, o której wiele mówiono, że miała siedm twarzy jedna od drugiej piękniejszych i co dzień w tygodniu brała inną.

DYPLOWICZ.

A! niech ją kaci porwą!

KSIAŻĘ.

Proszę, panie kochanku, nie przerywać!

WOŁODKOWICZ.

Jakże się ona w księżciu zakochała, kiedy Księżcia o tysiące mil widzieć nie mogła?

KSIAŻĘ.

Widzisz, panie kochanku, Wołodkowicz, jak mało wiesz, co na świecie się dzieje; oni w tym kraju mają takie perspektywy, ro-

bione z oczu ostrowidzowych, że przez nie widzą pchły na księżycu. Widziała mnie tedy przez perspektywę, gdy po ogrodzie chodził... i odtąd patrzała a patrzała, a że ręce ją bolały od trzymania perspektywy, służące ją ciągle podtrzymywały. List był z formalnym oświadczeniem.

DYPLOWICZ.

O to panie historia! a!

KSIĄŻĘ.

Poskrobałem się po łysinie, której wówczas jeszcze, panie kochanku, nie miałem... Co tu robić? niema rady, trzeba jechać, kulbacz Strzyżyszkę...

SZCZUKA (*ogląda się i wzdycha*).

KSIĄŻĘ (*do Szczuki*).

Szczuka nie uważał a ja cię będę egzaminu z tego słuchał! Kulbacz tedy Strzyżyszkę... ty, kochany Wołodkowiec, znalazłeś tę kłacz cudowną, lepszą od kobyłki Mahometa. Bywało, panie, skoczy... dwa susy ze Slonima do Lidy, z Lidy do Wilna dwa susy, panie kochanku. Wziąłem z sobą nieboszczyka Parcewicza z tyłu w troki, żeby było komu buty wyczyścić... i w imię boże, na noc do Smorgoń... Drugiego dnia byliśmy nad Bałtykiem, stąd okręt angielski zawiózł mnie, mijając Maderę i Madagaskar, do Egiptu...

WOŁODKOWICZ.

M. Książę, ależ geografia...

KSIĄŻĘ.

Tylko mi daj pokój z geografją. Geografia jest dla studentów, ludzie dojrzałi kpią z niej, panie kochanku... Trzeciego dnia wysiedliśmy na tej wyspie egipskiej w państwie Aldebarana... a już byłem zawiadomiony, panie kochanku, że tam przystęp niełatwy. Ojciec miał ją na oku, bo była nieco płocha... Stało na straży trzynastu krokodyłów, oswojonych i wyuczonych jak moje niedźwiedzie. Chodziły wszystkie na dwóch łapach, szarfy, u boku pistolety angielskie, panie kochanku, szpady, kapelusze stosowane i zegarki u pasa, żeby zawsze wiedziały godzinę; dawano im, panie kochanku, trzy razy na dzień po jednym tłustym bernardynie, panie kochanku (*ogląda się*). Oj! Chwała Bogu, że Katembrynka niema... Cóżem chciał mówić? (*do Szczuki*) Co ty tam patrzysz ciągle na bramę, słuchaj!

DYPLOWICZ.

A! taka piękna historia, jak żyję nie podobnego nie słyszałem...

KSIĄŻĘ.

Z temi krokodylami, panie kochanku, nie było innego sposobu, tylko trzeba było grać w karty, a kto przegrał, tego zjadły... tym sposobem skonsumowały kilkunastu zakochanych królewiczów i ze sześciu książąt... Każdy z krokodyłów, panie kochanku, w co innego grał, najstarszy w maryasza, drugi w makao, trzeci w warcaby... Szczuka! co tobie jest... nie słuchasz?

SZCZUKA.

Słucham, Mości Książę!

KSIĄŻĘ.

Pamiętaj, że jutro wezmę na egzamin, panie kochanku. U drzwi siedział wąż brzuchaty, który tabakę zażywał, i to tylko hiszpankę... dlatego miałem ciemierzycę w kieszeni, panie kochanku... Szczuka, co ci jest u licha?

SZCZUKA.

Ale nic, Mości Książę...

KSIĄŻĘ.

Przypatrz-że się, jak Dypłowicz słucha, to na wzór, panie kochanku, gębę otworzył, aż mu wnętrzności przez nią widać... a wy... w głowach pusto! Nie rozumnego nie chcecie posłuchać, żeby się czegoś nauczyć, panie kochanku... Ej! Szczuka, ja wiem, co się święci z tobą.

SZCZUKA.

Mości Książę, ale nic, słucham...

KSIĄŻĘ.

Tobie ta fertyczna Basia Kurcewiczówna wlaźła pod pachę... Ty dla niej głowę tracisz, panie kochanku...

SZCZUKA (*wzdychając*).

Muszę o niej zapomnieć...

KSIĄŻĘ.

Ja ciebie na wylot widzę, ty czekasz, panie kochanku, odpowiedzi z Siennój Wulki, od Kurcewicza, wiedząc, że wyprawilem tam posłańca...

SZCZUKA.

Co mnie do tego, proszę Księcia.

KSIĄŻĘ.

A kto mnie na to głupstwo namówił, jeśli nie ty?

SZCZUKA.

Ja? Czyż ja? Wasza książęca Mość nie uczyniłeś nic, czego-

by nie przystało uczynić Radziwiłłowi... Biedny szlacheć ma także w rodzie książęcą krew...

DYPLOWICZ.

Co za krew?...

SZCZUKA.

Im uboższy, tém mu dumę jego łacniej taki pan, jak Radziwiłł, przebaczyć może. Łatwiej Księżu pofolgować, niż jemu. Na Księcia nie powie nikt, że się zląkł albo poniżył, a z niego by się wyśmiewano...

DYPLOWICZ.

Nie mogę tego słuchać...

KSIĄŻĘ.

Nie źle mówisz, tylko zawsze na swoje koło, panie kochanku, wodę prowadzisz.

SZCZUKA.

Księżu przystało być wspaniałomyślnym i łaskawym...

KSIĄŻĘ.

Ty też pochlebca coś jesteś, panie kochanku... A no, tożecie mnie nabechtali, że po tej awanturze w karczmie, w której Radziwiłł ustąpił Kurcewiczowi, ja, Wojewoda Wileński, posłałem go jeszcze na barszcz prosić do Nieświeża...

SZCZUKA.

Toć po książęcemu, to po Radziwiłłowski, to po pańsku.

DYPLOWICZ.

Aż nadto Książę dobry, a na pochyłe drzewo... i kozy skaczą.

SZCZUKA (*cicho do Dyplowicza*).

Ja Jegomości to odslużę.

DYPLOWICZ (*wysuwa się w tył, kłaniając*).

Servus.

KSIĄŻĘ.

Teraz ciekawym, panie kochanku, co szlacheć zrobi?

SZCZUKA.

Przyjedzie i będzie spokój i zgoda.

DYPLOWICZ (*nieśmiało*).

Nie przyjedzie, ja go znam, jeszcze głupstwo powie...

KSIĄŻĘ.

I mnie się też widzi, że nie przyjedzie... Widzisz, Szczuko... dawniej, kiedyśmy to hulali, aż z czupryny kurzyło się, póki nie wylysiała, bywało i tak, że zaprosiwszy kogo, dał mu dwadzieścia pięć. Doktor Freind utrzymuje, że to nigdy nie szkodziło

nikomu... ale ludzie, panie kochanku, tak zbabieili, że tego teraz nie lubią. Kurcewicz może co słyszał i boi się.

DYPLOWICZ.

Jemuby i pięćdziesiąt nie szkodziło.

SZCZUKA (*do Dyplowicza cicho*).

Ja na waszeci spróbuję.

DYPLOWICZ (*odsuwa się*).

SZCZUKA.

Mości Książę, on się tego nie zleknie, bo mu i na myśl to nie przyjdzie. Książę słynie z gościnności i żalu do nikogo nie masz.

KSIĄŻĘ.

Mam żal, panie kochanku...

SZCZUKA.

Ale za cóż?

KSIĄŻĘ.

Za co, panie kochanku, za to, że ma taką fanaberyę! W Litwie, panie kochanku, od Wilna i Słonima do Białego Stoku i Brześcia oprócz Radziwiłłów fanaberyi takiej nikomu mieć nie wolno...

SZCZUKA.

On się ulagodzi...

KSIĄŻĘ.

Zobaczmy.

DYPLOWICZ.

To jeż, to zgaga, to ocet ten człowiek!

SZCZUKA.

Milez waćpan... (*Dyplowicz znowu się usuwa, Szczuka ogląda się*.) Otóż zdaje mi się, idzie Żura... który do Siennój Wulki był posłany...

KSIĄŻĘ.

Tak, to on sam, ale widzę już, markotny czegoś...

S C E N A II.

CIŻ i ŻURA (po podróznemu ubrany).

ŻURA.

Czołem Waszłej Książęcej Mości...

KSIĄŻĘ.

A co tam dobrego przynosisz, panie kochanku?

ŻURA (który spojrział na Szczukę).

Ot nie, Mości Książę... Szlachcica nie było w domu...

KSIĄŻĘ.

Co? co? Kto? ty? nie zastałeś go? Wiele lat jesteś u mnie na dworze?

ŻURA.

Trzeci rok, z łaski Księcia...

KSIĄŻĘ.

Ja myślałem, że dopiero drugi dzień, bo nie znasz służby, panie kochanku!

ŻURA.

Jakto, Mości Książę?

KSIĄŻĘ.

Jak możesz ty powiedzieć mnie: nie zastałem, panie kochanku? Co to jest „nie zastałem?” Gdzieżeś był? W Siennój Wulce?

ŻURA.

Ale kiedy go tam nie było.

KSIĄŻĘ.

Poproście Marszałka, ażeby ci wyliczył... coś wart.. ażebyś, panie kochanku, wiedział co robić w takim razie, panie kochanku, kiedy Książę posyła do kogo... Jedziesz do Siennój Wulki, niema, dokąd pojechał? Do Słucka. Ty za nim... niema go... dokąd ruszył? Do Wilna, ty do Wilna, do Warszawy, do Stambułu, bogdaj na księżyc, panie kochanku... (po chwili.) Ale to gorzej, panie kochanku, niż nie zastałem... bo ty łiesz... Żura, ja ci z oczów widzę, ciebie Szczuka łokciem tracił.

ŻURA.

Ale... nie, Mości Książę!

DYPLOWICZ (z tyłu, migając, że Żura kłamie).

KSIĄŻĘ.

Tys go zastał, panie kochanku... on tobie głupstwo powiedział, tys je zjadł i nie śmiesz się niem ze mną podzielić, panie kochanku. A powinieneś wiedzieć, że posłów ani ścinają, ani wieszają... tylko czasem w Turcyi na hak za żebro, żeby przewietrzyć...

ŻURA.

Ale Mości Książę...

KSIĄŻĘ.

Mów do biesa, mów, nie ci nie będzie...

ŻURA (wahając się).

To-bo taki człowiek...

KSIĄŻĘ.

A no, utrapienie, mów, jak było... nie nie zjadaj.

SZCZUKA (na ucho Żurze).

Zlituj się, nie jętrzą Księcia!

KSIĄŻĘ.

Szczuka.. proszę nie szeptać... idź ty mi precz.

DYPLOWICZ (na migi objawia swą radość).

KSIĄŻĘ.

Żura, mów całą prawdę, ja ją przełknę, gardło szerokie mam, żołądek dobry, strawię... a co potem z tego wyjdzie... zobaczymy, panie kochanku...

ŻURA.

To Mości Książę... Szlachcie strasznie zacięty...

DYPLOWICZ.

Nie mówiłem?

KSIĄŻĘ.

No, no, odpowiedź przypieprzył, ale ja się do papryki przyzwyczaiłem na Węgrzech, mów...

ŻURA.

Przybyłem do Siennój Wulki, do dworu.

KSIĄŻĘ.

To chlew, panie kochanku, nie dwór...

ŻURA.

Dworek ubogi, ale chędogi, szlachcie stał w ganku. Gdym konia do kolka przywiązał i submituję się, kazał zaraz miodu przynieść.

KSIĄŻĘ.

Dobry miód ma, panie kochanku?

ŻURA.

Nie zły, Mości Książę, nie dał przyjsć do słowa, pij...

KSIĄŻĘ.

Napileś się? panie kochanku...

ŻURA.

Trochę musiałem, potem zaraz z poselstwem, że Wasza Książęca Mość, pragnąc bliżej poznać sąsiada, prosisz go na barszczyk do Nieświeża...

KSIĄŻĘ.

A on co na to? panie kochanku?

ŻURA *(po chwili milczenia, cicho)*.

On na to, on na to...

KSIĄŻĘ.

A no, gadaj!

ŻURA.

On na to, powiedz Waszmość Księżciu Jegomości, że ja barszczu nigdy nie jadam...

KSIĄŻĘ.

Widzisz! to czemużes go na flaki nie prosił, panie kochanku?

ŻURA.

Książę kazał na barszcz...

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku, ty nie masz konceptu... A dalej co? mów do ostatnich fusów.

ŻURA.

Powiedział: kłaniaj się Księżciu Jegomości i powiedz, że jeżeli w barszczu smakuje, niech tu do Siennéj Wulki przyjedzie, dam takiego, aż mu się gęba wykrzywi...

KSIĄŻĘ.

O dla Boga! a cóż dalej?

ŻURA.

Powiedz, że ja w gościnie nie bywam, ale u siebie rad przyjmuję.

KSIĄŻĘ *(wstaje i siada poruszony)*.

Szalona palka! panie kochanku, on śmie Wojewodę Wileńskiego do siebie zapraszać, na barszczyk z rurą...

SZCZUKA.

Mości Książę!

KSIĄŻĘ.

Mileż-że ty mi, adwokacie nieproszony... Ja go nauczę, ja mu dam... tego już nadto, panie kochanku. Tu idzie o honor mojego domu!... Hej, pana generała prosić.

SZCZUKA *(rzuca się do Księcia z rękoma złożonemi)*.

Mości Książę, bądź dla niego wspaniałym, bądź szlachetnym... Stary oszalał... ale Książę...

KSIĄŻĘ.

Prosić pana generała...

SZCZUKA *(kłękając)*.

Mości Książę, zaklinam...

KSIĄŻĘ.

Ty mi nie włącz w drogę, panie kochanku, bo oberwiesz... panów senatorów moich! To tak mu nie ujdzie płazem...

SZCZUKA.

Ale cóż za grzech, że na barszcz prosił?

DYPLOWICZ.

To dopiero dobrze! lecę do Wulki... i tam czekam ewentów... Kurcewicz przepadł, a Wulka będzie moja!

(wymyka się).

(Słychać odgłos dzwonu. Zewsząd cisną się starsi ze dworu w mundurach albeńskich, marszałek dworu, komendant zamku, pułkownicy, milicya).

S C E N A III.

KSIĄŻĘ.—SENATOROWIE.—DWÓR.

KSIĄŻĘ *(stojąc woła)*.

Panowie Rady! do mojego boku! młodzież na ustęp! ważne rzeczy się traktować będą, Szczuka idź precz... *(Szczuka chowa się za słup w ganku.)* Siadajcie panowie... *(chrząka.)* Mnie wielce miłościwi panowie a bracia! Idzie o honor domu Radziwiłłowskiego... lada szerepetka, szlachcie na jednéj wioszczynie, kurzy mi pod nos bezkarne. Choraży ludzki, co nigdy chorągwi nie miał żadnej, Kurcewicz... który mi moje psy gończe wieszał, com mu przebaczył, zaproszony przeze mnie na barszcz, odpowiada kpinami... prowokuje mnie, panie kochanku!

KOMENDANT LARZAC.

Straszna zbrodnia! Mości Książę, ale ja nie sędzia, niech panowie radzą, a *brachium militare* wykona. Każecie ściąć, zetnąć, spalić, spaleć... na pal wbije, jeśli trzeba...

KSIĄŻĘ.

Niech panowie senatorowie nieświescy składają wota, co robić, panie kochanku? Pan Wołodkowicz ma głos.

WOŁODKOWICZ.

Moja rada się Księżciu nie podoba. Nie chciał barszczu jeść, mniejsza o to... plunąć i kwita...

KSIĄŻĘ.

Ale on mnie prosił na barszcz.

WOŁODKOWICZ (*śmiejąc się*).

No to jedźmy...

KSIĄŻĘ.

Ja? do niego? panie kochanku! niedoczekanie jego i—twoje. Wołodkowicz się zestarzał.

WOŁODKOWICZ.

Jest na Rusi przysłowie: koły moje ne w ład, to ja z moim nazad.

(*kłania się, siada i milczy*).

KSIĄŻĘ.

Wołodkowicz od niejakiego czasu na umyśle słabnie... Czy wazana jaka Omfala prząść uczy, panie kochanku?... Pan Kirkor ma głos.

KIRKOR.

Co tu długo radzić, nie chce szlacheic znać Radziwiłła, Radziwiłł może go nie znośić w Siennój Wulce... zrobić obławę, wypłoszyć go jak borsuka, dwór z dymem puścić, pole zasiać solą i postawić figurę z napisem: Za duszę Kurcewicza, proszę o trzy zdrowaśki!

KSIĄŻĘ.

Toby było bardzo dobre, gdybym ja jeszcze był miecznikiem litewskim, ale wojewodzie wileńskiemu nie ujdzie, panie kochanku.

KIRKOR.

Jak ścierpieć taką obrazę?

SZCZUKA (*z za słupa cicho*).

Czy godzi się jątrzyć?

KSIĄŻĘ.

Kto tam coś szepeze?... (*Wszyscy milczą*). Pan Puchała ma głos...

PUCHAŁA.

Na co palić i niszczyć?... posłać stu dragonii, szlacheica przywieść, położyć w złotej sali, śpiewać nad nim Miserere i bić, i bić, i bić...

KSIĄŻĘ.

I potem płacić? panie kochanku... Nie, nie mam pieniędzy. Dziś mi się Dypłowicz napraszał, ale to bizun najmniej 50 talarów kosztuje, a człowiek wstrzemięźliwości nie ma, panie kochanku. Nie, i to źle... Pan Kojałowicz ma głos.

KOJAŁOWICZ.

Mości Książę, trudna rada... trudna. Żeby mnie uchybił, wyzwałbym go na rękę i uszy poobeinał... ale Księżciu Wojewodzie nie wypada.

KSIĄŻĘ.

Mnie się ręka trzęsie, panie kochanku, a kto go tam wie, jak on ręką włada, byłaby tragiedya, a ja już od tragiedyi odwykłem... Pan Kiszka Ciechanowski ma głos.

KISZKA.

Myślę, myślę... ot, zrobiłbym tak, Mości Książę, wziąłbym szlacheica do dworu, posadził w ciupie i karmiłbym go jednym barszczem, dopóki o pardon nie prosił...

KSIĄŻĘ.

Dalipan dowcipnie, panie kochanku... ale jeżeli ma żołądek taki twardy, jak głowę, w Nieświeżu barszczu dla niego nie stanie... (*Spostrzega Szczukę*). Zdrada! zakradł się szpieg... słyszysz ty, chodź tu... Panowie Rady... kryminał! Szczuka słuchał, proszę na ustęp, ja się z nim sam rozprawię!

(*wszyscy wychodzą do pałacu, Szczuka staje przed księciem*).

SCENA IV.

KSIĄŻĘ. — SZCZUKA.

KSIĄŻĘ.

A co? złapali cię, bratku, na gorącym uczynku? słuchałeś?

SZCZUKA.

Słuchałem, Mości Książę.

KSIAŻĘ.

To zdrada...

SZCZUKA.

Nie, to miłość dla Waszój Książęcój Mości.

KSIAŻĘ.

Dla Basi...

SZCZUKA.

I dla niej i dla księcia, bo łaćno księciu źli ludzie złą radę dać mogli.

KSIAŻĘ.

Jakiś ty czuły dla mnie, panie kochanku!

SZCZUKA.

Księcia, jak ojca kocham, jak dobrodzieja szanuję.

KSIAŻĘ.

A jako szaloną palkę pilnujesz, żeby głupstwa nie zrobił, panie kochanku?

SZCZUKA.

Książę masz serce anielskie, ale złych ludzi rady, poduszczenia, namowy, podbechtywania mogą wciągnąć w sprawę, której sam Wasza Książęca Mość, pan mój miłościwy, żałować będziesz... Radziwiłł wyższym być powinien nad podobne... dziecinstwa...

KSIAŻĘ.

Tybyś powinien bernardynem zostać i kazania prawić, panie kochanku... Gadasz jak z kazalnicy, a głupiś...

SZCZUKA.

Nie, Mości Książę, co mówię, mówię z serca synowskiego, z prawdziwej miłości mój dla księcia, za którego życie dać gotów.

KSIAŻĘ.

A co zostanie dla Basi, panie kochanku?...

SZCZUKA.

Ona już moją nie będzie!

KSIAŻĘ.

A no, nie desperuj, panie kochanku... Radziwiłłowie nie takich żenili, jak ty... Ale gadaj, cóżbyś zrobił?...

SZCZUKA (*klękając przed nim*).

Książę mój! jabym się uśmiechnął, przebaczył i rękę podał zgorzkniałemu niedołą. Zważ Wasza Książęca Mość, że to człowiek wielkiego rodu, w upadku, w ubóstwie, w pogardzie; czyliżby nie przystało księciu dłoń mu wspinać wyciągnąć i...

KSIAŻĘ.

Rozumiem... Ożenić Waćpana z Basią, wyposażyć oboje... panie kochanku, a staremu puścić sto chat dożywociem...

SZCZUKA.

Tegoby on nie przyjął, Mości Książę.

KSIAŻĘ.

O! o! myślisz?

SZCZUKA.

Jestem pewny...

(*Radziwiłł myśli i uderza się po czole*).

KSIAŻĘ.

Dzwoń na radę, już wiem, co zrobię... dzwonić na panów senatorów...

(*Szczuka wybiega. — Dzwon się daje słyszeć, panowie Rady nadechodzą i okalają Radziwiłła*).

S C E N A V.

KSIAŻĘ.—SENATOROWIE.—DWÓR.

KSIAŻĘ (*stojąc, uroczystym głosem*).

Dostojni panowie Rady! Wysłuchawszy głosów waszych w sprawie, panie kochanku, ekstra-zawilęj, postanowiliśmy postąpić sobie wedle własnej myśli naszej. Zatem ogłasza się rozkaz dzienny... na jutro... Dwór, senatorowie i kto Albeńczyk ze mną na barszcz do Wulki, do Kniazia Kurcewicza...

SZCZUKA.

A! ja nieszczęśliwy.

KSIAŻĘ.

A że Radziwiłł bez okazałości takiego wysokiego rodu człowieka odwiedzić nie może, boby mu chybił, więc generał da nam do orszaku dwieście koni.

GIENERAŁ.

Na rozkazy Waszój Książęcój Mości.

KSIAŻĘ.

Sto kozaków dworskich...

SZCZUKA.

On go zję! na Boga!

KSIAŻĘ.

A dworzan pięćdziesięciu... Razem niech będzie trzysta do czterechset koni.

SZCZUKA.

Gdzież on ich tam pomieści? o Boże!

KSIAŻĘ.

A że J. M. pan koniuszy Szczuka dzwonił na zgodę, komenderujemy go jako kwatermistrza do Wulki, przodem, aby oznajmił, że się Radziwił Kurcewiczowi submituje, a spodziewa się, iż go po ludzku przyjmie.

WSZYSCY (*oprócz Szczuki*).

Vivat nasz Wojewoda! Vivat!

SZCZUKA (*ręce łamiąc*).

Ale Mości Książę?

KSIAŻĘ.

Panie kochanku, czegoż ty jeszcze chcesz? Chciałeś zgody? Będzie zgoda! Radziwił inaczej w gościnę nie jedzie... a na co go szlacheć prosił?

(*do dworzan*).

Weźmiecie panowie z sobą potrosze odzieży i po kilka koszul, bo ja tam zabawić myślę!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Izba w dworku szlacheckim uboga, ale czysta. Pułap z belkami. W pośrodku stół nakryty starym kilimkiem, u drzwi na prawo kąpielnica ze święconą wodą. Na ścianie obraz Chrystusa, na drugiej zbroja, szabla, łuk, kołczan, ławy okryte dywanikami i parę stołków, komin a nad nim stary zegar gdański. Wprost sceny drzwi jedne, drugie w prawo do alkierza.

S C E N A I.

CHORAŻY—BASIA.

BASIA (*chodząc po pokoju ręce łamie*).

Ojcie, kochany ojcie! jedźmy stąd, uciekajmy.—Ty wiesz, co przemoc wielkiego pana znaczy. On nas zgubi—jego dobra, jego ludzie, jego ziemie, jego wojska nas otaczają...

CHORAŻY.

Ależ wara przed prawem! Bezpieczeństwo publiczne prawo nam zastrzega! Czego ja mam się lękać? Ta to lękliwość nasza ich przemoc czyni tak ciężką. Kładli się ludzie plackiem przed niemi, chodzili im też po karkach... Zepsuto ich lokajstwem, podłością, pochlebstwy, dworowaniem — trzeba, żeby ktoś rozumu nauczył...

BASIA.

Czyż my to czynić mamy? Ojcie kochany! my słabi, biedni, mali, którym przyjdzie pierwszą paść ofiarą... Książę się popra-

wić nie da, bo nadto nawykł do panowania i swawoli. Jego gdy rozdrażnisz, nie powstrzyma nic—wyda nas na rzeź, a gdyby i sam nie chciał tego, rozpuszczony dwór domyśli się pańskiej woli.

CHORAŻY.

Nie będą śmieli! Wara! niedoczekanie ich! Koryatowicz także coś znaczy—imię stanie mi za tarcz...

BASIA (placze).

O mój drogi ojcze! ja truchleję o ciebie. Myśmy ubodzy, za nami nikt się nie ujmie, on možny, a z nim będą wszyscy...

CHORAŻY.

Z nami Bóg i sprawiedliwość! Cóżem ja mu zrobił? chyba że mu się kłaniać nie chce! toć nie kryminal—do kroć stu basalyków! Imponować sobie nie dam nikomu, ani się zjeść. Prędzej zje—sto dyabłów! (stuka pięścią o stół).

BASIA (patrzac przez okno).

A! a! (zakrywa oczy).

CHORAŻY.

I cóż tam znowu? co?

BASIA.

Nie, nie... ja nie wiem... (na stronie) Barwa Radziwiłłowska.. a! to on! on! Po co i z czém? (załamuje ręce) Ojca sobie narazi jeszcze więcej... Po cóż? po co?

CHORAŻY (zbliżając się ku oknu).

O, o! To pan koniuszy Szczuka! w swój lokajskiej barwie... Cóż to on się tu znowu wybrał w posty—chyba, żeby mi złość zrobić i na awanturę się narazić!

BASIA (po cichu).

Byle nie z czém złém! Ratuj Boże!

SCENA II.

CHORAŻY (staje naprzeciw drzwi), BASIA (cofa się do progu alkierza)
SZCZUKA.

SZCZUKA (z pokłonem).

Czołem panu Chorażemu...

CHORAŻY (ponuro).

A! witam asindzieja—witam! ale zarazem u progu muszę mu przypomnieć, iż go prosiłem, abyś mnie odwiedzinami zaszczycać przestał. Nie chce mi się w domu własnym grubianinem być—a muszę... (odwraca się) Panno Barbaro—na ustęp!

BASIA (spogląda błagająco na ojca, cofa się do progu alkierza, ale wygląda przez drzwi).

CHORAŻY.

Zatém powitawszy—żegnam! żegnam! Niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi...

SZCZUKA.

Przepraszam pana Chorażego, ja tu przybywam nie z własnej woli, ani dla własnej sprawy—posłem jestem. Stare to przysłowie, że posłów nie ścinają ani wieszają. Książę Wojewoda mnie przysłał.

CHORAŻY.

Znowu ten uparty popowicz.

SZCZUKA.

Książę Wojewoda Wileński Radziwiłł.

CHORAŻY.

Prosił mnie na barszcz—odmówilem—teraz pewnie na krupnik?

SZCZUKA.

Nie—panie Choraży—Książę naprzód uklon wam śle.

CHORAŻY.

Uklon? daj go katu, jaki mi się zrobił grzeczny!... a dalej?

SZCZUKA.

I powiedzieć każe, iż gdy do Nieświeża nie łaska, to on sam do Wulki zjedzie na zrazy.

CHORAŻY.

He? on tu? do mnie? Kpisz asindziej, czy drogi pytasz? on do mnie?

SZCZUKA.

Nie śmiałym w tak poważnej materii żartów stroić. Książę mi sam własnemi powiedział usta: Jedź tam, panie Szczuka, przodem i czekaj na mnie w Wulce. Nie chciał on do mnie się na barszcz pofatygować, to ja do niego przyjadę na zrazy.

CHORAŻY.

Cha! cha! Czy nie dowiedział się czasem, co na mojej szabli stoi napisano?

(zdejmuje ze ściany, wydobywa z pochwy i czyta pokazując).

Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki!

To mu się znać tych przypiekanych zrazików zachciało!
(chowa szablę i rzuca).

SZCZUKA.

Spodziewam się, że w Siennój Wulce i inne się dla dostojnego gościa znajdą.

CHORAŻY.

Będzie ze mną jadł to, co ja jem, bo ja nikomu nie dam nic innego, choćby Król Jegomość przyjechał... anim kogo głodnym odprawił, choćby zebraka. Kiedyż to ta łaska puńska ma nastąpić?

SZCZUKA.

Dziś zaraz... za godzinę tu być może.

CHORAŻY *(zwraca się ku alkierzowi—Basia się chowa).*

Hej! panno Barbaro! słyszysz asanna? Nie udawaj, żeś nie-słuchała! Książę Wojewoda na zrazy jedzie... Każde mu misę przygotować, a słono, a pieprzno, cebuli i majeranku dosadzić, aby Księciu Jegomości smakowało.

BASIA *(we drzwiach).*

Książę! tu! u nas! a czemuż my go przyjąć potrafimy? Chleb czerstwy! Mięsa mało... Ojcie kochany... Książę pewnie też sam nie przyjedzie... nie będziemy mieli co dać... Pan Szczuka grzeczny, powie, że nas nie zastał... a my z domu uchodźmy... jedźmy... uciekajmy!...

CHORAŻY *(trzęsąc głową),*

Ale zapewne! Jeszcze czego nie stało? *(do Szczuki)* A wielu ich tam z nim?

SZCZUKA *(cicho i smutnie).*

Książę Wojewoda, jak panu Chorążemu wiadomo, bez dworu się nie rusza. Najmniej trzysta koni, nie licząc przyjaciół, za nim jedzie...

CHORAŻY *(kręcąc wąsa).*

Trzysta! choćby trzysta, przecież nie ucieknę ani od niego, ani od tych koni... Do trzystu basalyków, niech przybywa choćby w tysiąc, gościnnie przyjmę, póki czém przyjmować stanie—Kurcewiczowi jeszcze na to nie zabraknie.

BASIA.

Ojczel dziś—ale jutro? co pocniemy jutro?

CHORAŻY.

Jutro boże, nie nasze, cicho tam! Ja mówię, że mnie stać na to... Wiele mówisz ludzi i koni?

SZCZUKA.

To trudno powiedzieć. Trzysta do czterechset—nie śmiałym Chorążego oszukiwać, ani przed nim tać.

BASIA.

Nuż... jeszcze zabawi dłużej! Mój Boże!

SZCZUKA *(cicho).*

Nie wiem...

CHORAŻY *(stoi zamysłony).*

Póki jest z czego starczyć, Kurcewicz z Siennój Wulki od gości uciekać nie będzie. Zastawim się, a postawim się... Pas ostatni... łyżkę ostatnią, ostatnią koszulę oddam, a wstydu sobie zrobić nie dam... *(myśli)* Wszak tu dziś był Szmul Słonimiec? *(wychodzi żywo wołając córkę za sobą)* Basiu—proszę ze mną! proszę!

S C E N A III.

SZCZUKA (*sam, chwytając się za głowę*).

Stałe się! Wszystkie moje starania wyszły tylko na to, żem ich—ocalić pragnąc—dobił, bo go ta zgoda do nędzy doprowadzi. Nie było sposobu wypłatać się z tej alternatywy, albo-by go był zniszczył i spalił w gniewie, albo z wielkiej miłości—zję. W czterysta koni posiedziawszy dni kilka, zdusi go w tym uścisku, zję Sienną Wulkę, jak zjadł niejedną wioskę szlachecką, choć potem sowiec ją zapłacił. Ale Chorąży nie od nikogo nie przyjmie i wyjdzie z kijem a z honorem... znam go! gotów własnej krwi upuścić, aby sobie wstydu nie dać uczynić. Wulka i oni... i Basia padnie ofiarą. Ale byłże sposób zaradzenia temu?... Żadnego niestety!—żadnego! Jedno z dwojga, albo... walka i przemoc... albo zgoda i nędza... (*wzdycha*) A jeśli Chorąży dowie się jeszcze, że to ja na tę nieszczęsną dzwoniłem zgodę—już się tu więcej i pokazać mi nie da...

S C E N A IV.

SZCZUKA—CHORĄŻY (*wraca zadumany, trąc czoło*)CHORĄŻY (*do siebie*).

Szum mi się jak na złość zawinał i wyjechał! Nie było co począć—wolałbym z żydem interes, ale żyda niema. Wstydu nie zniosę—będą mieli co jeść i pić do zdechu, choć-by mi głowę nałożył przyszło. Niech Wulka przepada, aby honor był cały! (*spostzegając Szczukę*) A waćpan tu jeszcze?

SZCZUKA.

Mam polecenie od Księcia, abym tu na niego oczekiwał...

CHORĄŻY.

Wiész asindziej co? świeże powietrze bardzo zdrowe... tu dworek ciasny i zaducha... Przeszedłbyś się może po dziedzińcyku, bo teraz mam wiele do czynienia i do mówienia bez świadków, a widzę właśnie, że powołany sąsiad Dyplowicz tu ciągnie. (*Do wychodzącego Szczuki*) A od panny Barbary prosiłbym... trzymać się zdaleka... zdaleka... Obliguję...

S C E N A V.

(*W chwili, gdy Szczuka wychodzi, wsuwa się DYPLOWICZ pośpiesznie temi samymi drzwiami, czapeczka pod pachą*).

CHORĄŻY (*do Dyplowicza*).

No, no, chodź, nie bój się, proszę—wszak sam po asindzieja posyłałem... nie ci się złego nie stanie, włos nie spadnie z głowy... Mam interes pilny...

DYPLOWICZ (*zginając się w uklonach*).

Che! che! Kochanego sąsiada! Szanownego pana Chorążego— a zawsze żartobliwy! Nóżeczki całuję... Kłaniam uniżenie—Ale cóż to za święto, że mnie wezwać raczyliście?

CHORĄŻY.

Zgadliście—święto! święto u mnie wielkie, honor nieposładni dla Kurcewicza, a Dyplowiczowi zysk—na wasz młyn woda...

DYPLOWICZ.

A! ja bo jeszcze młynka nie mam! nie mam...

CHORĄŻY.

Za to językiem i rękami mielesz dobrze...

DYPLOWICZ.

Che! che! wolne żarty! zawsze facecyjki, kochany Chorąży, nie-oszacowany! (*Chce go uściskać, Chorąży się cofa i ręce nadstawia*).

CHORAŻY.

Tylko zdaleka proszę, bez zbytniej poufałości! panie Dyplowicz... Pogadajmy na seryo, bo czasu do stracenia nie mam. Waś mi siedzisz pod bokiem w Wulce, jak lis na przemyku i czyhasz, kiedy ja ci w łapę wpadnę... Chciałbyś moję Wuleczkę polknąć? i smakuje ci...

DYPLOWICZ.

Ja? Kto? ja?

CHORAŻY.

No tak... Radbyś ją wziąć i to jeszcze po swojemu, psim swędem nabywszy...

DYPLOWICZ.

Panie Choraży? ja? ja? O Jezu miły! co za potwarz! jakie posądzenie! Panie Boże, tyś świadkiem niewinności mojej. *(oczy ocierając)* Ja, na cudze czyhać dobro? ja? *(bije się w piersi)* Tak to enota na świecie... tak...

CHORAŻY.

Proszę cię, nie lżyj i nie udawaj! My się przecie znamy jak łyse konie. Chcesz ode mnie Wulkę wyszachrować. Otóż twój patron, dyabeł, wyświadczył ci tę łaskę, że ją nastrecza—możesz, byleś chciał.

DYPLOWICZ *(zrazu gorąco)*.

Jakto? *(miarkując się chłodno)* Ja na Wulkę pana Chorażego ochoty nie mam! nie mam!

CHORAŻY.

A no, to tak-że mów! Nie masz ochoty, bywaj zdrów i pisuj do mnie na Berdyczów—znajdzie się więc inny, co ją zabierze... *(odwraca się)*.

DYPLOWICZ.

Ależ—za pozwoleniem! Panie Choraży! jeśliby to dla pana było dogodne... a warunki nie zbyt ciężkie... dla kochanego sąsiada... choćby ze stratą własną...

CHORAŻY.

Słuchaj, Dyplowicz... Gadać długo nie pora! albo we dwóch słowach skończymy, albo ty sobie pójdziesz precz... Mnie pilno. Wulki-bym za milion nie oddał, bo to z naszych wielkich dóbr ostatni ziemi szmatek, na grób przeznaczyłem sobie... Ale tu idzie o honor domu...

DYPLOWICZ *(cicho)*.

Same piaski i borowina.

CHORAŻY.

Borowina, piaski, błoto... może być! może!.. No—ale mnie to wszystko drogie, bo to święta ojcowizna! Milez ino, a słuchaj. Zaprosiłem Radziwiłła do siebie, wziął mnie za słowo, za pół godziny zjedzie tu z całym dworem, może w jakie trzysta koni.

DYPLOWICZ.

Jezu Nazareński! Radziwiłł tu! tu—on! Książę Wojewoda!

CHORAŻY.

Co dziwnego? Nie pierwszyna Koryatowiczom Radziwiłłów przyjmować—ale ja, panie sąsiedzie—goły... śpichrze, piwnice, śpiżarnie puste. Tyś sknera i dusigrosz, u ciebie wszystkiego pełno, bo ty wszystkiemi handlujesz. Mów więc a prędko, czy mi sprzedasz owies, siano, wino, piwo, miód, chleb... i co u ciebie jest, a czego mnie potrzeba?...

DYPLOWICZ *(kręcąc się)*.

Oho! To może więcej byłoby warto, niż cała Wulka wasza! Piaski takie...

CHORAŻY.

Cóż Wulka warta?

DYPLOWICZ.

Borowina... grunta jałowe... błoto... na pagórkach paproć rośnie. Ale że to o miedzę i że ja chcę kochanemu sąsiadowi w tej okazyi wygodzić, choćby z własną szkodą—Bóg widzi! Kiedy pan Choraży jesteś w takiem położeniu—muszę—cóż robić! muszę się poświęcić! za Wulkę dwa tysiące dukatów. Tysiąc na niej jest zapisane do Słuckiej fary, no—a tysiąc... niby...

CHORAŻY.

Mówisz więc tysiąc? Ja nie mam czasu się targować. Pal cię dyabli—Dyplowicz rób umowę lub ruszaj do kroć basatyków... Oto moje ostatnie słowo. Nie wiem, co moja Wulka warta i co warte twoje stęchlizny. Dasz mi siana, owsa, chleba, mięsa, wna, miodu, wszystkiego, czego te ciury Radziwiłłowskie zapagną—ale—w bród! Niech Kurcewicza znajdą! Nie żałując! Owies im na środku dziedzińca w kupę zsypać, beczki wytoczyć... wołu całego upiec... dwa... Musi być wszystko, czego dusza zażąda... Ja honor mój ratuję...

DYPLOWICZ.

Jabym chciał służyć Chorażemu — ale to z temi ludźmi! jak oni...

CHORAŻY *(spoglądając na zegar gwałtownie)*.

Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ.

Ale jeśliby oni...

CHORAŻY (*naciskając go*).

Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ.

Jednakże... gdyby... wszelako... jakoś...

CHORAŻY.

Po raz trzeci i ostatni... Zgoda lub...

DYPLOWICZ.

Cóż począć, poświęcam się! Zgoda! Choć ze stratą, byle wam dowieść przyjaźni szczerzej. (*kłania się*) Ale Wulka moja.

CHORAŻY.

Wulka twoja, a co u ciebie zapasów jest, to wszystko moje... S zlaheckie słowo?

DYPLOWICZ.

Co robić! Muszę się poświęcić (*wzdycha*).

CHORAŻY.

Czekaj—jedna tylko ekscpepya!

DYPLOWICZ (*chwytając go za rękę*).

A! żadnej żadnej ekscpepyi!

CHORAŻY.

Musisz mi dać sześć łokci ziemi w borze na pagórku... na grób dla mnie i sosnę na krzyż nad mogiłą...

DYPLOWICZ.

Panie Choraży! Pan mnie rozczulasz!

CHORAŻY.

A teraz, do roboty! żywo! żywo!

DYPLOWICZ (*na stronie*).

Ziemi i sosny nie przyrzekłem, będzie mi musiał dobrze za nie zapłacić!

(*wychodzi*).

S C E N A VI.

CHORAŻY—BASIA (*wybiega z alkierza*).

BASIA.

Drogi ojeze! Jam wszystko słyszała—cóż my pocniemy? gdzie się podziemy?

CHORAŻY (*z powagą*).

My jutro pójdziemy z kijem i torbami, ale honor Kurcewiczów obronim...

(*Dypłowicz stoi w progu wahając się*).CHORAŻY (*zwracając się do niego*).

Dypłowicz, jeszcze słowo.

DYPLOWICZ.

Jakto? jeszcze co? a...

CHORAŻY.

Nie, nie, tylko jedna dobra przyjacielska rada. Jeśli popelnisz jakie szachrajstwo, jeśli czego zabraknie, jeśli co zechcesz wykraść, jeśli ja się wstydu za Waszeci najem... jakem Kurcewicz... w łeb, jak sobace palnę... Bywaj zdrów..

(*Dypłowicz skuliwszy się, wzdycha i wychodzi — Choraży za nim*).

S C E N A VII.

BASIA sama, później SZCZUKA.

BASIA (*rzuca się na krzesło i płacze*)

Zgineliśmy, tak nasze chciały losy... spełni się, co Bóg przeznaczył.

SZCZUKA (*wsuwa się oglądając nieśmiało, z rękoma złożonemi*).

Panno Barbaro! lży wasze na moję duszę spadają, ja to jestem tego nieszczęścia przyczyną. Ja! Bóg widzi, że was ocalić chciałem i przejednać! Któż mógł przewidzieć taki koniec, zgodę taką!

BASIA.

A! biedny mój stary ojciec...

SZCZUKA.

Pani, jeśli was dotknie nieszczęście, wszak macie zagrodę moję, domek mój, wszystko, co się mojem zowie, waszém jest... Ja-m winien, ja niech pokutuję, a słodką mi będzie ta pokuta.

BASIA.

Możesz-że myśleć, iż ojciec mój od kogokolwiek bądź co przyjąć zechce? Całe życie strawił nosząc ubóstwo swe wysoko, i mnie nauczył wyżej cenić cześć niż szczęście... Ja pójdę do klasztoru, ale on! on!

SZCZUKA.

Panno Barbaro! jeśli wy wyjdziecie z Wulki, ja za wami, jak sługa wasz, choćbyście odpędzali, powlokę się jak pies wierny, bo ja bez was żyć nie potrafię. Ja-m téj zguby przyczyną, na mnie ratowania obowiązek.

BASIA.

Nas już nikt nie uratuje (*spogląda oknem*). A! mój Boże! co się tam dzieje! Kupy owsa... beczki toczą... Dypłowicz lata, ojciec się krząta... (*płacząc*). Zachciałeś Księżę zjeść Wulkę biedną... niech ci lży moje będą na... zdrowie... (*do Szczuki*). Odejdź pan! Ojciec się gniewać będzie, gdy was tu zastanie, na co mu żółci

dodawać!... Idź pan... żegnam go... żegnam... (*podaje mu rękę, którą Szczuka całuje*.) Bądź zdrów! bądź zdrów na zawsze!...

SZCZUKA.

Nie! stokroć nie! do widzenia, dziś, jutro... wszędzie i zawsze... (*Wychodzi—Basia pada na krzesło i zakrywa sobie oczy*).

S C E N A VIII.

BASIA. — DYPŁOWICZ.

DYPŁOWICZ (*wsuwając się*).

Za pozwoleniem czcigodnej panny Chorążanki, słoweczko ma-lusieczkie, jedno zapytańko...

BASIA (*zrywając się*).

A! dajże mi waćpan pokój!

(*Wchodzi do alkierza i drzwi za sobą zatrzaszka*).

DYPŁOWICZ.

Otóż to oni tak się ze swym zbawcą i dobrodziejem obchodzą! Czarna ludzka niewdzięczność! (*ogląda się i zaciera ręce*.) Ale mi się nie szpetnie udało! Pan Bóg mi zesłał tego Radziwiłła. Choć ściśle biorąc, nie jestem obowiązany dać świecy na ołtarz... ale, niech już i w tém będzie moja strata, dam! dam świecę... To przecież interes! (*myśli*.) Skąd on wiedział, że stęchlizna? Prawda! owies zatechły, ale konie się na tém nie poznają. Wino wodą podleję... trochę. Piwo kwaskowate, ale chłodzące... Interes nie bez kłopotu, ale zawsze dobry... Przecie raz sąsiada się pozbędę i dworek ten sobie zajmę... (*patrzy po izbie*.) Nie zły dworek... Cale nie zły dworek!

S C E N A IX.

DYPLOWICZ, KSIAŻĘ RADZIWIŁŁ *(w szarą długąj opończy, z podniesionym kołnierzem, biec w ręku, wchodzi pocichu się rozglądając, Dyplowicz poznawszy go, staje zdumiony i przerażony).*

DYPLOWICZ.

A słowo się stało!... Książę! Książę tu i w takim stroju?

KSIAŻĘ.

Cyt! cyt! panie kochanku! Nikt mnie nie poznał, bo i poznać nie byli powinni. Przyjechałem sam powożąc się jednokonną kalamazką, panie kochanku, ażeby zobaczyć incognito, jak mnie też szlachcie przyjmować myśli, panie kochanku...

DYPLOWICZ *(śmiejąc się).*

Co Książę pan wyrabiał! Stopki Księcia całuję i weneruję...

KSIAŻĘ.

Kurcewicz się, panie kochanku, suto i wspaniale sztyftuje... a mówili, że nic niema!

DYPLOWICZ *(żywo).*

Co on się sztyftuje? Czyż to on? Wspaniale! Cha! cha, Mości Książę! Czy Wasza Książęca Mość myślisz, że u niego co było? że on co miał? To hołysz! Dopiero jak się dowiedział, że Książę jedziesz z dworem, tak on do mnie, w prośby, w modły, ledwie, że po rękach nie całował... Dypeciu! kochanie!... ratuj! Bierz sobie Wulkę a dawaj im czego zażądają, ażeby wstydu nie miał...

KSIAŻĘ.

A ty co na to, panie kochanku?

DYPLOWICZ.

No cóż, co miałem robić? Człowiek nie kamień, sforsowany, naciśnięty, musiałem się zgodzić, choć z oczywistą stratą.

KSIAŻĘ.

Proszę! proszę! oddał ci Wulkę, panie kochanku, aby mnie przyjąć?

DYPLOWICZ.

A! oddał... ale to piaski... piachy!

KSIAŻĘ.

Proszę! panie kochanku! I ty taki poczeiwy byłeś, żeś wziął?

DYPLOWICZ.

Przez miłość bliźniego! bo to borowina, błoto i nieużytki...

KSIAŻĘ.

Wziąłeś, panie kochanku?

DYPLOWICZ.

Wziąłem, Mości Książę.

KSIAŻĘ *(po chwili namysłu).*

Toś—kiep, panie kochanku.

DYPLOWICZ.

Wolne żarty! dlaczego, Mości Książę?

KSIAŻĘ.

Boś jemu dogodził, a mnie skrzywdziłeś, panie kochanku.

DYPLOWICZ *(przestraszony).*

Ja! Księcia Jego Mości?...

KSIAŻĘ.

Tak! tak, panie kochanku! Skrzywdziłeś mnie... obraziłeś... Ja ciebie z bebeciami w kaszy zjem, ty nieponiu, panie kochanku!

DYPLOWICZ.

O Jezu miły! ale cóżem zawinił?

KSIAŻĘ.

Jakto? ty tego nie rozumiesz, panie kochanku? To ci piątąj klepki braknie... Jakżeś ty tego nie pojął, że ja właśnie na to kroilem, tego pragnąłem, ażeby się ten dumny szerepetka wstydział... A ty mi jego wstyd, całą moją satysfakcję z rąk wydzierasz... panie kochanku, trutniu jakiś... Ja się na tobie mścić będę, póki życia.

DYPLOWICZ *(pada na kolana i bije się w piersi).*

Mości Książę! miłosierdzia, litości! rozkaż, mów, co mam czynić? Niech i jego z Wulką dyabli wezmą.

KSIAŻĘ.

Co masz czynić, panie kochanku... Co? Czyż nie rozumiesz, tępa głowo! idź, co najprędzej! nim mój dwór nadciągnie, zabieraj nazad wszystko z dziedzińca do domu. Powiedz, żeś się oszukał, że umowę zrywasz, że nie chcesz...

DYPLOWICZ (*placząc*).

To on mi w łeb palnie!

KSIAŻĘ.

A jak ty mi tego nie zrobisz, co każe, panie kochanku, słowo Radziwiłłowskie, ja ci w łeb strzelę... Idź schowaj się, ludzi tylko pošlij, ażeby mi tu, panie kochanku, w pół godziny pruszczy owsa, kawałka chleba, kropki napitku nie było. Słyszysz, panie kochanku? Tak Radziwiłł chce i każe. Od Kurcewicza się wywiniesz, ale ode mnie! Ja takich, jak ty zgniotłszy na powidełka, do kieszeni chowam, panie kochanku!

DYPLOWICZ (*drżąc, całuje połe księcia*).

Ojcze mój, dobroczyńco! mięj litość nad nieszczęśliwym, nad żoną i dziećmi...

KSIAŻĘ.

Przecież nie jesteś żonaty?

DYPLOWICZ (*łkając*).

Ściśle biorąc nie, ale właśnie miałem się żenić i mieć wiele dzieci...

KSIAŻĘ.

Idź-że mi zaraz, panie kochanku, a rób, co kazałem...

DYPLOWICZ.

A jak on w łeb palnie?

KSIAŻĘ.

Nie trafi, panie kochanku, ja w tém, że nie trafi... idźże mi zaraz...

(*wypycha za drzwi*).

S C E N A X.

KSIAŻĘ (*rozglądając się*).

Ubożuchno, ale schludnie, a ten skurczypałka Dypłowicz całaby mi był satysfakcyę odebrał... Szczęściem, że się zapobieży, panie kochanku... Kurcewicz to dobra krew, którą muszę posza-

nować, panie kochanku! a za satysfakcyę znowu kieszeń Radziwiłłowska beknie... Ale jużcie i Szczuka coś wart i ten stary zabijaka mi się podoba, choć goły, ale z fanaberyą... Gdzież się on podziewa? Nikt mnie tu nie przyjął, nawet pies nie zaszcze-kał. Nie poznali mnie, panie kochanku, i nie przewąchali.. To mi się raz w życiu udało!

S C E N A X.

KSIAŻĘ (*chodzi, przypatrując się*).—CHORAŻY (*w progu alkierza, potem wchodzi do izby*).

CHORAŻY.

Któż to mi się tak bez ceremonii wkwaterował, nawet opończy nie zdjawszy?

(*Radziwiłł odwraca się*).

A czy mnie oczy mylą!

KSIAŻĘ (*klaniając się*).

Nie, panie kochanku! nie mylą... Wybrałem się incognito do szanownego sąsiada, jak cesarz Józef do carowej Katarzyny, panie kochanku... Nie chciałem kniaziowi robić kłopotu, więc zaprząłem sobie sam kobyłę do kałamaszki i choć trochę kulafa, panie kochanku, bo mi w Nieświeżu cała stajnia znosaciła i poochwacała się, przywlokłem się do waszeci, na te zrazy.

CHORAŻY.

Mości Książę... bez żartów, proszę, bez żartów.

KSIAŻĘ.

Ale bez żartów... panie kochanku... Widzisz asindziej, tego wojewodę wileńskiego ciągle nosić na karku, zacięży w końcu i znudzi, panie kochanku... Zostawiłem go w domu i sam bez niego do pana Chorażego przywlokłem się. Każ że gotować zrazy i tak po szczeroci sąsiedzkiej daj mi rękę.

CHORAŻY (*z ukłonem*).

Ale zdala, Mości Książę!

KSIAŻĘ.

Cóż to, panie kochanku, w domu własnym, na gościa i sąsiada się boczysz? to nie po polsku i nie po naszymu.

CHORAŻY.

Owszem, radem mu z serca, lecz...

KSIAŻĘ.

Słuchaj, Kniaziu Choraży, panie kochanku! Radziwiłł wojewoda czasem miewa fafry w nosie, ale ten, co go tu dziś u siebie masz, ja ci ręczę, z flakami dobre człeczysko!

(na stronie).

Muszę go zagadywać, póki się tam nie uprzątną, panie kochanku, i nie zrobią, com kazał.

(głośno).

Radziwiłła ogadali przed tobą niewinnie, panie kochanku, to przylepka, choć do rany przyłożyć! Tamten miecznik i wojewoda, czasem sobie pobrykał, panie kochanku, ale jakże było po takich, jak twój Dypłowicz nie jeździć?... To paskudztwo jest, panie kochanku... Ja... jak-em raz był... Gdzieżem to ja był?... panie kochanku?

CHORAŻY.

Albo to ja wiem, gdzie Książę bywał, a kędyś nie bywał?

KSIAŻĘ.

Ja-bo, panie kochanku, coś innego mówić chciałem... (*zastania mu sobą okno.*) Bo to, widzisz mój Kniaziu, choć wojewodę zamknąłem na klucz w moim gabinecie, w Nieświeżu, ale moja dwornia, jak się opatrzy, że się on gdzieś im zapodział, panie kochanku, węchem, jak legawce za mną w trop przybiegną... A tego tam chmara, panie kochanku... głodne to... czy im choć jeść będziesz miał co dać?

CHORAŻY (*spokojnie*).

Znajdzie się.

KSIAŻĘ.

Będzie tego pewnie ze trzysta koni, panie kochanku.

CHORAŻY.

No, choćby czterysta..

KSIAŻĘ.

A, to dobrze, bo ja dla siebie, panie kochanku, niewiele potrzebuję; służąc za kuchnię u pani Gałickiej, nawykłem do wszystkiego, ale ta moja dwornia, panie kochanku, więksi panowie, niż

ja... I jedzą bestye każdy za czterech i piją za sześciu... a wybredne to!... Co im pan Choraży dasz?

CHORAŻY.

Co mam.

KSIAŻĘ.

A cóż masz? panie kochanku! (*spogląda oknem*) bo ja tu coś, jakos żadnych przygotowań dla téj szarańczy nie widzę.

CHORAŻY.

Jak to? jak to?

KSIAŻĘ.

Coś tam było... panie kochanku... garstka owsa i beczulka oliwy, czy coś? ale i to, pochwymano i pochowano, jak przed kozackim najazdem, panie kochanku.

CHORAŻY (*cisnąc się do okna*).

Jak to może być? Cóż to jest? Kto śmiał? (*patrzy.*) Co się stało! Na rany Pańskie, to ten wisielec Dypłowicz, ale ja go zabiję!

(*Chce biec do drzwi, Radziwiłł go chwytą w pól, szamotają się, Książę go z obu stron w twarz całuje.*)

KSIAŻĘ.

Bracie! Kniaziu! Choraży! słuchaj, panie kochanku! Koryatowice z Radziwiłłami koligaci, my krew jedna... pocałujmy się... a nie, to zaduszę... panie kochanku. Ja ciebie kocham, ja cię szanuję, ty gorąca pałka jesteś, jak ja, ale dobry człowiek. Słuchajno i nie rwij się, bo zaduszę!

CHORAŻY (*usiłuje się wyrwać*).

Książę Wojewodo, wstyd mi i hańbę uczyniono!

KSIAŻĘ.

Żadnego wstydu, hańby żadnej, panie kochanku. Cześć ci i sława! Spelniło się to tylko, co każdego dnia w psalmie odmawiamy:

„Ty oczyma swemi
Ujrzysz pomstę nad grzesznemi“.

Przekonasz się, panie kochanku, posłuchaj. Dypłowicz ci Wulkę chciał zagarnąć, dając mi ją do zjedzenia, ale ja krwawicą moich koligatów się nie żywię, ja—nie wilk, panie kochanku. Zo-

baczysz, jak się to misternie skończy. Jużemy się, choć z forsa, pocałowali, teraz—zgoda!... Z całym dworem jedziemy na śniadanko do Dypłowicza, on mnie musi przyjąć... tylko... chwileczkę jeszcze...

CHORAŻY.

Ja nie nie rozumiem...

KSIAŻĘ.

El ja to sobie tak plotę. *(na stronie.)* Musieli się przecież uwinąć? *(głośno.)* Panie Choraży, miałbym jeszcze do was prośbę. W swoim domu nie się nikomu nie odmawia.

CHORAŻY.

Jeżeli w mojej mocy.

KSIAŻĘ.

W twojej, panie kochanku... ale daj mi słowo honoru, że to uczynisz?

CHORAŻY.

Uczynię, jeśli w mojej mocy.

KSIAŻĘ.

W twojej mocy, panie kochanku, nie gniewać się i pobłogosławić...

CHORAŻY.

Pobłogosławić, kogo?

KSIAŻĘ.

Bo to, widzisz, ja ci figla spletałem, panie kochanku... przyjechał ze mną ksiądz, poczciwy mój Wyhowski i pannie Barbarze ślub dał ze Szczuką.

CHORAŻY.

Gdzie? jak? na miłość bożą!

(chce biedz, książe go wstrzymuje.)

KSIAŻĘ.

To darmo! już się stało! Wzięli ślub naprzeciwno, gdy ja tu pana Chorażego durzył... panie kochanku. *(ściska go.)* Nie gniewaj się... Szczuka dobry człek i karmazyn... Jesteśmy z nim w kolicy a bardzo majątny, kto wie, czy nie majątniejszy ode mnie, bo ja wiecznie goły jestem i grosza przy duszy nie mam.

CHORAŻY.

Ale moja córka, Mości Książę...

KSIAŻĘ.

Posłuchajcie, Szczuka mi dał pięć tysięcy dukatów gotówką i puściłem mu trzy wsie w Słuczczyźnie zastawą. Czego to goły nie zrobi?... Musiałem ślub dać w dodatku.

CHORAŻY.

Bez mojego zezwolenia!

KSIAŻĘ.

Ja rachowałem na to, że ty Radziwiłła gubić nie zechcesz. *(ściska go.)* Nie gub Radziwiłła, oni się kochają... i my z sobą kochać się musimy.

SCENA XII.

CIŻ.—BASIA ze SZCZUKĄ trzymając się za ręce wchodzi, za niemi kilku dworzan Księcia, klękają przed ojcem i Księciem stojącymi razem.

KSIAŻĘ.

A co? trzeba, panie kochanku, pobłogosławić, bo się gotowi obejść i bez naszego błogosławieństwa.

CHORAŻY.

Basiu droga!

(ściska ją i błogosławi.)

SZCZUKA.

Przebacz, ojeze!

CHORAŻY.

Radziwiłłowi się oprzeć trudno...

KSIĄŻE.

Widzisz, panie kochanku, jak nie mogę siłą, to wezmę sercem...

(*Ściskają się, podrzuca czapkę do góry. Z dziedzinca słychać okrzyki i wystrzały moździerzy, wpada Dypłowicz przerażony*).

A teraz, panie kochanku, chodźmy zjeść Dypłowicza, bo trzeba, żeby ktoś za nasze grzechy odpokutował!

GŁOSY (za sceną).

Vivat!

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	Str.
WSTĘP (Twórczość dramatyczna Kraszewskiego) przez Władysława Bogusławskiego	5
MIÓD KASZTELAŃSKI, komedia kontuszoza w 5-ciu aktach	23
CIEPŁA WDÓWKA, komedia we 3-ch aktach wierszem	169
KOSA I KAMIEŃ, przysłowie dramatyczne	257
PANIE KOCHANKU, anegdota dramatyczna we 3-ch aktach	299
RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE, anegdota dramatyczna we 3-ch aktach	377

SPIS RZECZY.

307	Wstęp (Tłumaczenie z niemieckiego przez Wł.
6	Przedmowa do wydania polskiego
21	Wstęp do dzieła. Co należy rozumieć w 6-tych częściach
149	CIĘŻAR WODNY. Ciężar wody w 6-tych częściach
257	KOŚCI I KAMIEŃ. Ciężar kości i kamienia
299	CIĘŻAR WODNY. Ciężar wody w 6-tych częściach
317	WZDRAŻANIE W GŁĘBOKOŚCI. Ciężar wody w 6-tych częściach



5230-r